

SĄ SPRAWY, KTÓRE CHWYTAJĄ NAS JUŻ NA ZAWSZE

W SZPONACH

IZABELA

JANISZEWSKA



W SZPONACH

IZABELA
JANISZEWSKA
W SZPONACH

Owce całe życie boją się wilków,

ale to pasterz je zjada.

Autor nieznany

Julia

Czerwiec 2019

Grafitowe niebo przecięła błyskawica. Julia zadrżała. Ścisnęła mocniej dłoń męża i przyspieszyła kroku, chcąc dotrzeć do samochodu, zanim spadnie deszcz. Gęste i lepkie jak melasa powietrze utrudniało oddychanie. Przedzierali się przez opustoszałe o tej porze ulice, odprowadzani niskimi pomrukami nadchodzącej burzy. Wiatr podrywał z asfaltu ziarna piasku i rzucał nimi w ich twarze.

Adam objął ramieniem plecy żony, a później wskazał wąskie przejście między budynkami.

– Tędy będzie szybciej – powiedział, skręcając w słabo oświetlony przesmyk. – Zaparkowałem po drugiej stronie.

Nad ich głowami znów rozbłysło światło, które odbiło się w cekinach sukienki Julii. Na obdrapanej ścianie majaczyły wydłużone cienie. Cholerne miasto, pomyślała, przeciskając się przez cuchnący moczem tunel. Znalezienie miejsca parkingowego w centrum Warszawy zazwyczaj graniczyło z cudem. To dlatego zostawili samochód kilka przecznic od restauracji, w której jedli rocznicową kolację. Letni wieczór kusił spacerem, a oni pomyśleli, że przechadzka dobrze im robi. Teraz tego żałowała. Echo zwielokrotniało stukot jej obcasów, a z nieba na odsłonięte ramiona Julii spadły pierwsze krople deszczu.

Kiedy wreszcie wyszli z luki między dwoma budynkami, zamiast przy równoległej ulicy, gdzie zostawili samochód, znaleźli się w ślepych zaułku. Niewielki placyk oświetlała jedynie mdła poświata stojącej nieopodal latarni. Obok nóg Julii przemknął popiskujący szczur, a ona instynktownie przywarła do męża. Adam rozglądał się za przejściem, a gdy go nie znalazł, zaklął pod nosem.

– Obawiam się, że będziemy musieli zawrócić. – Spojrzał przepaszająco na żonę.

Deszcz przybierał na sile, tłukąc kroplami o blaszane dachy. Wiatr gnał śmieci, które wypadły z koszy, a powietrze zaczynało się przeredzać. Adam zdjął marynarkę i osłonił nią żonę. Wzrokiem przemierzał zaułek w nadziei, że jednak znajdą jakiś przesmyk, który oszczędzi im bieganina w ulewie.

Po jednej stronie betonowego podwórka ciągnęły się garaże, naprzeciwko stał budynek z oknami pozastłanianymi dyktą, natomiast po drugiej stronie straszyły ceglaste, ukruszone w wielu miejscach mury pomazane sprejem. W mroku trudno było odczytać treść napisów. Jedynym, co udało się rozpoznać, był narysowany kredą kształt szubienicy z wiszącym na niej człowiekiem.

Dreszcz niepokoju przebiegł po kręgosłupie Julii, a wilgoć ulewy wdzierła się jej pod sukienkę.

– Chodźmy stąd, chcę jak najszybciej znaleźć się w domu.

Gdy tylko to powiedziała, wyczuła za plecami ruch. Początkowo wzięła go za podmuch wiatru, ale wtedy jej uszu dobiegł odgłos kroków, a na pobliskiej ścianie zarysował się cień. Nie zdążyła nawet obrócić głowy, gdy pochwyciły ją silne ramiona. Czyjaś wielka dłoń spadła na jej usta. Była szorstka i cuchnęła tytoniem.

Julia poczuła ból ściskanej szczęki. Wydawało jej się, że za chwilę zwymiotuje. Z trudem łąpała powietrze. Próbowwała się wyrwać, ale gdy jej szyi dotknęło zimne stalowe ostrze, znieruchomiała.

– Nie waż się nawet drgnąć – zażądał mężczyzna. – A ty na głowę i ręce za głowę. No już, inaczej ona zginie.

Strach zatańczył w oczach Adama, niepokój ścisnął mu żołądek. Mąż Julii nie planował jednak poddać się bez walki. Nagły wyrzut adrenaliny zadziałał na niego mobilizująco. Napiął mięśnie i rozejrzał się po zaułku w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby odeprzeć atak.

– Ogłuchłeś?! Rób, co mówię!

Napastnik docisnął nóż do szyi Julii. Poczwała, jak ostrze przecina skórę. Z jej ust wyrwało się stłumione jęknienie. Adam zauważył w oczach żony łzy i niemą, błagalną prośbę. Wahał się jeszcze przez chwilę, ale w końcu uniosł ręce w geście kapitulacji. Jedną z jego dłoni drżała, palce drugiej ciasno obejmowały marynarkę, którą wcześniej osłaniał Julię. Mokra koszula przylgnęła do jego ciała, a krople deszczu coraz mocniej uderzały o spadzisty, blaszany dach wiaty garażowej i z szumem wypływały z rynien.

Nagle pełne napięcia oczekiwanie wypełnił odgłos grzmotu. Adam sięgnął do kieszeni marynarki i rzucił portfel pod nogi mężczyzny.

– Weź go sobie – powiedział, patrząc mu pogardliwie w twarz skrytą w cieniu naciągniętego na głowę kaptura.

Ten lekceważący gest rozjuszył napastnika, który pchnął Julię w kierunku metalowych pojemników na odpady. Kontenery przewróciły się z hukiem, blaszane pokrywy zadzwoniły o beton, a ona wylądowała na pokruszonej kostce brukowej, raniąc skórę o jej ostre krawędzie.

Nie czuła bólu stłuczonego kolana, nie martwiła jej bordowa struga krwi płynąca po nodze. Myślała tylko o tym, by mężczyzna nie skrzywdził jej męża. Z bijącym szaleńczo sercem obserwowała, jak Adam, podcięty nagłym kopnięciem, upada na brzuch, a jego broda z impetem uderza o beton. Po chwili jego wargi pokryły się czerwienią, z ust wypłynęła krew. Napastnik zarechotał, po czym uderzył ciężkim butem w okolice żeber, tak że Adam zawył z bólu.

– Kto ci kazał zgrywać cwaniaka, co? – syknął nienawistnie, nachylając się nad leżącym, i powtórzył cios, tym razem celując w skroń.

Julia nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Głowa jej męża odskoczyła bezwładnie w tył. Jego wrzask przedarł się przez szum ulewy, a rozbryzg krwi zabarwił kałużę. To wszystko wyglądało zbyt surrealistycznie. Przecież jeszcze chwilę temu roześmiani wychodzili z restauracji. Dlaczego los nie ostrzegł ich przed tym, co miało nastąpić?

Chciała rzucić się na mężczyznę, tłuc go pięściami, gryźć i szarpać, ale nie potrafiła się ruszyć. Strach sparaliżował jej ciało. Próbowwała krzyknąć, wezwać pomoc, lecz nie była w stanie wydusić z siebie żadnego dźwięku. Jakby jego źródło wyschło niczym stara studnia. Bezradność zapiekła ją w gardle. Mogła tylko patrzeć. Stała się widzem w tym teatrze brutalności. Trzęsła się, wściekła na swoją bezsilność, gdy tymczasem napastnik przeszukiwał kieszenie marynarki Adama.

– Kluczyki do samochodu – warknął, zbliżając nóż do policzka ofiary. – Gdzie trzymasz te pierdolone kluczyki? – Niecierpliwił się.

Usta i łuk brwiowy Adama zdążyły spuchnąć.

– W lewej kieszeni spodni – wyszeptał i posłał żonie porozumiewawcze spojrzenie.

Napastnik nachylił się bardziej, by sięgnąć po to, na czym mu zależało, a wtedy jego ucho musnęła rzucona kostka brukowa. Mężczyzna powoli uniośł twarz i płonącym od gniewu wzrokiem przesunął po Julii.

– Ty suko – warknął.

Kobieta skuliła się, pewna, że lada moment żelazna pięść wyląduje na jej twarzy, ale w chwili, gdy napastnik się wyprostował, Adam złapał go za nogi i przewrócił. Mężczyzna runął na kolana, wypuszczając z dłoni nóż, który z brzękiem gruchnął o beton. Zaskoczony nagłym atakiem agresor syknął ze złością i splunął, gdy otrzymał silne uderzenie w potylicę. Niespodziewany cios zamroził go na tyle, że osunął się na ziemię, lądując twarzą w błotnistej kałuży.

– Zajebię cię! – zawył, spoglądając wściekle na Adama, po czym rzucił okiem w kierunku noża i chwiejnie zaczął się podnosić.

Julia znieruchomiała. Tym razem jednak to nie strach ją obezwładnił, ale wstrząs wywołany tym, na co patrzyła. Jej mąż doskoczył do nieznanego i kopnął go z impetem w zebra. Na tyle mocno, że napastnik z jękiem upadł na plecy. Wtedy Adam usiadł na nim i uderzył go fragmentem potłuczonej kostki brukowej prosto w szczękę. W powietrzu wzniosły się trzask pękającej kości i ryk bólu. Odłamek potoczył się po betonie, ale Adam już unosił ręce.

Zanim tamten zdążył się osłonić, na jego czaszkę spadły nowe potężne ciosy. Mąż Julii tłukł pięściami bez opamiętania. W dzikim szale ciął powietrze ramionami, a w jego spojrzeniu czaiło się coś zwierzęcego.

Pomiędzy chwytanymi łączywie oddechami krzyczał:

– Jesteś nic niewartym śmieciem! Nikim! Skończonym zerem!

Napastnik wyciągnął dłoń, próbując odszukać nóż. Charczał, wypluwając z ust krew, a jego twarz nie przypominała już oblicza człowieka, lecz raczej fragment rozszarpanego mięsa. Palcami desperacko badał płytę chodnikową, aż w końcu natrafił na rękojęść. Adam, pogrążony w nienawistnym amoku, nie zauważył tego, co nadchodziło. Jego pięści i koszula pokryły się krwią, ale on nie przestawał uderzać. Nie słyszał krzyków leżącego pod nim mężczyzny. Nie dostrzegwał przerażenia żony.

Pomiędzy ciosami wyrzucał z siebie jedynie:

– Nie... zasługujesz... na to... by żyć!

Julia poczuła, jak coś w niej pęka. Jej twarz się zmieniła. Poruszała ustami pewna, że krzyczy, ale nie wydobywały się z nich żadne słowa. Patrzyła, jak napastnik zaciska palce na nożu. Świat-ło błyskawicy odbiło się w stali.

Z potężnym wysiłkiem dźwignęła ciało. Na rozdygotanych nogach ruszyła w stronę walczących, a z jej gardła dobył się dziki skowyt, niknący w pomrukach burzy.

Słabnący napastnik uniósł drżącą rękę, gotów, by się zamachnąć. Dokładnie w tym samym momencie Julia rzuciła się na mężczyznę. Nie wiedziała, co robi, ale nie potrafiła się zatrzymać. Jakby pchała ją niewidzialna siła. Czuła, że nie panuje już nad swoim ciałem. Że to ono przejęło nad nią kontrolę. W kłębówisku mocujących się ze sobą ramion błyskała stal.

Mózg kobiety zalała adrenalina. Przed oczyma przesuwało się jej całe życie. Wróciły dawne kadry, zapachy i dźwięki. Nie było jej tu, znów znalazła się tam, w swojej przeszłości. A jedynym, co przebiło się przez mgłę przerażonego umysłu, był wrzask, gdy ciało jej męża przeszło ostrze noża.

Maj 1996

Pierwszym, co usłyszał, gdy wszedł do mieszkania, był szum wody. Wewnątrz panowała ciemność, ale zza uchylonych drzwi łazienki na korytarz wypadała smuga światła. Zdziwiony spojrzął na zegarek na nadgarstku. Było grubo po północy. O tej godzinie jego córka powinna już spać. Przez głowę Jakuba przemknęła niewygodna myśl. Coś było nie w porządku. Czuł to w trzewiach.

Ostrożnie zbliżył się do niedomkniętych drzwi, a jego uszu dobiegł terkot pralki. Przystanął i nasłuchiwał. Odgłos mokrych ubrań wirujących w bębnie mieszał się ze szmerem strumieni siekających powierzchnię emaliowanej wanny. Nic nie miało sensu.

– Hela? – rzucił nieśmiało w przestrzeń, ale nikt mu nie odpowiedział.

Nagle pod prawą stopą wyczuł wilgoć. Podniósł nogę i zauważył, że na białej skarpetce widnieje ciemna plama, do złudzenia przypominająca krew. Znów dogoniło go duszące uczucie niepokoju. Jakby ktoś ustawił grzejniki na najwyższą temperaturę, choć za oknami szalał ciepły maj. Ponowił wołanie, ale i tym razem córka nie odpowiedziała. Wtedy zdecydował, że tam wejdzie.

Najpierw zanurzył twarz w paśmie światła wylewającego się przez otwarte drzwi. Foliowa zasłona zwisająca z sufitu częściowo zakrywała postać, która siedziała w wannie tyłem do wejścia. Z tej perspektywy Jakub mógł zobaczyć jej plecy oraz tył głowy. Na ich widok gwałtownie wciągnął powietrze. Jego umysł bronił się przed obrazem, na który patrzył. Zbyt strasznym, by mógł być prawdziwy.

Przetarł oczy. To na pewno przez zmęczenie, wmawiał sobie. Cały dzień spędził na boisku, w ostrym słońcu, do tego bez czapki, której w pośpiechu zapomniał. Znów podniósł wzrok i w klatce piersiowej poczuł ukłucie jeszcze silniejsze niż poprzednie.

Z wahaniem przekroczył próg łazienki i przykucnął obok wanny, delikatnie odsuwając zasłonę. Z pleców czternastolatki wraz z wodą spływała krew. Na skórze dziewczynki widniały głębokie czerwone bruzdy. Jakby jakiś drapieжник rozdarł jej tkanki pazurami. Widok ran z bliska przyprawił go o mdłości. Z szoku drżały mu ręce. Skrępowany nagością nastoletniej córki uciekł spojrzeniem.

– Córeczko, co się stało? – zapytał, ale ona nie zwróciła na niego uwagi.

W dłoni trzymała kostkę mydła, którą w transie pocierała skórę. Raz przy razie. Jakby od tego, czy zrobi to dobrze, zależało jej życie. Tuż obok zgrzytała wirująca pralka.

– Kochanie, już wystarczy. – Próbował zatrzymać rękę nastolatki, ale mu nie pozwoliła.

Działała jak robot zaprogramowany na wykonywanie tej konkretnej czynności. Mężczyzna zasłonił dłońmi usta, by nie wrzeszczeć z rozpaczy. Z jego oczu pociekły łzy. Bezradnie przyglądał się szaleństwu, którego nie potrafił objąć umysłem, a później wstał, chwycił z wieszaka duży ręcznik i zakręcił kran.

– Chodź, zaniosę cię do łóżka – powiedział, całkowicie odsuwając zasłonę.

Dziewczyna nie zaszczyliła go nawet spojrzeniem. Zaczęła się trząść.

– Jestem brudna – szepnęła tylko i położyła dłoń na kurku.

Z prysznicza znów popłynęła ciepła woda, a Hela wróciła do obsesyjnego mycia.

W tamtym momencie coś w Jakubie tąpnęło. Jakby gdzieś w środku pojawiła się wielka rozpadlina ziejąca czernią. Wyrwał córce z ręki mydło, cisnął je do umywalki, a potem owinął dziewczynę ręcznikiem i siłą wyciągnął ją z wanny.

– Nie możesz! – Walczyła z nim, tłukąc pięściami ramiona ojca. – Muszę się umyć. Jestem brudna.

Szarpała się, ale on zamykał ją w coraz ciasniejszym uścisku, nienawidząc siebie za to, co robi. W końcu jej bunt zelżał. Osunęli się razem na podłogę. On oparty plecami o wannę, ona zwinięta w kłębek, z głową na jego udach. Oddychali ciężko.

– Co się stało, kochanie? – zapytał.

– Nic.

Głos Heli był cichy, jakby dochodził zza ściany.

– Muszę wiedzieć, rozumiesz?

Nastolatka przecząco pokręciła głową. Widział, że jest senna. Ziewnęła, a jej powieki zaczęły opadać.

– Dawno, dawno temu żyła sobie dziewczynka... – rozpoczął opowieść, jak zwykli robić, gdy to, o czym musieli porozmawiać, było zbyt trudne, by wyrazić to wprost.

W ten sposób pięć lat temu przekazał jej wiadomość o śmierci mamy, a niedawno ona użyła ich wytrychu, by wyznać, że zaczęła miesiączkować. Dlatego czekał, w duchu modląc się, by i tym razem Hela

zdecydowała się otworzyć.

– Dawno, dawno temu żyła sobie dziewczynka, która uciekła wilkom... – wyszeptała, a potem z jej ust wypłynęły słowa, które zdruzgotały mężczyznę na zawsze.

Julia

Sierpień 2019

Zrywana z kartonowego pudła taśma trzeszczała jej w palcach. Julia ostrożnie uchyliła wieko, jakby w środku znajdowały się nie przedmioty, ale coś, co mogłoby się na nią rzucić. Co tym razem zobaczy? Jakie wspomnienia przywoła? Przygryzła wargę, próbując przegonić niepokój. Jak mogła być tak naiwna, by wierzyć, że zdoła zacząć życie od nowa? Nie da się przecież wymazać przeszłości. Przybyła tu razem z nią. Julia czuła, jak powoli wypełniała każdy skrawek tego domu. Wystawiała łeb z kolejnych kartonów niczym hydra. Można było z nią walczyć, odcinać jej głowy, ale na miejscu jednej zaraz odrastały dwie nowe.

Dlatego nabrała tchu i zanurzyła dłoń we wnętrzu pudła. Na podłogę spadły zgniecione strony gazet, a pod nimi ukazały się stosy ramek ze zdjęciami. Zza otwartego okna dobiegał metaliczny zgrzyt. Julia zerknęła przez szybę i gdy dostrzegła wyraz twarzy swojego sześciolatniego synka, aż zapiekło ją w piersi. Benio siedział na huśtawce, wbijając wzrok w ziemię. Przesiąknięty smutkiem i ponury. Jego lewa ręka kurczowo ścisnęła łańcuch. Prawa trzymała długi kij, którym dźgał trawnik i odpychał się od niechcenia. Był tak podobny do Adama, że Julia poczuła duszące dławienie w gardle.

– Pani Haner – usłyszała za plecami.

Zaskoczona czyjaś nagłą obecnością podskoczyła.

– Przepraszam, nie chciałem pani wystraszyć. – Starszy mężczyzna o posiwiałych włosach skrytych pod wysłużoną czapeczką z daszkiem i gęstych, nieco staromodnych wąsach z zakłopotaniem potarł policzki.

Był hydraulikiem. Julia znalazła go w internecie. Ubrany w roboczy kombinezon, trzymał w ręku skrzynkę z narzędziami.

– To nie pana wina – uspokoiła go. – Po prostu się zamyśliłam. Nie słyszałam nawet, kiedy zszedł pan z góry.

Usiłowała wykrzesać z siebie pojednawczy uśmiech, ale od śmierci Adama ten radosny grymas był luksusem, na który nie potrafiła sobie pozwolić w stosunku do nikogo poza Beniaminem.

– Chciałem tylko dać znać, że pralka i zmywarka są już podłączone, a stare baterie w łazienkach i kuchni powymieniałem na nowe, tak jak ustaliliśmy.

Julia rozliczyła się z mężczyzną, a kiedy wyszedł, dopadło ją przejmujące poczucie pustki. A więc tak będzie teraz wyglądać nasze życie, pomyślała.

Przysiadła na brzegu szarego fotela, przesuwając wzrokiem po podłodze usianej pakunkami i nagich półkach czekających na zapełnienie. Dom, do którego się wprowadzili, należał niegdyś do rodziców jej męża. Od lat, ze względu na wyjazd państwa Hanerów do Kanady, stał pusty. Po śmierci Adama teściowie zaproponowali, by Julia z Beniem przenieśli się tu, zmienili otoczenie i z dala od stolicy zaczęli układać sobie życie od nowa.

I oto rozgaszczali się w murach, w których jej mąż dorastał, przeżywał pierwsze miłości i pierwsze kłótnie z rodzicami. A teraz ona miała wlać w to wnętrze życie swoje i Beniamina, wypakowując je ze szczelnie zaklejonych kartonów.

To by było na tyle, jeśli chodzi o uciekanie przed przeszłością, skwitowała w myślach, przywiozłam ją ze sobą w czterdziestu sześciu pudłach.

Podeszła do otwartego kartonu i wyjęła z niego ramkę ze zdjęciem. Natrafiła na jedną z ostatnich fotografii, na których zostali uchwyceni wszyscy troje. Uśmiechnięci, obejmujący się ramionami. Benio w środku, ona i Adam po bokach. Ich ciała lepiły się od błota, usmarowane policzki płonęły czerwienią, a oczy lśniły jak w gorączce. Tamtego dnia wzięli udział w Runmageddonie, biegu survivalowym dla rodziców i dzieci. To dlatego na ich szyjach połyskiwały medale. Wspomnienie było tak silne, że Julia wręcz usłyszała zaraźliwy śmiech Benia. Rozbrzmiewał w jej uszach coraz donośniej, jakby nie pochodził z odległej przeszłości, tylko docierał z bliska.

Zmrużyła oczy i uniosła głowę, nasłuchując. Radosny chichot dobiegał z podwórka. Julia odetchnęła z ulgą na myśl, że odgłosy nie są wytworem jej wyobraźni, ale po chwili zmarszczyła brwi w niedowierzaniu. To Beniamin zanosił się śmiechem.

Zamrugnęła zaskoczona, ponieważ po śmierci ojca sześciolatek pograżył się w apatii. Stał się milczący i wycofany. Zaczął unikać ludzi, a kiedy nie radził sobie z emocjami, wybuchał agresją.

Wyjrzała przez okno, dostrzegając radośnie wierzgające w powietrzu stopy w czerwonych adidasach. Sylwetka Benia to pojawiała się, to znikwała za szybą, a za nią podążały kaskady dziecięcego śmiechu. Julia obserwowała dołeczki w policzkach syna i jego zarumienioną buzię, nie mogąc otrząsnąć się z szoku.

– Wyżej, wyżej! – krzyczał chłopiec, patrząc na wprost, jakby nie bawił się sam, tylko z kimś, kto wprawia huśtawkę w ruch.

Odstawiła ramkę na półkę przy kominku i zaciekawiona ruszyła do frontowych drzwi. Zamierzała iść od razu do Benia, ale gdy wyszła na zewnątrz, przy furtce dostrzegła sąsiada z domu po drugiej stronie ulicy. Robert Wagner pomachał do niej przyjaźnie ze swojego wózka inwalidzkiego. Dawniej, zanim Adam wyjechał na studia, byli bliskimi przyjaciółmi, podobnie jak wcześniej ich rodzice. Może ze względu na tamtą zażyłość Robert jako jedyny z licealnej paczki przyjaciół stawił się na pogrzebie jej męża. To wtedy go poznała i natychmiast polubiła. Był serdeczny i zabawny, a odkąd pojawiła się w Grodzisku, razem z żoną dbali o to, by dobrze się czuła w nowym miejscu.

– Hej, przyszedłem zaprosić cię na sąsiedzkiego grilla. Chcemy pożegnać wakacje i zainauguować nowy rok szkolny. Jutro o piątej. Emilia kazała mi przekazać, że nie przyjmuje odmowy.

Twarz Julii rozjaśniła się na moment, lecz po chwili spochmurniała.

– Sama nie wiem, Robert. Naprawdę chciałabym przyjść, ale obawiam się, że wszyscy będą nas wypytywać o Adama, a ja chyba jeszcze nie mam siły o tym rozmawiać.

– Wpadnij, proszę, choć na chwilę. – Złożył dłonie jak do modlitwy. – Obronię cię przed natrętami, obiecuję. Będą kielbas-ki, dobra muzyka, a dla dzieciaków zorganizowaliśmy opiekunkę i kupiliśmy tony słodyczy.

– Brzmi kusząco.

Wagner uśmiechnął się przebiegle.

– Zaserwuję moje popisowe żeberka w coli, a do tego piwo i wino za free. Jeśli to do ciebie nie przemawia, to się poddam. – Uniósł ręce w geście kapitulacji, gdy nagle powietrze rozdarł ostry krzyk dziecka:

– Już wystarczy! Dość!

Julia z lękiem zerknęła na dom, zza którego dochodziły te niepokojące odgłosy.

– Będziemy – rzuciła pospiesznie. – A teraz cię przepraszam, muszę sprawdzić, co się stało.

Założyła, że najszybciej dotrze do chłopca, przedzierając się przez zarośla po prawej stronie budynku.

– Beniu! – zawołała, pokonując dawno nieregulowane, dziedziczące pnącza. – Wszystko w porządku?

On jednak nie odpowiedział. Przez rozrośnięte bzy prześwitywała dziecięca sylwetka na huśtawce. Julia przecięła zasiałki z wybująłych krzewów, pozwalając, by ich gałęzie podrapały odsłoniętą skórę jej ramion.

To, co zobaczyła, gdy dotarła do syna, przyprawiło ją o bezdech. Beniamin, rozbujany zdecydowanie zbyt wysoko, na jej oczach spadł z huśtawki, a potem z krzykiem wylądował na trawniku. Podbiegła do niego, by sprawdzić, czy jest cały.

– Kochanie, nic ci nie jest? – spytała, przytulając chłopca.

– Nie – odburknął poirytowany i wyswobodził się z objęć matki.

Wiedziała, że nie powinna czuć się dotknięta. Był tylko sześciolatkiem, który nie potrafił pomieścić w sobie złości po śmierci ojca. Obwinał o nią każdego, a zwłaszcza ją. Gniew sprawiał, że Benio zaciskał szczęki. Chwytał piąstkami kępy trawy, wbijał paznokcie w ziemię i wyrwał żdzbła. Jego klatka piersiowa unosiła się miarowo, a skóra na policzkach była napięta. Odsunął się, gdy próbowała go pogłaskać.

To tylko zagubione dziecko, powtórzyła w myślach, choć jego zachowanie raniło, a słowa potrafiły ciąć jak żyłki.

– Powiesz mi, co się stało? – drażyła.

– Zepsułaś nam zabawę.

Zaskoczona uniosła brwi.

– Wam? Kogo masz na myśli?

Sześciolatek wstał i ruszył w kierunku huśtawki.

– Mojego nowego przyjaciela – rzucił, podnosząc z ziemi kij. Ciągnął go za sobą, maszerując w stronę domu.

Julia rozglądała się w poszukiwaniu dziecka, z którym mógł się bawić Benio, jednak nikogo więcej poza nimi tam nie było. Dopiero po chwili w oddali na wzniesieniu dostrzegła sylwetkę chłopca na rowerze.

W świetle zachodzącego słońca nie mogła zobaczyć go wyraźnie, była jednak pewna, że spoglądał w ich kierunku, zanim zniknął za linią horyzontu.

– Powiedział, że będziesz na niego zła – oznajmił sześciolatek, wspinając się po stopniach na ganek. Dogoniła syna i kucnęła obok niego, chwytając malca za rękę.

– No coś ty, cieszę się, że znalazłeś sobie kolegę – odparła. – Dlaczego miałabym się złościć? Z powodu tego upadku?

Beniamin spuścił wzrok i zaprzeczył ruchem głowy.

– To nie jego wina, to ja chciałem, żeby rozhuśtał mnie tak wysoko.

– W takim razie dlaczego?

– Bo uważa, że niedługo znów ktoś umrze.

Julia zdumiona otworzyła usta. Gęsia skórka zaczęła pokrywać jej przedramiona, choć był to jeden z tych pogodnych jesiennych dni. Zamierzała jeszcze o coś zapytać, ale Benio odwrócił się tyłem, cisnął patykiem w krzaki i zaczął wchodzić do domu. Wymykał się jej tak, jak sens jego słów.

Instynktownie zerknęła w stronę wzniesienia, na którym niedawno widziała chłopca, ale teraz nie było po nim żadnego śladu. Droga tonęła w złocie zachodzącego słońca, a ją przeszył lodowaty chłód.

Maj 1996

W powietrzu unosił się gęsty papierosowy dym. Policjantka założyła za ucho cienkie, przetłuszczone włosy i zerknęła na zegar zawieszony na ścianie. Wskazówki wędrowały niespiesznie po tarczy, a pokój na komendzie wypełniały jednostajny terkot sufitowego wiatraka oraz odgłosy pisania na maszynie. Funkcjonariuszka sapnęła z wysiłkiem, potarła lepkie od potu czoło, a następnie zabębniła paznokciami o blat.

Biurko odgradzało ją od ojca i nastolatki siedzących po drugiej stronie. Dziewczyna obejmowała szczupłe, wymizerowane ciało ramionami. Skóra jej twarzy była blada, jakby odpłynęła z niej cała krew. Miała podbite oko, opuchniętą, rozerwaną wargę i siniaki na policzkach. Z dłońmi ukrytymi w za długich rękawach bluzy patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Pogrążona w bezruchu, przypominała figurę woskową.

Policjantka pstryknęła długopisem, zajrzała w zapisane na maszynie kartki i poprawiła się na krześle, które skrzypnęło pod jej ciężarem.

– Dlaczego nie krzyczałaś?

Pytanie wymierzone w dziewczynę odbiło się od niej jak od ściany. Nastolatka skuliła się jeszcze bardziej i lękliwie przesunęła wzrokiem po policjantach pracujących przy sąsiednich biurkach.

– Mogłaś przecież wzywać pomocy.

Jakub mocniej ścisnął dłoń córki.

– Napadli ją, do licha ciężkiego! – wysyczał z irytacją. – Naprawdę tak trudno to zrozumieć? Była przerażona.

Żyła na szyi mężczyzny zaczęła pulsować, a jego policzki zalała purpura.

– Ale przyzna pan, że zachowywała się nadzwyczaj biernie – ciągnęła funkcjonariuszka, podejrzliwie przyglądając się nastolatce. – Nie próbowała się bronić, a jej brak oporu mógł jeszcze bardziej zachęcić napastników. Może myśleli, że skoro nie walczy, to tak naprawdę tego chce.

Oczy Jakuba pociemniały. Poderwał się z krzesła i z nabrzmiałą od gniewu twarzą nachylił się nad biurkiem policjantki, przyciągając tym uwagę pozostałych funkcjonariuszy.

– Jak pani śmie?! – warknął. – Moja córka leżała w tym cholernym lesie sparaliżowana strachem. Z przerażenia nie była w stanie nawet drgnąć, a pani insynuuje...

– Chwila, chwila. – Policjantka uniosła dłonie. – Absolutnie nie umniejszam tragedii pana córki. Mówię tylko, że takich zwyrodnialców brak protestu dodatkowo ośmiela. Kiedy ofiara się im poddaje, mają poczucie władzy. I właśnie o to im chodzi. Stają się wtedy bardziej zuchwali, bo czują, że nikt ich nie powstrzyma.

Ojciec Heli zacisnął wargi i splótł ramiona na piersi. Miał dość. Nie mógł już dłużej słuchać pytań o to, jak była ubrana, czy na pewno dała sprawcom do zrozumienia, że tego nie chce, gdzie on się wtedy podziewał i dlaczego o tak późnej porze wracała do domu sama. Zmęczony opadł na krzesło.

Jego wzrok z troską prześlizgnął się po zatopionej w odrętwieniu córce. Ta nadal siedziała nieruchomo. Nieobecna, z twarzą bez wyrazu, jakby to, co się stało, zamieniło ją w pozbawionego duszy manekina.

– Złapiecie ich? – zapytał, odwracając się w stronę funkcjonariuszki.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

– Tak? – prychnął, wbijając paznokcie w podłokietniki krzesła. – Czyli co dokładnie?

Policjantka uniosła spojrzenie do sufitu, jakby zamierzała przewrócić oczami, ale w ostatniej chwili się opamiętała. Pośliniła palec i zaczęła przerzucać kartki zeznań.

– Rozpytamy mieszkańców tamtej okolicy i spróbujemy namierzyć potencjalnych świadków. Może znajdzie się ktoś, kto cokolwiek widział.

– Tylko tyle? Mojej córce zawalił się cały świat, a wy spróbujecie? – Ostatnie słowo wypowiedział z kąśliwą nutą w głosie.

Mundurowa westchnęła.

– A na co pan liczy? Ona nie jest w stanie opisać ich wyglądu, nie zna imion ani ksywek, nie wie, w co byli ubrani, i nie potrafi podać marki samochodu, do którego ją wrzucili.

– Bo miała na głowie foliowy worek!

Policjantka nerwowo przerzucała kartki.

– Oto, co pamięta: duszący zapach w bagażniku, fragment ciemnej ortalionowej kurtki, wbijające się w ciało guziki dżinsowej bluzy, to, że było ich trzech i że jeden z napastników palił, a inny pogwizdywał melodię z radia. To wszystko. – Rzuciła papiery na biurko. – Nie powiedziała nam nic istotnego, o ile w ogóle

raczyła się odezwać, bo głównie to pan mówił za nią.

– Jest w szoku, czy może to pani w końcu zrozumieć?

– A pan niech wreszcie pojmie, że nie mamy żadnego punktu zaczepienia. Nic, co pomogłoby nam wytypować sprawców. Jeżeli nie znajdziemy świadków albo konkretnych dowodów, niewiele zdziałamy. To jak szukanie igły w stogu siana.

Mężczyzna zwarł mocno szczęki. Czuł, że jeśli usłyszy jeszcze jedno zdanie wypowiedziane tym obojętnym tonem, roztras-ka twarz funkcjonariuszki o blat biurka.

– A co z osobami oskarżanymi już wcześniej o podobne przestępstwa w okolicy? – zapytał. – Może to nie był ich pierwszy raz.

– Będziemy weryfikować wszystkie tropy. Proszę wrócić do domu i zająć się córką, a my skupimy się na naszej robocie.

– Mam beczynn timer czekać?

– Najlepsze, co może pan teraz zrobić, to uzbroić się w cierpliwość.

Kusiło go, by wrzasnąć na tę kobietę. Zedrzeć opatrunek z pleców córki i kazać policjantce patrzeć na rany nastolatki, aż zacznie ją to obchodzić, ale czuł na sobie wzrok innych funkcjonariuszy, słyszał ich chrapliwe oddechy i ostatecznie skapitulował.

Chwytał dziewczynę pod rękę, pomagając jej wstać.

– Chodź, kochanie, zabiorę cię do domu.

Otoczył zubożoną Helę ramieniem i powoli prowadził ją w stronę drzwi, po chwili jednak przystanął. Jego wargi drżały.

– Bóg mi świadkiem, że jeśli nic nie zrobicie, sam ich znajdę. Wytropię każdego z nich i wyrwę im wnętrzności gołymi rękami.

– Nie radziłabym... – zaczęła policjantka, ale Jakub jej przerwał.

– Mam gdzieś pani rady, interesuje mnie tylko sprawiedliwość.

Posłał kobiecie groźne spojrzenie, a później, obejmując córkę, wyszedł z pokoju.

Funkcjonariuszka ścisnęła w palcach długopis, a jej wzrok podążył za okno, w stronę parkingu, który przemierzał Jakub Czaja. Widywała już wcześniej tę dziką iskrę w oczach zdesperowanych, szukających odwetu ludzi. Gotowych na wszystko i nieświadomych, że pędzą wprost w czarną gardziel otchłani. Czaja był bez wątpienia jednym z nich, a mimo to nie próbowała go zatrzymać.

Wiedziała, że nie jest to możliwe.

Julia

Wrzesień 2019

Tłum sąsiadów wypełniał ogród Wagnerów. Nad tarasem zawisła girlanda kolorowych lampek, z przenośnego głośnika płynęły przeboje z dawnych lat. Część gości, sącząc wino, relaksowała się na wystawionych na trawie leżakach, niektórzy tańczyli, a pomiędzy nimi leniwie przechadzał się czarny kot. W niebo co chwilę wzbijały się radosne okrzyki oraz salwy śmiechu. I choć wieczór sprawiał wrażenie idealnego, jednego z tych, które po latach wspomina się z sentymentem, to Julia nie potrafiła dać mu się porwać.

Pozostając nieco z boku, z rezerwą obserwowała nieznajomych. Robert musiał zauważyć jej zadumę, bo puścił do niej oko znad grilla, przy którym wesoło podśpiewywał do wtóru listy przebojów. W powietrzu unosił się zapach pieczonych kiełbasek i piwa. Goście, rozluźnieni procentami, rozmawiali coraz głośniejsze, a chmara dzieci biegała wokół, puszczając bańki mydlane.

Julia podeszła do Wagnera, by sięgnąć po piwo ze skrzynki. Jej sąsiad, ubrany w bejsbolówkę założoną tyłem do przodu, akurat tańczył na wózku, unosząc przednie koła i podrygując do jednej z ostatnich piosenek Eda Sheerana.

– Masz ochotę na żeberka w sosie barbecue? – zapytał, zbliżając do niej talerz z obłędnie pachnącym daniem.

Nim zdążyła odpowiedzieć, podbiegła do nich przerażona Emilia. Ognisty kolor jej włosów kontrastował z kredową bielą policzków, a wzrok był rozbiegany. W ręce trzymała nianię elektroniczną i panicznie rozglądała się wokół.

– Coś się stało? – zapytał Robert.

Emilia złapała męża za rękaw koszuli i wbiła paznokcie w jego przedramię.

– Gdzie jest Liliana? Zabrałeś ją z salonu?

Robert obrzucił żonę nierozumiejącym spojrzeniem. Jego wzrok pobiegł w kierunku olbrzymiego okna, przez które widać było pokój pełen książek oraz dziecięcy wózek zaparkowany przy szybie.

– Przecież jest tam. – Wskazał na gondolę. – Śpi w tym samym miejscu, w którym ją zostawiłaś.

Żona Wagnera bezradnie pokręciła głową, a jej długie kolczyki się zakołysały.

– To wózek Niny i Wiktora, nie nasz – wykrztusiła z trudem. – Nasz zniknął, razem z Lilianą.

– Może ktoś ją wziął na spacer? – zasugerowała Julia.

– Nie, to niemożliwe. Słyszałabym, że coś się dzieje – stwierdziła Emilia, pukając palcem w elektroniczne urządzenie. – Kiedy weszłam do domu, niania leżała na podłodze, schowana pod kocem. Jakby ktoś ją tam specjalnie ukrył.

Teraz krew odpłynęła także z twarzy Roberta. Mężczyzna niespokojnie rozejrzał się po ogrodzie, a później chwycił przenośny głośnik, próbując go wyłączyć albo chociaż wyciszyć, ale ten jak na złość nie odpowiadał. Poirytowany radosną piosenką płynącą z odtwarzacza Wagner usiłował zatrzymać ją w aplikacji, lecz gdy i to nie pomogło, cisnął w końcu urządzeniem o deski tarasu, a muzyka ucichła jak ucięta nożem. Biegające po trawniku dzieci zatrzymały się z przestraszeniem.

Wszyscy goście patrzyli teraz tylko na Roberta.

– Słuchajcie, czy ktoś z was widział wózek z Lilianą? – zapytał, patrząc po zebranych. – Stał w salonie przy szybie, a teraz jest tam tylko gondola Niny i Wiktora.

Przyjaciele i znajomi Wagnerów wymienili spojrzenia. Przez ogród przetoczył się przytłumiony szmer. Wszyscy kręcili głowami z bezradnością i współczuciem, a dłoń Roberta instynktownie zaczęła szukać ręki żony.

– Może niepotrzebnie panikujemy, ona pewnie gdzieś tu jest, ale chciałbym was prosić o pomoc – oznajmił. – Razem szybciej namierzmy wózek z naszą dziewczynką. Proponuję, by podzielić się na grupy. Ktoś musi sprawdzić dom, teren wokół budynku i ten za furtką. Może rzeczywiście któryś z gości zabrał ją na przechadzkę. Szukamy niebieskiej gondoli.

Jeden z mężczyzn podniósł z krzesła marynarkę, po czym zakładając ją na siebie, rzucił:

– Nie ma sprawy, stary. Przejdziemy się z Alicją po ulicy, może na coś trafimy.

Jego żona pospiesznie odstawiła kieliszek prosecco i już po chwili szli razem w stronę frontowej

bramki. Pozostali znajomi szybko dołączyli do poszukiwań. Kobieta w fioletowej sukience zadeklarowała, że pomoże w opiece nad dziećmi, inna pobiegła przeszukać dom, a kilka osób zaglądało w zarośla nad stawem położonym na olbrzymiej posesji Wagnerów.

Julia przesunęła wzrokiem po działce, rejestrując, że na tyłach niewielkiego sadu rosnącego za domem znajduje się druga furka.

– A może ten ktoś z Lilianą wyszedł tamtą bramką w ogrodzeniu? – Wskazała wyjście ukryte za szpalerami śliw i jabłoni. – To wystarczająco daleko od domu, żebyśmy nie zauważyli. Po drugiej stronie, wzdłuż nasypu, ciągnie się piaskowa ścieżka. Spacerowaliśmy nią wczoraj z Beniem.

– Chodźmy – powiedział Robert.

Ruszył w stronę sadu, z trudem manewrując wózkiem między drzewami i przedzierając się przez wybujałe w tej części ogrodu kępy traw.

– Moment! – zawołała Julia. – Muszę wrócić po Benia, wystraszy się, jeśli nie będzie mógł mnie znaleźć.

– Nie martw się o niego, jest z opiekunką i pozostałymi dziećmi, tak jak nasza starsza córka – wtrącił Wagner. – Możemy potrzebować twojej pomocy – dodał, znacząco zerkając na żonę, która zdawała się bliska omdlenia.

Julia na ułamek sekundy odwróciła twarz w stronę domu, a gdy w tłumie kolorowych bluz dostrzegła tę czerwoną, należącą do Benia, i zauważyła, że razem z innymi dziećmi nabija na patyk pianki marshmallow, twierdząco kiwnęła Robertowi.

Kiedy otworzyli skrzypiącą furkę, za którą meandrowała ścieżka, Emilia przystanęła, wpatrując się w piasek. Rysowały się na nim dwie równoległe linie.

– To ślady wózka – powiedziała i natychmiast podążyła za tropem.

Biegła pierwsza, a kurz wzbijany przez jej stopy brudził brzeg długiej szmaragdowej sukienki. Tuż za nią podążała Julia, a na końcu jechał Wagner. Jego koła grzęzły i zaczepiały o rosnące tam zielsko. Dysząc, z wypiekami na twarzach rozglądali się w nadziei, że zobaczą gondolę z małym dzieckiem.

Ślad prowadził do porośniętego trawą nasypu oddzielającego łąkę od drogi ekspresowej. Tam skręcał w prawo i ciągnął się wzdłuż wzniesienia, aż w pewnym momencie urywał się niespodziewanie, jakby wózek nagle zniknął.

– Co, do cholery...? – rzucił Robert, gdy zza wału dobiegły ich wzburzone głosy i dźwięk syren karetki. Wagner podniósł wzrok na nasyp, a jego palce zacisnęły się na kołach wózka.

– Nie dam rady tędy wjechać. Wy idźcie, a ja poszukam wyrwy w wale i spotkamy się na drodze po drugiej stronie.

Emilia z paniką w spojrzeniu zaczęła wspinać się na trawiaste zbocze. Oddychała ciężko. Nad jej górną wargą zebrała się wilgoć. Julia biegła za nią, czując, że serce lada chwila wyskoczy jej z piersi. Białe trampki deptały trawę, a grzywka przylgnęła do mokrego czoła.

Kiedy dotarły na szczyt, obie zastygły oniemiałe. Przed ich oczyma roztaczał się porażający widok.

Na ekspresówce w dole tłoczyły się porozbijane samochody. Wyglądały jak resoraki, które ktoś niedbale wyrzucił z pudła. Jeden leżał na boku, inny niedawno dachował, kolejny wisiał na barierkach. Pogięta blacha, otwarte maski i pogruchotane fragmenty zderzaków wywoływały skurcze żołądka. Szkło lśniło na asfalcie i chrzęściło pod stopami tych, którzy zdołali wydostać się ze swoich pojazdów. Ludzie chodzili w koło z telefonami przy uchu. Ktoś przykładał chusteczkę do krwawiącego nosa, jakiś mężczyzna cucił zemdloną staruszkę, a ratownicy medyczni kładli na noszach nastolatka w kołnierzu ortopedycznym. Mała dziewczynka stała na poboczu i wołała swoją mamę, a inna kobieta, płacząc, tłumaczyła coś policjantom.

Wzrok Julii podążył w kierunku, który przepytywana wskazywała dłonią, a gdy zrozumiała, na co patrzy, zrobiło jej się słabo.

Na jezdni leżał przewrócony niemowlęcy wózek, częściowo wciśnięty pod maskę opla. Krew zastygła jej w żyłach. Zerknęła na Emilię, chcąc ją w jakiś sposób uprzedzić i złagodzić wstrząs. Nim jednak zdążyła cokolwiek zrobić, żona Roberta dostrzegła budkę wózka.

Kobieta pobladła. Zaczęła spazmatycznie oddychać, a z jej gardła dobył się zwierzęcy skowyt. Odepchnęła Julię, po czym biegiem rzuciła się przed siebie. Świat w tym momencie skurczył się dla niej do jednego przedmiotu. Dopadła wózka, desperacko próbując wyciągnąć go spod samochodu. Na próżno szarpała gondolę, raz po raz wykrzykując imię dziecka. Kalczyła dłonie o rozdartą karoserię, ale nie zwracała na to

uwagi. Chciała odnaleźć córeczkę i tylko to się liczyło.

Julia, która znalazła się obok, czuła, że wszystko w niej kruszeje. Bezradnie śledziła zmagania sąsiadki i choć chciała powiedzieć tyle słów, nie mogła znaleźć tych właściwych.

Coraz więcej osób zauważało szamotaninę klęczącej na asfalcie kobiety. Szepcząc między sobą, obserwowali, jak wyrzuca z wózka kołderkę i materacyk, by po chwili wstać, a potem z obłędem wypisanym na twarzy zaglądać pod maskę każdego kolejnego samochodu.

– Emilia! – zawołał Robert, który zdołał przedrzeć się na drugą stronę wzniesienia. – Zatrzymaj się!

Po jego twarzy płynęły łzy. Patrzył na żonę błagalnym wzrokiem, ale ona tylko niemo kręciła głową. Jakby chciała mu powiedzieć, że nie może przestać. Że nawet najgorsze będzie lepsze od tej cholernej niewiedzy. Od potwornej czarnej dziury, która powstała w jej wnętrzu i teraz zasysała ją całą do środka.

Wiatr delikatnym podmuchem poderwał ogniste włosy Emilii, która schyliła się, by podnieść przedmiot leżący na asfalcie. Na widok różowego króliczka córki zgięła się wpół, jakby ktoś uderzył ją w brzuch.

– Kochanie... – szepnęła Wagner, zbliżając się do żony.

Spojrzała na niego, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Jej palce cały czas ścisnęły pluszaka, który bez wątplenia należał do Liliany. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale wtedy podszedł do nich funkcjonariusz policji. Wysoki, szczupły mężczyzna o surowym wyrazie twarzy.

– Czy to państwa wózek? – zwrócił się do Roberta, unikając patrzenia na jego towarzyszkę.

– Tak, obawiam się, że tak – odparł Wagner. – Zauważyliśmy, że zniknął z domu podczas sąsiedzkiego grilla. Wybiegliśmy go poszukać i natrafiliśmy na to. – Przesunął wzrokiem po wrakach samochodów, nie potrafiąc otrząsnąć się z szoku.

Julia, która dołączyła do Wagnerów, by podtrzymać słabnącą Emilię, z nerwów wbijała paznokcie we wnętrza dłoni. Jej myśli obsesyjnie krążyły wokół Benia. Tego, co robił i czy na pewno był bezpieczny.

– W wózku spała nasza córeczka. Ktoś ją zabrał razem z nim. Liliana ma trzy miesiące – odezwała się Emilia głosem nabrzmiałym od goryczy. – Widzieliście ją?

Policjant odpiął od paska trzeszczące radio, przekazał kolegom, że znalazł właścicieli gondoli, a później niespokojnie przestąpił z nogi na nogę i otarł spocone czoło.

– Sprawdzaliście państwo w domu? Może któryś z gości ją gdzieś przełożył?

– Nie, to niemożliwe – zapewniła Wagner. – Pytaliśmy o nią wszystkich sąsiadów. Nikt do niej nawet nie pochodził, bo spała. Lila zginęła.

Funkcjonariusz zastukał paznokciami o krótkofalówkę.

– Według naszych ustaleń w wózku nie było żadnego dziecka – oznajmił sucho. – Świadkowie twierdzą, że ktoś zepchnął gondolę z nasypu, a kierowcy, zakładając, że w środku jest niemowlę, zaczęli gwałtownie hamować i w ten sposób doszło do karambolu.

– Przepraszam – wtrąciła nieśmiało kobieta z rozciętym łukiem brwiowym, która musiała przysłuchiwać się rozmowie. – To ja pierwsza uderzyłam w wózek. Próbowałam hamować, ale niestety i tak nie zdołałam uniknąć kolizji. Gondola odbiła się od mojej maski, a później wpadła pod inny samochód. Jestem pewna, że była pusta. Zauważyłabym, gdyby w środku znajdowało się dziecko.

Robert przełknął ślinę.

– To gdzie w takim razie jest nasza córka?

– Nie wiem – odparł policjant. – Spróbujemy to ustalić, gdy tylko uporamy się z tym bajzlem. – Omiótł pobjowisko wzrokiem. – Teraz będzie najlepiej, jeśli udadzą się państwo na komendę. Trzeba złożyć zawiadomienie o kradzieży wózka i zgłosić zaginięcie dziecka.

Julia odniosła wrażenie, że śni jakiś potworny koszmar. W jej uszach zabrzmiały słowa Beniamina o tym, że niebawem znów ktoś umrze. Na ich wspomnienie poczuła suchość w ustach.

– Chodźmy. Zawiozę was na policję i spróbujemy się czegoś dowiedzieć – zaproponowała.

Emilia niczym maszyna w milczeniu stawiała kolejne kroki, podtrzymując się ramienia sąsiadki. Ta z niepokojem spoglądała na pogrążonego w myślach Roberta. Jego dłonie ześlizgiwały się z kół, a oczy stały się matowe.

Kiedy przekroczyli bramkę na tyłach sadu, Julia zauważyła animatorkę, która opiekowała się dziećmi, i chmarę skaczących wokół niej maluchów. Wirujące w tańcu kilkulatki przystanęły na widok Wagnerów, a kobieta z miną, jakby popełniła nietakt, pospiesznie wyłączyła muzykę z komórki.

– Weźcie dokumenty i kluczyki – zarządziła Julia. – Ja odnajdę Benia i możemy ruszać na komendę.

– W porządku – opowiedział Robert, po czym rozciągnął usta w zboląłym uśmiechu na widok swojej starszej, czteroletniej córki, ubranej w błękitną sukienkę w grochy.

Dziewczynka razem z koleżanką ustawiała na tarasie pastelowe kucyki pony i jednorożce, a gdy dostrzegła ojca, podbiegła do niego i wspięła mu się na kolana.

Julia tymczasem wyłuskała z tłumu dzieci obciętego na pazia, jasnowłosego chłopca w czerwonej bluzie, który zanurzał rękę w wielkiej misie z m&msami. Malec stał tyłem do niej i wydawał się całkowicie pochłonięty zabawą. Przerzucał w palcach kolorowe draże, które barwiły jego skórę.

– Tu jesteś, kochanie – powiedziała, kładąc mu dłonie na ramionach.

Dziecko odwróciło się gwałtownie i ze zdziwieniem spojrzało na Julię. Ona również zamrugła skonsternowana, bo chłopiec, którego wzięła za Beniamina, nie był jej synem.

– Przepraszam, myślałam, że to Benio. Miał bluzę w tym samym kolorze co twoja. Wiesz może, gdzie go znajdę?

Malec lekko zerknął na opiekunkę. Blondwłosa kobieta wydawała się równie zdezorientowana co on. Przesunęła spojrzeniem po dzieciach na tarasie, jakby kogoś szukała.

– A on nie poszedł z wami? – zapytała, intensywnie pocierając brew.

– Nie, został tutaj ze wszystkimi. Błagam, powiedz, że wiesz, gdzie jest.

Sekundy, które minęły, nim padła odpowiedź, zdawały się wiecznością.

– Przykro mi, ale nie.

Julia poczuła, jak podnosi się jej ciśnienie. Ażurowy kardigan nagle zaczął ją drapać. Wbiegła do domu Wagnerów, nawołując syna.

– Benio!

Kiedy sprawdziła na dole, wspięła się po schodach na piętro i kolejno przetrząsała wszystkie sypialnie i łazienki.

– Synku, wyjdź, jeśli tu jesteś – prosiła. – To nie czas na zabawę w chowanego.

Zdenerwowana otwierała szafy i zaglądała pod łóżka, ale nigdzie go nie było. Ze strachu kręciło się jej w głowie, a wszystkie docierające do niej dźwięki brzmiały jak przez zepsuty megafon. Oparła czoło o ścianę i próbowała odzyskać równowagę, głęboko oddychając. Sztorm w niej zaczął się stopniowo uspokajać.

Wtedy za oknem pod wiatą na drewno dostrzegła coś, co spowodowało, że szepnęła:

– O mój Boże!

Maj 1996

Stary ford wolno toczył się po asfalcie. Żłota poświata ulicznych latarni ślizgała się po karoserii, a wycieraczki popiskiwały, zbierając z szyb drobne krople deszczu. Dziewczyna na tylnej kanapie, z kolanami przyciągniętymi do piersi, tępo wpatrywała się w okno. W milczeniu gryzła wargę, pozwalając, by metaliczny smak krwi wypełniał usta. Jej ojciec co jakiś czas zerkał na nią w lusterku wstecznym. Omiatał spojrzeniem twarz bez wyrazu, na próżno szukając w niej śladów życia.

Nie odezwał się ani słowem na temat trampek na tapicerce ani niezapiętych pasów. To wszystko przestało mieć znaczenie. Jego dłonie kurczowo zaciskały się na kierownicy. Oddychał ciężko, jak człowiek w stanie przedzawałowym, czując pulsującą w dole brzucha wściekłość. Zmęczone oczy wypełniały mu łzy, przez co obraz drogi stawał się rozmyty. Jakub wmawiał sobie jednak, że to przez ten cholerny deszcz i stare, zepsute wycieraczki, które zamiast zbierać, rozmazują wodę na szybie.

Nagle na przejście dla pieszych tuż przed maską samochodu wjechała dziewczynka na hulajnodze. Nadepnął gwałtownie na hamulec i zatrzymał się zaledwie kilka centymetrów od przestraszonej kilkulatki. Powietrze przeciął pisk opon. Mężczyzna poczuł szarpnięcie i pas wrzynający się w klatkę piersiową. Jego ciało zalała fala gorąca, a kobieta, która biegła za małą, wymownie popukała się w czoło, po czym rzuciła wściekle:

– Uważaj, jak jeździsz, baranie!

Złapała dziewczynkę za rękę i przeszła na drugą stronę ulicy, miotając pod nosem przekleństwa. Przechodnie, którzy przystanęli na moment, również odeszli i tylko on trwał w bezruchu, ze wzrokiem wbitym w asfalt.

Dopiero jazgot klaksonów uprzytomnił mu, że powinien odjechać. Zamrugał przepaszając światłami awaryjnymi i ruszył, po czym skręcił w boczną osiedlową uliczkę. Tam zaparkował pod śmietnikiem. Oparł głowę o fotel i próbował odzyskać panowanie nad sobą. Coś kłuło go w klatce piersiowej, jakby zamiast tlenu w jego płucach wirowały odłamki szkła.

– To on – dobiegły go ciche słowa dochodzące z tylnej kanapy.

Znieruchomiał, a potem odwrócił głowę w stronę Heli. Jej dłonie zwinęły się w pięści. Przynęła twarz do okna, śledząc spojrzeniem chłopaka w ciemnej ortalionowej kurtce i kapturze bluzy nasuniętym na głowę.

– To on – powtórzyła.

Jakub zamrugał z niedowierzaniem.

– Jesteś pewna? Prawie niczego nie widziałaś.

Dziewczyna bez wahania kiwnęła głową. Trzęsła się cała jak w gorączce. Jej skronie zrosił pot, a oddech przyspieszył.

– Nie, proszę, nie – szeptała, kuląc się w panice na fotelu.

Ojciec Heli zerkał to na chłopaka, to na córkę, nerwowo ściskając dźwignię skrzyni biegów, a w końcu wrzucił wsteczny, wycofał i ruszył za nieznanym.

Starał się jechać powoli, by nie zwracać na siebie uwagi. Meandrował osiedlowymi uliczkami, nie spuszczać z oka kołyszących się pleców chłopaka. Czy mógł go znać? Nie przypominał żadnego z jego uczniów ani zawodników, których trenował w młodzieżowym klubie piłkarskim. Chód chłopaka miał w sobie coś bezczelnego. Jakby każdym krokiem komunikował, że nie należy z nim zadzierać, bo dzielnica, w której się znajdują, to jego teren. W szczupłych palcach trzymał papierosa. Zaciągał się nim, a zza kaptura wyłaniały się kłęby szarego dymu. Pewny siebie tak, że przechodnie usuwali mu się z drogi i nawet wrony podrywały się do lotu, gdy je mijał.

Jakub poczuł, jakby w jego trzewiach rozszalał się pożar. Wbił paznokcie w kierownicę. Chłopak tymczasem rzucił niedopałek na ziemię, a potem skręcił za blok, na którym ktoś napisał sprejem „Jebać psy!”.

Ojciec Heli musnął spojrzeniem torbę z narzędziami leżącą na siedzeniu pasażera. Zamierzał ją odwieźć szkolnemu konserwatorowi następnego dnia, ale nagle w jego głowie załęgła się pewna myśl. Podniósł wzrok i raz jeszcze przyjrzał się córce. Uporczywie szukał w niej roześmianej nastolatki, ale jej już tam nie było.

Miejsce radosnej dziewczyny zajęła otępiała, lękliwa postać pozbawiona życia. Zombie o martwym wyrazie twarzy. Obserwując ją, czuł ogarniającą go bezsilność. Owijała mu się wokół szyi, ciaśniej i ciaśniej,

sprawiając, że zaczynał się dusić.

Odchrząknął i otarł wilgoć z kącika oka. Wnętrze samochodu wypełniały delikatny pomruk silnika oraz szum oddechów. Jakub zaparkował pod rozłożystą lipą, otulił Helę swoją kurtką, a później wyjął z torby klucz francuski i bez słowa wysiadł z samochodu.

Kiedy stanął na betonowym chodniku, poczuł mrowienie w opuszkach palców. Narzędzie ciążyło mu w dłoni, a stal przyjemnie chłodziła skórę. Z oddali dobiegł go szyderczy rechot. Mimowolnie schował głowę w ramiona i z niepokojem obejrzał się na grupkę młokosów zebranych pod jedną z klatek. W obawie, że mógłby wzbudzić ich zainteresowanie, wetknął klucz za poję rozpiętej bluzy i przyspieszył kroku. Córka, którą zostawił w samochodzie, leżała zwinięta w kłębek, ze wzrokiem zawieszonym w próżni. Pograżona w letargu i odległa.

Skręcił za róg budynku i trafił do ciemnej uliczki oddzielającej blok od zapleczy sklepów i nieczynnej kotłowni, w której sypiali bezdomni. Piasek chrzęścił mu pod stopami, a księżyc bladą poświatą rozjaśniał czarne niebo. Jakub pociągnął nosem i ruszył za postacią, której towarzyszył długi cień. Od chłopaka w ciemnej kurtce dzieliło go zaledwie kilkanaście kroków. Z nerwów Czaja prawie przestał oddychać. Słyszał tylko uderzenia swojego serca, głośne jak tętent końskich kopyt. Palcami ciasniej objął klucz, czując, jak pod wpływem potu narzędzie zaczyna mu się wyslizgiwać z ręki. Przełknął ślinę, a w uszach na powrót zabrzmiały słowa córki: „to on”.

Chłopak, którego śledził, zatrzymał się przy murze pokrytym graffiti. Rozsunął rozporek, jedną ręką oparł się o betonową ścianę i nucił coś pod nosem, zaczął sikać prosto na twarz namalowanego tam ciemnoskórego rapera z bandaną na głowie.

Jakub rozejrzał się i nabrał tchu. Był sam, a do tego znajdował się tak blisko. Wystarczyło tylko podejść i porządnie się zamachnąć. Trafić w potylicę, a jeśli będzie trzeba, to poprawić. Raz i drugi. Zaciśnął dłoń w pięść, słysząc, jak trzeszcza mu kości, i ruszył w stronę chłopaka. Klucz nagle wydał mu się potwornie ciężki. Ubranie pod pachami nasiąkło potem.

Musiał wykonać tylko kilka kroków, a mimo to miał wrażenie, że idzie całą wieczność. Tamten już zapinał rozporek, gdy on poprawił uchwyt i wyjął narzędzie z ukrycia. W oczach mu pociemniało. Zachwiał się, jakby nie stał na betonie, ale na chybotałej łajbie.

Nie zastanawiaj się, nie trać czasu, powtarzał głos w jego głowie. Musisz to zrobić szybko, podpowiadał. Teraz! Do jasnej cholery, teraz! – krzyczało to coś w nim, co nie mogło się doczekać trzasku łamanej kości i dzikiego zapachu krwi.

Jakub zwilżył językiem wargi. Wszystko w nim było gotowe. Żyłami popłynął prąd. Wciągnął powietrze przez otwarte usta, uniósł klucz i znieruchomiał. Tuż za sobą usłyszał cmoknięcie. W ułamku sekundy opuścił rękę, niezdarnie próbując ukryć narzędzie pod bluzą. Chłopak w ciemnej kurtce gwałtownie obejrzał się za siebie.

– Co jest, kurwa?! – Odskoczył od mężczyzny z kluczem i ze wstrętem spojrzął na stojącego za nim małolata. – Cichy? Co ty odpierdalasz z tym pedziem?

Ojciec Heli gapił się oszołomiony na stojącego za nim, ogolonego na jeża młokosa w dresach z trzema paskami, który chwilę wcześniej powstrzymał go przed napaścią. Bez trudu rozpoznał jego twarz.

Chciał coś powiedzieć, ale nastolatek posłał mu groźne spojrzenie.

– Ten pan zabłądził – wyjaśnił pojednawczo. – Pomogę mu znaleźć wyjście i wytłumaczę, żeby więcej nie pałętał się po Manhattanie.

Chłopak w ciemnej kurtce charknął i splunął pod nogi Jakubowi.

– Nie lubię, jak obce mordy kręcą się po mojej dzielnicy. – Zmierzył intruza lodowatym wzrokiem, po czym podszedł bliżej i zaczął ostentacyjnie go wachać. – A może ty jesteś psem, co? Bo śmierdzisz jak pies. – Warknął na mężczyznę, po czym zarechotał obrzydliwie.

– Daj spokój, Szajba – uciął ten nazywany Cichym. – Przecież widzisz, że to zwykły leszcz. Odprowadzę go do domu i będzie po problemie.

– Tak myślisz? Że wystarczy powiedzieć „przepraszam”, a ja pozwolę ci odejść? To nie takie proste, młody, tłumaczyłem ci to już kiedyś. – Wyjął z kieszeni nóż sprężynowy, wysunął ostrze i zaczął po nim wodzić opuszką palca. – A co ty z tego masz, że tak skaczesz wokół tego pajaca? Obciążacie sobie nawzajem?

– Odwal się.

Szajba zwinnie niczym pantera doskoczył do Cichego. Lewą ręką złapał go za bluzę i przyciągnął do

siebie, a prawą z lśniącym w świetle księżyca ostrzem przyłożył do jego tchawicy.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić – wyszczał wrywającemu się chłopakowi w twarz. Drobne krople śliny spadły na policzki nastolatka. – A wiesz dlaczego? Bo następnym razem, jak twoja mała siostrzyczka wejdzie po piłkę na tamten daszek – wskazał brodą w stronę zadaszenia nad wejściem do kotłowni – to może się jej zakręcić w głowie. Szkoda byłoby takiej ślicznej buźki, nie uważasz?

Cichy szarpnął ciałem, próbując się wyswobodzić, ale napastnik nie zwolnił uścisku. Jakub, który z bliska obserwował żyłą pulsującą na szyi zaatakowanego nastolatka, mocniej objął palcami klucz schowany pod bluzą. Wiedział, że musi coś zrobić.

Czy jeśli uderzy z zaskoczenia, zdoła powalić chłopaka w ortalionowej kurtce? Czy ten nie zacznie się bronić i dźgać nożem na oślepe? Zimne oczy Szajby lśniły w ciemności. Tliło się w nich coś przerażającego, od czego przechodziły dreszcze.

Jakub powiódł wzrokiem po oknach sąsiedniego bloku. Tylko w nielicznych żarzyło się słabe światło.

– Wystarczy już – rzucił ugodowo. – Puść go. To do mnie coś masz, nie do niego.

Ten akt odwagi rozbawił Szajbę. Niespodziewanie się roześmiał, jakby ktoś opowiedział wyborny dowcip. Jego śmiech drażnił uszy Jakuba. Fala mdłości podeszła mu do gardła i poczuł nieodpartą pokusę, by zetrzeć chłopakowi tę radość z twarzy.

Patrzył ze wstrętem na jego krzywe zęby, ślinę gromadzącą się w kącikach ust oraz podskakujące jabłko Adama. Oczyma wyobraźni zobaczył, jak pod wpływem uderzenia klucza wargi chłopaka wypełniają się krwią, a siekacze kruszą się niczym porcelana tłuczona młotkiem. Wymienił spojrzenia z Cichym, ale on, przeczuwając zamiar Jakuba, ledwie zauważalnie pokręcił głową.

– Bohater z ciebie, co? – powiedział napastnik, gdy przestał się śmiać i bez żadnego ostrzeżenia kopnął mężczyznę w kolano tak mocno, że tamten upadł na ziemię.

Klucz francuski z brzdękiem gruchnął o betonowy chodnik. Ojciec dziewczyny podążył za nim pełnym paniki spojrzeniem i rzucił się przed siebie, by złapać narzędzie, ale Szajba był szybszy. Kopnął klucz, który ze zgrzytem potoczył się na asfalt, a później piętą z impetem naskoczył na dłoń Jakuba. Trzask pękającej kości był tak donośny, że Szajba aż syknął i skrzywił się, jakby zobaczył coś obrzydliwego. Ojciec Heli jęknął. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

– Co ty odpierdalasz? – Cichy napiął mięśnie, nacierając na agresora. Uniósł pięści przed siebie, jakby chciał się bić, a jego przeciwnik wyszczerzył zęby w krzywym uśmiechu i rozciągnął mięśnie karku.

Dokładnie w tej samej chwili zza bloku w wąską ciemną uliczkę wjechało rozpędzone czarne audi. Oczy wszystkich zwróciły się w stronę samochodu. Jakub drgnął, a po chwili dosięgły go wyraźny bit, mocne basy i słowa piosenki: „Been spendin’ most their lives, livin’ in the gangsta’s paradise”. Auto zamigało światłami, a gdy z piskiem opon zatrzymało się obok trzyosobowej grupy, przez otwarte okno wyjrzała głowa kierowcy o białych, tlenionych włosach.

– Szajba! – zawołał. – Miałeś być pod garażami. Ile trzeba na ciebie czekać?!

Chłopak wskazał na Cichego.

– Sprawy załatwiam. Nie przeszkadzaj mi. Co się tak gorączkujesz?

– Nie ja, stary, tylko tamci. Wszyscy już są. Mówią, że jak nie przyjdiesz, to poszukają sobie kogoś innego do robienia interesów.

Szajba w złości odepchnął nastolatka.

– Grożą mi?

Jego kumpel nie odpowiedział. Spuścił wzrok i potarł dłonią nos.

– Kretyni – stwierdził Szajba, podchodząc do samochodu. – Chodź, pokażemy im, że z nami się nie zadziera. – Załomotał pięścią w dach audi, po czym zerknął na Cichego i leżącego obok mężczyznę. – A wy spieprzajcie stąd, póki macie taką możliwość. No już, do budy! Hau, hau! – zaszczekał. – I nie radzę zapuszczać się w ciemne uliczki. Ostatnio dużo potrażeń w okolicy, nigdy nie wiadomo, na kogo trafi następnym razem – rzucił, a później wskoczył do samochodu i odjechał.

Przez opuszczone szyby na zatopione w nocy osiedle wylewał się rap w wykonaniu Coolio. Echo muzyki cichło wraz z oddalającym się autem. I choć nie wydarzyło się wiele, a już na pewno nie to, co miało się stać, to ojciec dziewczyny nie potrafił powstrzymać dygotu, który wstrząsał jego ciałem.

*

– Po cholere pan tu przyszedł?! – warknął Cichy, podnosząc Jakuba z chodnika.

Nad ich głowami rozciągała się bezgwiezdna, czarna noc. Pograżone we śnie blokowisko straszło wyludnionymi ulicami, a po murze przy kotłowni przechadzał się wyleniały kot. Czaja wpatrywał się w swoją dłoń, która pulsowała żywym ogniem.

– Nie miałem innego wyjścia – odparł, po czym niespiesznym krokiem podszedł do leżącego na ulicy klucza francuskiego, chwycił go zdrową ręką i zaczął się oddalać.

Nastolatek w dresie stanął mu na drodze.

– Co jest grane, trenerze? Nigdy nie widziałem pana takiego. Odkąd się znamy, tłucze mi pan do głowy, że agresja jest oznaką słabości, a teraz co? Odjechało panu? Szczęścia pan szuka na Manhattanie? Co zamierzał pan zrobić z tym kluczem?

Mężczyzna na sekundę zamknął oczy i pokręcił głową, ciężko wzdychając.

– Daj spokój, Sebastian, przecież wiesz.

– Co wiem? Chciał się pan na niego rzucić? Ma pan w ogóle pojęcie, z kim pan zadarł?

Ojciec dziewczyny spuścił wzrok.

– Z gnojem, który skrzywdził moją córkę – wyszeptał głosem drżącym od emocji.

– O czym pan, do cholery, mówi?

– On... – Jakub urwał, jakby słowa, które zamierzał wypowiedzieć, uwięzły mu w gardle. – ...zgwałcił Helę – wydukał, a potem dotknął spuchniętej ręki i skrzywił się z bólu.

Chłopak zatrzymał się w swojej nerwowej dreptaninie po chodniku.

– Co?

– On i jego kumple. Rozpoznała go.

– I co, zamierza się pan teraz uganiać za nim z kluczem francuskim za pazuchą? Nie ma pan z nim żadnych szans – stwierdził Cichy. – Szajba to świr. Siedziałem z nim w poprawczaku. Wystarczył tydzień, by zastraszył wszystkich wychowawców. Jednego z nich tłukł pięściami tak mocno, że złamał mu szczękę. Patrzą na to kilkanaście osób i nikt nie pisnął nawet słowa.

Jakub machnął ręką.

– Nie ma ludzi bezkarnych.

– Pan nic nie rozumie. To nie jest jakiś tam łobuz, tylko nieobliczalny psychol. Bawi go okrucieństwo. Tu, na dzielnicy, każdy się go boi i nikt nie chce z nim zadzierać. – Sebastian wskazał palcem betonowe mrówkowce. – Jak będzie trzeba, wszyscy jego kumple zapewnią mu alibi.

– To co, mam się poddać? Zapomnieć, że zgwałcił moją córkę, a potem wlekl ją na linie za samochodem przez kilkaset metrów? – wychrypiał Czaja łamiącym się głosem, a po jego policzku spłynęła łza.

Cichy stracił cały rezon. Jego ostre rysy złagodniały, a buntowniczo wysunięta szczeka się cofnęła. Znow wyglądał jak siedemnastoletni chłopak, który tylko czasem udaje odważnego.

Jakub opadł na krawężnik i schował twarz w dłoń. Nastolatek obserwował jego drżące od płaczu plecy i nie mógł uwierzyć, że to ten sam człowiek, który niegdyś wyciągnął go z rynsztoka. Ten, który jako jedyny nie postawił na nim krzyżyka i zagrzewał do walki, jakby nie chodziło o dzieciaka po poprawczaku, ale o własnego syna.

Zakłopotany potarł kark.

– Kurwa, trenerze, trzeba z tym iść na policję.

– Policję? – zaśmiał się mężczyzna, unosząc na chłopaka zaczerwienione oczy. – Policja w niczym tu nie pomoże. Nie ma żadnych dowodów ani świadków.

– Nie rozumie pan, że on pana zajebie? Już to, że pan tu przyszedł, było błędem. Nawet jeśli jakimś cudem zdoła go pan zaskoczyć, to dojadą pana jego kumple. Skończy pan w więzieniu albo na cmentarzu. O to w tym chodzi? To chce pan dać córce?

– To nie ma żadnego znaczenia. Moja córka i tak już nigdy...

– Dość tego! – wrzasnął Cichy, kopiąc leżącą na ulicy puszkę. – Wiem, że jest pan wściekły. Wydaje się panu, że dłużej tego nie zniesie i zaraz oszaleje. Ale to pieprzone kłamstwo! – Dźgał palcem powietrze między nimi. – Pana życie się nie skończyło. Ma pan dla kogo wrócić do domu. Musi się pan wziąć w garść. Rozumie pan? Nieważne, przez jakie gówno się pan teraz przedziera. Musi pan iść dalej, do kurwy nędzy! – ryknął.

Jakub zamrugał i w oszołomieniu otworzył usta.

– A ty co się nagle taki mądry zrobiłeś?

– To pana słowa – odparł cicho chłopak i odwrócił wzrok. – Wykrzyczał mi je pan dwa lata temu, kiedy spotkaliśmy się na treningu w poprawczaku. A później, gdy wyszedłem, przyjął mnie pan do swojej drużyny piłkarskiej. Zaufał pan dzieciakowi, który prawie zabił człowieka i kradł, żeby jego siostra mogła chodzić do przedszkola w czystych ubraniach. – Spojrzał smutno w dal. – Wszyscy w drużynie chcieli się mnie pozbyć, ale pan nigdy nie przestał o mnie walczyć.

– Bo strzelasz bramki jak pierdolony Maradona. – Błady uśmiech rozciągnął usta Jakuba.

Przez moment obaj patrzyli na siebie w ciszy. Na ich twarzach malowało się coś na kształt zawstydzenia pomieszanego z nieśmiałą radością. Jednak oblicze Czai po chwili na powrót stężało.

– Nie mogę mu tak po prostu odpuścić – oznajmił stanowczo. – Miałbym patrzeć, jak chodzi po ulicach i śmieje mi się w twarz?

– Nie. Ma pan to zrobić sprytnie. Tak, żeby nikt nigdy nie mógł pana o nic podejrzewać. Najlepiej nie swoimi rękami.

Jakub przeniósł wzrok na chłopaka, marszcząc czoło, niepewny tego, czy dobrze go zrozumiał.

– Czy ty... – Zamilkł, nie wiedząc, jak sformułować to pytanie.

Cichy pokręcił głową.

– Nie. Gdybym wpadł, tym razem wylądowałbym w pierdłu. Nie mogę tego zrobić mojej siostrze, jestem wszystkim, co ma. Na razie niech pan wróci do córki, odezwę się, gdy coś wymyślę.

Chwytał mężczyznę za rękę i pomógł mu się podnieść z krawężnika.

– Nie musisz tego robić – rzucił trener.

– Pan też nie musiał dawać mi szansy.

Jakub skinął mu głową i kuśtykając, zaczął iść w stronę samochodu. Sebastian, który odprowadzał go wzrokiem, poczuł, że wszystko się w nim napina. Nie potrafił odgonić myśli, że to, co wydarzyło się tej nocy, było jak pchnięcie pierwszej kostki domina. Tej, która zapoczątkuje katastrofę.

Julia

Wrzesień 2019

Julia rzuciła się w dół schodów, by jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz. Gnała, przeskakując po kilka stopni, pełna złych przeczuć, z żołądkiem ciężkim, jakby wypełniał go ołów. Biegając, wpadła na Emilię, która z torebką przewieszoną przez ramię i kluczykami w dłoni szukała czegoś w szufladzie komody.

– Chodź ze mną! – zawołała, nie tracąc czasu na wyjaśnienia.

Wagner skołowana podążyła matowym wzrokiem za Julią, która wypadła przez drzwi, przecięła trawnik i popędziła w stronę domku na drewno. Emilia nie rozumiała, co się stało, ale wzburzenie koleżanki sprawiło, że zaniepokojona ruszyła w tym samym kierunku.

Julia, która dotarła do składziku pierwsza, padła na kolana. Jej serce tłukło się w piersi jak oszalone, a lęk odbierał dech. Tuż przed nią na ziemi siedział Beniamin.

– Synku – wyszeptwała.

Chłopiec przyłożył palec do ust, prosząc matkę, by zachowywała się cicho. Na jego skrzyżowanych nogach leżało niemowlę ze smoczką w buzi. Nie poruszało się, miało zamknięte oczy i bladą skórę. Julia wyciągnęła dłoń do syna, przełknęła łzy i otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale wtedy obok niej pojawia się Emilia.

– Lila! – wyrwało się z jej gardła.

Chwyciła córkę na ręce i mocno przytuliła ją do siebie. Gwałtownie przebudzona dziewczynka uderzyła w płacz. Nieliczni goście, którzy zostali jeszcze na podwórku, westchnęli z ulgą. Jakiś maluch zaklaskał. Chwilę później zza domu wyłonił się Robert. Oszołomiony widokiem żony kołyszącej w ramionach Lilianę, zatrzymał wózek i patrzył z niedowierzaniem, jakby w obawie, że to, czego jest świadkiem, to jedynie ułuda, fatamorgana, która zniknie, gdy tylko zacznie się do niej zbliżać. Wreszcie wypuścił z płuc nagromadzone powietrze i powoli ruszył w stronę kobiet.

– Już dobrze, maleńka – pocieszała córkę Emilia, całując jej główkę.

– Mogę ją potrzymać? – poprosił Robert.

Wyciągnął dłonie, które trzęsły się z przejęcia. Matka dziewczynki delikatnie położyła mu Lilianę na rękach. Wszyscy wokół patrzyli na tę scenę z rozrzewnieniem. Spokój powoli wracał, napięcie ustępowało pola odprężeniu, a strach i panikę zastąpiła olbrzymia ulga.

Ale nie w przypadku Julii. Ona jako jedyna wbijała pytający wzrok we własnego syna, nie mogąc zrozumieć, dlaczego przez cały ten czas ukrywał się w szopie. Czy wiedział, że szukali Liliany? Dlaczego nawet nie pisnął? I po co w ogóle wyjął z wózka niemowlę? Pytania atakowały ją jak szerszenie. Oddychała głęboko, próbując się uspokoić, ale wszystko w niej buzowało.

– Beniu... – odezwała się łagodnie, czekając, aż chłopiec na nią spojrzy, ale on był zajęty zabawą trocinami rozsypanymi na betonowej podłodze. Przesuwał je opuszkami, układając wióry w stosik.

Julia odchrząknęła, a buzowanie zaczęło przechodzić we wrzenie.

– Synu, skąd wzięła się tu Liliana? Czy to ty wyjąłeś ją z gondoli?

Sześciolatek zaprzeczył ruchem głowy, nie unosząc wzroku na matkę.

– Beniamin! – krzyknęła Julia i złapała chłopca za rękę, nie mogąc dłużej tłumić irytacji. – Co robiłeś tu z Lilą?!

– Opiekowałem się nią. – Wzruszył ramionami, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie, że on i trzymiesięczna dziewczynka siedzieli w składziku na drewno, gdy wszyscy inni odchodzili od zmysłów.

Emilia i Robert teraz już także nie odrywali spojrzeń od Benia.

– Posłuchaj mnie – zaczęła miękko Julia, dotykając policzka syna. – Muszę wiedzieć, skąd ona się tu wzięła, rozumiesz? Opowiedz mi wszystko. Cokolwiek się stało, na pewno sobie z tym poradzimy, dobrze?

Malec spuścił głowę, a po chwili uderzył w płacz.

– To nie ja mamo, przysięgam. To nie ja – zapewniał tak gorliwie, aż cały poczerwieniał. Łzy wielkie jak grochy płynęły mu po twarzy. – Wierzysz mi, prawda? Wierzysz mi, mamusiu?

– Chodź tutaj, kochanie. – Przyciągnęła syna do siebie i pozwoliła mu wtulić głowę w zagłębienie między jej szyją a ramieniem.

Spletli się w objęciach tak ciasnych, że trudno było odróżnić, gdzie zaczyna się jedno, a kończy drugie. Emilia i Robert spoglądali po sobie z mieszaniną współczucia i zagubienia. Ich córka zaczynała coraz bardziej kwilić, dlatego matka dziewczynki zabrała ją do domu.

– Na pewno jest głodna – stwierdziła. – Nakarmię ją i przewinę.

Kiedy zniknęła w budynku, Wagner podjechał bliżej do trwających w uścisku Julii i Beniamina.

– Hej, kolego! – przywitał się serdecznym tonem, którym zjednał już wszystkie dzieciaki w okolicy. – Dzięki, że przypilnowałeś naszej Lilianki. Martwiliśmy się o nią.

Chłopiec, pociągając nosem, powoli podniósł głowę i wyjrzał nieśmiało zza ramienia matki, przyglądając się mężczyźnie na wózku inwalidzkim.

– Nie zrobiłem niczego złego – tłumaczył zdenerwowany.

Robert ściągnął brwi.

– Spokojnie, mały, nikt tak nie twierdzi.

– Ja tylko przyniosłem ją tutaj.

Julia zagryzła usta, czując, że kręci się jej w głowie.

– To on mi kazał – kontynuował sześciolatek.

Na te słowa jego matka zeszywniała.

– Kto? – zapytała gwałtownie, szukając odpowiedzi w przestraszonej twarzy chłopca.

– Powiedział, że to taka zabawa. Jak w chowanego.

Robert rzucił Julii zaniepokojone spojrzenie.

– Ale kto, Beniu? Wiesz, jak ma na imię?

Malec zaczął szarpać troczki u swojej bluzy.

– Będzie zły, jeśli wam powiem. Nie lubi, gdy go nie słucham. Wtedy się denerwuje.

– To któryś z gości? – drażył Robert.

Przedszkolak wzruszył ramionami.

– Pamiętasz, jak wygląda?

– Normalnie. Tylko cały czas wymyśla dziwne zabawy.

Chłopiec sięgnął po patyk i zaczął rysować nim linie na zakurzonej betonie.

– Co masz na myśli? Jakie zabawy? – chciała wiedzieć jego matka.

– Takie, w których ktoś umiera.

Julia zakrztusiła się śliną i zaczęła kaszleć. Żona Roberta nawoływała go z domu, by pomógł jej z kąpielą Liliany, ale on tego nie słyszał. Trwał nieruchomo w swoim wózku, wpatrzony w sześciolatek, który budził w nim irracjonalny lęk. Nie potrafił otrząsnąć się z wrażenia, że kiedy matka wzięła chłopca za rękę i szła z nim w stronę domu, Beniamin uśmiechnął się do niego w dziwny, odpychający sposób.

Maj 1996

Drzwi z numerem siedem na drugim piętrze odstawiały od futryny. Przez szparę na klatkę schodową sączył się jednostajny głos spikera telewizyjnego. Cichy delikatnie nacisnął klamkę i wśliznął się do mieszkania. Wnętrze cuchnęło potem oraz czymś, co przypominało woń gnijących jabłek. W korytarzu panował półmrok, oświetlała go jedynie poświata migającego telewizora. Kolorowe refleksy wpływały z dużego pokoju, gdzie na poprzecieranym skórzanym fotelu przysypiał ojciec.

Chłopak zdjął adidas i na palcach ruszył w stronę sypialni, którą dzielił z siostrą. Zadowolony z faktu, że zdołał uniknąć dyskusji z pijanym starym, nie zauważył podwiniętego chodnika. Potknął się, a następnie zahaczył o jedną z butelek po piwie ustawionych pod ścianą. Szkło z brzdękiem upadło na podłogę, a on przeklął pod nosem i zastygł w bezruchu. Czekał, nasłuchując, czy hałas obudził ojca. Po chwili dobiegło go sapnięcie, fotel zaskrzypiał pod ciężarem poruszającego się mężczyzny, a korytarz wypełniło pełne irytacji wołanie:

– Co się tak tłuczesz?

Cichy zacisnął zęby na dłoni zwiniętej w pięść.

Byle nie odparować staremu. Nie dać się sprowokować, myślał.

– Przepraszam, tato – odparł. – Już się kładę.

Miał nadzieję, że to utnie dyskusję, ale gdy tylko się odwrócił, dogonił go odgłos ciężkich kroków.

– Nie odchodź, jak do ciebie mówię – warknął mężczyzna, który wytoczył się na korytarz.

Miał przekrwione oczy, odcisnięty na policzku wzór pilota od telewizora i włosy w nieładzie. Rozciągnięte dresowe spodnie znaczyła tłusta plama, a sprany podkoszulek, kiedyś z pewnością biały, teraz straszyl szarością i wyblakłym zdjęciem Scorpionsów. Ojciec nie chciał go wyrzucić, kurczowo trzymał się dawnego życia, oszukując się, że wcale nie minęło bezpowrotnie.

W młodości Ernest Cichecki był gitarzystą odnoszącego sukcesy zespołu rockowego. Dla muzyki rzucił szkołę. Podobno miał talent. Razem z chłopakami z ekipy dawali koncerty w całym kraju. Świat zdawał się leżeć u ich stóp. Dziewczyny piszczały, alkohol lał się strumieniami, a oni czuli się bogami. Do czasu, gdy po jednej z imprez ich wokalista przedawkował heroinę w zatęchłym pokoju hotelowym. Wtedy wszystko zaczęło się psuć.

Jedynie ojciec Sebastiana uważał inaczej. Według niego rozpad zespołu zapoczątkowała wiadomość o tym, że będzie miał dziecko. To przez nie po raz pierwszy uderzył dziewczynę, którą kochał. Ona domagała się, by przestał jeździć w trasy, on przekonywał ją, że są za młodzi na pieluchy i że lepiej im będzie tylko we dwoje. Rozgoryczona poszła do wokalisty, błagając, by przemówił jej chłopakowi do rozsądku, ale ten odmówił pomocy. Co więcej, wpadł w szal i zagroził Cicheckiemu, że jeśli kiedykolwiek jeszcze zachowa się jak ostatni tchórz i naśle na niego swoją lalunię, wyleci z ekipy. Gadał coś o honorze, solidarności i tym, że nie będą nimi sterować głupie dziwki, ale ojciec Cichego nie był w stanie go usłyszeć. Jego uszy wypełniał bulgot buzującej złości. Pchnął wokalistę, a tamten odpowiedział mu tym samym. Wkrótce zaczęli się okładać.

Wieczorem, gdy Ernest Cichecki przyciskał do podbitego oka worek z lodem, jego kumpla rozsadzała wściekłość. Przewiązał ramię gumowym wężykiem, w metalowej łyżce nad świeczką podgrzał heroinę, a później wbił igłę w żyłę i zapomniał o wszystkich troskach. Na zawsze.

Tamtym dzieckiem, które miało przyjść na świat, był Sebastian. To on odebrał ojcu wszystkie marzenia i nadzieje. Choć sam nie wiedział jeszcze nawet, czym one są.

– Gdzie się włóczysz po nocy? – zaatakował mężczyzna. – Wiesz, że matka poszła na dyżur i trzeba się zająć Wiką.

Cichy powoli wciągnął powietrze do płuc. Byle wytrzymać, powtarzał sobie. Znał ten taniec. Najpierw ojciec szczypał go docinkami, gdy to nie działało, zaczynał kasać, rzucając wyzwiska i oskarżenia, a po nich w ruch szły pięści.

– Nie ma z ciebie żadnego pożytku. Tumanie jeden. Po co ty w ogóle do tej szkoły chodzisz? – kontynuował Ernest, chwytając się na nogach. Śmierdział piwem, a jego pokaleczone od fizycznej pracy dłonie instynktownie układały się jak do bójki.

– Zobaczę, co z Wiktoria, tato. – Chłopak odwrócił się, ignorując zaczepkę ojca, ale ten złapał go za kaptur bluzy i gwałtownie pociągnął ku sobie.

– Skąd to masz, co? Znowu kradniesz? No mów! – ciskał się, szarpiąc syna.

Sebastian poczuł, że gdzieś w środku niego zaczyna rosnąć bestia. Ta, która pragnęła wyrwać się na wolność, rzucić na Ernesta i przegryźć mu aorty. Nosił ją w sobie, odkąd pamiętał, ale robił wszystko, by pozostawała w lochach. Walczył, by nie wypełniła sobą jego całego, bo wtedy przejęłaby kontrolę. Tak jak kilka lat wcześniej, gdy prawie zabił człowieka.

– To podróbka. Kupiłem sobie.

– Niby za co?

Cichy przelotnie zerknął na swoje żyłaste ręce. Czy wciąż należały do niego, czy były już we władaniu bestii?

– Za pieniądze od mamy. Na urodziny – pisnął, czując ból ściskanego karku.

Ojciec pchnął go tak, że poleciał przed siebie i zatrzymał się dopiero na drzwiach od szafy.

– Ja ci dam urodziny – grzmiał. – Do roboty się lepiej weź, darmożjadzie. Myślisz, że długo jeszcze będziemy z matką na ciebie harować? W przyszłym tygodniu idziesz ze mną na budowę – oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Oczy Sebastiana pociemniały. To coś w nim prężyło się i wierzgało, groźnie szczerząc kły. Chłopak napiął mięśnie, jakby ich siłą chciał powstrzymać to, co lada moment miało nim zawładnąć.

– Nie mogę, mam szkołę – odparł przez zęby.

Stary Cichecki prychnął.

– Uczony się znalazł – kpił. – Dopóki mieszkasz pod moim dachem, będziesz robił to, co ja mówię.

Koniec tej zabawy w szkołę. Jak trochę pozapierdalasz, to przestanieś myśleć o głupotach.

Wnętrze Cichego zalała lava. Rozjuszona bestia zaczęła ryczeć i miażdżyć pięściami ściany lochów. Nastolatek nie był w stanie dłużej trzymać potwora na uwięzi. Dyszeli już w jednym rytmie. Ich nozdrza rozszerzały się miarowo, ślina pienila na ustach, a puls rozsadał żyły. Chłopak rozciągnął wargi w diabolicznym uśmiechu, uniósł ramiona, gotów do zadania ciosu, lecz gdy miał zaatakować, usłyszał za sobą skrzypnięcie drzwi i cichy dziecięcy głosik:

– Bastek?

Wszystko, co dzikie, natychmiast w nim skarłało. Opuścił ręce i obejrzał się za siebie.

W progu sypialni stała dziewczynka w długiej koszuli nocnej. Ciemne, falujące włosy spływały jej na ramiona, a wielkie, przestraszone oczy błysnęły na widok brata. Wiktoria. Tylko ona potrafiła ujarzmić w nim bestię. Niczym czarodziejka.

Niekiedy myślał, że gdyby jej zabrakło, to, co złe, zawładnęłoby nim całkowicie. Nikt inny nie mógłby go już uratować. Ochronić przed nim samym. To dlatego ta pięciolatka była jego nadzieją i sensem wszystkiego. Bez niej czuł jedynie piekącą złość. Tak silną, że świat mógłby podpaścić.

Twarz dziewczynki się rozpromieniła.

– Bastek! – pisnęła raz jeszcze i rzuciła się na brata.

Szczupłe ramiona objęły jego szyję. Wiktoria pachniała rumiankowym szamponem, a jej włosy łaskotały policzek Sebastiana.

– Chodź – powiedziała, ciągnąc go za rękę. – Bez ciebie nie zasnę.

Chłopak ruszył za nią, zapominając o ojcu, który oparty o ścianę, z zazdrością obserwował relację między rodzeństwem. Rozdrażniony przygryzał wąsy, a w jego piersi zaczynało wykwitać poczucie zagrożenia. Paliło w płucach, utrudniając oddychanie. Bo choć Ernest Cichecki nie potrafił tego objąć rozumem, czuł, że kiedyś ci dwoje zjednoczą się przeciwko niemu i go zniszczą. Pozbawią władzy i zabiorą mu resztki godności, które zdołał zachować, a wtedy stanie się nikim. Przejęty tą myślą postanowił, że musi zerwać więź łączącą Sebastiana i Wiktorię. Zdruzgotać ją doszczętnie, bo tylko tak zdoła ochronić siebie.

Cichy, jakby wyczuwając nieczyste intencje ojca, tuż przed zamknięciem drzwi do pokoju, który dzielił z siostrą, spojrzął na Ernesta. Wydawało mu się, że rodzic się uśmiecha, lecz nie był to grymas serdeczny, ale budzący dreszcze. Nastolatek chciał jak najszybciej strząsnąć z siebie to nieprzyjemne uczucie, śliskie jak wąż, który wpełzł pod ubranie. Podniósł Wiktorię, zakręcił nią w powietrzu, a perlisty śmiech siostry odpędził niepokój.

Kiedy przykrywał ją kołdrą w stokrotki, radość z twarzy dziewczynki nagle wyparowała. Pięciolatka zacisnęła drobne usta i nieruchoma przyglądała się bratu z troską.

– Coś się stało? – zapytał.

– Śniło mi się coś bardzo złego... – zaczęła, tarmosząc ucho pluszowego misia.

– Wszystko już dobrze, jestem przy tobie. Śpij. Będę na górze.

Pogładził siostrę po włosach, a później zgasił światło i wdrapał się na piętro do swojego łóżka. Pospiesznie ściągnął spodnie oraz bluzę i wykończony opadł na poduszkę.

Powoli zatapiał się w miękką nicość, pod jego powiekami zaczynały tańczyć pierwsze kadry snów, dźwięki ciche, a ostre kontury świata łagodniały, gdy niespodziewanie głos Wiktorii przywołał go do rzeczywistości.

– W tym śnie umierałeś, a ja nie mogłam ci pomóc – powiedziała.

I choć słyszał ją wyraźnie, udał, że jest inaczej. Bał się, że jeśli odpowie, ona wychwyci w jego słowach strach.

Julia

Wrzesień 2019

– Jesteś głodny? – zapytała Julia, gdy dotarli do domu.

Benio wdraprywał się właśnie na wysokie krzesło przy kuchennej wyspie. Oparł szczupłe ręce na kamiennym blacie i westchnął.

– Nie, zjadłem tysiąc pianek.

– Naprawdę? – Matka powątpiewająco uniosła brwi. – Aż trudno uwierzyć, że zmieściły się w takim małym chłopczyku.

– Mam wielgaśny żołądek. – Rozłożył szeroko ręce i zachichotał.

– Skoro jest taki duży, to może znajdzie się w nim jeszcze miejsce na pyszne kakao? Jak myślisz?

Oczy sześciolatka roziskrzyły się, a on zaczął niecierpliwie podskakiwać na krześle.

– Tak! Tak! – krzyczał.

Napełniając rondel mlekiem, Julia rozciągała usta w delikatnym uśmiechu, choć tak naprawdę myślała tylko o tym, co wydarzyło się w domu Wagnerów. W jej głowie kłębiły się pytania i wątpliwości. Przywołała w pamięci obraz z minionego wieczoru, chłopca na rowerze znikającego za wzniesieniem na tle zachodzącego słońca. Odchrząknęła, by zapanować nad drżeniem głosu, po czym, wsypując kakao do garnka, zapytała:

– Ten nieznajomy, który poprosił, żebyś popilnował małej Liliany, to też chłopiec, tak jak ty?

Beniamin, który bawił się łyżeczką zanurzoną w cukiernicy, drgnął, łyżka podskoczyła w jego dłoni, a białe kryształki wysypały się na blat.

– Ups – powiedział i polizał palec, a następnie zaczął przyklejać do opuszka drobinę cukru i wkładać je sobie do ust.

– Wiesz, ile może mieć lat? – nie przestawała wypytywać.

– Chyba dużo, bo ma buty na sznurówki. Gdyby był mały, miałby na rzepy jak ja.

– Może mama pomaga mu je wiązać?

– Jego mama nie żyje.

Ręka Julii, która nalewała kakao do ceramicznych kubków, zatrzęsła się, a część napoju wylądowała na blacie. Kobieta pospieszenie sięgnęła po ręcznik papierowy, wytarła plamę i naczynie, po czym postawiła kubek przed synem i zajęła miejsce obok niego.

– To smutne – skomentowała, głaszcząc włosy Benia.

– Wcale nie. On mówi, że nie wszystkie mamy dbają tak o swoje dzieci jak ty. Jego mama nigdy nie śpiewała mu na dobranoc.

Julia z trudem przełknęła ciepły napój.

– Skąd wie, że ci śpiewam? Powiedziałeś mu o tym?

Beniamin pokręcił głową.

– Sam słyszał.

Matka chłopca ze zdziwienia cofnęła się na krześle, a później roześmiała się, by rozłuznić napięcie, które wbiło w nią swoje szpony. Nikt z zewnątrz nie mógł usłyszeć, jak nuciała mu wieczorami. Sypialnia Benia znajdowała się na pierwszym piętrze, a ponadto zawsze śpiewała cicho, nachylona nad uchem syna.

– Żartowniś – skwitowała, ścierając znad warg syna czekoladowe wąsy. – Przez chwilę naprawdę dałam się nabrać.

– Ale ja nie zmyślam, mamu – odparł poważnie. – Powiedział, że tego króla z kołysanki zjadł pies i że on wcale nie kochał królowy, to prawda?

Julia niemal upuściła kubek trzymany w dłoniach. Odstawiła go na blat i z niepokojem przyjrzała się swojemu dziecku. Zawsze urywała kołysankę po słowach „kochali się wzajemnie”. Nigdy nie docierała do ostatnich zwrotek, ponieważ miały zbyt pesymistyczny wydźwięk. „Tragiczny los, okrutna śmierć w udziale im przypadła. Króla zjadł pies, pазia zjadł kot, królowę myszka zjadła” nie przechodziło jej przez gardło. Poczula, jak drobne włoski na jej przedramionach i karku się podnoszą. Chwyliła twarz syna w dłonie i trzymała ją nieruchomo, tak by nie mógł uciec od niej wzrokiem.

– Kto ci to opowiadał, Beniu? – Patrzyła mu głęboko w oczy, a jej ton brzmiał chłodno. – Kto kazał ci schować Lilianę? I kto bujał cię wczoraj na huśtawce?

- Już mówiłem, mój nowy przyjaciel.
- Czyli kto? Muszę wiedzieć, jak ma na imię.
- Nie znam jego imienia.
- Dość tego, przestań się wygłupiać. Masz mi natychmiast powiedzieć, kto to jest!

Ze złości mocniej ścisnęła chłopca.

– To boli, mamó – pisnął, a ona dopiero wtedy go puściła.

– O Boże! Przepraszam, kochanie – zreflektowała się. Na jej dekolt wypelzł rumieniec wstydu. Przytuliła syna, choć ten pozostawał spięty. – Ja... ja po prostu się boję, że ten człowiek może nas skrzywdzić, rozumiesz?

Chłopiec pokiwał głową. Jego usta były nadal zaciśnięte, a spojrzenie nachmurzone. Nerwowo wymachiwał nogami, kopiąc sąsiednie krzesło.

– Zostaw to, Beniu – powstrzymała go, odsuwając mebel. – Powiedz mi cokolwiek, proszę. Czy on tu był? W naszym domu?

– To nie jest nasz dom, mamó – szepnął, nachylając się do jej ucha.

Julia zauważyła, że chłopiec nerwowo spogląda w ciemność za oknem. W tafli szkła odbijały się ich zmęczone twarze. Poczwała wczepiające się w jej bluzkę małe paluszki i ciepły oddech na szyi.

– Coś tam zobaczyłeś?

Beniamin przytaknął, wtulając się mocniej w matkę.

– Nie podoba mu się, że o nim rozmawiamy – szepnął.

Kobieta usiłowała dojrzeć cokolwiek w gęstym mroku za szybą, ale poza sobą i przytulonym do niej sześciolatkiem widziała jedynie kontury domu Wagnerów w mdłym poblasku ulicznych latarni.

– Nikogo tam nie ma. To tylko my – uspokajała. – Jeśli chcesz, pójdę to sprawdzić, a ty biegnij się wykąpać, dobrze?

– A mogę zabrać do wanny moje nowe autka?

– Jasne. – Uśmiechnęła się i postawiła go na ziemi, a chłopiec w podskokach ruszył w kierunku schodów. – Tylko nie nalewaj za dużo wody! – zawołała za nim, odprowadzając spojrzeniem drobną postać.

Z szafki w korytarzu wzięła latarkę, a później wyszła na zewnątrz. Nocne powietrze musnęło jej kark. Na podwórku nadal dało się wyczuć zapach grilla i niedawno palonego ogniska, a w domu Wagnerów po drugiej stronie ulicy wciąż tliło się światło. Dookoła panowała cisza, maćona jedynie delikatnym szmerem samochodów pędzących drogą ekspresową. Julia odnotowała to z ulgą, zadowolona, że przywrócono normalny ruch. Wspomnienie widoku roztrzaskanych pojazdów i rannych ludzi nadal przyprawiało ją o skurcz żołądka. Przegoniła te przykre obrazy, nie mogąc uciszyć prześladowającego ją pytania. Kto zepchnął dziecięcy wózek na drogę? I dlaczego to zrobił?

Wzdrygnęła się, gdy wróciły do niej słowa Benia. „Jest miły, tylko wymyśla dziwne zabawy. Takie, w których ktoś umiera”. Objęła ciaśniej latarkę, po czym zrobiła głęboki wdech i udała się na rekonesans.

Przed domem rosły kępy traw i zaniedbane krzewy jałowca, jednak były zbyt małe, by ktoś mógł się za nimi ukryć. Julia przesunęła snopem światła po okolicy, ale nic nie wzbudziło jej czujności. Furtka pozostawała zamknięta, a na piaskowej ścieżce prowadzącej od bramki aż do domu najwyraźniej odznaczały się jedynie ślady jej trampek i adidasów Beniamina.

Zaczynam svirować, pomyślała, w duchu kpiąc z samej siebie.

Nieco bardziej odprężona skrzyła w prawo, do zapuszczonego zagajnika, w którym poprzedniego dnia gałęzie podrapały jej ramiona. Kiedy przedarła się przez zaskieki z roślin, zyskała pewność, że w gęstwinie nikogo nie ma. Teren za domem również sprawiał wrażenie opustoszałego. Huśtawka wisiała nieruchomo nad postrzępioną trawą, a wokół ogrodu rosły wybujałe tuje. Julia dokładnie zbadała wiązką światła każdy z krzewów, by sprawdzić, czy nikt się pomiędzy nimi nie zaczął. Swoją patrol zakończyła, obchodząc dom z lewej, gdzie wbita w ziemię straszyla oblażona z farby ogrodowa suszarka na pranie i gdzie mieściła się drewniana szopa na narzędzia, zamknięta na kłódkę. Dla pewności szarpnęła jeszcze stalowy rygiel, ale jeśli oceniać po rdzy na zasuwie, składzik dawno nie był przez nikogo otwierany.

Przyłożyła dłoń do małego, prostokątnego okienka i przyświeciła sobie latarką, mając nadzieję, że zdoła dojrzeć, co znajduje się w środku. Jednak gdy tylko przysunęła twarz do szkła, w odbiciu tuż za sobą dostrzegła zarys postaci. Latarka wypadła jej z dłoni, a ona gwałtownie podskoczyła.

Siłą woli zmusiła sparaliżowane strachem ciało, by obróciło się w stronę intruza, a gdy go ujrzała,

z głośnym westchnieniem wypuściła nagromadzone w płucach powietrze.

– Jezu, Robert, prawie dostałam zawału. – Położyła rękę na klatce piersiowej, w której jej serce wystukiwało szalony rytm.

Mężczyzna na wózku inwalidzkim uśmiechnął się przepaszająco.

– Wybacz, nie chciałem cię przestraszyć – powiedział. – Po prostu cała ta sytuacja z Beniem i naszą córką nie daje mi spokoju. Naprawdę wierzysz w to, że ktoś kazał mu ukryć Lilianę?

Julia schyliła się po latarkę. Nie była już pewna, co jest prawdą, a co wymysłem małego chłopca. Kochała swojego syna całym sercem, ale nie mogła dłużej udawać, że nie dostrzegła, iż po śmierci ojca Benjamin się zmienił. Coraz częściej milczał, miewał napady agresji i zupełnie nie interesował go kontakt z rówieśnikami. Zdarzało się, że długo przesiadywał w zamkniętym pokoju, nie zgadzając się na towarzystwo matki. Stawała wtedy za drzwiami, by podsłuchiwać, jak jej dziecko rozmawia z figurkami superbohaterów i mówi im wszystko to, co ona chciałaby usłyszeć.

Potała śwędzący policzek i splotła ramiona na piersi.

– Oczywiście. Chyba nie sugerujesz, że kłamie? Zresztą po co miałby zabierać Lilę?

Wagner wzruszył ramionami.

– Nie wiem, może czuje się zagubiony i próbuje zwrócić na siebie uwagę? – podsunął. – Adam zginął dwa miesiące temu, mogę sobie jedynie wyobrażać, jakie to trudne dla ciebie i dla niego. W takich chwilach...

– Co: w takich chwilach? – przerwała mu. – Dzieci porywają niemowlaki i chowają się z nimi w szopach? To chcesz powiedzieć? Benio jest spokojnym, dobrym chłopcem. A co z wózkiem? To też jego sprawa? Uważasz, że to on zepchnął gondolę na jezdnię?

Dawny przyjaciel jej męża odwrócił wzrok. W smudze światła latarki Julia dostrzegła, że jego szczęka się napina.

– Robert, odpowiedz na moje pytanie – poprosiła łagodnie, wyczuwając pieczenie pod powiekami.

Sąsiad obdarzył ją współczującym spojrzeniem.

– Kiedy zmarł mój ojciec, byłem wściekły na cały świat. Tak bardzo, że gdybym mógł, wysadziłbym go w powietrze. Do szału doprowadzało mnie to, że inni tak zwyczajnie sobie żyją i nie przejmują się tym, co mnie spotkało. Jakby niczego nie rozumieli.

Julia doskonale знаła ten stan. Nieustająco miała wrażenie, że w noc śmierci Adama została wypchnięta z kolorowej karuzeli, na której grała radosna muzyka, uzupełniana wybuchami śmiechu bawiących się na niej ludzi. I kiedy ona leżała poturbowana, nie wiedząc, czy kiedykolwiek jeszcze zdoła się podnieść, pozostali dalej kręcili się w koło, szczęśliwi, jakby ta przejażdżka miała się nigdy nie skończyć. Migotały światełka, piękne konie poruszały się w rytm skocznych melodii, a w lustrach odbijały się twarze roześmianych. Tylko nie jej.

– Myślę, że twój syn też może przez to przechodzić – kontynuował Wagner – ale jest dzieckiem i zupełnie nie wie, jak sobie z tym poradzić.

– Znam go. Nie byłby zdolny do czegoś tak potwornego. Potrafię sobie wyobrazić, że mógłby wziąć Lilę na ręce, ale karambol? Jak w ogóle miałby wpaść na taki pomysł? On ma dopiero sześć lat. Litości, Robert.

Mąż Emilii ścisnął nasadę nosa i pokręcił głową.

– Była u nas policja – rzucił. – Dwie osoby z kolizji trafiły do szpitala.

Julia zastygła, a jej twarz ściągnęło zmartwienie.

– Co z nimi? Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Na szczęście nie, ale musieliśmy złożyć szczegółowe wyjaśnienia. Policjanci chcieli wiedzieć, gdzie znaleźliśmy Lilianę i jakim cudem nasz wózek wylądował na drodze.

– Powiedzieliście im o Beniu?

Wagner zaprzeczył.

– Nie było sensu was w to mieszać, macie wystarczająco dużo swoich problemów. Oficjalna wersja jest taka, że podczas sąsiedzkiego grilla ktoś ukradł wózek, a Lilę schował w szopie. Na imprezie było głośno i tłoczno, dlatego niczego nie zauważyliśmy.

– Dziękuję – szepnęła z ulgą.

Robert uśmiechnął się do niej przyjaźnie, ale za moment znów spoważniał.

– Posłuchaj, obdzwoniłem wszystkich gości, nikt nie widział, by po naszym ogrodzie kręcił się ktoś obcy.

– Może to wcale nie był obcy, tylko człowiek, którego dobrze znacie.

– Naprawdę nie widzisz, że twój syn kłamie? Jak możesz wierzyć w to, że jakiś tajemniczy mężczyzna wdarł się na imprezę, niezauważony wszedł do naszego domu i kazał sześciolalnemu chłopcu zabrać niemowlę? Przecież to niedorzeczne. Benio wymyślił go, by uniknąć kary.

Julia miała wrażenie, że para wychodzi jej uszami. Oddychała niespokojnie, wbijając poirytowane spojrzenie w sąsiada.

– Przestań, nie mogę tego dłużej słuchać! – warknęła. – Benjamin nigdy by nikogo nie skrzywdził. On się boi tego człowieka.

Robert ciężko westchnął. Na jego twarzy malowała się rezygnacja.

– Bronisz go, bo jesteś jego matką, rozumiem to, ja też zrobiłbym wszystko dla swoich córek, ale spójrz prawdzie w oczy. Nie ma żadnego innego człowieka.

Julia niemo pokręciła głową.

– Mylisz się – rzuciła, ruszając w stronę domu.

– Zaczekaj. Nie chciałem...

Próbował ją zatrzymać, ale minęła go szybkim krokiem, ignorując wyciągniętą rękę.

Kiedy weszła do środka, oparła ręce na kolanach i nachylona, zachłannie połykała powietrze. Kręciło się jej w głowie, pot spływał po plecach. A co, jeśli Wagner miał rację? Pospiesznie ściągnęła z siebie czarny ażurowy kardigan, gdy nagle usłyszała dochodzący z piętra łomot i podniesiony głos Benia. Rzuciła ubranie na najbliższe krzesło i w podkoszulku pobiegła na górę, a kiedy dopadła drzwi łazienki i szarpnęła za klamkę, ujrzała swojego syna bawiącego się w wannie.

– Hej, mammo! – przywitał się radośnie.

W dłoni trzymał niebieskiego resoraka, którym następnie rzucił w stertę samochodzików piętrzących się na podłodze. Autko z łoskotem uderzyło w inne pojazdy, odbiło się od nich i wpadło pod umywalkę. Julia znieruchomiała, nie mogąc oderwać wzroku od porozrzucanych zabawek.

– Zaczekaj. – Chwyciła dziecięcą rękę, która uniosła się, gotowa do kolejnego rzutu. – Co robisz?

Benjamin uśmiechnął się beztrąsko.

– Wielką krakę – oznajmił i wyswobodził się z uchwytu matki, by cisnąć na stertę czerwonego pick-upa.

Samochód minął hałdę aut i gruchnął z impetem o kafelek, zostawiając w nim wgłębienie. Łazienkę wypełnił śmiech dziecka, który echem odbijał się od ścian. Zwielokrotniony atakował uszy Julii i sprawiał, że znów brakowało jej powietrza.

– Dość tego! – oświadczyła stanowczo, wyjmując chłopcu z ręki żółte ferrari. – Wychodzisz z wanny. I to już!

Malec spojrział na nią z wyrzutem, a jego usta wygięły się w podkówkę. Julia nerwowo szarpnęła korek blokujący odpływ. Woda natychmiast zaczęła znikać w czarnym otworze, a na jej powierzchni utworzył się wirujący lej. Zaciskając usta, zdjęła z grzejnika ręcznik.

– Wstań – powiedziała do Benia.

Sześciolatek nawet nie drgnął. Siedział w pustej wannie ze wzrokiem utkwionym w ścianie, a jego szczupłe ramiona oplatały nogi podciągnięte pod brodę.

– Podnieś się, chcę cię wytrzeć – powtórzyła, z niecierpliwością przestępując ze stopy na stopę.

Upór syna potęgował jej irytację. Przeklęła w myślach, pewna, że zaraz zacznie krzyczeć.

– Beniu, mówię do ciebie – ponowiła prośbę, dusząc w sobie gniew.

Chłopiec wstał, ale na nią nie spojrział. Odwrócił głowę do ściany i buńczucznie wysunął podbródek.

Julia udała, że tego nie dostrzega. Zaczęła pocierać blade ciało ręcznikiem. Najpierw ramiona i ręce, później klatkę piersiową oraz plecy. Mocno, aż skóra dziecka poróżowiła. Chwyciła syna w pasie, a następnie uniosła go i postawiła na podłodze, by osuszyć patykowate nogi. Zacięty wyraz twarzy Beniamina i jego smutne oczy były jak wyrzut sumienia. Nagle cała złość Julii zaczęła się ulatniać, niczym powietrze z balonika.

– Proszę, twoja piżama – powiedziała już nieco łagodniej, podając mu granatowy komplet w gwiazdki.

Sześciolatek wyrwał jej z ręki ubranie, a później odwrócił się tyłem, usiadł na podłodze i obrażony zaczął naciągać spodnie.

– On wiedział, że tak będzie – rzucił pod nosem.

– O czym ty mówisz? Kto wiedział?

Kucnęła obok dziecka, przyglądając się mu ze ściągniętymi brwiami.

– Ostrzegał mnie, że nie spodobają ci się nasze zabawy.

Uczucie, jakby ktoś uderzył ją pięścią w brzuch, odebrało jej mowę. Zamrugła i z trudem przełknęła ślinę. Patrzyła, jak chłopiec wkłada koszulkę, a później podchodzi do umywalki i zrezygnowany sięga po szczoteczkę do zębów.

– Beniu... – Urwała, nie mając pewności, jak sformułować pytanie, by nie zniechęcić go do rozmowy.

– Myślisz, że mogłabym poznać twojego nowego przyjaciela?

Małec znieruchomiał na sekundę, po czym zaczął wyciskać pastę na szczoteczkę.

– Nie wiem. On nie lubi ludzi.

– Dlaczego?

– Mówi, że wszyscy udają.

– Udają? – zdziwiła się. – Niektórzy może tak, ale nie ja.

Sześciolatek zastygł ze szczoteczką w dłoni. Wydawał się zatroskany. W lustrzanym odbiciu studiował rysy matki tak wnikliwie, jakby szukał w nich jakiejś skazy.

– On uważa, że ty najbardziej – powiedział, a Julia poczuła, że uginają się pod nią nogi.

Maj 1996

Jakub Czaja zaparkował pod niskim blokiem przy ulicy Królewskiej w Milanówku, przekręcił kluczyk w stacyjce i pomruk silnika ucichł. Zdawało się, że wszystko wokół również zamilkło. Okna budynku, na który patrzył, ziały czernią, chodniki straszyły pustkami, a siąpiący deszcz ustał. Ojciec dziewczyny spuścił głowę i poruszył palcami lewej ręki, wykrzywiając twarz z bólu.

Świadomość, że został z tym wszystkim sam, odbierała mu siły. Siedział zgarbiony w zgaszonym samochodzie ze wzrokiem wbitym w spuchniętą dłoń i nie wiedział, co powinien teraz zrobić. Nie chciał jechać do szpitala i zajmować się sobą, kiedy to Hela potrzebowała jego wsparcia. Nie wyobrażał sobie również, by mógł wrócić do domu, położyć się w łóżku i zasnąć. Nie po tym, co się wydarzyło.

Na moment zamknął oczy, marząc, by zniknąć. Jednak gdy uniósł powieki, nadal znajdował się w fordzie, a jego ręka pulsowała tym samym tęnym bólem. Westchnął rozczarowany. Z tylnej kanapy dobiegł go cichy odgłos. Córka mamrotała przez sen, wierzgając przy tym nogami, jakby próbowała przed czymś uciec. Usiłował zrozumieć, co mówi, słowa jednak zlewały się w niewyraźny bełkot.

Czaja wysiadł z auta, a później otworzył tylne drzwi i wziął Helę na ręce. Prąd przeszył uszkodzoną dłoń, ale buzująca w jego ciele adrenalina skutecznie łagodziła ból. Drobną czternastolatka ocknęła się, zamglonym spojrzeniem przesunęła po twarzy ojca. Przyglądała mu się, mrużąc oczy, jakby nie potrafiła odgadnąć, kim jest. Czuł, jak napinają się jej mięśnie, dostrzegał wzrok w panice lustrujący otoczenie.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała przestraszona.

– W domu. Śpij, zaniosę cię do łóżka – wyjaśnił i ruszył w stronę klatki schodowej.

Obserwowała go jeszcze przez moment, po czym objęła szyję Jakuba ramieniem i ufnie oparła głowę na jego klatce piersiowej. Starał się trzymać córkę tak, by nie uciskać ran pod opatrunkiem na jej plecach. Była zadziwiająco lekka, prawie jak dawniej, gdy nazywał ją swoją małą dziewczynką. Oczyma wyobraźni zobaczył biegnącą, roześmianą kilkulatkę w warkoczach przeplatanych różową wstążką. To wspomnienie sprawiło, że ziejąca czernią rozpadlina w nim jeszcze bardziej się pogłębiła. Świadomość, że być może już nigdy nie zobaczy Heli radosnej, zapiekła w gardle. Przełknął gorycz, a później szarpnął drzwi, jakby nie chciał ich otworzyć, ale wyrwać z zawiasów. Mozolnie wspinał się po schodach na pierwsze piętro. I choć musiał pokonać zaledwie kilkanaście stopni, miał wrażenie, że idzie całą wieczność.

Kiedy zdyszany zatrzymał się pod numerem cztery, postawił zaspaną Helę na ziemi. Podtrzymawał córkę ramieniem, a palce jego drugiej ręki poszukiwały klucza w kieszeni spodni. Nagle światło na klatce zgasło. Dziewczyna natychmiast przyłgnęła do ojca, a on poczuł na karku jej przyspieszony niepokojem oddech.

– Już dobrze – powiedział, sięgając do włącznika.

Wnętrze znów zalała jasność. Jakub pospiesznie wsunął klucz do zamka, przekręcił go, po czym wszedł do środka i nadeptując na pięty, zsunął z nóg buty. Otoczył go znajomy zapach domu. Drewna, dosychającego prania i obiadu. Zwykle go uspokajał, tej nocy drażnił, bo nie znajdował w nim poczucia bezpieczeństwa, do którego był przyzwyczajony.

Hela słaśniała się na nogach. W korytarzu oparła się o szafę i niemal upadła. Była tak słaba, że kiedy Jakub chwycił ją ponownie w ramiona, czuł, jak przelewa mu się przez ręce. Przejęty jej stanem, skrzył za drzwi ozdobione plakatem Backstreet Boys. Pod oknem mieściły się biurko i tapczan nakryty kolorową narzutą, a obok przy ścianie stał regał. Czaja położył córkę na łóżku najdelikatniej, jak potrafił.

Dziewczyna jęknęła cicho, zwinęła się w kłębek, po czym na nowo zapadła w sen. Jej bluza podwinęła się, odsłaniając częściowo odklejony opatrunek. W miejscu, w którym odstawał od skóry, można było dostrzec fragment okaleczonych płców. Głębokie bruzdy wyżłobione na ciele nastolatki ciągnęły się od łędźwi aż do łopatek. Z rany nadal sączyła się krew. Jakub niemal widział, jak kamienie, wystające konary i gałęzie tną plecy jego córki, gdy samochód wlecze ją leśnymi drogami. Znów cały się trząsł. Walczył z obrazami, które wciskały się pod powieki. Odpychał widok głowy podskakującej na wybojach i sunącego po ziemi ciała, bezwładnego jak szmaciana lalka.

– Cholera jasna! – przeklął, pocierając mocno twarz.

Przykrył córkę narzutą i wyszedł do kuchni. Tam zaczął gwałtownie otwierać drzwiczki szafek. Obsesyjnie przeszukiwał każdą z nich, przemierzał dłońmi półki i w złości wyrzucał na podłogę przedmioty. Miał nadzieję, że znajdzie jakąś resztkę rumu albo zapomnianą buteleczkę spirytusu, którego jego żona

używała do robienia pączków. Musiał się napić, choć trochę, żeby zagłuszyć to, co nie przestawało w nim wrzeszczeć. Nie obchodziło go, że rzucił alkohol piętnaście lat temu, gdy brali z Zofią ślub, ani to, że gdy umarła, obiecał sobie trwać w abstynencji dla córki. Teraz chciał tylko nie czuć i doskonale pamiętał, jak może to osiągnąć.

Nie zastanawiając się, chwycił portfel, nasunął na stopy buty i wybiegł w noc. Nie był już sobą. Był pragnieniem, głodem i gorączką, które ugasić można tylko w jeden sposób. Szedł szybko, z dłońmi wbitymi w kieszenie spodni. Piasek chrzęścił pod jego stopami, a uliczne latarnie oblewały go swoją poświatą. Zdziwił się, że choć nie przemierzał tej drogi od lat, mógłby trafić do monopolowego z zamkniętymi oczami. Jakby wydeptana niegdyś ścieżka zostawiła ślad w jego DNA.

A później kupił butelkę czystej. Ścisnął ją w ręce i ruszył do domu, w myślach przepraszając nieżyjącą żonę za złamanie danej obietnicy.

Julia

Wrzesień 2019

Kiedy wyczerpany długim dniem Benio zasnął, Julia odłożyła książkę z bajkami i na palcach wyszła z pokoju syna. W drzwiach przystanąła jeszcze na moment, spoglądając na pogrążoną we śnie twarz dziecka. Była taka niewinna i delikatna. Julia przesunęła wzrokiem po ustach w kolorze malin, pyzatyh policzkach i dłoniach, które obejmowały pluszowego misia. Coś w niej ścisnęło się na ten widok. Nie chciała wierzyć, że sześćoletni chłopiec wymyślił sobie to wszystko. Zdania, które wypowiadał, brzmiały jak pożyczone od kogoś innego. Tylko kogo? Kim tak naprawdę byli jej nowi sąsiedzi? I czy na pewno cieszyli się, że zamieszkała w okolicy?

Niepokój oplatał ją niczym bluszczone stare domy. Przemierzała boso korytarze, wychwytyując każde skrzypnięcie podłóg, najdrobniejsze trzaski czy bulgot w rurach. Miękki dywan łaskotał stopy. W powietrzu dominował zapach drewna. Ten budynek żył i oddychał, jak ona. Jego ściany zdążyły nasiąknąć szeptem dziesiątek ludzi, którzy zamieszkiwali go wcześniej. Julia powiodła opuszkami palców po kremowej tapecie z motywem roślinnym, z daleka do złudzenia przypominającym oczy. Musiały być świadkami tego, co przez lata działo się w tych murach, pomyślała. Jej dłoń sunęła po balustradzie – śliskiej i błyszczącej od dotyku wielu rąk.

Chcąc utwierdzić się w przekonaniu, że w domu nie ma nikogo poza nią i Beniaminem, sprawdziła, czy na pewno zamknęła wszystkie drzwi i okna. Przeszła się także po pokojach, by zweryfikować, czy mężczyzna, o którym mówił jej syn, nie zaczął się gdzieś w ukryciu. I choć zdawała sobie sprawę, jak niedorzeczne jest to, co robi, to jednocześnie nie potrafiła odpuścić. Wierzyła, że dzięki temu odzyska poczucie spokoju.

Wszystko wyglądało rozczarowująco zwyczajnie. Puste, niezamieszkałe od lat pokoje odpowiadały echem na każdy dźwięk, a wbudowane w ściany drewniane szafy straszyły jedynie skrzypiącymi zawiasami i warstwą nagromadzonego kurzu. Zagadką pozostawał tylko strych. Drzwi do niego były zamknięte na klucz, przez co Julia nie mogła zajrzeć do środka. Na samą myśl o tym, co kryje się po drugiej stronie, włoski na jej karku się zjeżyły. Zaraz jednak przypomniała sobie, że rodzice Adama zamknęli to pomieszczenie ze względu na rozsypaną tam trutkę na gryzonia. Nie chcieli, by Benio pomylił różowy granulat ze słodyczami, i dlatego wyjęli klucz z drzwi i schowali go w jednej z wysokich kuchennych szafek.

Kiedy Julia skończyła swoją inspekcję, wzięła szybki prysznic i zakopała się w pościeli. Minęły dwa miesiące, a ona nadal nie mogła przyzwycząić się do widoku pustej poduszki po drugiej stronie łóżka. Leżała tam nietknięta, o idealnie odprasowanej poszewce, jak z wystawy sklepu meblowego, i przypominała o śmierci jej męża.

Julia odwróciła spojrzenie, ale było już za późno. Znow znalazła się w najstraszniejszej nocy swojego życia. Czuła krople deszczu na ramionach i strach tak wielki, że zamieniał ją w kamień. Zaczęła szybciej oddychać. Do jej uszu wciskał się pełen pogardy syk Adama. „Jesteś śmieciem. Nikim. Skończonym zerem”. Słyszała świst pięści tnących powietrze i zadających ciosy. Jej ciało ogarnął paraliż, do nozdrzy dotarła dzika woń krwi.

– Dość! – krzyknęła, zrywając się z łóżka.

Dopiero wtedy na powrót znalazła się w rzeczywistości. Intensywne wspomnienie pierzchnęło jak przestraszona mysz.

Rozedrganymi palcami otworzyła szufladę szafki nocnej, przez chwilę chaotycznie przerzucała znajdujące się w niej przedmioty, a gdy znalazła blister z tabletkami, wycisnęła jedną z nich na rękę i włożyła ją do ust. Gorzki smak rozlał się na języku, wywołując na twarzy grymas obrzydzenia. Julia chwyciła szklanek wody stojącą przy łóżku i popiła nią tabletkę, po czym otarła wilgotne czoło dłonią.

Od tamtej nocy to działo się niemal codziennie. Jakby coś ją porywało i ciskało nią w mrok, do którego nie chciała wracać. Wystarczył impuls. Dźwięk, zapach albo obraz i znow była tam. Terapeuta przekonywał, że to minie, że trzeba czasu, ale ona mu nie wierzyła. Upiorne wspomnienia nie miały litości. Dopadały ją na jawie i w snach. Rzucaly się na nią jak sfora wygłodniałych psów. Szarpały zębiskami i rozrywały na strzępy, a ona poddawała się tej torturze, nie mając siły z nią walczyć.

Dźwięk dzwoniącej komórki wyrwał ją z rozmyślań. Julia zerknęła na zegar w telefonie, wskazujący

kwadrans do północy, i ściągnęła brwi.

– Nie powinnaś teraz zachwycać się jesienią w Nowym Jorku albo odwiedzać jakichś galerii? Która w ogóle jest u ciebie godzina? – zapytała, odebrawszy połączenie.

– Tutaj godzina zawsze jest młoda, to miasto naprawdę nigdy nie zasypia – zaśmiała się kobieta o miłym głosie. – Chciałam tylko spytać, jak się czujesz. Zadomowiliście się już?

– Jest w porządku. Powoli rozpakowujemy pudła i staramy się przyzwyczaić do nowego miejsca.

– A Benio? Znalazł sobie jakichś kolegów?

Julia westchnęła, nie wiedząc, jak opowiedzieć o tym, co działo się z jej synem. Kontrolnie spojrzała w stronę uchylonych drzwi na korytarz.

– Właściwie to ostatnio spędza dużo czasu z niewidzialnym przyjacielem. Bardzo się o niego martwię – przyznała, ścisząc głos, a później streściła zdarzenia minionych dni.

Kobieta po drugiej stronie cierpliwie słuchała jej słów, a gdy Julia skończyła mówić, mruknęła w zadumie:

– Może wymyślił sobie przyjaciela, bo czuł się samotny – zasugerowała. – Niepokoi mnie tylko, że ten nieistniejący kolega tak dużo mówi o śmierci i namawia Beniamina do robienia złych rzeczy. Brałaś pod uwagę rozmowę z psychologiem?

Julia przymknęła oczy i oparła ciężką od wrażeń głowę o łożko.

– Miałam nadzieję, że tego unikniemy. Ostatnie wizyty nie poszły najlepiej. Zresztą nie wierzę, by to Benio zepchnął ten wózek na drogę. To do niego niepodobne.

– Pamiętaj, że niedawno zginął jego ojciec. Może radzi sobie z tym gorzej, niż myślałyśmy. – W tle odezwał się inny, niewyraźny głos. – Muszę lecieć, kochana, nasza wycieczka właśnie wchodzi do Muzeum Guggenheima. Spotkamy się już niedługo, wracam za tydzień. Ucałuj tego urwisa od babci Anity.

Kiedy się pożegnały, Julia wpisała do wyszukiwarki hasło „niewidzialny przyjaciel”. Większość artykułów uspokajała, że wymyślanie kompana to normalny etap w rozwoju malucha. Niepokój powinien się pojawić dopiero wtedy, gdy dziecko unika rówieśników i zamiast z nimi wybiera zabawy z nieistniejącym kolegą, a przy tym zamyka się w swoim świecie i ma trudność z odróżnieniem rzeczywistości od fantazji.

Julia zrezygnowana opuściła dłoń z telefonem. Wszystkie te symptomy dotyczyły Benia. Od nadmiaru myśli kręciło się jej w głowie i by je odpędzić, sięgnęła po książkę.

Spomiędzy kartek wysunęło się stare zdjęcie zrobione pod budynkiem Zespołu Szkół nr 1 w Grodzisku Mazowieckim, do którego chodził jej mąż. Julia podniosła fotografię do oczu. Natrafiły na nią z teściową już po śmierci Adama, w trakcie przeglądania starych albumów. Na ławce otoczonej kwitnącymi kasztanowcami siedziało pięciu maturzystów w białych koszulach i czarnych, odprasowanych w kant spodniach.

W nastolatku znajdującym się pośrodku rozpoznała Roberta, swojego obecnego sąsiada. Po jego prawej stronie zajmował Adam, po lewej Maciek, chłopak o okrągłej twarzy i małych oczkach, które tonęły w niej jak w budyniu. Był właścicielem fabryki Molenda Meble i to u niego kilka dni temu zamówiła nowe łożko dla Benia.

Obok siedział nastolatek w okularach, który nieśmiało przygryzał wargę i uśmiechał się lękliwie, jakby nie był pewien, czy wypada mu się szczerzyć do obiektywu. Z tego, co mówiła jej teściowa, nazywał się Witek Łazar i był najmądrzejszym chłopakiem w szkole.

I wreszcie ostatni z paczki, znajdujący się na skraju ławki, tuż przy Adamie. Przystojny, ciemnowłosego chłopak, z łobuzerskim uśmiechem Jamesa Deana i błyskiem w oku. Miał na imię Feliks i, co nagle ją olśniło, był psychoterapeutą często zapraszany do programów telewizyjnych.

Serce Julii zaczęło szybciej bić. Pospiesznie odnalazła profil mężczyzny na Instagramie. Starszy o ponad dwadzieścia lat Falk nadal prezentował się diabelnie dobrze. Miał tysiące obserwatorów, a pod jego postami roilo się od podziękowań i komplementów.

W głowie matki Benia zaczęła kiełkować myśl. Równie przebiegła, co błyskotliwa. Taka, która mogła jej pomóc w osiągnięciu tego, po co przyjechała do Grodziska.

Maj 1996

W drodze do pracy Jakub kurczowo trzymał kierownicę, a jego mętne, przekrwione oczy czujnie śledziły białe linie na asfalcie, które rozmywały się i wyostrzały na przemian.

Tego ranka zasnął. Obudził się wymięty, we wczorajszym ubraniu i z kacem, który rozsadał czaszkę. W dusznej sypialni unosiła się nieprzyjemna, kwaśna woń. Skrzywił się, masując skronie. Każdy dźwięk powodował ból, jakby ktoś dźgał jego mózg szpikulcem do lodu. Lewa ręka nadal wyglądała fatalnie, ale nie miał czasu się nią zajmować. Zajrzał tylko do pokoju Heli, która zwinięta w embrión leżała na łóżku, tyłem do drzwi, wpatrzona w ścianę przed sobą. Obiecał jej, że wróci niedługo, powiedział o gołąbkach w lodówce i poprosił, by dzwoniła do szkoły, gdyby czegokolwiek potrzebowała. Z jej ust nie padła żadna odpowiedź. Ojciec poklepał niezdarnie ramię nastolatki i wyszedł. W kuchni łyknął dwa paracetamole, popił je zimną wodą z kranu, a później wsiadł za kierownicę.

Świat tego dnia zdawał się zniekształcony, obraz miasta pływał i chował się za mgłą, dlatego nauczyciel jechał ostrożnie. Skupiony na jezdni, intensywnie mrugał i przecierał oczy, szeroko przy tym ziewając. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał pięć do ósmej i Jakub wiedział już, że nie zdąży na czas do szkoły. Pierwszy raz od wielu lat. Mimo iż trasa z jego mieszkania w Milanówku do Zespołu Szkół w Grodzisku zajmowała tylko dziesięć minut.

Dojeżdżając do świateł przy ulicy Kościuszki, spojrzął na sygnalizator, na którym właśnie zapaliło się pomarańczowe, i delikatnie docisnął pedał gazu. Nie rozumiał, dlaczego tuż za nim rozległ się tumult klaksonów, a jakiś idiota groźnie wymachiwał pięścią w powietrzu. Wufista zwolnił i poklepał mocno oba policzki. Musiał się obudzić.

Kiedy zaparkował przy Żwirki i Wigury, wyciągnął ze sportowej torby małąkę wódki, pociągnął długi łyk i poczuł, jak ciepło rozlewa się po jego ciele. Było już po ósmej, dlatego pospiesznie włożył w usta miętówkę i kontrolnie zerknął w lusterko wsteczne, by ocenić, czy wygląda tak mizernie, jak się czuje. Obraz fioletowych cieni pod oczami, ziemistej cery i wodnistego spojrzenia nie pozostawiał co do tego wątpliwości.

To tylko kilka godzin, jakoś przetrwam, pocieszył się w duchu i wytoczył z auta.

Ford stał krzywo, zajmując dwa miejsca, ale Jakub uznał, że i tak nikt tam nigdy nie parkuje, i machnął na to ręką. Minął furtkę, kierując się do budynku, gdy zauważył, że firanka w oknie na parterze drgnęła. Natychmiast usztywnił krok i wyprostował plecy. A zatem dyrektor Sokół już wie, przeszło mu przez myśl.

Wściekle szarpnął drzwi wejściowe i wypluł przekleństwo, co nie uszło uwadze tęgiej woźnej. Kobieta w kwiecistym fartuchu, która szcztoką na długim kiju zamiatała korytarz, pokręciła głową z przyganą.

– Coś widzę, panie Kubusiu, że humor dzisiaj nie najlepszy – zagaiła, kładąc dłoń na obfitym biodrze, które zalotnie wypchnęła w bok.

Chciał jej powiedzieć, żeby nie wtykała nosa w nie swoje sprawy, ale z jego ust wypadło tylko ciche, rzucone przez ramię:

– Przejdzie mi.

Choć przecież wiedział, że wcale nie. Że ta ciężkość w żołądku, jakby połknął garść kamieni, nie minie, a stan bezradności będzie go trzymał w swoich szponach już zawsze. We dnie i w nocy. W każdej sekundzie przerażająco długich godzin.

Spięty wszedł na salę gimnastyczną, gdzie chłopaki z trzeciej be siedzieli na ławkach zaferowani omawianiem przebiegu niedawnego meczu. Dwóch uczniów grało w kosza, a najbardziej leniwy z całej klasy, ten, który po rozgrzewce zawsze dostawał zadyszki i regularnie przynosił lewe zwolnienia, wypisywane przez matkę okulistkę, wpychał w siebie drożdżówkę ze szkolnego sklepiku.

– Schowaj to! – ryknął na niego Jakub.

Na sali zapadła cisza. Ubrani w białe T-shirty i granatowe spodenki nastolatki spojrzeli po sobie.

– Śniadania nie zjadłem, sorze – stęknął z pretensją chłopak, szeleszcząc papierową torebką.

Zamierzał ponownie wgryźć się w polaną lukrem bułkę, ale zanim zdążył wziąć kolejny kęs, nauczyciel wyrwał mu przekąskę i cisnął ją do kosza. Licealiści zastygli, a jeden z nich zarechotał pod nosem. Śmiech rozszedł się echem po sali. Żądlił uszy Jakuba i wywoływał mrowienie w opuszkach palców. „Kiedy mi to robili, nie przestawali się śmiać”, wróciły do niego słowa córki. Zacisnął dłoń w pięści i spiorunował ucznia wzrokiem.

– Bawi cię to? – warknął, chwiejnym krokiem podchodząc do chłopaka.

Nastolatek spuścił wzrok i pokręcił głową.

– Nie, proszę pana, ja tak tylko... – mruknął, z trudem tłumiąc wesołość.

Nauczyciel powiódł pociemniałym z gniewu spojrzeniem po licealistach. Ich młode twarze ze śladami trądziku oraz wątego zarostu budziły w nim niechęć. Słyszał, jak chłopaki dyszą, i robiło mu się od tego niedobrze.

Wyobrażał sobie, że to oni zarzucają jego córce worek foliowy na głowę, a później powalają ją na ziemię i kopią, by przestała się ruszać. Jej błagalny szept rozbrzmiewał mu w czaszce. Widział, jak Hela próbuje się czołgać, wbijając paznokcie w ziemię, a wtedy oni łapią ją za nogi i wrzucają do bagażnika niczym truchło albo coś, co nigdy nie było człowiekiem. Czy już wtedy wiedzieli, co z nią zrobią? I jak bardzo ją skrzywdzą?

Zamrugał, chcąc przegonić tamte obrazy, ale zapach nastoletniego potu wciskał mu się w nozdrza i nie pozwalał zapomnieć. O tym, jak pchnęli ją na ziemię, a potem zdarli z niej ubrania. O tym, jak nagie dziewczęce biodra wbijały się w igliwie, gdy oni jeden po drugim gwałcili ją, sapiąc i jęcząc. „To tylko mięso”, mówili. „Tacy jak my mogą od życia brać to, na co zasługują”. A ona leżała tam zamrożona strachem, modląc się o śmierć.

– Sorze? Wszystko w porządku? – Czyjeś wołanie i dłoń na ramieniu przywróciły go do teraźniejszości.

Rozejrzał się zdezorientowany, czując, że jeśli zaraz nie usiądzie, to z całą pewnością zwymiotuje.

– Zróbcie dwadzieścia okrążeń – zarządził i opadł na ławkę, kładąc rękę na sercu, które kłuło, jakby ktoś wbijał w nie szpilki.

Uczniowie ociężałe ruszyli do truhtu, rzucając w kierunku nauczyciela podejrzliwe spojrzenia. Ktoś przewrócił oczami, inny uderzył dłonią w szyję, sugerując, że wuefista jest pod wpływem alkoholu.

– Szybciej! Nie guzdrać się. No już, do roboty. – Czaja dmuchnęła w gwizdek zawieszony na szyi, a jego spojrzenie mimowolnie uciekło do sportowej torby rzuconej na podłogę i ukrytej w niej butelki.

Po dziesięciu kółkach policzki nastolatków zalała purpura, koszulki zaczęły kleić się do ich pleców, a oddech się skrócił.

– Może już wystarczy, psze pana? – wydyszał jeden z młodzików.

– Powiedziałem: dwadzieścia – odparł niewzruszony i splótł przedramiona na piersi.

Kręciło mu się w głowie. Plamy bieli i granatu wirowały przed oczami. A stukot sportowego obuwia o drewnianą nawierzchnię grzmiał w jego uszach jak tętent biegnących nosorożców. Zapach chińskiej gumy tramppek, wymieszany z wonią spoconych nastolatków i słodkiego płynu do podłóg, powodował, że przewracało mu się w żołądku.

Jakub skulił się w sobie. Próbował ignorować łupanie w skroniach, nieznośne, jakby dziobały go wrony, ale im bardziej z nim walczył, tym dotkliwsze się stawało. Jego wzrok powędrował w stronę zegara. Do przerwy pozostawał jeszcze kwadrans, a on po raz pierwszy pomyślał, że nie da rady, jeśli natychmiast się nie napije.

– Zmiana – nakazał, zatrzymując zziębniętych uczniów. – Na drabinki.

– Bez jaj, sorze – jęknął najbardziej wysportowany w klasie nastolatek, który jako jedyny nie wyglądał, jakby miał dostać zawału. – Chłopaki zaraz płuca wyplują. No niech się pan zlituje.

Pozostali, zgięci w pół, opierając dłonie na kolanach, spojrzeli z wdzięcznością na kolegę, ale wuefista nawet tego nie zarejestrował. Dogoniły go słowa, które jego córka zapamiętała z tamtej nocy.

– Nigdy nie błagaj o litość, o litość proszą tylko słabi – rzucił cynicznie, po czym podniósł się z ławki i klasnął w dłoń. – Włazić na drabinki, i to już! Osiem uniesień nóg w zwisie, przerwa i tak trzy serie. Jak ktoś nie wyrabia, niech się ogarnie. To nie są zajęcia dla mięczaków.

Licealiści niechętnie zaczęli wspinać się na drabinki. Jeden z nich, chuderlawy, drobny, a teraz także bordowy na twarzy chłopak o wielkich, wystraszonych oczach, zachwiał się i zsunął z drugiego szczebla. Czujne oko nauczyciela wychwyciło natychmiast tę próbę sabotażu.

– Nie leń się, Mały – zakrzyknął Jakub. – Włazisz na górę i liczysz dla całej klasy.

Uczeń westchnął, podciągnął spodenki i szczebel po szczeblu piął się w stronę drażka. Kiedy zawisł, a jego szczupłe palce objęły drabinkę, dźwignął nogi o dziewięćdziesiąt stopni w górę i z trudem wydyszał:

– Raz.

Trząśnięty całym, na jego szyi nabrzmiwała zielona żyła, a oczy zdawały się z wysiłku wyłazić z orbit.

Pozostali licealiści w napięciu popatrywali to na Małego, to na nauczyciela, a gdy przy „czterech” palce chłopaka puściły, a on spadł na ziemię i uderzył głucho o parkiet, natychmiast ruszyli mu na ratunek.

Czaja zamarł, jakby jego stopy przykleiły się do podłogi. W ułamku sekundy stracił całą dotychczasową pewność siebie. Zszokowany widokiem leżącego na podłodze dzieciaka czuł tylko paraliżujący strach.

Wysportowany uczeń dopadł kolegi jako pierwszy. Nachylił się nad nim i przestraszony zawołał:

– Sorze, on nie oddycha.

Jakub odepchnął nastolatków. Serce waliło mu jak młotem.

– Odsunąć się! – huknął, by zrobili mu miejsce.

Jego dłonie się trzęsły. Klęknął przy chłopaku i pobladły ze strachu złapał jego nadgarstek, próbując wyczuć tętno. Bezwładna ręka ucznia nie zdradzała jednak żadnych objawów życia.

– Niech ktoś leci do sekretariatu i wezwie karetkę – zaordynował, a gdy nastolatkowie wpatrywali się w niego niczym zahipnotyzowani i żaden z nich nie drgnął, wskazał palcem dzieciaka od drożdżówki. – Ty! Rusz tyłek i sprowadź pomoc.

Uczeń skoczył na równe nogi, po czym wybiegł z sali. Czaja gwałtownie ściągnął z siebie bluzę, zdjął z szyi gwizdek, a następnie splótł dłonie, położył je na klatce piersiowej Małego i zaczął ją uciskać. Pot spływał mu z czoła, a serce dudniło pod żebrami. W sali gimnastycznej zapadła nieznośna cisza. Taka, która aż dzwoni w uszach. Jakubowi wydawało się, że nie ratuje tego chłopca, tylko swoją córkę. Nagle jego twarz przybrała oblicze Heli.

Desperacko odliczał kolejne uciśnięcia, a w myślach szeptał: „nie odchodź, nie zostawiaj mnie, maleńka”.

Nie wiedział nawet, kiedy po jego policzkach zaczęły płynąć łzy, ocknął się dopiero, gdy do budynku wbiegli ratownicy medyczni i odepchnęli go od nieprzytomnego ucznia. Słyszał krzyki, coś o zatrzymaniu krążenia, i pisk uruchamianego defibrylatora. Zawstydzony odwrócił wzrok i na miękkich nogach podniósł się z podłogi.

Świat wirował mu przed oczami, obraz się rozmywał. Gdy jego uszu dosięgły słowa: „Jest tętno, mamy go. Do szpitala, szybko!”, poczuł niewysłowioną ulgę, ale odprężenie nie trwało długo, ponieważ w drzwiach ukazała się wykrzywiona wściekłością twarz dyrektora Sokoła, który nadciągał w tempie nawałnicy i od razu zaatakował Jakuba.

– Co pan, do cholery, nawyprawiał?

Julia

Wrzesień 2019

Rano po śniadaniu, gdy Julia poszła założyć szkła kontaktowe, Benio przygotował w swoim pokoju kredki i arkusze papieru. Tego dnia po raz pierwszy wybierał się do nowego przedszkola. Sprawiał wrażenie nieco spiętego, dlatego wspólnie uznali, że rysowanie pomoże mu się rozluźnić. Drobną rączką chwyciła czarną kredkę i zaczęła kreślić na kartce zdecydowane linie. Sześciolatek pochylił się nad blatem z otwartymi ustami i wysuniętym językiem, a jego dłoń jak w transie tworzyła kolejne szkice.

Używał tylko dwóch kolorów: czarnego i czerwonego. Palce mocno przyciskały kredki do papieru, tak że ręka chłopca aż się trzęsała, a niski stolik trzeszczał od siły nacisku. Każdy nowy obrazek powstawał z większą pewnością, szybciej, jakby malec musiał je z siebie w pośpiechu wyrzucać. Były w tym jakaś nieokiełznana pasja i dzikość. Policzki Beniamina poczerwieniały, jego oczy zaczęły błyszczeć, a usta szeptały słowa dziecięcych wyliczanek. Kiedy tylko kończył jeden rysunek, zrzucał go na podłogę i od razu zabierał się do następnego.

Przez uchylone drzwi w łazience Julia słyszała głos swojego syna. Próbowwała rozszyfrować poszczególne słowa, ale wypowiadał je tak prędko, że zlewały się w niezrozumiałą całość, jakby mówił w obcym języku. Kobieta zastygła z pędzlem do nakładania różu w dłoni i ściągnęła brwi, wyęzając słuch. „Wsadza dzieci w worki, robi z nich potworki”, udało się jej wyłowić z potoku sklejonych ze sobą zdań. Skrzywiła się. Nie знаła tej wyliczanki i z pewnością to nie ona nauczyła jej Benia. Być może zrobił to Adam albo ich syn poznał wierszyk w poprzednim przedszkolu, od któregoś z kolegów.

Julia sięgnęła po telefon, by poszukać w sieci tekstu całej wyliczanki, ale zamiast w ikonę wyszukiwarki jej palec omyłkowo trafił w symbol galerii zdjęć. Zamierzała wyjść z albumu, gdy zauważyła kilka rzędów dziwnych, zamglonych fotografii. Zaciekawiona otworzyła pierwszą z nich, a wtedy krew odpłynęła jej z twarzy.

W łazience nagle zrobiło się duszno i klaustrofobicznie. Julia oparła łokieć o umywalkę, niechcący strącając róż, który upadł na podłogę i się rozkruszył.

Na każdym ze zdjęć widniała ona, śpiąca w swoim łóżku. Z głową na poduszce, włosami w nieładzie i z rozchylonymi wargami, z których sączyła się strużka śliny. W pokoju panował półmrok, rozświetlany jedynie wpadającym przez okno blaskiem latarni. Na twarzy Julii ciemną plamą kładł się długi, nieforemny cień, który sprawiał, że wyglądała ponuro, jak ktoś bardzo chory albo martwy.

Wszystkie fotografie zostały zrobione ostatniej nocy, kilka minut po trzeciej. Były nieostre, jakby ktoś poruszał telefonem albo zakrył obiektyw cienkim woalem.

Przeszła do sypialni, włączyła tryb aparatu i szukając odpowiedniego kadru, stanęła w miejscu, w którym musiał znajdować się autor zdjęć. Po prawej stronie łóżka, tuż przy głowie. Bardzo blisko, stwierdziła z niepokojem.

Czaszka Julii pęczniała od natłoku myśli. Dlaczego ktoś miałby obserwować ją we śnie? I jak to możliwe, że niczego nie słyszała? Skrzypienia drzwi, kroków na schodach? Przecież musiałyby coś zarejestrować. Jakiś ruch, czyjaś obecność.

Zdezorientowana rozglądała się po pokoju, gdy dotarło do niej, że poprzedniego wieczoru zażyła tabletkę uspokajającą. Lek cudownie ją wyciszał, odzierał z nocnych lęków i uwalniał od koszmarów, ale w zamian na kilka godzin całkowicie wycinał z życia. Po hydroksyzynie jej świadomość spowijał biały kokon, miękki jak kłębek waty. Przyjemny, a zarazem oddzielający od świata.

– Auć! – Podskoczyła gwałtownie, gdy jej stopa nadepnęła na coś kłującego.

We włosiu futrzanego dywanika znalazła okrągły plastikowy przedmiot z krótkim bolcem. Uśmiechnęła się, bo nagle wszystko stało się jasne. Trzymała w palcach oczko misia, z którym sypiał jej syn. W ostatnich tygodniach kilkakrotnie próbowali przykleić czarną źrenicę, ale za każdym razem oko uparcie odpadało.

Beniamin musiał przebudzić się w nocy i przyjść do jej sypialni z maskotką pod pachą, a gdy zobaczył niepilnowany zakazany owoc w postaci telefonu, postanowił się nim pobawić. To dlatego zdjęcia wyglądały jak zrobione niewprawną, dziecięcą ręką.

Julia uśmiechnęła się z niedowierzaniem, gdy z dołu dobiegł ją odgłos otwieranych drzwi. Na karku

poczuła chłodny powiew, a chwilę później przeciąg z hukiem zatrzęsnał uchylone okno w jej pokoju. Benio, pomyślała i pobiegła do sypialni dziecka, ale chłopca tam nie było. Zaniepokojona rzuciła się w kierunku schodów.

Ku jej zaskoczeniu Beniamin stał na środku salonu, zwrócony twarzą w stronę szeroko otwartych drzwi wejściowych. Julia spojrzała na pustą ścieżkę prowadzącą do furtki, a potem na syna.

– Coś się stało? Wychodziłeś gdzieś?

Malec przecząco potrząsnął głową.

– To dlaczego drzwi są otwarte? – dociekała, ale sześciolatek spuścił wzrok i w milczeniu wpatrywał się w dywan. – Beniu, zamknęłam je wczoraj wieczorem, jestem tego pewna. Nie mogły otworzyć się same.

– To nie ja.

– A kto? Czyżby znowu był tu twój nowy znajomy?

– Tak.

Julia westchnęła, po czym podeszła do drzwi, zamknęła je i upewniła się, że gdy przekręci zasuwę, zamek nie ustąpi.

– To gdzie on jest, co? Powiesz mi? – Wychyliła się, by zerknąć do kuchni, a później zaczęła chodzić po salonie, zaglądając za zasłony i pod jadalniany stół, jakby bawiła się z kimś w chowanego. – Przedstaw nas sobie, chciałabym go w końcu poznać.

– Nie możesz. Nie lubi cię.

Ta odpowiedź ją zaskoczyła. Podeszła bliżej i zaciekawiona kucnęła obok syna.

– Dlaczego?

– Bo wszystkich okłamujesz.

Julia nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

– Wybacz, synu, ale naprawdę nie mogę tego dłużej słuchać. On nie istnieje, rozumiesz? Wymyśliłeś go sobie. To nie jest prawdziwy człowiek.

Oczy Beniamina pociemniały. Rzucił matce nienawistne spojrzenie, a Julia natychmiast pożałowała swoich słów. Specjaliści w internecie radzili, by nie walczyć z wyimaginowanym światem dziecka, bo może to przynieść skutek odwrotny do zamierzonego, ale ona nie potrafiła zaakceptować wymysłów Benia. Obawiała się, że jeśli zacznie je wspierać, jej syn całkowicie pograży się w fikcyjnym świecie.

– Nie mów tak – warknął chłopiec. – Jeśli to usłyszysz, wpadnie w szal i przestanie być miły.

– Nie, kochanie, nic takiego się nie wydarzy, bo go nie ma. Nie musisz się bać. – Miętko położyła dłoń na policzku syna.

– Zostaw! – syknął i odsunął się gwałtownie, jakby dotyk matki go parzył.

Zabolało ją to. Znajdowali się tak blisko, a miała wrażenie, jakby dzieliła ich przepaść. W ciężkiej ciszy, która zapadła, wszystkie otaczające ich dźwięki wybrzmiewały ze zdwojoną siłą. Tykanie zegara, odgłosy śmiechu dochodzącego zza okna i skrzypienie podłogi. Sześciolatek zamknął w palcach kredkę świecową, którą trzymał w dłoni. Ścisnął ją mocno, jego ręka zaczęła drżeć, a kostki pobieleły. W końcu kredka z trzaskiem pękła na pół i upadła na kremowy dywan.

Julia nabrała tchu. Mimo irytacji rozumiała, że wywieranie presji na Beniu sprawi tylko, że chłopiec jeszcze bardziej zamknie się w sobie.

– Przepraszam, synku – podjęła jeszcze jedną próbę. – Nie powinnam cię tak atakować. Wiem, że tobie też jest teraz trudno. Zaczniemy od nowa? – Delikatnie dotknęła podbródka dziecka.

Malec kiwnął głową, po czym rzucił się matce na szyję i uderzył w pęcz. Łzy skapywały z jego policzków na kark Julii. Zamknięty w jej objęciach zdawał się kruchy i bezbronny.

– Mamo, mógłbym się przenieść do twojego łóżka? Nie chcę spać sam – wyjął, pociągając nosem.

– Oczywiście, ale pod warunkiem, że nie będziesz wstawał w nocy i robił mi zdjęć. Umowa? – Wyciągnęła dłoń, po czym spojrzała na niego, żartobliwie marszcząc nos.

Chłopiec jednak nie uściśnął jej ręki.

– Nie robię ci żadnych zdjęć – obruszył się.

– Daj spokój, możesz się przyznać, nie będę się gniewać.

Wyjęła z kieszeni dzinsów komórkę i otworzyła fotografie w galerii. Pokazywała je synowi jedną po drugiej, a on spoglądał na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– To nie ja – zaprotestował.

Julia stęknęła z rozdrażnieniem.

– Błagam cię, Beniu, znowu będziemy przez to przechodzić? Znalazłam na dywanie oczko twojego misia, wiem, że byłeś u mnie w sypialni.

– Tak, ale nie dotykałem telefonu! Nie pozwalasz mi.

Matka chłopca zrobiła długi wydech.

– Wiesz co, skończmy te dyskusje. Nie mam już na nie siły. Zresztą za chwilę musimy wychodzić do przedszkola. – Rzuciła okiem na zegarek, po czym podniosła się z podłogi. – Pójdę nas spakować, a ty posprzątaj u siebie. A gdybyś spotkał tego swojego przyjaciela, poproś, żeby nie wpadał tak często bez zapowiedzi.

Ruszyła w stronę korytarza, gdy usłyszała głos syna:

– Nadal chcesz go zobaczyć?

Zatrzymała się w pół kroku. Niedowierzanie mieszało się w niej z ekscytacją, a jej wargi z zaskoczenia się rozchyliły.

– Mogłabym?

Chłopiec chwycił ją za rękę i zaprowadził do swojego pokoju na piętrze.

– Jest tutaj – powiedział, stając w progu, a gdy Julia z konsternacją omiatała spojrzeniem dziecięcą sypialnię, dodał: – Na moich obrazkach. – Wskazał kartki rozrzucone po pokoju.

Podłogę zaściewały rysunki, na które wcześniej nie zwróciła uwagi. Dopiero teraz, kiedy wnikliwie się im przyjrzała, dotarło do niej, że przedstawiają dziwne postaci bez szyi. Głowy tych istot wyrastały bezpośrednio z długich tułowi, które przypominały ciągnące się po ziemi koszule nocne. Ich oczy wyglądały jak ziejące czernią dziury bez dna, a włosy sterczały niczym u stracha na wróble. Poczula się nieswojo. Oglądała kolejne prace coraz bardziej zaniepokojona stanem psychicznym swojego dziecka, gdy tymczasem ono beztrzesko skakało po materacu.

Szkice przedstawiały trzy różne osoby. Założyła, że najniższa postać o najkrótszych włosach to Benio, natomiast wyższa z długimi włosami symbolizowała ją. Nie wiedziała tylko, kogo miałyby przedstawiać hipnotyzująca istota, która jako jedyna została wyposażona w usta. W miejscu warg chłopiec narysował czarną plamę przywodzącą na myśl niezgłębioną czeluść. Ten detal sprawiał, że obrazek nabierał upiornego wydźwięku. Im dłużej Julia mu się przyglądała, tym trudniej było się jej od niego oderwać. Jakby ta nieznana postać ją wabiła.

– Czy to jest tata? – Wskazała palcem budzący ciarki szkic.

Beniamin zatrzymał się w swoich skokach.

– Nie, mamo, to mój przyjaciel, mówiłem ci.

– Aha. – Głośno odchrząknęła. – A narysowałeś go obok nas, gdy bawimy się w ogródku albo kiedy jemy posiłki, bo chciałbyś, żeby spędzał z nami więcej czasu? O to chodzi?

– On już spędza z nami dużo czasu. – Chłopiec wygrzebał zza materaca obrazek i podał go matce.

Julia ściągnęła brwi, po czym przeniosła wzrok na rysunek. Na kartce widniał duży prostokąt, a na nim znajdowały się dwa mniejsze, do złudzenia przypominające widziane z lotu ptaka poduszki ułożone na łóżku. Na jednej z nich głowę opierała śpiąca, długowłosa postać, w której matka Benia rozpoznała siebie, natomiast tuż obok, po prawej, stała odwrócona bokiem tajemnicza istota o czarnej jak węgiel jamie zamiast ust i pustych oczodołach przypominających kratery.

– Powiedział, że lubi na ciebie patrzeć, kiedy śpisz – oznajmił beztrzesko Benio, a żołądek Julii ścisnął strach.

Maj 1996

Kiedy w końcu wyszedł ze szkoły, na zewnątrz zmierzchało. Szarość ciężko opadała na miasto, sprawiając, że wszystkie twarze przybierały ten sam trupio blady odcień. Świat oglądany w sepii sprawiał wrażenie brudnego. Jakub jechał powoli wąskimi uliczkami i zastanawiał się, jak powie o tym wszystkim Heli. O tym, że poszedł do pracy pijany i prawie zabił ucznia. Bał się nawet myśleć, co by było, gdyby ratownicy nie zdołali przywrócić nastolatkowi krążenia.

Musnął wierzchem dłoni wargę przeciętą po tym, jak spadła na nią pięść ojca chłopaka. Mężczyzna wpadł do liceum zawiadomiony o wypadku przez sekretariat i bez uprzedzenia uderzył nauczyciela w twarz. Jakub nawet nie próbował się bronić. Przyjął to, na co, jak uważał, zasługiwał, a później odszedł, odprowadzany przez wyzwiska i groźby.

Przymknął powieki i głośno wypuścił powietrze. Był tak zawiedziony sobą, że miał ochotę tłuc głową o szybę. Za oknami forda rozciągały się ponure blokowiska. Wołały go i mamły. Powinien jechać do domu, zobaczyć, co z Helą, ale myślał tylko o zemście. Dlatego skręcił w osiedla i snuł się serpentynami ulic, wyglądając chłopaka, który skrzywdził jego córkę.

Bloki grodziskiego Manhattanu otoczyły go ciasnym kręgiem. Opróżniając małą alkoholem, wylapywał zgarbione sylwetki nastolatków skryte w spopielałym świetle. Zaglądał im w twarze w nadziei, że w końcu natrafi na tę konkretną, zniechęconą.

Był już gotów zrezygnować, gdy w oddali, za łukowatą bramą, dostrzegł znajomą sylwetkę o rozkołysanym chodzie. Szajba trzymał ręce w kieszeniach, a na głowę miał naciągnięty kaptur bluzy, wystający spod kurtki. Szedł w stronę starych magazynów, co jakiś czas strzepując popiół z papierosa na ziemię.

To nie może być tak proste, pomyślał Jakub, rozglądając się po okolicy. Wokół nie było żywej duszy. Jedynie kilka bezpiecznych psów pod śmietnikiem. Zapadający zmrok okrywał woalem opustoszałe chodniki.

Tętno nauczyciela zaczęło przyspieszać, a fiesta niczym zahipnotyzowana podążyła tropem chłopaka. Czaja przełknął ślinę, po czym docisnął pedał gazu. Samochód zawył i wyrwał do przodu, ale Szajba nie zwrócił na to uwagi. Pstrykał palcami, jakby gdzieś pod kapturem do jego uszu przez słuchawki sączyła się muzyka, i beztrudno kontynuował przechadzkę, nieświadomy, że być może doświadcza ostatnich chwil swojego życia.

Jakub poczuł, że robi mu się gorąco. Objął mocniej kierownicę, a prąd przebiegł mu po kręgosłupie. Próbował jeszcze wmawiać sobie, że nie jest kimś takim, że nie należy do ludzi mściwych, ale im wyraźniejsza stawała się sylwetka Szajby, tym bardziej chciał usłyszeć trzask pękających kości. Wyobrażał sobie, że gdy go uderzy, chłopak polecą do przodu, może nawet odbije się od maski, a wtedy on po nim przejedzie, cofnie i zrobi to ponownie. Dla Heli. Żeby już nigdy nie musiała się bać.

Zmienił bieg i wcisnął gaz do dechy. Z całej siły, jakby chciał przebić stopą podwozie. Pędził wprost na chłopaka, a krew huczała mu w skroniach. Ciemna kurtka znajdowała się coraz bliżej. Wstrzymał oddech, przygotowując się na odgłos uderzenia, gdy nagle kątem oka, gdzieś po swojej lewej, wylapał jakiś ruch.

Kierując się instynktem, gwałtownie odbił w prawo, lecz mimo to poczuł, że jeden z reflektorów o coś zahaczył. Usłyszał dziwny dźwięk, jakby chrobot, i odniósł wrażenie, że coś zagruchotało o podwozie. Spanikowany przystanął kawałek dalej i patrząc w lusterko wsteczne, próbował dojrzeć, co zostawił za sobą. Miał sucho w ustach, a jego ręce się trzęsły. Na spękanej asfalcie dostrzegł nieruchomy czarny kształt. Coś jakby stertę mokrych szmat albo zawilgocony karton.

Pot oblał jego ciało. Przetarł zmęczone oczy w nadziei, że obraz stanie się ostrzejszy, a wtedy zauważył, że kształt się porusza i podnosi na cztery łapy, a później, kulejąc, odchodzi. Z ust Jakuba wyrwało się nerwowe parsknięcie. To tylko pies, pomyślał.

Jego mokre od potu ręce ślizgały się na kierownicy. Gdzieś z oddali dobiegły narastające odgłosy głębokich basów, tak donośne, że obudziłyby umarłego. Jakub skierował wzrok w stronę magazynów, gdzie rozkołysana sylwetka Szajby przystanęła obok zatrzymanego się peugeota o ciemnej karoserii. Czy go zauważyli? Czy rozumieli, co chciał zrobić? Nie miał co do tego pewności. Odruchowo zgarbił się, jakby w ten sposób chciał mniej rzucić się w oczy. Chłopak zdjął z głowy kaptur, z ucha wyjął słuchawkę i przybił piątkę z kierownicą, a później wskoczył do wozu, zajął fotel pasażera i razem odjechali.

Nauczyciel rozluźnił się nieco. Założył, że Szajba nie mógł niczego zarejestrować, bo inaczej

z pewnością nie zostawiłby tego bez odpowiedzi. Gdy napięcie nieco odpuściło, Czaja zdał sobie sprawę, jak bardzo jest wyczerpany. Pomasażował dłonią sztywny kark i ruszył do córki. Chciał uciec od tych mrocznych ulic i znaleźć się tam, gdzie jego miejsce. Przy Heli.

Julia

Wrzesień 2019

Kiedy Benio zniknął za zdobioną furtką, Julia wsiadła do samochodu, oparła głowę o fotel i z zamkniętymi oczami odetchnęła głęboko. Wybrała dla syna kameralne przedszkole w pięknym domu z ogromnymi oknami, drewnianym tarasem oraz ogrodem, w którym dzieci spędzały większość dnia. Z budynkiem sąsiadowało tylko kilka willi, a wokół rozciągały się pola i gęsty bukowy las. Całą sobą czuła, że to dobre miejsce. Tylko dwadzieścioro dzieci i mądre, empatyczne nauczycielki, potrafiące zrozumieć emocje chłopca, który niedawno stracił ojca.

Mogła zapewnić synowi taki komfort dzięki oszczędnościom, które zgromadził jej mąż. Sama nie pracowała, odkąd wyszła za Adama. W pierwszych miesiącach po ślubie mąż chciał spędzać z nią jak najwięcej czasu, a później na horyzoncie pojawił się Benio i została w domu dłużej, niż planowała. Zanim jednak do tego doszło, prowadziła zajęcia z rysunku i malarstwa w warszawskim Liceum Sztuk Plastycznych Wojciecha Gersona, a w wolnych chwilach tworzyła własne obrazy, które oglądali tylko jej bliscy.

Niekiedy tęskniła za chwilami w poplamionych farbą ogrodniczkach, z włosami spiętymi ołówkiem. Jej malowane olejem na płótnie prace były niezwykle realistyczne, w stylu Edwarda Hoppera. Przedstawiały ludzi uchwyconych w momentach, w których myśleli, że nikt na nich nie patrzy, ponieważ tym, co ciekawiło ją najbardziej, były twarze bez masek. Oblicza na co dzień ukryte przed innymi. Julia obiecała sobie, że kiedy już ułoży świat swój i Benia, wróci do malowania.

Przekręciła kluczyk w stacyjce i ruszyła wąską uliczką w stronę centrum. Stojąc w korku na światłach, odczytała wiadomość w telefonie. Feliks Falk nie zgodził się na spotkanie i rozmowę z Beniem. Psychoterapeuta napisał, że pracuje wyłącznie z nastolatkami, i polecił jej, by poszukała specjalisty, który zajmuje się dziećmi. Jego odpowiedź była równie oschła, co kłamliwa.

Julia z irytacją zabębniła paznokciami o kierownicę. Obejrzała kilka wywiadów udzielonych przez Falka i doskonale wiedziała, że nie tylko pracował z dziećmi, ale również miał na tym polu spore sukcesy. Rozdrażniona wybrała numer, który widniał na jego stronie w zakładce „kontakt”. Po kilku długich sygnałach w głośnikach samochodowych zatrzeszczało, a chwilę później odezwał się znudzony głos:

– Tak?

– Często pan kłamie, żeby pozbyć się potencjalnych klientów?

Mężczyzna na moment zamilkł zaskoczony.

– Słucham?

– Napisał mi pan, że nie zajmie się moim synem, bo nie pracuje z dziećmi, ale oboje wiemy, że to nieprawda. Kogoś o renomie jak pańska powinno być stać na lepszą wymówkę, nie sądzi pan?

Jej rozmówca wydał z siebie odgłos podobny do śmiechu. W tle słyszała dźwięk brzęczącego szkła, jaki wydają przewracane butelki, a także sączącą się z oddali muzykę jazzową.

– Być może, ale jestem obecnie w stanie, w którym, delikatnie mówiąc, mam gdzieś to, na co mnie stać – odparł. – Jeśli więc pani łaskawie pozwoli, rozłączę się teraz i wrócę do wymyślania marnych kłamstw, które będę wciskał innym podobnym do pani natrętom.

Julia odniosła wrażenie, że psycholog mamrocze. Wrzuciła kierunkowskaz, by zjechać na parking galerii handlowej.

– Czy pan jest...? – zaczęła, ale zawahała się, a wtedy Falk przyszedł jej z pomocą.

– Nietrzeźwy i wkurwiony? Tak. Do tego łupie mi w czaszce, język się płacze i jeśli czegoś natychmiast nie zjem, zwymiotuję cały alkohol, który w siebie wlałem. Nie chce pani takiego terapeuty dla swojego dziecka. Zapewniam.

Jego szczerłość ją zaintrygowała.

– Sama potrafię o tym zadecydować.

– Zaczynam myśleć, że to pani potrzebuje specjalisty, a nie pani syn. Nie rozumiem, dlaczego się pani tak na mnie uparła. W sieci jest pełno psychoterapeutów.

– Tak, wiem. Ostatni, który pracował z Beniem po śmierci ojca, doradzał mu, by rzucał przedmiotami, jeśli poczuje, że zalewają go emocje, a poprzedni powtarzał, że jego tata wcale nie umarł, tylko zmienił formę. Krótko mówiąc: każdy był idiota.

– Rozmawia pani z człowiekiem, który usiłuje zagłuszyć swoje problemy, pijąc whisky. Nie uważam,

żebym był dużo mądrzejszy od moich kolegów po fachu.

Julia nerwowo przesuwała zawieszka po łańcuszku, próbując znaleźć argument, który umożliwi jej zbliżenie się do terapeuty.

– Chodzi mi tylko o jedno spotkanie. Przyjedziemy do Warszawy.

– Nie ma mnie teraz w stolicy. Zaszylem się tam, gdzie mogę w spokoju upijać się do nieprzytomności.

– To po co w ogóle odebrał pan ode mnie telefon? – warknęła zirytowana, ostro hamując przed przejściem dla pieszych.

– Proszę mi wierzyć, że najchętniej wyrzuciłbym go przez okno, ale nie mogę tego zrobić ze względu na moich pacjentów. Poza tym sekundę wcześniej zakończyłem burzliwą rozmowę z byłą żoną. Zwykle po tym, jak się rozłączy, dzwoni jeszcze raz. Lubi mieć ostatnie słowo, a ja jej na to pozwalam. Powiedzmy, że to moja pokuta za zrujnowanie naszego małżeństwa. Odbierając, nawet nie spojrzałem na wyświetlacz. Byłem przekonany, że to ona. W efekcie zamiast jednej wkurzonej na mnie kobiety mam dwie. O zgrozo.

Julia przewróciła oczami, parkując przy galerii handlowej. Uznała, że to najwyższa pora, by wyciągnąć asa z rękawa.

– Mój mąż nazywał się Adam Haner. Zginął podczas napadu rabunkowego dwa miesiące temu, a teraz jego sześciolatek rozmawia z nieistniejącym człowiekiem i rysuje przerażające obrazki – wyrzuciła na jednym tchu, po czym zrobiła dłuższą pauzę, by Falk miał szansę przetrawić to, co usłyszał. – Wiem, że znał pan Adama, i choć nie znoszę, kiedy ludzie grają tą kartą, mam nadzieję, że ze względu na dawną przyjaźń zechce pan się z nami spotkać.

Terapeuta musiał sięgnąć po nową porcję alkoholu, bo Julia usłyszała odgłosy łapczywego przełykania, a później charakterystyczne sapnięcie i dźwięk szklanki odstawianej na blat.

– To nie jest dobry moment – bronił się, ale jego głos nie brzmiał już tak stanowczo.

– Jedno spotkanie. Potem znikniemy. Proszę powiedzieć, gdzie pana znajde.

– Nie daje pani za wygraną – stwierdził. – Zaszylem się pod Warszawą, w domu po rodzicach, i naprawdę nie lubię, gdy ktoś zakłóca moją samotność.

– Mówi pan poważnie? W Grodzisku? – W jej głosie pobrzmiwała ekscytacja.

– Nie mam pojęcia, skąd pani to wie, ale ta obsesja na moim punkcie zaczyna budzić we mnie obawy.

Julia poczuła, że ze wstydu pieką ją uszy.

– To nie tak. Po prostu mieszkamy od niedawna w okolicy. Wprowadziliśmy się do rodzinnego domu Hanerów. To był pomysł matki Adama. Uznała, że zmiana otoczenia dobrze nam zrobi.

– I pomogła?

– Niespecjalnie. Trudno pogodzić się z tym, że kiedy brakuje pewnych elementów układanki, nie można już poskładać całego obrazka. Na zawsze pozostanie niekompletny.

Feliks Falk mruknął do siebie, co zabrzmiało, jakby miał na myśli „tak, wiem coś o tym”, a później chrząknął i oznajmił:

– Przyjdźcie do mnie jutro o trzynastej. Adres wyślę SMS-em. Niech pani weźmie rysunki. Podczas wizyty chciałbym zostać z chłopcem sam na sam. Oczywiście będzie pani mogła poczekać w pokoju obok, ale pani obecność w trakcie naszej rozmowy nie jest wskazana.

– Dlaczego?

– W wiadomości wspomniała pani, że niewidzialny przyjaciel ma panią za kłamczuchę, nie lubi pani i denerwuje się, gdy pani o niego wypytuje. To chyba dość zrozumiałe, czyż nie?

– Chyba tak – stwierdziła. – Muszę przyznać, że jak na człowieka pod wpływem alkoholu myśli pan całkiem trzeźwo.

– Zbyt łatwo ulega pani pozorom. W trakcie naszej rozmowy wypilem dwie pięćdziesiątki bourbona. A kiedy tylko skończymy tę zdecydowanie zbyt długą i nieco już nużącą pogawędkę, udam się do piwniczki po nową butelkę.

– Nie chciałabym tylko, żeby jutro...

– Proszę sobie darować, jestem profesjonalistą. Niczego w życiu nie traktuję tak poważnie jak pracy. Ku niezadowoleniu mojej byłej żony – dodał z przekąsem. – Będę gotowy o trzynastej.

Kiedy odłożył słuchawkę, Julia uśmiechnęła się do swojego odbicia w szybie. Przez wiele lat przyjmowała od życia to, co ono dla niej miało, ale niedawno postanowiła, że zacznie sięgać po to, czego chce i co się jej należało.

Maj 1996

W mieszkaniu na pierwszym piętrze panował bezruch. Cisza i ciemność otulały wnętrze ciasnym kokonem. Jakub delikatnie domknął drzwi wejściowe, po czym ściągnął buty i zaniepokojony ruszył do sypialni córki.

– Hela? – zapytał szeptem, wtykając głowę do jej pokoju.

Dziewczyna leżała na łóżku w tej samej pozycji, w której ją zostawił. Zwinięta w kłębek, zwrócona twarzą do okna, przez które do środka wpadała miękka, złota poświata.

Odetchnął z ulgą, pewien, że nastolatka śpi, i wycofał się bezszelestnie do łazienki. Rozbłyskujące światło żarówki nad lustrem zakłuło go w oczy. Odkręcił kran, a później oparł ręce na umywalce i wpatrywał się w znikający w odpływie strumień. Szum wody go koił, choć nie trwało to długo, bo wkrótce przez szmer zaczęły przebijać się echa głosów. „Uczniowie twierdzą, że pan pił”. „Jak mógł pan być tak skrajnie nieodpowiedzialny?” „Zero przecinek siedem promila?” „Taki przykład daje pan córce?” „Zawieszam pana i składam wniosek o postępowanie dyscyplinarne”. „Szkółka piłkarska też się o tym dowie”. „Miałem pana za porządnego człowieka”.

Ja siebie również, stwierdził gorzko. Być może wszyscy się za takich mamy, do czasu, aż okaże się, że jest inaczej. Dopóki z człowieka nie wyjdzie ta rozczarowująca małość. Ta, która cały czas tam jest, siedzi przyczajona i tylko czeka na odpowiedni moment, by wystawić swój ohydny łeb.

Jakub uniósł wzrok i spojrzał na siebie w odbiciu. Dolna warga drżała, spocone włosy przykleiły się do czoła, a pod nosem widniały ślady zaschniętej krwi po starciu z ojcem ucznia. Nabrał wody w ręce, tę zdrową i tę spuchniętą, która stała się fioletowa jak dojrzała śliwka, i umył twarz. Dłoń uporczywie dawała o sobie znać, ale był to ten rodzaj bólu, z którym można żyć, w przeciwieństwie do tego drugiego, który płynął żyłami i zatruchiwał go całego.

Co teraz będzie? – myślał, zmierzając do kuchni. Otworzył lodówkę, w której cztery gołąbki wyjęte rano z zamrażalnika nadal leżały nietknięte na porcelanowym talerzu. Powiódł spojrzeniem po pustej suszarce do naczyń, czystym zlewie i czajniku stojącym na kuchence dokładnie tak, jak go zostawił. Wtedy zrozumiał, że odkąd wyszedł, Hela nie podniosła się z łóżka.

Pełen obaw pobiegł do niej. Trwała nieruchomo na posłaniu niczym figura z wosku. Strach ścisnął jego płuca. A co, jeśli coś sobie zrobiła? Jak mógł być tak głupi i zostawić ją na tyle godzin?

Doskoczył do córki, pociągnął ją za ramię, a kiedy odwróciła się na plecy, zobaczył, że jej otwarte oczy patrzą na niego z obojętnością. Nagle zamrugowała. Dopiero wtedy Jakub opadł na dywan z długim westchnieniem ulgi.

– Myślałem, że... – Nie skończył, bo to, co miał do powiedzenia, utknęło mu w gardle.

Chwycił jej dłoń i w emocjach ugniatał ją jak ciasto. Z jego ust wylewał się potok słów:

– Przepraszam, że tak długo mnie nie było. Jak ci minął dzień? Nie jesteś głodna? Musisz jeść, żeby odzyskać siły. Dobrze by ci zrobiło świeże powietrze, może pójdziemy na spacer? – proponował, gorączkowo próbując przywołać pozory normalności.

Starał się nie dopuszczać do siebie tej rozdzierającej myśli, że choć jego córka nie umarła, to przestała żyć.

Z ust Heli wypłynęło ciche „nie”, po którym obróciła się na bok i na powrót utkwiała wzrok w ścianie. Jakub zmiął w palcach pościel. Musiał coś zrobić. Nie mógł tak beczynn timerzeć, jak jego córka znika. Rozpaczliwie wertował wspomnienia, szukając tego, w którym Hela była najbardziej szczęśliwa. I w końcu je odnalazł.

W jego spojrzeniu załśnił nowy blask. Zerwał się na równe nogi.

– Zaczekaj na mnie, za chwilę wracam – rzucił, a potem chwycił wiszący na haczyku pęk kluczy, włożył buty i zbiegł do piwnicy.

Na dole uderzył go smród kociego moczu i zapach stęchlizny. Otworzył pordzewiałą kłódkę i pociągnął drzwi zbite z desek oraz dykty. Stare zawiasy skrzypnęły. Nauczyciel po omacku odszukał włącznik ukryty nad półką wypełnioną słoikami, a gdy go nacisnął, wąskie pomieszczenie załało światło.

Pomarańczowy rower Wigry trzy stał oparty o betonową ścianę. Na ramie widniał namalowany dziecięcą ręką piorun. Ile miała wtedy lat? Chyba sześć. Piszcziała z zachwyty, gdy wioził ją na siodełku. Im szybciej pedałowal, tym głośniej krzyczała. A kiedy wrócili do domu, ochrzciła pojazd Błyskawicą.

Jakub sprawdził, czy koła są dostatecznie napompowane, po czym otarł dłonią przykurzone siodełko i po raz pierwszy tego dnia poczuł nieśmiało zadowolenie.

Z zapalem, zapominając o obolałej dłoni, złapał jednoślad i wtargał go na parter. To była ta łatwiejsza część. Nie wiedział, czy zdoła nakłonić Helę do przejażdżki, ale uznał, że jeśli nie spróbuje, to wkrótce oszaleje.

– Córca... – zaczął delikatnie, kładąc rękę na jej ramieniu. – Poproszę cię, żebyś wstała, chcę cię gdzieś zabrać.

– Nie mam siły – wymamrotała i jeszcze mocniej zwinęła się w kłębek.

Zakładał, że tak będzie. Nabrał tchu i spróbował ponownie, siłąc się na entuzjastyczny ton.

– Przytaszczyłem Błyskawicę z piwnicy. Czeka na parterze.

– Jedź sam.

Stęknął zawiedziony.

– Oj, Hela, nie każ mi błagać. Pojeżdżamy z tej górki przy myjni samochodowej, a później zabiorę cię na zapiekankę do budki u Joli. Tylko ty i ja. Będzie jak dawniej, zobaczysz.

Dziewczyna spojrzała na niego smutno spod opuchniętych powiek.

– Nigdy już nie będzie jak dawniej – mruknęła.

Wiedział o tym, ale w tym momencie nie chciał tego słyszeć. Czara goryczy gdzieś w nim się przelała. Poderwał się i doskoczył do okna, po czym zaczął wściekle szarpać zasłony.

– Nie no, jasne, najlepiej od razu zrobimy z tego pokoju grobowiec, skoro zamierzasz tu umrzeć – wykrzykiwał rozeźlony, tarmosząc kotary. – Po co w ogóle próbować, jeśli można się poddać? Leż tu i gnij. Nie jedz, nie wstawaj. Masz rację, to nie ma sensu.

Córka obserwowała z przestachem Jakuba chodzącego po pokoju. Wnętrze rozjaśniała już tylko blada poświata z korytarza, przez co cień ojca, który migotał na ścianach sypialni, miał w sobie coś demonicznego.

– No co tak patrzysz? Przecież sama tego chciałaś. – Gestykulował nerwowo, nie panując ani nad swoim tonem, ani nad głośnością wyrzucanych słów. – Całe szczęście, że mama już odeszła. Pękłoby jej serce, gdyby widziała, jak łatwo rezygnujesz z życia. Ona dla ciebie trzymała się go pazurami, pamiętasz? Przechodziła te wszystkie eksperymentalne terapie tylko po to, by spędzić z tobą choć dzień dłużej.

– Przestań – fuknęła Hela przez zęby. – To nie fair.

Zdawał sobie z tego sprawę, a jednak nie potrafił się zatrzymać.

– Co jest nie fair? – ryknął. – To, że córka, dla której dałbym sobie wyrwać serce, chce się zabić?

– To nie ja chcę się zabić, to oni mnie zniszczyli – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Mnie już nie ma, rozumiesz?

Jakub zamaszystym gestem zrzucił z biurka pojemnik na długopisy. Kolorowe pisaki, ołówki i flamastry rozsypały się z łoskotem po podłodze.

– Bzdura! – zagrzemiał. – Po prostu decydujesz, by to, co się stało, cię zniszczyło. Dajesz im dokładnie to, czego chcieli. – Nerwowo wymachiwał rękami. – Myślisz, że ja nie cierpię? Że nie mam ochoty rozerwać ich na kawałki? Na niczym bardziej mi nie zależy. Zrobiłbym dla ciebie wszystko, a ty mi mówisz, że wypisujesz się z życia i zostawiasz mnie samego? Bo cię już nie ma? – Podniósł głos.

Podszedł do córki, szarpnął ją za rękę i przyłożył dłoń dziewczyny do jej klatki piersiowej, po czym przytrzymał ją tam na siłę.

– Czujesz, jak bije? To przestań pierdolić, że cię nie ma – rzucił rozgoryczony, po czym puścił Helę, osunął się na dywan i chowając twarz w dłoniach, zaczął szlochać.

Dziewczyna podciągnęła kolana do brody i objęła je rękoma. Przez chwilę patrzyła na drgające od płaczu ramiona ojca, a potem odwróciła głowę, wbiła spojrzenie w swoje skarpetki i zaczęła popadać w apatię. Jakub siąknął nosem, otarł wilgoć palcami i odchrząknął.

– Przepraszam – powiedział zduszonym głosem ni to do córki, ni to do siebie, a po chwili dodał: – Wiesz, że nadal jest na nim ten piorun, który narysowałaś, mając sześć lat? Pamiętasz?

– Nie – odparła beznamiętnie, jakby pytał ją o coś nieznaczącego.

Sprawiała wrażenie zawieszonyj między światami. Z przymglonym wzrokiem, spowolnionymi ruchami i nieobecnyj wyrazem twarzy. Ten widok ranił jej ojca. Podniósł się z dywanu, otrzepał spodnie i już miał zmierzać do wyjścia, gdy postanowił podjąć ostatnią próbę. Wyciągnął do niej dłoń.

– Chodź, pokażę ci. Może wtedy sobie przypominisz.

Nastolatka trwała w otępieniu, nie zwracając na niego uwagi. Zacisnął powieki, a następnie głośno wciągnął powietrze w nozdrza, pewien, że stracił ją bezpowrotnie, i właśnie wtedy, w tym momencie zwątpienia, poczuł wiotkie palce córki w swoich.

Uśmiechnął się. Nieśmiało, jakby w obawie, że Hela mogłaby się rozmyślić. Wziął ją pod ramię i sprowadził na parter.

Dziewczyna kucnęła przy Błyskawicy, dotykając opuszką malunku na ramie. Milcząco wpatrywała się w ten ślad z przeszłości, nie zdradzając, czy budzi w niej jakiekolwiek wspomnienia. Jakub tymczasem zdjął bluzę, złożył ją w prostokąt i umieścił na bagażniku, by zapewnić córce komfortową przejażdżkę.

– Chodźmy – zaproponował, chwytając rower. Wyprowadził go przed klatkę, a później usiadł na siodelku i czekał, aż Hela zajmie swoje miejsce. – Wskakuj – zachęcił.

Nastolatka niepewnie rozejrzała się wokół. Nad nimi wisiało atramentowe niebo. Dziewczyna skuliła się z obawą.

– Będę cały czas przy tobie – zapewnił łagodnie. – Nic ci nie grozi.

Skinęła głową i dołączyła do niego. Był tak szczęśliwy, że nie potrafił przestać rozciągać ust w szerokim uśmiechu. Rower trzeszczał pod ich ciężarem, a on czuł ręce Heli, które kurczowo obejmowały go w pasie, i miał ochotę nieustannie pobrzękiwać dzwonkiem, by obwieszczać światu, że oto jedzie na rowerze z córką.

Pęd powietrza uderzał ich twarze, szarpał włosy, a z oczu wyciskał łzy, gdy Jakub coraz mocniej pedałował. Mijając puste place zabaw, skwery oraz parkingi, czuł pęczniejącą w brzuchu nadzieję, że być może to jeszcze nie koniec. Że zdoła uratować i ją, i siebie. Że ich ocali.

I wtedy stało się coś dziwnego. Z pobliskiego śmietnika na chodnik wytoczył się kulawy mężczyzna, taszczyący siatkę z puszkami. Miał na sobie brudny, rozciągnięty sweter, dziurawe buty i przyciśniętą do ciała, nieruchomą prawą rękę, która wyglądała na mniejszą i krótszą niż lewa. Jakub rozpoznał w nim miejscowego pijaczka, którego lokalni nazywali Rączką. Krążyły legendy, jakoby jego niepełnosprawność była karą bożą za zuchwałą kradzież w młodości, lecz nikt tak naprawdę nie wiedział, ile w tym prawdy, a ile zmyślenia. Pewne było natomiast, że Rączka nie wadził nikomu. Snuł się po Milanówku, dokarmiał koty, czasem zagadał, innym razem zażartował, zwykle jednak zapamiętałe zbierał puszki. To one były sensem jego życia. Sprzedawał je później w skupie, by zarobić na komandosa czy inne tanie wino, które czyniło egzystencję bardziej znośną.

Jakub zwolnił, by ominąć człapiącego niepewnym krokiem mężczyznę, gdy usłyszał, jak jego córka mówi:

– To on, to on.

Znał ten szept nabrzmiały od przerażenia. Zaskoczony zatrzymał rower, obejrzał się i wbił spojrzenie w twarz Heli. Ta niewidzącym wzrokiem patrzyła przed siebie, a z jej ust wydobywały się wciąż te same słowa. „To on, to on”.

Znów była tam, w czeluści. Roztrzęsiona i błada. Nauczyciel niemo pokręcił głową, gdy nagle uderzyła go irracjonalna myśl. Wskoczył na siodelko, a później zaczął pedałować, dziko i z furją, czując wczepiające się w koszulkę palce dziewczyny.

Przystanął dopiero przy stacji benzynowej. Zdyszany, z trudem łapał powietrze. Wnętrze CPN-u rozświetlały mocne jarzeniówki, przez co bez trudu mogli obserwować krzątanicę pracowników. Córka Jakuba podążyła wzrokiem w stronę mężczyzny za kontuarem i powiedziała dokładnie to, czego spodziewał się jej ojciec.

– To on, to on.

A później zaczęła krzyczeć.

Julia

Wrzesień 2019

Komórka zadzwoniła, gdy Julia pakowała zakupy do bagażnika. Zanim wygrzebała ją z torebki, osoba po drugiej stronie zdążyła się rozłączyć. Kobieta zerknęła na wyświetlacz i poczuła, jak spinają się jej mięśnie ramion. Telefonowano z przedszkola. Trzy razy. A to nie mogło oznaczać niczego dobrego.

Pospiesznie wsiadła do samochodu i wybrała numer Małych Odkrywców. W jej głowie myśli brzęczały jak pszczoły w roju. Umysł podpowiadał czarne scenariusze. Co mogło się stać? Dochodziła jedenasta, a ona miała odebrać Benia dopiero za dwie godziny. Sygnał oczekiwania na połączenie wwiercał się jej w mózg.

Wbiła wsteczny, a gdy spojrzała w lusterko, dostrzegła twarz, która wydała się jej znajoma. Szczupły mężczyzna w okularach wyszedł ze sklepu i popijając colę, wsiadł do białej astry. Gapiła się na niego, próbując zrozumieć, skąd go kojarzy. I kiedy wreszcie to rozgryzła, w samochodowym głośniku odezwała się nauczycielka z przedszkola.

– Dziękuję, że pani oddzwania – mówiła cicho, starannie dobierając słowa. – Przepraszam, że niepokoję, ale chciałabym poprosić, by przyjechała pani do nas, jak tylko to będzie możliwe.

Gorąco buchnęło Julii w twarz.

– Czy coś się stało Beniowi?

– Nie. Chodzi o to, że pani syn schował się w szopie na zabawki i nie chce nikogo tam wpuścić. Próbowaliśmy z nim rozmawiać, ale gdy tylko ktoś się do niego zbliża, zaczyna krzyczeć. Oczywiście mogłybyśmy wyciągnąć go z domku siłą, ale nie pochwalamy takich rozwiązań. Nie możemy też zostawić go samego, bo odpowiadamy za jego bezpieczeństwo. Dlatego chciałabym poprosić panią o wsparcie.

– Tak, oczywiście. Już jadę. – Wycofując, z nerwów prawie otarła samochód zaparkowany obok. – Wiadomo, dlaczego to zrobił? Pokłócił się z kimś?

– Yyyy... To dość złożona historia. Myślę, że będzie lepiej, gdy porozmawiamy o tym na miejscu.

Julia zmieniła bieg. Czowała, jak krew pulsuje jej w skroniach.

– Jak to „złożona”?

– Wcześniej doszło do pewnego incydentu...

Zdołała usłyszeć tylko część wypowiedzi przedszkolanki, bo gdy nacisnęła pedał gazu, samochód zamiast przed siebie, wyrwał do tyłu, a ona z impetem gruchnęła o białą astrę, która właśnie wytaczała się z parkingu.

– Kurwa mać – przeklęła pod nosem, obserwując w lusterku wstecznym, jak mężczyzna w kraciatej marynarce wysiada z opla i zmierza w jej kierunku.

– Słucham? Wszystko w porządku, pani Haner? – Kobieta na linii sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

Julia wyrzuciła z siebie kolejne, tym razem nieme przekleństwo, zaciskając pięści w powietrzu.

– To nie było do pani, przepraszam. Właśnie zaliczyłam stłuczkę. Przyjadę do państwa najszybciej, jak to możliwe.

Kiedy się rozłączyła, właściciel astry stał obok volvo z miną bulteriera gotowego do szarży. Ręce oparł na biodrach, a jego wzrok ciskał gromy.

Wystarczy, że dobrze to rozegrasz, pomyślała, nabierając tchu, i wysiadła.

– Oczu pani nie ma?! – zaatakował. – Przez panią mam uszkodzony cały reflektor.

– Wiem, przepraszam. Naprawdę nie chciałam. Nie mam pojęcia, jak to się stało. Zdenerwowałam się rozmową i...

Mężczyzna machnął ręką, by ją uciszyć.

– Guzik mnie obchodzi, co pani chciała, a czego pani nie chciała. Za dwadzieścia minut muszę być w pracy. Spiszmy oświadczenie i miejmy to z głowy. Ma pani jakąś kartkę?

– Tak, chyba tak.

Sięgnęła do samochodu po obszerną workowatą torebkę, postawiła ją na masce i zaczęła w niej grzebać jak w wyprzedajowym koszyku.

– Chwileczkę, gdzieś tu powinien być notes. Miałam go na pewno – mamrotała, wyjmując ze środka

kolejne przedmioty.

Wszystko się jej rozsypywało. Wiatr porwał stare paragony, a na asfalt z brzękiem wypadły monety. W zablokowanej uliczce pod galerią zaczął tworzyć się korek. Niektóre samochody trąbiły. Poirytowany właściciel opla dał znać pozostałym kierowcom, by ominęli ich z drugiej strony, a potem schylił się, by podnieść coś, co wyglądem przypominało dezodorant w spreju w czarnej butelce.

– Gaz pieprzowy? – przeczytał głośno. – Jeśli ktoś panią napadnie, to przy takim bałaganie w torebce i tak nie zdąży go pani znaleźć.

Julia wyrwała mężczyźnie przedmiot z ręki i zawstydzona cisnęła go do torebki.

– Proszę – powiedziała, wręczając nieznanemu pomiętą, zadrukowaną z jednej strony kartkę. – To faktura z firmy przeprowadzkowej. Nie jest mi już potrzebna.

Właściciel astry pokręcił głową, ale rozłożył kartkę na masce fał dziewięćdziesiątki, a potem czerwonym długopisem wyjętym z kieszeni marynarki zaczął spisywać oświadczenie. Co chwilę zerkał na wzór, który znalazł w przeglądarce, i kreślił zamaszyste litery. Julia przyglądała mu się z ciekawością, rejestrując modne łąty naszyte na łokciach tweedowej marynarki, elegancką, starannie odprasowaną białą koszulę i przyjemny, a zarazem nienachalny piżmowy zapach wody kolońskiej.

– Jest pan nauczycielem, prawda? – zapytała.

Mężczyzna podniósł na nią zaskoczony wzrok.

– To takie oczywiste?

– Niestety tak. Zdradziła pana ta marynarka i długopisy w kieszeni, zwłaszcza czerwony. – Wskazała pisak, który trzymał w dłoni.

Nieznajomy instynktownie obrzucił spojrzeniem swoją rękę.

– No cóż, rozgryzła mnie pani. – Uśmiechnął się, a ona uznała, że z tym wyrazem twarzy mógłby uchodzić za atrakcyjnego. – Za chwilę mam rozpoczęcie roku szkolnego, dlatego zależy mi na tym, byśmy spisali to oświadczenie jak najszybciej, dobrze? Może ja będę czytał, a pani tylko podyktuje mi swoje dane.

Julia kiwnęła głową.

– Ja, niżej podpisana... – recytował. – Jak się pani nazywa?

– Julia Haner.

Kierowca opla zapisał.

– Zamieszkała w...?

– Grodzisku? – Wzruszyła ramionami.

– Pani mnie pyta, gdzie mieszka? – Popatrzył na nią jak na wariatkę.

– Nie, ale dopiero się tu sprowadziliśmy i nie jestem pewna, jaki powinnam podać adres. Może podyktuję ten z dokumentów – zdecydowała, a później wymieniła kolejno nazwę ulicy, numer mieszkania i serię dowodu osobistego.

Mężczyzna zanotował to wszystko, po czym przeszedł do opisu zdarzenia.

– ...oświadczam, że drugiego września dwa tysiące dziewiętnastego roku w miejscowości Grodzisk Mazowiecki na parkingu pod galerią handlową Grodova, kierując pojazdem marki Volvo fał dziewięćdziesiąt o numerze rejestracyjnym... – Przerwał pisanie, zerknął na rejestrację i uzupełnił dane w oświadczeniu. – ...którego właścicielem jest?

– Nadal mój mąż – oparła Julia ze smutkiem.

Nauczyciel zmarszczył czoło.

– Potrzebne mi jego imię i nazwisko.

– Adam Haner – powiedziała.

Właściciel astry przyłożył długopis do kartki i zastygł, jakby nagle zdał sobie z czegoś sprawę.

– Adam Haner? Pochodzący z Grodziska? – dopytywał.

Julia potwierdziła.

– Kojarzy go pan? Mąż dorastał tutaj, wyjechał dopiero jakoś po maturze. Zmarł dwa miesiące temu, a ja nie miałam siły, by przerejestrować samochód. Szczerze mówiąc, w całym tym zamieszaniu związanym z jego pogrzebem i przeprowadzką tutaj zapomniałam, że w ogóle powinnam to zrobić.

– Rety, nie wiedziałem. Bardzo współczuję. Przyjaźniliśmy się z Adamem w liceum. – Mężczyzna pokręcił głową z niedowierzaniem. – Przepraszam, po prostu jestem w szoku. Byliśmy ze sobą naprawdę zżyci.

Julia, nie chcąc dłużej rozmawiać o mężu, wymownie spojrzała na niedokończone oświadczenie.

– Mamy już wszystko?

– Jeszcze tylko dane polisy ubezpieczeniowej, numer pani prawa jazdy i podpis.

Wyjęła z torebki sporych rozmiarów portfel i zaczęła niecierpliwie przeglądać jego zawartość. Mężczyzna rzucił okiem na zegarek, nerwowo stukając w tarczę.

– Właściwie to może podjadę do pani po południu i usiądziemy do tego na spokojnie? Pani znajdzie dokumenty, a ja nie spóźnię się na inaugurację.

– W porządku, ja, szczerze mówiąc, też muszę pędzić do przedszkola po syna. Mieszkamy w domu rodziców Adama. Trafi pan?

– Bez problemu, dawniej często tam bywałem. – Ruszył w stronę swojego samochodu, ale w połowie drogi przystanął i objął ją spojrzeniem pełnym współczucia. – Przepraszam, że tak na panią naskoczyłem. Zachowałem się jak idiota. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co pani przeżyła.

– Jak to było? – W zamyśleniu zmrużyła oczy. – „Każdy, kogo spotykasz, toczy bitwę, o której nic nie wiesz” – powiedziała. – Czasami ten cytat pomaga mi zrozumieć innych. A niekiedy nawet on nic nie daje.

Mężczyzna uśmiechnął się gorzko, a potem nagle, jakby ocknął się z letargu, wyciągnął do niej dłoń.

– Witek Lazar. – Uścisnął jej rękę.

Kusiło ją, by powiedzieć „wiem”, ale uznała, że na to przyjdzie jeszcze pora.

Maj 1996

Sebastian Cichecki nie nauczył się w poprawczaku wielu pożytecznych rzeczy, ale jedną z nabytych tam umiejętności wyszlifował na błysk. Zdolność do odnajdywania słabych punktów swoich nieprzyjaciół i wykorzystywania ich przeciwko nim. Wiedział, że jeśli ktoś mu zagraża, to musi tę osobę wyeliminować z gry. Najlepiej tak, by nikt nigdy się nie domyślił, że miał z tym cokolwiek wspólnego.

Słabym punktem Szajby była sędzia rodzinna Barbara Małecka. Chłopak żywił do tej kobiety nieskrywaną nienawiść za to, że dwukrotnie umieściła go w zakładzie poprawczym. Było to uczucie tak silne, że ilekroć Wiktor Szajbiński natykał się na sędziego, dawał upust swojej wrogości. Robił to w sposób perfidny, tak by nie mogła pociągnąć go do odpowiedzialności, a jednocześnie by smagnięcie zapiekło ją do głębi. Potrącił psa Małeckiej, wymazał drzwi jej mieszkania ekskrementami, a kiedyś na ścianie w toalecie jednej z lokalnych mordowni napisał jej numer telefonu, obok umieszczając kuszący anons, który sprawił, że do kobiety nocami wydzwaniali pijani mężczyźni.

Cichy nie zamierzał poświęcać specjalnej uwagi skomplikowanej relacji Szajby i sędzi Małeckiej, ale los sprawił, że kiedy rano wyskoczył do sklepika na rogu po drożdżówkę dla siostry, ulicą przejeżdżała właśnie pani Barbara w swoim nowym, błyszczącym bmw. Słońce odbijało się od karoserii, koła miękko sunęły po asfalcie, a wyprostowana za kierownicą kobieta uśmiechała się do przechodniów.

Jej dobry nastrój nie trwał jednak wiecznie i prysł, gdy na przejściu dla pieszych pojawił się Wiktor Szajbiński. Chłopak początkowo nie zauważył Małeckiej. Zajęty rozmową z wytatuowanym kumplem, już prawie minął samochód sędzi, kiedy jego kompan wskazał palcem bajerancką furę. Wystarczyła sekunda, by Szajba dostrzegł, kto zajmuje fotel kierowcy. Zatrzymał się na środku ulicy, dokładnie przed bmw. Jego twarz przeciął kpiący uśmiezek. Oparł dłonie o karoserię, nachylił się nad maską i zaczął ją lizać, jakby to była kobieta z rozchylonymi udami.

Barbara Małecka, zniesmaczona i zeszywniała ze strachu, zatrąbiła, a wtedy Szajbiński posłał jej całusa, po którym wybuchł szyderczym śmiechem. Sędzia wściekle naciskała klakson, lecz chłopak nie zamierzał odejść. W końcu wrzuciła wsteczny, ominęła natręta szerokim łukiem i odjechała w pośpiechu.

To właśnie wtedy Sebastian Cichecki wpadł na pomysł, który miał mu pomóc pozbyć się Szajbińskiego. Planował wybić szybę w samochodzie Małeckiej i zapęchnić pachnącą nowością wewnątrz bmw psimi odchodami zebranych na osiedlu. Przygotowywał się do swojego występku pieczołowicie przez całe popołudnie, a gdy nad miastem zaczął zapadać zmrok, uzbrojony w łom i ciężkie od psiego gówna pudełko po butach ruszył na poszukiwanie samochodu kobiety.

Nie mógł wykonać swojego planu pod gmachem sądu ani na parkingu przed sklepem spożywczym, ponieważ natychmiast zostałby zauważony. Śledził więc sędziego na wysłużonym rowerze ojca, podążając jej codzienną trasą, a kiedy skręciła w stronę osiedla, na którym mieszkała, zrozumiał, że nie pójdzie mu tak łatwo, jak zakładał. Traf jednak chciał inaczej, ponieważ Barbara Małecka niepostrzeżenie zaparkowała w ciemnej uliczce nieopodal parku i z naręczem dokumentów udała się do piętrowego domu o zdobnych drewnianych okiennicach.

Cichy nie tracił czasu. Porzucił rower w krzakach, rozpiął suwak plecaka i wyjął z niego karton o cuchnącej zawartości. Skrzywił się z obrzydzeniem, a później sięgnął do kieszeni po coś specjalnego. Obracał w palcach niewielką petardę i zastanawiał się, czy to aby nie przesada. Nie chciał wysadzić samochodu, zależało mu tylko na tym, by zniszczyć wnętrze i wykręcić numer w stylu Szajby, by to na niego skierować podejrzenia. Za coś takiego Szajbiński musiałby odpowiedzieć przed sądem. I choć nie było pewności, czy Barbara Małecka zdołałaby udowodnić mu winę, istniało prawdopodobieństwo, że wściekłaby się na tyle, by mocno uprzykrzyć chłopakowi życie.

Sebastian raz jeszcze spojrzął na petardę, po czym ścisnął ją w dłoni, chwycił łom i z pudełkiem podbiegł do tylnych drzwi bmw. Musiał działać szybko. Przykucnąwszy przy nadkolu, rozejrzał się z niepokojem, nasunął czapkę z daszkiem głębiej na oczy i wetknął fajerwerk w stos psich odchodów. Ręce mu drżały, oddech się skrócił. Co, jeśli go przyłapią?

Rzucił okiem na pogrążony w ciemności budynek po drugiej stronie ulicy, a później złapał łom i uderzył. Nie w środek szyby, bo tam ona sprężynuje, tylko przy krawędzi, tak jak to robili jego dawni koledzy. Raz i drugi. Szkło posypało się z trzaskiem, pękając na setki drobnych kawałków. Donośne wycie alarmu na ułamek sekundy sparaliżowało Cichego, a po jego plecach spłynęła struga potu. Ocknij się, do jasnej cholery,

strofował się. Roztrzęsiony podpałił lont petardy, po czym zakrył karton pokrywą, wepchnął pakunek do auta i ruszył do ucieczki.

Kiedy wrócił do domu, ubranie kleiło się do jego ciała, a otarcia na kolanach i łokciach piekły po tym, jak pędząc na rowerze, wyrzynał na nierównym chodniku. Jednak mimo tych obrażeń i rozdartych dresów czuł radość. Taką, od której człowiek śmieje się w głos i której nie potrafi okiełznać. Wypełniająca od palców stóp aż po koniuszki włosów.

Wyczerpany usiadł na wycieraczce pod drzwiami swojego mieszkania i zaczął przetrząsać plecak w poszukiwaniu klucza. Nie miał go na szyi ani w kieszeni, przez co zmartwił się, że przypadkiem zgubił go gdzieś przy samochodzie Małeckiej. Nie rozumiał też, dlaczego o tej porze jego rodziców nie ma jeszcze w domu, ale pomyślał, że może poszli do kościoła na jakąś wieczorną mszę za babcię czy coś podobnego.

To, jak bardzo był w błędzie, zrozumiał, gdy uchyliły się drzwi po drugiej stronie korytarza, a zza nich wyjrzał łysawy staruszek i trzęsącym się głosem powiedział:

– Do szpitala pojechali.

Sebastian poczuł, jak wszystko w nim tężeje.

– Do szpitala? Ale po co?

– Wypadek był – wyjaśnił sąsiad, pocierając dłonie naznaczone brązowymi plamami. – Matka prosiła, żeby panu przekazać.

– Chodzi o ojca? Coś na budowie?

Staruszek odwrócił wzrok, podrapał zwiotczały policzek i półgębkiem rzucił:

– Ja nic nie wiem. Niech pan tam leci, do Zachodniego, to matka wszystko opowie.

Cichy chciał jeszcze o coś spytać, ale mężczyzna zatrzasnął drzwi i zaryglował zamki. Chłopak podniósł się, zarzucił plecak na ramię i nagle zdał sobie sprawę, że nie może złapać tchu. Dławił go strach, tak silny, że aż kręciło mu się w głowie.

Na klatce schodowej zgasło światło. Z mieszkań wydobywały się przytłumione odgłosy rozmów i grających telewizorów. Sebastian oparł dłoń na poręczy, pewien, że staruszek wiedział coś strasznego, czego nie potrafił mu przekazać. To wtedy Cichy w myślach sformułował prośbę, której od razu się zawstydział.

By jeśli ktoś miał umrzeć, to niech to będzie jego ojciec.

Julia

Wrzesień 2019

Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio złamała tyle przepisów, i to w ciągu kwadransa. Gdy dojechała do przedszkola, miała na koncie dwa mocno pomarańczowe światła, wymuszenie pierwszeństwa i zdjęcie z fotoradaru. Do tego kołatanie serca oraz bluzkę moką pod pachami. Wypadła z samochodu, po czym minawszy w furtce kuriera, wśliznęła się za bramę Małych Odkrywców i weszła do budynku.

– Przepraszam, że to tyle trwało – wysapała, gdy przy drzwiach natrafiła na jedną z nauczycielek. – Gdzie jest mój syn?

Musiała wyglądać nie najlepiej, ponieważ młoda kobieta o złotych, falujących włosach obrzuciła ją protekcyjnym spojrzeniem.

– Niestety nadal siedzi w szopie. Próbowaliśmy go zachęcić do wspólnych aktywności, ale za każdym razem kończyło się na krzyku. – Bezradnie rozłożyła ręce. – Jest przy nim pani Anna, to ona do pani dzwoniła. Została tam, by mieć na niego oko i by nie czuł się odrzucony.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego do tego doszło. To zupełnie nie w jego stylu. Pani koleżanka wspominała przez telefon o jakimś incydencie, ale nie zdążyła mi wyjaśnić, co się właściwie wydarzyło. Może pani byłaby w stanie pomóc?

Nauczycielka speszona kucnęła i z nadmiernym zaangażowaniem skupiła się na poprawianiu leżącego krzywo chodnika.

– Lepiej będzie, gdy porozmawia pani bezpośrednio z Anną. Nie było mnie w ogrodzie, gdy do tego doszło.

– Ale do czego?!

– Anna wszystko pani wytłumaczy – powtórzyła nauczycielka niczym zdarta płyta. – Proszę wyjść przez taras – wskazała uchylone drzwi balkonowe – i skręcić w lewo za budynek. Czeka tam na panią. A ja przepraszam, ale muszę bieć do dzieci. Po tym, co się stało, wszystkie są nieco poruszone.

W głowie Julii rozwyły się ogłuszające syreny alarmowe. Szła wąską, wyłożoną kamieniem ścieżką, mając poczucie, że lada chwila ziemia rozstąpi się pod nią, a ona wpadnie do tej wyrwy bez dna i po wieki wieków będzie spadać. Za karę. Za to, że nie była wystarczająco dobrą matką.

Wiatr pchnął pod jej stopy nadpalone serce wycięte z papieru, na którym widniał rysunek mamy i taty trzymających za ręce radosną jasnowłosą dziewczynkę. Szczęśliwa rodzina, pomyślała z ukłuciem zazdrości.

Przedszkolanka siedząca na porośniętym trawą pagórku na widok Julii poderwała się na nogi. Mięśnie ukryte pod rumianymi jak świeżo wypieczone bułeczki policzkami drgnęły, a na dekolcie kobiety wykwitły czerwone plamy. Płochliwość w jej gestach sugerowała, że należała do tego typu osób, które popchnięte w tłumie, gotowe były prędzej przeprosić agresora niż zwrócić mu uwagę.

Julia omiotła wzrokiem drewniany domek na narzędzia i zabawki. Jego drzwi pozostawały zamknięte, a w wyciętych po obu stronach okiennicach tańczyły białe firanki, szarpane podmuchami wiatru.

– Mogę z nim porozmawiać? – zapytała, wskazując na szopę.

– Bardzo proszę. Mam nadzieję, że pani obecność pomoże. Naprawdę próbowaliśmy już wszystkiego.

Julia zapukała do drzwi, a wtedy ze środka dobiegło gromkie:

– Nie!

Wymieniły z przedszkolanką spojrzenia.

– Kochanie, to ja, mama. Chciałabym cię przytulić, ale trudno będzie mi to zrobić, kiedy dzielą nas drzwi. Czy mogę wejść do środka?

– Nie!

Zaskoczona zmarszczyła brwi. Skoro odmawiał nawet jej, to albo narozrabiał i wstydził się tego, co zrobił, albo ktoś zranił go na tyle mocno, że obraził się na cały świat. Łącznie z nią.

– Pamiętasz tę książkę o zmartwieniu? – nie poddawała się. – Kiedy dusisz je w sobie, rośnie i staje się coraz silniejsze, ale gdy się nim z kimś podzielisz, zaczyna maleć, aż w końcu znika.

– I tak mi nie uwierzysz – burknął. – Nikt mi nie wierzy.

– W co miałabym uwierzyć, Beniu?

– Że to nie ja podpaliłem chatkę przy piaskownicy.

Serce w piersi Julii przeszył bolesny skurcz. Popatrzyła na nauczycielkę z wyrzutem.

– O czym on mówi?

Kobieta nabrała tchu i wyłamując sobie palce, ściszone głosem, jakby nie chciała, by ktokolwiek poza nimi dwiema usłyszał szczegóły rozmowy, wyjaśniła:

– Ktoś podpalił girlandę z papierowych serduszek wiszącą na ścianach chatki. Gdybyśmy nie zauważyły tego w porę, mogłoby dojść do tragedii, ale na szczęście skończyło się tylko na strachu i kilku nadpalonych deskach.

Oczy Julii ze zdziwienia stały się okrągłe jak pięciozłotówki.

– Ale co ma z tym wspólnego mój syn?

– Jedno z dzieci widziało, jak w ogrodzie z kieszeni wypadła mu zapalniczka.

– To jakaś bzdura. Beniamin wie, że nie wolno mu się bawić ogniem. Zresztą nikt w naszym domu nie pali, skąd miałby ją wziąć?

Już nie pali, poprawiła się w myślach, przypominając sobie te nieliczne sytuacje, gdy Adam zasiadał na tarasie ich warszawskiego mieszkania ze szklaneczką whisky i cygarem, by w oparach dymu znaleźć remedium na problemy zawodowe.

– Pani Julio, wiem, że to nie jest dla was łatwy czas. Zapewniam panią, że wszyscy tutaj otaczamy Benia ogromnym wsparciem i że dzisiejszy incydent absolutnie na to nie wpłynie, a jeśli już, to tylko w taki sposób, że poświęcimy mu jeszcze więcej uwagi i troski. – Kobieta położyła dłoń na ramieniu Julii, ale chłodny wzrok matki sprawił, że natychmiast ją cofnęła. – Poza chłopcem, który widział zapalniczkę, dzieci nie domyślają się, by pani syn miał cokolwiek wspólnego z pożarem. Nie zamierzamy go stygmatyzować, a całą sprawę postaramy się zachować w dyskrekcji.

Julia, której wargi od zaciskania stały się białe, nie wytrzymała i w końcu wybuchła.

– Niby jak?! – warknęła. – Przecież ten chłopiec przy pierwszej nadarzającej się okazji opowie o zapalniczce wszystkim kolegom, a później pochwali się swoim odkryciem w domu. Zanim się obejrzyicie, pod furtką będzie stała przestraszona i wściekła armia rodziców, domagająca się wyjaśnień. Jak wtedy będzie wyglądała ta wasza dyskrekcja? Nie mówiąc już o tym, że oskarżacie mojego syna tylko na podstawie słów innego dziecka. Skąd w ogóle wiecie, że to nie tamten chłopiec podpalił chatkę?

Nauczycielka bez słowa sięgnęła do kieszeni spodni i wyjęła z niej niewielki srebrny przedmiot, który położyła na otwartej dłoni. Julia rozpoznała go natychmiast. Grawerowane inicjały A.H. kłuły ją w oczy jak ostre promienie słońca.

– Beniamin miał ją ze sobą, gdy wrócił z ogrodu. Powiedział, że należała do jego taty.

– To jeszcze o niczym nie świadczy – broniła się Julia, coraz ciaśniej obejmując ciało ramionami, tak że fiszbiny biustonosza wbijały się jej w żebra. – To, że ją miał, nie znaczy, że jej użył. Na litość boską! Mógł ją przecież pożyczyć innym dzieciom i bawić się razem z nimi.

– Pani Julio, jestem pewna, że Beniamin to wspaniały chłopiec, ale potrzebuje więcej...

Matka Benia przerwała jej gestem.

– Proszę nie mówić mi, czego potrzebuje moje dziecko.

– ...czasu – dokończyła łagodnie przedszkolanka. – Potrzebuje czasu, by się z tym wszystkim uporać. Podobnie jak pani.

Jej wyrozumiałość i ciepło w ułamku sekundy roztrzaskały tamę, którą Julia tak pieczołowicie budowała przez ostatnie dwa miesiące. Udało się jej niemal uwierzyć, że zdoła zamknąć smutek po tej niewidocznej dla świata stronie, a teraz żal zaczął się przelewać przez nią jak wzburzona rzeka. Nie była w stanie go dłużej kontrolować. Z jej oczu popłynęły łzy. Zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu chusteczki, gdy otoczyły ją miękkie ramiona nauczycielki.

– Nie musi być pani taka dzielna – szepnęła do niej kobieta. – Czasami trzeba się rozpaść, by potem móc poskładać się na nowo.

Julia pociągnęła nosem.

– Niech już pani przestanie, bo będę tu ryczeć do wieczora – zaśmiała się, odreagowując napięcie, a później starła z twarzy wilgoć i westchnęła. – To co teraz będzie?

– Musimy wyciągnąć stamtąd tego małego człowieka. – Anna wskazała na szopę, od której dzieliło je kilka kroków.

Julia tym razem podeszła od strony okna. Kiedy zajrzała do środka, Benio siedział na podłodze ze

skrzyżowanymi nogami i patykiem w dłoni. Uderzał nim wściekle o deski, jakby to one były winne jego nieszczęścia.

– Puk, puk – powiedziała.

Chłopiec obrócił twarz w kierunku, z którego dochodził głos. Miał naburmuszoną minę, a na brudnej twarzy widniały ślady po łzach.

– To nie ja, mamó.

– Już dobrze, synku. Zabiorę cię do domu. Tylko my dwoje, pamiętasz?

Przez okienną ramę włożyła rękę do domku, wyciągając palce w stronę dziecka. Chłopiec chwycił jej dłoń, a po chwili wybiegł z szopy i wtulił się w matkę. Zachłannie i mocno. Szlochał tak przejmująco, że nawet przedszkolanka nie potrafiła powstrzymać wzruszenia. Kiedy w końcu ochłonął, przypomniał sobie o zostawionej w szatni maskotce.

– Mój miś! – zawołał. – Na pewno się o mnie martwi.

Nim Julia zdążyła zareagować, chłopiec pobiegł po przytulankę, a ona i nauczycielka ruszyły wolnym krokiem w stronę budynku. Ich twarze przepełniała ulga. Napięte mięśnie się rozluźniły, oczy pojaśniały.

Nagle jednak Julia przystanąła, z niepokojem drapiąc bliznę za uchem.

– Co będzie, jeśli chłopiec, który widział zapalniczkę, rozpowie wszystkim o Beniu?

– Nie robi tego.

– Skąd ta pewność?

– Bo to mój syn. Zakazałam mu o tym mówić pod groźbą odcięcia od bajek i słodczy. – Kobieta puściła do Julii oko. – Żartuję. Po prostu wytłumaczyłam mu, że tata Benia zmarł nagle i że minie jeszcze trochę czasu, zanim ta rana się zagoi. Myślę, że zrozumiał, Leon to mądry chłopiec.

Wdzięczność wypełniła Julię przyjemnym ciepłem.

– Możemy mówić sobie po imieniu? – Wyciągnęła rękę do przedszkolanki, która jak przypuszczała, była od niej starsza ledwie o kilka lat.

– Anna – powiedziała tamta. – Gdybyś chciała kiedyś porozmawiać o dzieciach albo o czymkolwiek, wpadnij do mnie. Mieszkam przy tartaku, obok fabryki mebli Molenda.

– No proszę, zamówiłam tam łóżko dla Benia.

– W takim razie sugeruję raz na jakiś czas zadzwonić do biura i delikatnie się przypomnieć. Nie zrozum mnie źle, mój mąż to świetny fachowiec, ale bierze na siebie za dużo, a później przez to zawala terminy. Kłątwa perfekcjonisty. – Roześmiała się.

Julia odwzajemniła uśmiech. Od strony przedszkola nadbiegł właśnie Beniamin ściskający w ramionach maskotkę.

– Chodźmy już! – Pociągnął matkę za rękę, a ta pomachała do nauczycielki i razem z synem wyszli z przedszkola.

Wiedziała, że musi z nim porozmawiać o tym, co się stało, ale odłożyła to na później, by nie psuć jednej z nielicznych dobrych chwil w ostatnim czasie. Volvo sunęło miękko przez miasto, a oni słuchali ulubionej playlisty, którą ułożyli wspólnie na YouTube. Z głośników płynęła właśnie *Señorita* Camilli Cabello, jedna z tych piosenek, przy których człowiek zaczyna się łudzić, że wszystko, co w życiu pogięte, uda się jeszcze naprostować, gdy siedzący w foteliku na tylnej kanapie sześciolatek powiedział:

– Prosiłem go, żeby nie podpalał tych serduszek, ale on mnie nie słuchał. Tak jak wtedy, gdy zabrał wózek z Lilianą.

Julia nieświadomie zdjęła nogę z gazu. We wstecznym lusterku widziała zamyśloną twarz swojego syna, który patrzył za okno. Nie docierały już do niej dźwięki muzyki ani odgłosy klaksonów zablokowanych przez volvo samochodów.

Był tylko strach. Wślizgujący się pod ubranie jak wąż o wilgotnej skórze.

Maj 1996

Sebastian rzucił rower na parkingu Szpitala Zachodniego i sprintem pokonał schody dzielące go od wejścia. Wpadł do środka, rozglądając się desperacko wokół, a gdy zauważył kobietę w lekarskim kitlu, doskoczył do niej i na jednym oddechu wyrzucił z siebie:

– Szukam rodziców, Ernest i Lidia Cicheccy. Podobno był jakiś wypadek. Gdzie oni są? – mówił głośno, czerwony na twarzy, rękoma tnąc powietrze.

Młoda lekarka cofnęła się instynktownie, a jej spojrzenie zaczęło błądzić po mijających ją twarzach, jakby szukała w nich oparcia.

– Musisz sprawdzić na SOR-ze – odpowiedziała, wskazując długi korytarz wyłożony linoleum. – Tam zapytaj.

Ledwie zdążył odwrócić wzrok, kobiety już nie było. Stał w przejściu, trącany łokciami spieszących się ludzi, a zapach szpitala, ciężki od woni płynu do dezynfekcji, detergentów i śmierci, wnikał w jego skórę, jakby miał zostać z nim już na zawsze.

Do uszu wciskały mu się skrawki rozmów, lamentów i oburzenia, od których puchła głowa. Przez moment obserwował ten ludzki rój, a potem ruszył. Sadził długie kroki, aż w końcu zaczął biec. Wszystko wokół rozmazywało się jak widok za oknem pędzącego pociągu. Nie rozróżniał już twarzy, obrazków na ścianach ani numerów na mijanych drzwiach. Dysząc, przepchnął się przez stojącą przy kontuarze kolejkę, położył ręce na blacie i z trudem wypluł pytanie:

– Gdzie są moi rodzice? Lidia i Ernest Cicheccy. Przyjechali tu po wypadku.

Natychmiast spadł na niego grad pretensji. Ktoś warknął, że jest kolejka, ktoś inny nazwał go bezczelnym gówniarzem, lecz żadne z tych słów nie zdołało go osiągnąć. Kobieta za ladą obrzuciła spojrzeniem jego rozdarte dresy i krew na łokciach, po czym z przestachem zlustrowała wiszące nad nią gniewne twarze, jakby kalkulowała, czy poradzi sobie, jeśli rzuci się jej do gardła.

– Chwileczkę – mruknęła, przerzucając kartki papieru przypięte do plastikowej podkładki, a potem zerknęła jeszcze do komputera i cmoknęła znacząco. – Masz jakiś dokument?

Sebastian zaczął przetrząsać plecak, a w końcu z dna wyciągnął pogiętą i brudną legitymację szkolną, którą podetknął kobiecie pod nos.

– Dobrze – bąknęła. – Dziewczynkę zabrano na blok operacyjny. Rodzice pewnie czekają w korytarzu przed wejściem. Musisz skręcić za wieszakiem na prawo – wskazała kierunek długopisem – minąć windy i iść prosto, aż dotrzesz do dużych białych drzwi z czerwonymi napisami.

– Dziewczynkę? – powtórzył, jakby ze wszystkiego, co mówiła, tylko to jedno słowo do niego dotarło.

Pielęgniarka przewróciła oczami i raz jeszcze zajrzała do dokumentów.

– Wiktoria Cichecka, lat pięć – przeczytała. – Tak mam tu napisane.

Cichy podziękował skinieniem głowy, a potem otumaniony, gniojąc w palcach dokument, podążył wedle instrukcji. Jego buty uderzały o linoleum. Rytmiczne stuk, stuk rozbrzmiewało w czaszce. Korytarz rozciągał się i falował, jakby był z gumy.

Sebastianowi zaczęły mięknąć kolana. Przytrzymał się ściany, połknął kilka haustów powietrza, po czym ruszył przed siebie. Gdy jego oczom ukazały się dwie znajome sylwetki, jedna zgarbiona na krześle, z twarzą ukrytą w dłoniach, i druga z rękoma w kieszeniach, wędrująca nerwowo po korytarzu, przyspieszył.

– Co się stało? Co z nią? Wyjdzie z tego? – Zasypał rodziców pytaniami.

Matka podniosła zapłakaną, poczerwieniałą twarz i niemo pokręciła głową.

– Nie wiadomo – wydusiła z trudem i znów uderzyła w lament.

– Gdzieś ty się podziewał, co? – zaatakował Ernest, piorunując syna wzrokiem. – Gdybyś był w domu, do niczego by nie doszło. Już ja ci wybiję z głowy te głupie pomysły. – Machinalnie sięgnął rękoma do paska, ale szybko zdał sobie sprawę, że nie są sami i że w takich miejscach lepiej będzie zachować pozory. Bezradnie opuścił dłonie i fuknął z niezadowoleniem.

Chłopak napiął mięśnie, jak gdyby nie miał pewności, czy ojciec zaraz nie odwinie się i nie wymierzy mu ciosu w szczękę, jak to bywało, gdy był zły i niedopity.

– Czy ktoś mi w końcu powie, co z Wiką? – Szukał w twarzach rodziców odpowiedzi.

Lidia otarła nos chusteczką, którą ugniatała w palcach.

– Potrafił ją samochód – odparła. – Obok bloku, na osiedlu. Wyszła pobawić się piłką i...

– Żadną tam piłką! – Ernest wszedł żonie w słowo. – Na brata chciała zaczekać. Ubzdurzyła sobie, że zobaczyła cię przez okno, i pobiegła braciszka kochanego przywitać – zachnął się.

Wiszący na ramieniu Cichego plecak zsunął się, a łom ukryty w środku zadzwonił o podłogę.

– Nie było mnie tam – bronił się. – Wróciłem dopiero niedawno, stary Prokop wysłał mnie do szpitala i od razu przyjechałem tu do was.

Ojciec chłopaka machnął ręką.

– To i tak już nie ma znaczenia. Teraz to ty się lepiej módl o naszą Wikusię, żeby nam ją jakoś odratowali. Bo jak ona cała do domu nie wróci, to i dla ciebie nie będzie tam miejsca.

Sebastian uciekł spojrzeniem do matki, niemo prosząc, by się za nim wstawiła, ale ta spuściła wzrok i odwróciła twarz. Poczul się, jakby go spoliczkowała. Potarł dłońmi krótko ostrzyżone włosy i przełykając żal, zapytał:

– Wiadomo chociaż, kto jej to zrobił? Są jacyś świadkowie?

– Daj spokój, nikt niczego nie widział – odparł ojciec, prychając. – Ale podobno kręciły się po okolicy jakieś małolaty, co to bębnią muzyką tak, że łeb człowiekowi pęka. Na nich bym stawiał. Jeździ to jak szalone, ćpa, chleje czy co tam jeszcze robi, i później tylko bieda ludziom. – Pokręcił głową z ubolewaniem. – Przecież tego dozorcę Graczyka ostatnio też ktoś potracił. Chodzi teraz kulawy jak pies jakiś stary. Policja to już dawno powinna się im dobrać do tyłków.

– Policja to sama się ich boi – wtrąciła Lidia i rozwinęła myśl, ale Sebastian już jej nie słyszał.

W jego głowie raz za razem jak w pętli odtwarzały się słowa wypowiedziane cynicznym tonem. „Ostatnio dużo potrażeń w okolicy”. Przed oczyma miał twarz Szajby, wykrzywioną drwiącym uśmiechem. Poczul, jak rośnie mu ciśnienie, ciało zalała fala wrzątku, a bestia, którą trzymał w lochach, zaczęła łomotać w kraty.

Nagle drzwi bloku operacyjnego się otworzyły. Ze środka wyszedł lekarz w błękitnym fartuchu i czepku na głowie. Ernest i jego żona zastygli w oczekiwaniu, a Sebastian wstrzymał oddech. Medyk zsunął na brodę maseczkę chirurgiczną, otarł mokrą od potu twarz i omiatając Cicheckich wzrokiem, powiedział:

– Operacja się udała, przeniesiemy ją zaraz na intensywną terapię. Tam będą mogli ją państwo zobaczyć.

Lidia westchnęła z ulgą.

– Czyli już wszystko dobrze, tak? Będzie żyła?

Lekarz przesunął zębami po dolnej wardze.

– Rokowania nie są najlepsze. Decydujące będą najbliższe godziny – oznajmił, po czym przeprosił i wrócił na blok.

Rodzice dziewczynki przez chwilę trwali w odrętwieniu, a później Ernest podbiegł do żony, objął ją mocno i się rozplakał.

Cichy włożył dłoń do plecaka, zacisnął palce na zimnej stali. Nie był już siedemnastoletnim chłopakiem, tylko dzikim drapieżnikiem. Tym, który właśnie wyruszał na polowanie.

Julia

Wrzesień 2019

Miała wrażenie, że odchodzi od zmysłów. Myśli w jej głowie huczały jak stado kraczących wron. Poprosiła Benia, by umył ręce, a później zamknęła się w swojej sypialni i wybrała numer przedszkola.

– Czy mogłabym rozmawiać z panią Anną? Mówi Julia Haner, mama Benia. – Jej serce waliło jak oszalałe, gdy miła kobieta poszła zawołać nauczycielkę.

Zerkała nerwowo w stronę drzwi, mając nadzieję, że zdąży dowiedzieć się czegoś, zanim jej syn wróci z łazienki. Dlatego kiedy w słuchawce zabrzmiał znajomy głos, od razu przeszła do konkretów:

– Cześć, Anno, przepraszam, że znów cię niepokoję, ale czy to możliwe, by na teren przedszkola niepostrzeżenie wszedł ktoś obcy?

– Wykluczone. Każdy, kto nas odwiedza, musi zadzwonić domofonem przy furtce.

– Nie zawsze, ja wemknęłam się, korzystając z tego, że akurat wychodził od was kurier.

– Jaki kurier? – zdziwiła się kobieta. – Nie odbieraliśmy dziś żadnych paczek. Zresztą gdyby coś zostawił, wiedziałabym. Wszystkie przesyłki lądują na biurku w gabinecie dyrektorki, a tak się składa, że po twoim wyjściu drukowałam tam rebusy dla dzieci i zapewniam, że nie widziałam ani jednej paczki. Co to był za kurier?

Julii zrobiło się gorąco. Widziała tylko mężczyznę w czapeczce z daszkiem i czerwonej koszulce, nie zwróciła uwagi na to, jakie logo widniało na furgonetcie. Nagle dotarło do niej, że nie pamięta nawet, czy pod przedszkolem parkował wtedy jakikolwiek inny samochód niż jej volvo. Wprawdzie była zdenerwowana słuchką i telefonem od nauczycielki, spieszyła się, ale chyba zauważyłaby dostawczaka stojącego na ulicy.

Zagubiona przysiadła na łóżku, a wtedy otworzyły się drzwi i Benio wetknął głowę do pokoju.

– Mamo, mogę iść na dwór? Chcę się pobawić w piaskownicy.

– Dobrze, zawołam cię, gdy przygotuję jakąś przekąskę.

Nie skończyła jeszcze mówić, a kroki chłopca zadudniły na schodach.

– Przepraszam cię, już jestem – rzuciła do słuchawki. – Niestety nie pamiętam, jaka to była korporacja. Może DPD? Nie jestem pewna.

– Nie przejmuj się, zapytam o to koleżankę i dam ci znać, choć według mnie żadnego kuriera dziś u nas nie było. Dlaczego właściwie o to pytasz? Chodzi o Benia?

– Tak – westchnęła Julia, zgarniając z czoła ciemną grzywkę. – To zabrzmiało dziwnie, ale on uważa, że w ogrodzie był ktoś jeszcze. Jakiś mężczyzna. I to on podłożył ogień.

W słuchawce zapadła przedłużająca się cisza.

– Halo? Jesteś tam, Anno?

– Tak, wybacz, zamyśliłam się. Nie chcę być niedelikatna, ale może dobrze zrobiłaby wam wizyta u specjalisty? Czasami trudno samemu poradzić sobie z taką traumą. Brałaś to pod uwagę?

– Beniu rozmawiał już z kilkoma psychologami, jeśli o to pytasz. Zresztą jutro mamy umówione spotkanie z jeszcze jednym terapeutą, więc na pewno opowiem mu o wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło, ale według mnie to nie to. Nie sądzę, żeby mój syn zmyślał. Mówił o tym mężczyźnie tak, jakby on naprawdę tam był.

– Nie gniewaj się, ale według mnie to mało prawdopodobne. Dzieci nigdy nie zostają w ogrodzie same. Co najmniej dwie z nas cały czas na nie patrzą. Zauważyłybyśmy, gdyby kręcił się tam ktoś obcy.

– Nie ma innych wejść na teren przedszkola? Dziur w ogrodzeniu?

– Nic z tych rzeczy.

– A może zatrudniacie jakichś mężczyzn?

– Owszem, miłego Brazylijczyka o imieniu Ricardo, który w dwa razy w tygodniu prowadzi capoeirę, i ogrodnika, który pomaga dbać o nasze rośliny. Żadnego z nich dzisiaj nie było.

Głowa zaczęła boleć Julię od prób rozwikłania tej zagadki. Masowała skronie, gdy nagle ją olśniło.

– A gdyby ktoś podszedł od zewnętrznej strony i włożył rękę między oczka w siatkę? Czy mógłby wtedy dosięgnąć chatki?

Anna mruknęła z namysłem.

– Teoretycznie tak. Domek stoi przy samym płocie, więc właściwie gdyby chciał, mógłby nawet

zerwać girlandę z serduszek, ale wątpię, by w tych wąskich oczkach zmieściła się męska ręka. A nawet jeśli, to po co ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu? Skąd wtedy wzięłaby się zapalniczka w kieszeni Benia?

– Rety, zwariuję od tego – jęknęła Julia, rzucając się plecami na łóżko.

– Odpocznij. Idź się przewietrzyć. A jak porozmawiacie z tym psychologiem, daj znać, co wam powiedział. Mam nadzieję, że będzie w stanie pomóc. Wyślę ci SMS-em mój prywatny numer.

Julia podziękowała, a później zamknęła oczy i poczuła, jak skrada się do niej senność. Zmęczenie obmywało ją jak fale, które stopniowo zabierają nadmorski brzeg. Pozwoliła sobie mu ulec, jej mięśnie się rozluźniały, gdy nagle z zewnątrz dobiegł ją męski głos. Zerwała się natychmiast, ale zrobiła to zbyt szybko i zakręciło się jej w głowie. Pokój wirował, jakby oglądała go z pędzącej karuzeli. Musiała przysiąść na łóżku i zaczerpnąć kilka głębokich wdechów. Dopiero kiedy obraz się ustabilizował, ruszyła na schody.

W drodze myślała tylko o tym, że teraz nie pozwoli mu uciec.

Muszę go wziąć z zaskoczenia, przypomniała sobie w porę i powstrzymała się przed trzaśnięciem drzwiami. Żadnych hałasów, które mogłyby sprawić, że mężczyzna zniknie.

Świeże, wilgotne powietrze na zewnątrz pomogło jej się w pełni obudzić. W głowie wirowały zdania, które zamierzała wykrzyczeć nieznajomemu prosto w twarz. Z dłońmi nieświadomie zwiniętymi w pięści, jakby lada chwila miała stanąć do walki, wypadła za róg domu i natychmiast przystanąła całkowicie osłupiała.

Benio, odwrócony tyłem do niej, siedząc w kucki, bawił się błotem. Tuż obok chłopca, na krawędzi piaskownicy, siedział mężczyzna w tweedowej marynarce. Trzymał w dłoni zabawkową koparkę i jeździł nią po górkach usypanych z mokrego piachu, naśladując odgłos terkoczącego silnika. Był to ten sam człowiek, w którego kilka godzin wcześniej wjechała samochodem pod galerią Grodova. Na jego widok trzymane dotąd na uwieży emocje zerwały się jak psy z łańcuchów.

Z pulsem, przy którym większość ludzi wzywałaby karetkę, podbiegła do piaskownicy, a z jej piersi wyrwało się oskarżycielskie:

– To pan! – Wycelowała palec w zaskoczonego nauczyciela.

Witek Lazar uśmiechnął się, jakby to, że przebywa na terenie jej posesji, było najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

– Przejeżdżałem obok i pomyślałem, że sprawdzę, czy już pani wróciła... czy wróciłaś – poprawił się, z zakłopotaniem pocierając szyję. – Bo chyba wcześniej przeszliśmy na ty, prawda? Benio otworzył mi bramę – dodał wyjaśniająco, rejestrując zagubienie na jej twarzy.

Zdezorientowana Julia opuściła nieco napięte ramiona i zwróciła się do syna, który właśnie zalewał wodą z konewki kolejne połacie piachu.

– Kochanie, czy to jest ten twój nowy przyjaciel?

Chłopiec przerwał zabawę, po czym spojrzał na matkę, jakby pytała o coś oczywistego.

– No coś ty.

Lazar ściągnął brwi, z uwagą przysłuchując się rozmowie, której nie rozumiał.

– Przyszedłem w niewłaściwym momencie? Jeśli tak, to mogę wrócić później. Naprawdę nie chciałem sprawiać kłopotu.

Mężczyzna podniósł się i otrzepał dłonie z piasku.

– Nie, nie, przepraszam – zatrzymała go Julia. – Mieliśmy dziś intensywny dzień i chyba nadal jestem trochę zdenerwowana. Wejdźmy do środka, dokończymy spisywać to oświadczenie. Chciałabym mieć je już z głowy.

Kiedy nauczyciel przystał na jej propozycję, Julia, kładąc rękę na plecach syna, zapytała:

– Beniu, idziesz z nami?

– Jeszcze chwilę, mamó – rzucił, nie przestając uklepywać piaskowego pagórka.

Jego ręce aż po łokcie oklejało błoto. To samo, które przyłgnęło do kolan spodni, zamieszkało pod paznokciami i zostawiło ślady na dziecięcych policzkach. Julia skrzywiła się na myśl o piasku, który razem z Beniaminem wróci do domu. Będzie wysypywał się z kieszeni spodni i chrząścił pod stopami.

Brudne dziecko to szczęśliwe dziecko, napomniała samą siebie. I choć zawsze się z tym zgadzała, to teraz, przy migrenie ściskającej skronie jak imadło, doszła do wniosku, że niekiedy chciałaby, by jej dziecko brudziło się nieco mniej, nawet gdyby miało mu to uszczknąć odrobinę szczęścia.

Westchnęła ciężko, a potem zmierzwiła chłopcu włosy i kiwnęła na mężczyznę.

– Chodźmy, niech inżynier Haner nadzoruje tu prace na budowie, a my napijemy się herbaty.

W drodze do domu postanowiła wyjaśnić coś, co nie dawało jej spokoju.

– Naprawdę przeszliśmy na ty? Nie przypominam sobie.

– Tak myślę, ale może coś pokręciłem. – Przygryzł wargę ze skrępowaniem. – Wiesz co, darujmy sobie, nie chcę, żebyś czuła się niekomfortowo.

– Daj spokój, byłoby dziwnie, gdybyśmy teraz znów wrócili do oficjalnych form. Zresztą przyjaźniłeś się z moim mężem, więc chyba możemy sobie pozwolić na odrobinę poufałości.

Witek rozciągnął usta w uśmiechu i otworzył drzwi przed Julią.

– A skoro już o nim mowa, czy to Adam nauczył grać Benia w noża?

– W co? Chwila, czy chcesz mi powiedzieć, że mój syn bawił się ostrym narzędziem? – Odwróciła głowę w stronę piaskownicy.

– Nie, spokojnie, miał jakiś stary pordezwiąły scyzoryk. Nic mu nie będzie. Zresztą młody naprawdę świetnie sobie radzi. Byłby mistrzem w grze w pikuty.

– Nadal nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Żartujesz, prawda? – Patrzył na nią jak na kosmitkę. – Jak możesz tego nie znać? Graliśmy w to całe dzieciństwo. Zabawa polega na rzucaniu nożem tak, by wbił się w ziemię albo w ubity piasek, ale trzeba to robić w określony sposób, pokonując kolejne poziomy. To naprawdę... – Urwał, bo w kieszeni Julii rozdzwonił się telefon.

– Przepraszam, muszę odebrać. – Rzuciła, spoglądając na wyświetlacz. – Rozgość się w kuchni, zaraz do ciebie dołączę. – Wskazała mu kierunek, po czym nacisnęła zieloną słuchawkę. – Jakies nowe wieści, Aniu?

– Miałas rację, rzeczywiście był dziś u nas kurier DPD. Nie widziałam paczki, bo tym razem niczego do nas nie przywiózł, tylko odebrał przesyłkę, którą nadawała jedna z dziewczyn – wyjaśniła przedszkolanka.

Julia przyjrzała się sobie w lustrze na korytarzu. Widok rozczochranych, uciekających z kucyka włosów, przekrwionych oczu i zmarszczek załamał ją jeszcze bardziej.

– Mógł wchodzić do ogrodu? – chciała wiedzieć.

– Nie. Koleżanka otworzyła mu furtkę, weszli do gabinetu dyrektorki, kurier podpisał odbiór, wziął paczkę i odjechał, a chwilę później pojawiłaś się ty.

Pomiędzy kobietami zapadła ciężka cisza. Julia patrzyła w swoje wyblakłe zielone tęczówki, czując, jak pochłania ją bezradność.

– Przykro mi – dodała Anna.

– W porządku, to nie twoja wina – odparła smutno Julia. – Mogłabyś mi jeszcze tylko powiedzieć, co było na tych serduszkach, które podpalił Benio?

– Ach, no tak. Rodzice ustalili między sobą, że zanim przyprowadzą dzieci do przedszkola po wakacjach, narysują im coś miłego, by czuły, że bliscy o nich pamiętają. Coś, co miałyby ułatwić rozstanie po wakacyjnej przerwie. Zupełnie zapomniałam cię o tym uprzedzić, wybaczone. Domyślałam się, że to mogło być trudne dla Benia. Może to z tego powodu... – Nie dokończyła, bo obie rozumiały, co chciała powiedzieć.

Kiedy się pożegnały, Julia weszła do kuchni, gdzie Witek Lazar zdejmował właśnie marynarke, po czym z jej wewnętrznej kieszeni wydobyl złożone kartki.

– Przepisałem oświadczenie na komputerze i wydrukowałem dla nas dwie kopie – oznajmił, rozkładając dokumenty na stole. – Trzeba tylko uzupełnić kilka danych i po sprawie. Zgłoszę stłuczkę swojemu ubezpieczycielowi, a on już zajmie się resztą.

Julia, przeglądając zawartość skórzanej saszetki, mruknęła ledwie słyszalne „świetnie” i po chwili wyjęła z torebki dowód rejestracyjny w plastikowej okładce, za którą tkwiło potwierdzenie zawarcia umowy ubezpieczenia OC.

– Proszę – powiedziała, przekazując nauczycielowi świstek papieru. – Tu jest moja polisa, a tu prawo jazdy i... – Zamilkła, wgapiając się w dokument Adama, na który natrafiła.

Ze zdjęcia poważnym, skupionym wzrokiem patrzył na nią jej mąż. Dokładnie taki, jakim go zapamiętała z tamtej nocy. Surowy i bezwzględny. Ze spojrzeniem człowieka, który nie cofnie się przed niczym.

Poczuła zawroty głowy i na ułamek sekundy straciła równowagę. Jej dłonie chwyciły oparcie krzesła.

– Dobrze się czujesz? – Witek podtrzymał ją za ramię, a potem pomógł jej usiąść.

Julia oparła czoło na dłoniach i nim zdążyła dojsć do siebie, Lazar postawił przed nią szklankę z kranówką.

– Dziękuję. Chyba przestaję dawać sobie z tym wszystkim radę – powiedziała, rozmazując na szkle kroplę wody. – Nadal nie mogę uwierzyć, że go już nie ma.

– Jak umarł? – zapytał łagodnie nauczyciel, nastawiając czajnik.

– Zostaliśmy napadnięci. Było późno, znaleźliśmy się w ciemnym przejściu między budynkami, facet miał nóż, zażądał pieniędzy i kluczyków do samochodu, ale mój mąż się mu postawił. Doszło do szarpaniny, a później tamten kilkukrotnie dźgnął Adama.

Witek, który właśnie wyjmował kubki z szafki, zastygł z naczyniami w rękach.

– Potworne. Wsadzili go?

Julia pokręciła głową, z zaciekawieniem obserwując swobodę, z jaką Lazar poruszał się po jej kuchni. Sprawnie odnalazł saszetki z herbatą i sztucce, choć ona sama jeszcze nie opanowała w pełni topografii tego domu.

– Zmarł w wyniku poniesionych obrażeń – oznajmiła, a po chwili dodała wyjaśniająco: – W trakcie przepychanki Adam rzucił się na niego z kostką brukową. Siedział na facecie i okładał go, jakby chciał go zabić.

– Rety. – Nauczyciel posłał Julii współczujące spojrzenie, stawiając na stole dwa kubki, nad którymi wiły się wstążki pary.

– Byłam przerażona. Nigdy wcześniej nie widziałam swojego męża w takim stanie. Nie reagował na żadne prośby, po prostu bił tamtego w jakimś dzikim szale i wrzeszczał do niego, że jest śmieciem. – Upiła łyk gorącej herbaty. – Zachowywał się kiedyś w ten sposób? Jaki był za czasów liceum?

Witek, mieszając cukier, który właśnie wsypał do kubka, wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam, żeby był agresywny, jeśli o to pytasz. Adam był złotym chłopakiem. Wiesz, jednym z tych, przed którymi życie rozwija czerwony dywan i obsypuje ich różanym konfetti. – Uśmiechnął się do własnych myśli. – Niczego mu nie brakowało, był przystojny i inteligentny. Świetny piłkarz, doskonały pływak, z dobrego, bogatego domu. Nigdy nie miał problemów z nauką. W trzeciej klasie został przewodniczącym samorządu uczniowskiego, a po szkole wyjechał na studia za granicę. Wszyscy z naszej paczki po cichu zazdrościli mu tego farta.

– Ale to ty byłeś najmądrzejszym chłopakiem w całej szkole. – Zaskoczyła go do tego stopnia, że upuścił łyżeczkę. – Adam kiedyś o tym napomknął, a ja przypominałam to sobie dopiero po naszym spotkaniu pod galerią. Nie mógł zrozumieć, dlaczego będąc laureatem czterech olimpiad i mając zagwarantowany wstęp na tyle prestiżowych uczelni i niemal każdy kierunek, wybrałeś filologię polską.

Nauczyciel z pewną nieśmiałością spuścił wzrok i schylił się po sztuciec, który upadł na podłogę.

– Naprawdę go to zastanawiało? Od zawsze czytałem setki książek, więc dla mnie to był naturalny wybór. Jakoś na etapie składania papierów na uczelnie stwierdziłem, że chciałbym uczyć, rozmawiać z młodzieżą o literaturze i być trochę jak profesor John Keating ze *Stowarzyszenia umarłych poetów*. – Lekko się zarumienił. – Moi rodzice, którzy są lekarzami i zawsze byli przekonani, że pójdę w ich ślady, też w końcu jakoś to przeboleli, a dzisiaj są wdzięczni, że mieszkam niedaleko i wspieram ich, kiedy tego potrzebują.

– To miłe – podsumowała, składając podpis na oświadczeniach. – Szkoda, że nie utrzymywaliście z Adamem kontaktu, myślę, że moglibyśmy mieć ze sobą sporo wspólnego, ja też lubię książki.

– Wiesz, jak jest, każdy z nas poszedł swoją drogą. Twój mąż wyjechał do Londynu, ja do Warszawy i jakoś się to rozeszło. A może po prostu wyrosliśmy z tamtej przyjaźni. Ludzie się zmieniają.

– Nie byłabym tego taka pewna – stwierdziła, po czym podniosła się z krzesła, by zobaczyć, gdzie jest Benio.

Niepokoilo ją, że tak długo nie przychodzi, a kiedy wyrzała przez okno, zobaczyła jedynie pustą piaskownicę i przewróconą zieloną konewkę leżącą na trawie.

– Przepraszę cię na chwilę, nigdzie nie widzę mojego syna.

Pospiesznie wyszła na zewnątrz, przemknęła obok zaparkowanego na podjeździe opla Witka, ciekawsko rzucając okiem do wnętrza samochodu, a później na tyłach domu znalazła Beniamina, który wspinał się na szczyt zaniedbanego skalniaka.

– Tu jesteś. Przestraszyłam się, że gdzieś zniknąłeś. Chodź, proszę, pora, żebyś coś zjadł.

Chłopiec podbiegł do matki i otulił jej nogi brudnymi rękami. Razem ruszyli w stronę budynku, skąd właśnie wychodził Lazar.

– Nie będę ci już dłużej zawracał głowy. Przekażę oświadczenie do ubezpieczyciela, a my może jeszcze

kiedys się spotkamy – oznajmił, chowając dokumenty do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Zapraszam. Gdybyś znalazł jakieś zdjęcia z liceum, na których jest Adam, chętnie je przejrzę. Tamten etap życia mojego męża to dla mnie czarna plama. Niezbyt wiele o nim mówił. Poza tym widziałam, że czujesz się tu jak u siebie. Wiesz nawet, gdzie trzymam sztućce i naczynia.

Nauczyciel się roześmiał.

– Niegdyś spędzałem w tym domu naprawdę dużo czasu. Wciąż pamiętam, na której półce pani Danuta Haner stawiała kubki i gdzie chowała słodycze.

– Gdzie?! – zainteresował się Benio, żywo podskakując.

Witek schylił się i teatralnym szeptem wyjąwił:

– Obok okapu, w wiszącej półce nad blatem.

Chłopiec aż zapiszczał z radości.

– No nie! A myślałam, że jestem oryginalna w tym, jak urządziłam sobie kuchnię. – Julia pokręciła głową z udawanym oburzeniem, a rozbawiony Lazar rozłożył ręce.

Pożegnał się z Beniem, po czym skręcił na ścieżkę prowadzącą na podjazd. Kiedy nacisnął guzik na kluczyku, opel błysnął światłami, a zamek centralny odblokował się z charakterystycznym trzaskiem.

– Co, do licha? – powiedział nagle.

Przykucnął obok koła i cicho zaklął, uderzając w nie pięścią.

– Wszystko w porządku? – zapytała Julia, a gdy podeszła bliżej, dostrzegła, że w oponie nie ma powietrza. – O ja cię. Jeśli masz podnośnik, mogę pomóc ci je zmienić.

– To na nic. Mam tylko jedno koło zapasowe, a te gnojki przedziurawiły mi dwie opony. – Wskazał koło z drugiej strony.

– Ale kto mógł coś takiego zrobić? Może po prostu najechałeś na jakiś gwóźdź albo szkło?

Nauczyciel, który nadal badał uszkodzenia, wytarł chusteczką brud z dłoni.

– Nie, na pewno nie. Zresztą widać, że ktoś to zrobił z premedytacją. Pewnie jacyś wkurzeni uczniowie, których zostawiłem na kolejny rok w tej samej klasie. Dwóch patrzyło na mnie bykiem dziś na rozpoczęciu. Sama zobacz – wskazał cię na oponie – wygląda jak od noża.

Kiedy tylko to powiedział, coś go tknęło.

Obrócił się powoli w stronę Benia. Chłopiec patrzył na mężczyznę wielkimi, niebieskimi oczami i kręcił głową. Jego niedawna wesołość prysła, a drobne ciało wypełnił strach. Przyłgnął do nogi matki.

– To nie ja – powiedział.

Maj 1996

Miki siedział z kumplami w kebabie u Turka, jak nazywano potocznie lokalną fastfoodową restaurację. Pachniało tam starym tłuszczem i piwem, które rozlewali podpici nastolatkwie, w euforii wznosząc toasty i z impetem stukając o siebie szklankami. Ruch był tak duży, że aż do zamknięcia nikt nie zwracał sobie głowy wycieraniem lepkich stolików ani podłogi. Trzeba było na bieżąco obsługiwać głodnych, a często też wściekłych, klientów.

Ciasne wewnątrz wypełniali głównie ludzie młodzi. Ściśnięci na drewnianych ławach, wpychali w siebie oblane majonezem mięso i frytki maczane w keczupie. Na telewizorze, na którym w sezonie oglądano mecze piłki nożnej, ktoś ustawił teraz niemiecki kanał muzyczny, przez co ekranem zawładnęły wijące się półnagie wokalistki. Z głośników leciały popowe przeboje, które nikły w gwarze ożywionych dyskusji i wybuchów śmiechu. Jedynie Mikiemu ten nastrój zabawy jakoś nie mógł się udzielić.

Rozmowa przy ich stoliku nie kleiła się specjalnie. Adam w zamyśleniu popijał piwo, z odrazą zerkając na lepki blat i rechoczące dzieciaki pod ścianą, na twarzy Witka, który bawił się srebrną zapalniczką, malował się wyraz lekkiego zażenowania i tylko Maciek słuchał podekscytowany, gdy Feliks przechwalał się w najlepsze.

Opowiadał właśnie o tym, jak poprzedniego wieczoru odwoził z imprezy pijaną dziewczynę, a ta przekonana, że jej wybawca jest taksówkarzem, usiłowała wcisnąć mu do ręki banknot dwudziestozłotowy. Kiedy odmówił przyjęcia pieniędzy i zaproponował jako zapłatę buziaka, wstawiona nastolatka zaczęła go całować z takim zaangażowaniem, że z domu wybiegł jej ojciec i urządził córce karczemną awanturę.

Przyjaciele wybuchli wymuszonym śmiechem, a Maciek poklepał Feliksa po ramieniu.

– Ty to masz branie, stary. Zazdroszczę i podziwiam – rzucił, po czym wznosił szklankę do toastu. – Za największego bajeranta w Grodzisku. – Trącił kolegę łokciem w bok, a tamten odwdzieczył mu się tym samym.

Szkoło zadzwoniło, a potem drzwi lokalu otworzyły się gwałtownie i do środka rozkołysanym krokiem weszła grupka chłopaków w bluzach z kapturami. Zgiełk momentalnie ucichł, jakby ktoś przykręcił poziom głośności. Miki, odwrócony twarzą do wejścia, pierwszy zwrócił uwagę na przybyłych. Na widok Szajbińskiego jego źrenice rozszerzyły się, a na ustach zagościł delikatny uśmiech.

Ilekoć natykał się na tego chłopaka, nie potrafił oderwać od niego wzroku. Teraz również zapatrzony obserwował, jak Szajba z kumplami przegania jakieś dzieciaki ze stolika pod oknem i rozsiada się na drewnianej ławie, jakby od zawsze należała do niego. Miki pomyślał, że gdyby był taki jak on, niczego by się nie bał. Nie miałby koszmarów, nie budziłby się z krzykiem i nie reagowałby nerwowo na każdy głośniejszy dźwięk. Gdyby upodobił się do Szajby, byłby nietykalny.

– Ej, stary, co jest? – Adam szturchnął przyjaciela w ramię, a ten zaskoczony prawie rozlał colę, którą trzymał w dłoni. – Nie lamp się tak na niego, bo jeszcze spuści ci wpierdol i skończysz na OIOM-ie.

Miki z zakłopotaniem potarł brodę.

– Nie, no coś ty, tak tylko spojrzałem – próbował się wyłgać, choć wiedział, że Adam czytał z niego jak z otwartej księgi. Przełknął kilka łyków gazowanego napoju i bawiąc się podkładką do piwa, powiedział: – Brat mojej matki wpadł do nas dziś rano na kawę. Podśledzałem, jak mówił, że był u nich na komendzie Jakub Czaja.

Adam ściągnął brwi.

– Trener? A co on tam robił? Ktoś mu zajeżdżał piłki z magazynku? – Zaśmiał się, przetykając frytkę.

– Domagał się, żeby znaleźli gwałcicieli jego córki.

Haner, który podnosił właśnie szklankę z piwem do ust, zatrzymał rękę w powietrzu.

– Mówisz poważnie? – Wpatrywał się pytająco w przyjaciela, a gdy ten skinął głową, dodał: – O kurwa.

– Co tam gruchacie jak dwa gołąbki? Wśród przyjaciół nie ma tajemnic – zagaił Feliks, po czym pstryknął palcem we frytkę, która poszybowała przez stół i uderzyła w T-shirt Adama.

– Ej, frajerze! – oburzył się Haner, strzepując sól z ubrania.

Feliks uniół ręce w przeproszającym geście, choć uśmiech na jego twarzy świadczył o tym, że wcale nie jest mu przykro.

– No dobra, mów: co to za ploteczki? – Potarł o siebie dłonie. – Nasz chłopczyk w końcu kogoś

zaliczył? – Poruszył znacząco brwiami, patrząc na Mikięgo, ale on tylko popukał się w czoło, a później splótł ramiona na piersi i pod nosem syknął: „debil”.

– Ktoś zgwałcił córkę trenera Czai – wypalił Adam, by uciąć dyskusję między kolegami.

– Co?! Pierdolisz – rzucił Molenda z ustami pełnymi kebaba. – Ale na pewno? Skąd wy w ogóle macie takie informacje?

Miki nachylił się konspiracyjnie w stronę chłopaków.

– Wujek pracuje na komendzie. Słyszałem, jak rozmawiał z moją matką. Dziewczyna mieszka w Milanówku, więc raczej jej nie widywaliśmy. Podobno Czaja był tak wściekły, że aż się wydarł na policjantkę, która prowadzi sprawę. Ta jego córka ma czternaście lat, chodzi jeszcze do podstawówki, kapujecie? – Przesunął spojrzeniem po kolegach, zatrzymując je na Adamie.

– Wie, kto jej to zrobił? – zainteresował się Witek.

Miki pokręcił głową.

– Dziewczyna jest w szoku, prawie się nie odzywa – odparł i zaczął gnieść w palcach papierową saszetkę z solą. – Wuj mówił, że wsadzili jej na głowę worek foliowy, gwałcili, a potem ciągnęli za samochodem jak psa.

Molenda zakrztusił się kebabem, a po chwili kaszlu wypluł fragment przeżutego jedzenia na stół.

– Kurwa, stary, nie opowiadaj takich rzeczy, kiedy jem – wychrypiął, gdy już doszedł do siebie.

Feliks spiorunował go wzrokiem, a Adam wymownie przewrócił oczami.

– No co? – bronił się Maciek. – Mam się rozplakać nad jej losem? Tego chcecie?

– Kutas z ciebie – stwierdził Feliks i pokazał kumpłowi środkowy palec.

– I kto to mówi? Ten, który zalicza wszystko, co się rusza? Obrońca kobiet się znalazł – prychnął. – Te twoje panienki to w ogóle wiedzą, co im robisz? Czy są zbyt odurzone i pijane, żeby protestować? A może startujesz tylko do takich, bo się boisz, że inne by cię wyśmiały?

Skóra na policzkach Feliksa się napięła. Atmosfera przy stoliku zgęstniała tak, że można by ją kroić nożem. Adam z Witkiem wymienili pełne niepokoju spojrzenia, a Feliks wstał z zaciętą miną, podniósł z oparcia ławki dżinsową bluzę i bez słowa wyszedł.

– Odwaliło ci? – Haner szturchnął Maćka w ramię na tyle mocno, że tamten aż pisnął.

Przez moment nastolatki mierzyli się wzrokiem. Miki obserwował napięte mięśnie i grdyki poruszające się to w górę, to w dół. Powietrze zdawało się naelektryzowane, jakby zaraz miało nastąpić potężne wyładowanie. Żaden z chłopaków nic nie mówił. Nieruchomo, ze spiętymi karkami czekali na rozwój wydarzeń, a wtedy Adam, ku zdziwieniu wszystkich, odpuścił.

– Jesteś żalony – powiedział, nachylając się nad twarzą kolegi.

W jego tonie mieściło się tyle pogardy, że przedramiona Maćka pokryły się gęsią skórą. Haner rzucił na stół pięćdziesięciotowy banknot i ruszył za Feliksem.

– Żartowałem tylko! – zawołał Maciek. – Ej no, to był tylko żart! – krzyknął, odwracając się w stronę wyjścia, ale Adam nie zareagował na jego słowa.

Kiedy drzwi lokalu zatrzasnęły się za nim z hukiem, Maciek stęknął:

– Jezu, co wy wszyscy dziś tacy poważni? Przecież każdy wie, że laski lecą na Feliksa, bo ma bajerę i jest przystojny jak sam diabeł.

– To po co wygadujesz takie bzdury? – fuknął Miki, poczerwieniały ze złości.

Maciek przygryzł wargę i zaczął zbierać opuszką palca sól rozsypaną na blacie.

– Nie wiem, może mu zazdroszczę. – Wzruszył ramionami. Milczał jeszcze przez chwilę, odrywając etykietę od butelki z ketchupem, a potem westchnął i otrzepał ręce z soli. – Dobra, już dobra, wiem, że przegiąłem. Pójdę go przeprosić.

Podniósł się z ławy, na odchodne wkładając w usta jeszcze dwie frytki, które popił ostatnim łykiem piwa, i dopiero wtedy zaczął wysuwać się zza stołu. Witek przyglądał się koledze, wycierając dłonie, po czym cisnął zmiętą serwetkę na blat i powiedział:

– Czekać, pójdziemy razem. Inaczej nie zechce z tobą gadać.

– Dzięki – odparł Maciek z wyrazem ulgi wypisanym na twarzy. – Ja naprawdę nie chciałem, po prostu wkurzył mnie tymi swoimi przechwałkami.

– Przestań już, będziesz się tłumaczył Feliksowi – uciszył go Witek, po czym wręczył Mikiemu pomiętą banknot. – Zapłacisz, młody? Ja ogarnę te dzieciaki, bo inaczej się pozabijają.

– Jasne – szepnęła Miki.

Patrzył, jak jego przyjaciele zacierają w stronę drzwi, żywiłowo dyskutując. Witek położył jedną rękę na plecach Maćka, a drugą wymachiwał w powietrzu jak profesor na wykładzie, który gestem podkreśla każde swoje słowo. Zanim wyszli, Witek odwrócił się jeszcze w drzwiach i pomachał do Miki, a później noc pochłonęła obu nastolatków.

Miki oparł brodę na ręce. Piekły go oczy i czuł się zmęczony. Ostatnio nie sypiał najlepiej. Dręczyły go sny pełne krzyków i strasznych obrazów, po których budził się zlany potem. Odsunął od siebie niedojedzonego, zimnego już kebaba, stwierdzając, że sprzeczka między przyjaciółmi odebrała mu apetyt.

Szum rozmów otoczył go ciasno, a jego wzrok bezwiednie powędrował do Szajbińskiego, jakby ten chłopak przyciągał niczym magnes. Jakie to uczucie być kimś takim? – zastanawiał się. Tak bezczelnie nieustraszonym, kurewsko pewnym siebie. Szajba nie był potężny ani napakowany. Miał silne, żylaste ciało i szaleństwo w oczach. Miki obserwował wpatrzony w przywódcę ekipy twarz i z każdą chwilą coraz bardziej wierzył w to, że gdyby był jak on, nigdy więcej nie musiałby się bać.

Ledwie ta myśl zdążyła przemknąć mu przez głowę, kiedy jeden z kompanów Szajbińskiego szepnęła mu coś do ucha, po czym obaj odwrócili się i spojrzeli na Miki z minami zwiastującymi kłopoty. Chłopak pospiesznie spuścił wzrok. Jego ręce w odruchu paniki chwyciły kebaba, którego nie zamierzał kończyć, i nim się zorientował, miał już w ustach spory kęs zimnego jedzenia. Zrobiło mu się niedobrze, ale z wysiłkiem przełknął porcję, a potem ukradkiem zerknął na stolik pod oknem, by sprawdzić, czy Szajba nadal się na niego gapi.

To, że nie powinien był tego robić, zrozumiał, gdy napotkał twarde oblicze chuligana. Cholera jasna, przeklął w myślach, kątem oka rejestrując, że Szajbiński wstaje od stołu i zmierza w jego kierunku. Zdenerwowany sięgnął po resztki coli i jednym haustem opróżnił szklankę. Nabita postać o rozbujanym chodzie niespodziewanie wyrosła po jego prawej.

– Masz jakiś problem? – zapytał Szajba, podwijając rękawy bluzy.

Miki dostrzegł umięśnione ręce i skupiony na studiowaniu wyglądu własnych paznokci, bąknął:

– Nie.

– To po jaką cholere się lampisz?

Chłopak zmieszany zaczął drzeć na małe kawałeczki serwetki leżące na stole.

– Bez powodu, tak tylko. Po prostu chciałbym być tak przebojowy jak ty – wyznał, rumieniąc się jak pensjonarka.

Szajba patrzył na niego z miną, z jaką zerka się na coś budzącego wstręt, a potem niespodziewanie się roześmiał. Miki nie wiedział, czy to dobrze, czy może raczej fatalnie, ale na wszelki wypadek on również rozciągnął usta w radosnym grymasie.

– Chłopaki! – zawołał Szajbiński do swojej ekipy. – Ten dzieciak mówi, że fajni z nas goście, i proponuje, że zapłaci za nasz rachunek. Co wy na to?

Przy stoliku pod oknem zawrzało. Ktoś zagwizdał, inny walił w stół jak w perkusję, a najbardziej muskularny z grupy krzyknął, że w takim razie weźmie jeszcze jedno piwo na wynos. Po knajpie przetoczyła się fala rehotu i entuzjastycznych okrzyków.

– Polecamy się na przyszłość – kpił Szajba, zbierając ze stołu banknoty, które zgniótł w kulkę, a potem rzucił w twarz właścicielowi lokalu. – Reszty nie trzeba – dodał.

Stary Turek mocniej objął palcami elektryczny nóż do krojenia mięsa. Jego wzrok zawisł na twarzy Szajbińskiego. Klienci umilkli, a wokół zapanowało pełne napięcia oczekiwanie. Miki był pewien, że lada chwila dojdzie do bijatyki, którą zapoczątkował jego głupi podziw dla jakiegoś pieprzonego bandyty. Z nerwów pocił się tak, że niedawno kupione džinsy przykleiły się do ławy. Nagle zapach tłuszczu i dudnienie telewizora stały się potwornie nieznośne.

Miki drgnął niespokojnie, chcąc odkleić uda od siedziska, i wtedy z jego gardła wydobyło się głośnie czknięcie. Zawstydzony pospiesznie zakrył dłońmi usta, ale nim zdążył to zrobić, czknął ponownie. Cała sala w tym samym momencie gruchnęła głośnym, niekontrolowanym śmiechem. Nerwowa atmosfera prysła jak bańka mydlana. Śmiali się kompani Szajby, ich przywódca i właściciel kebaba. W końcu do ogólnej wesołości dołączył też Miki, którego policzki płonęły rumieńcem.

Na dobre zrelaksował się jednak dopiero, gdy Szajbiński i jego ekipa opuścili lokal. Wtedy podszedł do Turka, wygrzebał z kieszeni kilka zmiętoszonych banknotów i obiecał, że resztę doniesie jutro. Restaurator

pokręcił głową z niezadowoleniem, ale finalnie machnął na to ręką. Zły gderał coś do siebie pod nosem, a potem zniknął na zapleczu i goście pozostający w knajpie usłyszeli, jak krzyczy na pracownika.

Miki, chcąc uniknąć kłopotów, pozbierał swoje rzeczy i szybkim krokiem ruszył do wyjścia. Po drodze jednak jego uwagę zwróciło coś leżącego pod ławą, którą do niedawna zajmował Szajba. Zatrzymał się i podniósł z ziemi przedmiot, pewien, że właśnie znalazł sposób na poradzenie sobie ze strachem.

Julia

Wrzesień 2019

– Beniu... – zaczęła, kiedy nauczyciel wezwał taksówkę i odjechał na umówione spotkanie. – Czy to prawda, że bawiłeś się nożem w piaskownicy?

– Tak, ale nie przeciąłem kół pana Witka. – Głos chłopca przechodził w pisk.

Julia nie miała już na to sił. Kolejna kłótnia zawisła w powietrzu jak ciężka gradowa chmura. Migrena, która dręczyła ją od rana, jeszcze mocniej ścisnęła jej skronie. Kobieta policzyła w myślach do pięciu i zamiast krzyczeć, wzięła głęboki wdech.

– Podejdź bliżej, synku – powiedziała, a wtedy maluch rzucił się jej na szyję.

W ciszy wdychała jego zapach, czuła bijące w drobnej piersi serce, a jej złość powoli topniała. Nadal znajdowali się przed domem, obok uszkodzonego opla, po którego niebawem miała przyjechać laweta z assistance wezwana przez Lazara.

– Powiesz mi, skąd wzięłeś ten nóż? – zapytała, gdy przestali się przytulać.

– To scyzoryk, był w pudełku z rzeczami taty, które znalazłem na strychu.

– Na strychu? Przecież jest zamknięty na klucz. Babcia Danusia schowała go, żebyś nie zrobił sobie krzywdy, gdyby przyszło ci do głowy tam zaglądać.

Sześciolatek zaczął z zaangażowaniem studiować plamy z błota na swoich adidasach.

– Zabrałem go – wyznał ze skruchą, dziobiąc czubkiem buta żwirowy podjazd. – Przepraszam, mamu. Chciałem tam urządzić sobie bazę.

Julia westchnęła, po czym chwyciła syna za ręce i poważnie spojrzała mu w oczy.

– Musisz mi mówić o takich rzeczach, Beniu. Babcia rozsypała na strychu trutkę na gryzonie. Gdybyś jej dotykał, to mogłoby się naprawdę źle skończyć, rozumiesz?

Chłopiec potulnie kiwnął głową.

– Znalazłeś tam coś ciekawego?

– No pewnie! Kilka starych zabawek, trochę kapsli, zepsutą latarkę i dużo takich małych pudełeczek z obrazkami, z których się robi zdjęcia.

Jego matka zmarszczyła brwi.

– Z kliszami fotograficznymi?

Beniamin wzruszył ramionami.

– Nie wiem, babcia Danusia mówiła mi kiedyś, że to trzeba zanieść do fotografa i wtedy on robi z tego zdjęcia. – Skrzywił się, lecz zaraz miejsce konsternacji zajął entuzjazm. – Mogę ci pokazać, chcesz?

Julia skinęła twierdząco, a kiedy chłopiec zniknął za drzwiami domu, spojrzała na klucz do astry, który ścisnęła w palcach. Decyzja zapadła w ułamku sekundy i po chwili znalazła się w samochodzie nauczyciela.

W piersi czuła przyspieszone bicie serca. W nozdrza uderzyła ją woń lasu dochodząca z choinki zapachowej. Rozejrzała się po wnętrzu opla. Żadnych okruchów, śmieci na dywanikach czy pustych kubków po kawie. Za osłoną przeciwsłoneczną nad fotelem kierowcy znalazła stare bilety parkingowe. W drzwiach po lewej paczkę chusteczek, a w niewielkim wgłębieniu obok dźwigni zmiany biegów pilota do garażu na długiej smyczy z logo Opla. Nic niezwykłego. Czego właściwie szukała? Przecież Benio powiedział, że to nie Lazar jest jego tajemniczym przyjacielem.

Rozczarowana szarpnęła uchwyt schowka po stronie pasażera, a z jego wnętrza wysypały się czekoladki w złotych opakowaniach. „Delfina P.” – głosił napis na błyszczącej folii, a tuż obok widniało logo marki Solidarność. Julia wzięła jedną z nich do ręki, z ciekawością przyglądając się dekoracji z białej czekolady w kształcie kobiecego popiersia. Po chwili wyłuskała pralinę z szeleszczącego papierka i odgryzła kawałek. Jej usta wypełnił intensywny adwokatosy krem. Upchnęła czekoladki na powrót w schowku, obrzuciła spojrzeniem tylną kanapę, a później zajrzała jeszcze do bagażnika, ale w samochodzie nie znajdowało się nic, co mogłoby jej powiedzieć coś więcej o tym mężczyźnie. Sprawiał wrażenie poukładanego, być może nawet nudnego faceta, który lubi porządek i ma słabość do słodczy.

– Mamu, co robisz? – usłyszała za sobą głos Benia, który w podwiniętej koszulce przyniósł kilkanaście pudełek z kliszami.

Zawstydzona się tego, że została przyłapana. Pospiesznie zatrzasnęła klapę bagażnika i otarła spoczone

dłonie o dzinsy.

– Sprawdzalam tylko, czy pan Witek na pewno ma zapasowe koło. A ty, widzę, przytargałeś całą masę skarbów. – Wskazała na znalezisko syna. – Dużo tego.

– Na strychu jest jeszcze więcej. Są na nich jakieś numerki i napisy. Zobacz.

Beniamin podał matce jedno z pudełek, a Julia uważnie się mu przyjrzała.

– To daty – stwierdziła. – A wiesz, że na niektórych z tych klisz są bajki? Poczekaj, co my tu mamy. – Sięgała kolejno po nowe opakowania i z wypiekami na twarzy, jeszcze intensywniejszymi niż te na policzkach Benia, czytała tytuły zamieszczone na małych karteczkach pod wieczkami: – *Śpiąca królewna, Wędrówki szyszkowego dziadka, Trzy świnki...* – Urwała, bo od strony ulicy rozległo się trąbienie i pod domem stanęła laweta.

Z samochodu wysiadło dwóch rośliwych mężczyzn w roboczych spodniach i polarach. Starszy z nich podszedł do ogrodzenia.

– Dzień dobry, my po opła z przebitymi oponami, to ten? – Kiwnął głową w stronę astry.

– Tak, proszę. – Julia podała mężczyźnie kluczyki, a później razem z Beniem oglądali, jak młodszy pracownik assistance podczepia do auta stalową linkę i powoli wciąga samochód Witka Lazara na platformę.

Sześciolatek otworzył usta w oszołomieniu i prawie nie mrugając, obserwował pracę mężczyzn. Kiedy skończyli, starszy z nich puścił oko do chłopca, po czym podszedł do Julii z dokumentami na podkładce.

– Pani podpisze. – Podetknął jej papiery pod nos, a później odjechał wraz z kolegą, pożegnawszy się z Beniem kilkoma klaksonami.

– To było ekstra – stwierdził malec, a na Julię spłynęła wdzięczność, że po koszmarnej poranku jej syn odzyskał dobry nastrój.

– Biegnij do domu, w pojemniku na chleb schowałam maślane bułeczki z czekoladą. Tylko nie zjedz wszystkich. Zamknę bramę i za moment do ciebie dołączę. – Pocałowała brudne czoło chłopca, a gdy odbiegł, dostrzegła na podjeździe niewielki nożyk kuchenny z żółtą rączką.

Podniosła go, rozejrzała się wokół i pospiesznie upchnęła znalezisko w tylnej kieszeni spodni. Wtedy zauważyła, że Robert Wagner jest na swoim podwórku. Mężczyzna również musiał ją zobaczyć, bo uniósł dłoń i pomachał do niej przyjaźnie. Odwzajemniła gest, a gdy uporała się z bramą, podeszła jeszcze do piaskownicy, chcąc namierzyć scyzoryk, którym bawił się Benio. Jednak kiedy jej wzrok padł na piasek, zdębiała.

Obok siebie w równych odstępach mieściły się trzy równo usypane kopczyki w kształcie prostokątów. Dwa duże i jeden mniejszy, usytuowany pomiędzy tamtymi. Wszystkie ze znakiem krzyża narysowanym palcem. Do złudzenia przypominały groby.

Maj 1996

Jakub Czaja siedział w kuchni na drewnianym stołku, pił piwo ze szklanej butelki i patrzył w noc za oknem, nie mogąc uwolnić się od spinającego mięśnie niepokoju. Nie rozpuszczały go ani alkohol, ani świadomość, że Hela śpi bezpieczna w sypialni obok. Nauczyciel przeczesał palcami spocone włosy i przypomniał sobie ten moment, gdy rozpedzony zamierzał wjechać w plecy Szajbińskiego. Boże, zabiłbym niewinnego człowieka, pomyślał, czując drżenie nóg. Jego palce objęły szyjkę butelki, uniósł ją do ust i kilkoma łykami opróżnił.

Dopiero teraz w pełni docierało do niego, że Hela widziała sprawcę w każdym napotkanym mężczyźnie. W Szajbie, starym Rączce czy pracownikowi stacji benzynowej. Jakby czuła się osaczona przez tych, którzy ją skrzywdzili. Wszystko się jej mieszało. Bo przecież po tym, jak zarzucili jej na głowę reklamówkę, nie mogła zobaczyć ich twarzy. Zapamiętała tylko widziane przez folię sylwetki. W jej umyśle zapisały się odgłosy sapania, krzyki i wyzwiska. W ciele utrwaliły się ból i niezmywalne poczucie bycia brudną. Nadal prześladowały ją zapachy. Ten nikotynowy i inny, ciężki, duszący jak woń kadzideł w kościele. Tylko przez chwilę, gdy zostawiali ją na wysypisku, przez rozdarcie w reklamówce dostrzegła fragment kurtki i tył głowy jednego z napastników. To wszystko, co miała. Dla policji za mało, dla niej zbyt wiele.

Jakub w złości zerwał etykietę z butelki i zgniótł ją w kulkę. Planował sięgnąć po kolejne piwo, gdy w korytarzu rozwrzeszczał się telefon. Wzrok nauczyciela powędrował w stronę wiszącego na ścianie aparatu, a w piersi natychmiast wybuchło gorąco. Było po dziesiątej, nikt normalny nie dzwoniłby raczej o tej porze, a zatem to musiała być policja. Dосkoczył do słuchawki i przez zduszone gardło rzucił:

– Halo?

A później czekał na to, co powiedzą. Że ich znaleźli, że wiedzą już, kto to, i że gnoje się nie wywiną. Nic takiego jednak nie padło. Zamiast słów, które chciał usłyszeć, dobiegło go wypowiedziane dziwnym, drżącym głosem:

– Wszystko będzie załatwione, trenerze. Nikogo więcej już nie skrzywdzi.

– Słucham? Kto mówi? – pytał Czaja, gorączkowo ściskając kabel telefonu, gdy nagle w głowie eksplodowała odpowiedź. – Mój Boże! Sebastian, to ty?

– Zrobię to, trenerze. Zajebię go jak psa. Już po wszystkim, już załatwione – powtarzał jak nakręcony.

– Nie, nie, posłuchaj, Hela się myliła. To nie on. Szajba nie ma z tym nic wspólnego.

– Ja się tym zajmę, trenerze. Może pan spać spokojnie. Jego już nie ma. On już nie istnieje.

– Co ty wygadujesz? Mówię ci, że on niczego nie zrobił. Zaczekaj, nie rób żadnych głupot, słyszysz?!

– Będzie załatwione, trenerze. Będzie załatwione... – padło, a później w słuchawce zabrzmiał dźwięk zerwanego połączenia.

– Kurwaaa!! – ryknął wuefista.

Z wściekłością uderzył o ścianę stłuczoną ręką i syknął z bólu. Dłoń miała sinofioletowy kolor i nadal była nabrzmiąta. Jakub konsekwentnie ignorował uraz, jakby chciał, by ból fizyczny odciągał jego uwagę od tego drugiego, dużo bardziej dotkliwego. Poza tym nie miał czasu się nad sobą rozczulać, teraz musiał powstrzymać Sebastiana. Złapał książkę telefoniczną i bezładnie, szeleszcząc kartkami, przerzucał strony, aż dotarł do „ce”.

– Cichecki Antoni, Cichecki Bartosz, Cichecki Dariusz – mrucał pod nosem, przesuwając palcem wzdłuż listy nazwisk. – Cichecki Ernest, jest.

Wybrał pospiesznie siedem cyfr i czekał. Cztery sygnały, sześć, dziewięć. Nieznośne niskie „buuu”. Nikt nie odbierał. Nauczyciel z trzaskiem odłożył słuchawkę. Zerknął na adres obok nazwiska. Ściskając palcami napięte mięśnie karku, zaczął nerwowo chodzić po korytarzu. W jego głowie tłukło się odtwarzane po wielokroć, jak z zaciętej płyty, „co robić?”.

Wbił spojrzenie w ścianę, za którą spała Hela. Nie chciał jej znów zostawiać. Co, jeśli obudzi się z krzykiem, a jego przy niej nie będzie? Powtarzał sobie, że nie może tego zrobić, choć jego dłoń już sięgała po kurtkę. Z wiklinowego koszyka na komodzie wziął kluczyki do forda, włożył adidasy i zbiegł po schodach. Gnał, łudząc się, że jeśli będzie mknął wystarczająco szybko, zgubi po drodze wyrzuty sumienia.

Kiedy odpalił silnik, poczuł, jak oplata go irracjonalny strach. Zamarł. Lęk oblepiał go niczym pajęcza sieć, krępując ruchy. Zdażę, do jasnej cholery, zdażę, przekonywał sam siebie, po czym wrzucił bieg i ruszył.

Samochód połykał asfalt, a Jakub niecierpliwie uderzał palcami o kierownicę. Musiał odnaleźć Cichego, zanim ten pchnie kostkę domina, która przewróci następne, uruchamiając lawinę niemożliwych do opanowania zdarzeń.

Gaz zawył pod jego stopą, gdy pruł Królewską w stronę Grodziska. Ford wyprzedzał toczące się po jednopasmówce samochody, a nauczyciel trąbił, ilekroć ktoś zbyt opieszale ruszał ze światła. Nie wiedział, że jego wysiłek jest daremny i że kostki już od dawna upadają jedna na drugą, burząc wszystko, co dotychczas uważał za pewne.

Julia

Wrzesień 2019

Dom Feliksa Falka był uosobieniem marzeń każdego mieszczucha pragnącego życia z dala od zgiełku i pośpiechu. Już samo patrzenie na willę we włoskim stylu z panoramicznymi oknami sprawiało, że na obserwującego spływał spokój. Julia chłonęła ten piękny widok, podziwiając rozłożyste wierzby i olbrzymie brzozy, których liście szemrały na wietrze, mieniając się w słońcu. Potrafiła sobie wyobrazić, jak przyjemnie musiało być zasiać w letni poranek na zadaszonym tarasie z kawą w dłoni i z widokiem na tę oszałamiającą zieleń. Fakt, że psycholog skrył się tutaj przed światem, stał się w pełni zrozumiały, bo miejsce to stanowiło kojącą oazę.

Wzięła Benia za rękę, zastanawiając się, czy na pewno dobrze postępuje. Co, jeśli mężczyzna będzie pod wpływem alkoholu albo jego metody pracy okażą się zbyt kontrowersyjne? Falk bez wątpienia był uznanym specjalistą, kimś wybitnym w swoim fachu, a jednocześnie uchodził za celebrytę. Regularnie zasiadał na kanapach programów śniadaniowych, wypowiadał się jako ekspert w prasie, a jego liczne romanse były skrupulatnie relacjonowane przez portale plotkarskie. Psycholog bowiem gustował w pięknych oraz dużo młodszych od siebie kobietach, które zmieniał równie często jak poszetki w szytych na miarę marynarkach.

Jedynym więc, co kazało przekroczyć Julii ozdobną furtkę, były coraz częstsze niepokojące zachowania Beniamina i jej bezradność wobec nich. Być może istniał jeszcze inny powód, ale był to pretekst tyle znaczący, co wstydlivy, dlatego postanowiła zachować go w tajemnicy.

Krocząc obok przelęknionego Benia, który ścisnął dłoń matki tak, jakby chciał połamać jej kości, wciągnęła głęboko rześkie powietrze. Jasny żwir alejki chrzęścił pod ich stopami, w koronach drzew śpiewały ptaki.

– Wszystko będzie dobrze. Rozmawialiśmy o tym, pamiętasz? – Musnęła palcem nos chłopca i uśmiechnęła się do niego, a wtedy na tarasie dostrzegła Feliksa.

Stał tam z dłońmi wbitymi w kieszenie, ubrany w kremowe spodnie, jasną koszulkę polo i mokaśny. W jego twarzy trudno było szukać oznak poalkoholowego zmęczenia. Był poważny, a przy tym nieprzyzwoicie przystojny. Dużo bardziej niż na zdjęciach w internecie. Z posiwiąłym zarostem na mocno zarysowanej szczęce i czesanymi wiatrem czarnymi włosami, w które czas wplótł srebrne nitki.

– Cześć, Beniu – odezwał się, nawiązując kontakt wzrokowy z sześciolatkiem. – Twoja mama opowiadała mi, że lubisz rysować, dlatego w salonie przygotowałem zestaw kredek i trochę kartek, chciałbyś je zobaczyć?

Chłopiec kiwnął głową, po czym zachęcony wszedł do domu przez otwarte drzwi tarasowe i oniemiał na widok stolika uginającego się od pastel, mazaków i kredek świecowych, po chwili jednak jego mina zrzedła. Opuścił dłonie, a uniesione w zachwycie kąciki ust opadły.

– Coś nie tak? – zainteresował się Falk.

– Nie ma czarnego ani czerwonego.

– Naprawdę? A co z pozostałymi kolorami? Może coś sobie wybierzesz?

– Nie mogę nimi rysować.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Dlaczego? Nie podobają ci się?

– Są zbyt wesołe.

– A ty jesteś smutny – bardziej stwierdził, niż zapytał psycholog, na co Benio zareagował skinieniem i ustami wygiętymi w podkówkę.

Julia, która przyglądała się wymianie zdań między jej synem a terapeutą, była pewna, że mężczyzna celowo schował czerń i czerwień, chcąc sprawdzić reakcję dziecka. Sekundę później z tylnej kieszeni spodni Falk wyjął ołówek, a następnie podał go chłopcu.

– Nie jest wprawdzie czarny, tylko grafitowy, ale myślę, że to jeden z bardziej ponurych kolorów, jakie znam.

Sześciolatek długo patrzył na ołówek, aż w końcu wziął go do ręki, usiadł przy stoliku i zaczął rysować. Terapeuta przymknął drzwi tarasowe, po czym gestem zaprosił Julię, by usiadła na ogrodowej sofie.

– Coś nowego? – zapytał, a ona opowiedziała mu o podpaleniu girlandy z serduszek i miniaturowych

grobach usypanych z piasku.

– Ta sytuacja zaczyna mnie przerastać. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy to nie objawy osobowości mnogiej. Może wydaje mu się, że te rzeczy robi ktoś inny, a tak naprawdę sam odpowiada za to wszystko.

– Nie sądzę – rzucił Falk znad rysunków Benia, które z zainteresowaniem oglądał. – Przy tego typu zaburzeniach odrębne tożsamości najczęściej funkcjonują nieświadome swojego istnienia. Jakby były różnymi, obcymi sobie ludźmi zamieszkującymi to samo ciało. On natomiast przedstawia przyjaciela jako kogoś, z kim jest w relacji. Znają się, rozmawiają ze sobą.

– Więc kim może być ten człowiek?

– Omamem albo dziecięcym wyobrażeniem, które pozwala mu radzić sobie z wściekłością na ojca za to, że go zostawił, i złością na panią za to, że nie zdołała pani uratować jego taty.

Opuszki Julii musnęły obrączkę, którą nadal nosiła na palcu.

– Ale dlaczego zaczął go widywać dopiero teraz? Przecież od śmierci Adama minęły dwa miesiące, czemu nie wyobrażał go sobie wcześniej, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Warszawie?

– Myślę, że w tamtym czasie doświadczał pierwszych etapów żałoby. Szoku, niedowierzania, zaprzeczenia, a kiedy te fazy przebrzmiały i w pełni uświadomił sobie, że ojca nie ma już definitywnie, nastął bunt. Do tego się przeprowadziliście. W jego życiu zmieniło się absolutnie wszystko. W nowym miejscu mógł się czuć samotny i zagubiony, dlatego stworzył kogoś, w kim ma oparcie. Towarzysza do dyskusji, a jednocześnie kozła ofiarnego, na którego można zrzucić winę za wszystkie wybryki. – Psycholog wpatrywał się w obrazek postaci o pustych oczodołach. – Najbardziej intryguje mnie, dlaczego ów przyjaciel jest kimś tak skrajnie złym. W swojej wiadomości wspominała pani, że Benio powiedział o nim: „lubi zabawy, w których ktoś umiera”. To ciekawy dobór słów jak na sześciolatka.

Julia mruknęła w zamyśleniu, po czym zajrzała przez szybę do salonu i zdała sobie sprawę, że jej syn zniknął.

– Gdzie on jest? – wtrąciła zaniepokojona, podnosząc się z sofy.

Pchnęła szklane drzwi, po czym weszła do środka, nawołując chłopca.

– Beniu?!

– Sprawdź toaletę i kuchnię – zaproponował Falk.

Oboje przemierzali parter, zaglądając we wszelkie zakamarki, w których mogłoby się ukryć dziecko, ale po sześciolatku nie było żadnego śladu. Gdzieś przepadły jego plecak i ołówek, który dostał od terapeuty. Na stoliku leżały tylko czyste, nietknięte kartki oraz cała masa przyborów do kolorowania.

– Synku! – zawołała raz jeszcze, a wtedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Znieruchomiała. Melodyjne „ding dong” sprawiło, że psycholog zmarszczył brwi i spojrzał na zegarek.

– Otworzę, a pani niech go poszuka na piętrze.

Julia skręciła na korytarz, kierując się w stronę schodów wyłożonych miękkim dywanem. Ledwie zdążyła pokonać kilka stopni, a dostrzegła zbiegającego z góry chłopca. Sześciolatek pogwizdywał z beztroską miną i wycierał mokre ręce o bluzę, zostawiając na niej ciemne plamy.

– Rety, Beniu, gdzie ty się podziewałeś? Wszędzie cię szukałam.

– Poszedłem tylko do łazienki.

– Na dole też jest toaleta. Dlaczego nie reagowałeś, kiedy cię wołałam?

– Nie słyszałem, mamusiu.

Julia objęła syna ramieniem.

– Chodźmy już, pan Feliks czeka na ciebie.

Ruszyli razem w stronę salonu, gdy ich uszu dosięgły podniesione głosy.

– Powiedz w końcu, czy to prawda – atakował wyraźnie zdenerwowany mężczyzna.

– A jak myślisz? Oczywiście, że nie – obruszył się terapeuta.

Z miejsca, w którym przystanęli z Beniem, Julia widziała jedynie profil Falka i umięśnione przedramiona jego rozmówcy. Przyłożyła palec do ust, dając chłopcu znać, by milczał. Stojący w otwartych drzwiach psycholog zaciskał mocno szczęki i gwałtownie wymachiwał rękoma.

– Nie wierzę. – Prychnął nieznajomy. – Okłamujesz wszystkich całe życie. Było ci mało, co? Do czego jeszcze się posuniesz?

– Przestań. Dobrze wiesz, że...

– Wiem, że jesteś zdolny do wszystkiego, co pozwoli ci ochronić twój nieskazitelny wizerunek. Może

nadszedł czas, by świat wreszcie poznał prawdę o tobie. Jak myślisz?

– Grozisz mi? – syknął Feliks, szarpiąc mężczyznę za ubranie. Julia instynktownie przywarła do ściany, tuląc do siebie syna. – Pamiętaj, że ja też znam twoje sekrety.

– To nie są moje sekrety, tylko nasze – odgryzł się tamten.

Julia wychyliła się nieznacznie. Musiała sprawdzić, kim był mężczyzna po drugiej stronie drzwi, ale z tej odległości nie miała szansy zobaczyć jego twarzy. Dlatego wzięła Benia za rękę i niepostrzeżenie podeszła z nim do terapeuty.

– Zguba odnaleziona. Był w łazience na górze – oznajmiła, po czym udając zaskoczenie, powiodła wzrokiem od Falka do nieznanego. – Ojej, przepraszam, chyba panom przeszkodziłam.

– Nic się nie stało. Właśnie wychodziłem – rzucił ponuro mężczyzna. – Do widzenia.

Mózg Julii potrzebował kilku sekund, by rozszyfrować, do kogo należą ów nieco szorstki głos oraz małe, przenikliwe oczy. I gdy impuls elektryczny przeskoczył między synapsami, zyskała pewność, że krótko obcięty nieznanomy o szczupłych nogach, które wystawały z masywnego tułowia w kształcie beczki, jest nikim innym jak tylko Maciejem Molendą. Właścicielem fabryki mebli, mężem Anny z przedszkola oraz jednym z licealnych przyjaciół Adama.

– Przepraszam, ale niechcący słyszałam waszą kłótnię. Czy coś się stało? – zapytała, gdy Feliks zamknął drzwi za swoim gościem.

Terapeuta spojrział na nią z wahaniem.

– Może rzeczywiście będzie lepiej, jeśli sam pani o tym powiem. Szczególnie że nie mam nic do ukrycia. – Wziął głęboki wdech. – W sieci pojawiły się idiotyczne plotki na mój temat. Jedna z pacjentek poskarżyła się swoim rodzicom, że zachowywałem się wobec niej niestosownie. To oczywiście bzdura i moi prawnicy zajmują się już tą sprawą, ale ojciec dziewczyny wpadł w szał i rozdmuchał temat, idąc z nim do mediów, a zatem... – Rozłożył bezradnie ręce. – Zrozumiem, jeśli pani zrezygnuje.

– Doceniam pana szczerość, ale nie zmieniłam zdania. Nadal chcę, by porozmawiał pan z moim synem – podkreśliła.

Kąciki usta Falka po raz pierwszy tego dnia nieznacznie drgnęły.

– W takim razie zapraszam cię do salonu – zwrócił się do Benia. – A pani proponuję kawę z ekspresu w kuchni. Proszę się czuć jak u siebie.

Julia uściskała chłopca, a później zajęła krzesło przy kuchennej wyspie i oparła czoło na dłoniach. Jej serce intensywnie tłoczyło krew. W myślach odtwarzała rozmowę dwóch mężczyzn, próbując zrozumieć, czego mogła dotyczyć. Wreszcie, wiedzona ciekawością, wpisała w przeglądarkę imię i nazwisko psychologa, a gdy system wypuścił wyniki i zobaczyła nowy, świeżo opublikowany artykuł, smartfon z wrażenia wypadł jej z ręki. Komórka uderzyła o kamienny blat, a ekran pokryła pajęczna sieć pęknięć. Julia zaklęła, po czym raz jeszcze przeczytała nagłówek, który zmroził jej krew w żyłach. „Znany terapeuta podejrzany o wykorzystanie piętnastoletniej pacjentki”.

Maj 1996

Szedł nieświadom stawianych kroków. To już nie on parł przed siebie, tylko to coś, co się w nim obudziło. Nie czuł strachu, nie myślał o tym, co będzie. Liczyło się tylko tu i teraz. Kroczył przez osiedle napędzany gniewem i furią. Pełen wewnętrznej pożogi. W ręce trzymał łom, ciężki, żelazny. Czujne oczy lustrowały ciemne bramy i słabo oświetlone zaułki. Tej nocy powietrze miało dla niego zapach krwi. Zaciśnął palce na stali, zwarty i gotowy.

Gdy w końcu go dostrzegł, nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Szajba był sam. Poruszał się tym swoim charakterystycznym rozkołysanym krokiem. Ręce w kieszeniach, kaptur na głowie, papieros w ustach. Cichy obserwował nitki dymu unoszące się nad postacią w ciemnej kurtce. Jego puls przyspieszył, nienawiść zawrzała w żyłach.

Po miesiącach w poprawczaku wiedział, że w każdym człowieku kryje się to nieokielznane, dzikie stworzenie. I że dopiero w granicznych momentach na jaw wychodzi, kim jest się bardziej: człowiekiem czy zwierzęciem. Jeśli kiedykolwiek miał wątpliwości co do swojej natury, to właśnie teraz je stracił. Kierował nim pierwotny, nieposkromiony zew. Siła, której nie sposób zatrzymać.

Ruszył. Skradał się cicho jak pantera. Jego świat zawężił się do tej jednej postaci. Zniknęły wszystkie myśli. Nie słyszał już żadnych dźwięków z zewnątrz. Tylko werble wybrzmiewające gdzieś w czaszce. Głośniejsze z każdym krokiem i wprawiające trzewia w przyjemne wibracje.

Szajba rzucił na ulicę papierosa, a on pomyślał tylko jedno. Teraz.

Z łomem w rękach uniesionych nad głowę runął na przeciwnika. Noc rozdarł dziki wrzask. Stał uderzyła dokładnie w środek pleców. Coś chrupnęło. Szajba nienaturalnie wygiął biodra, a później poleciał do przodu i gruchnął o ziemię z głuchym jękiem. Nie spodziewał się tego. Może słuchał muzyki, a może nie dopuszczał do siebie myśli, że drapieżnicy niekiedy też stają się ofiarami.

Cichy poczuł się niezwykcieżony. Silny tak, że drzewa mógłby gołymi rękami wrywać. Ze wstrętem patrzył na leżącego u jego stóp chłopaka, który próbował podnieść się na łokciach. Pomyślał o siostrze walczącej o życie w szpitalu, o córce trenera ciągniętej przez las i zaciskając szczęki, zadał kolejny cios w plecy.

Łomot odbił się echem od betonowych ścian. Tamten upadł ponownie. Cichy poczuł prąd przechodzący przez ciało. Była w nim już tylko ślepa żądza zemsty. Zamachnął się więc ponownie, a potem znowu i znowu. Uderzał, nie wiedząc już, czy to krzyczy on, czy ten, którego krzywdzi. Ostra krawędź łomu cięła materiał kurtki i rozrywała skórę. Aż w końcu na ubraniu leżącego wykwitły czerwone plamy krwi.

Dopiero kiedy tamten przestał się ruszać, Sebastian zaczął się uspokajać. Dysząc, kopnął Szajbę w ramię, a później butem przewrócił go na plecy. Chciał spojrzeć w znienawidzone oczy i splunąć w ohydną twarz. Chciał mu wykrzyknąć, że to za Wiktorię i Helę.

Tylko że gdy zobaczył chłopaka, którego skatował, nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Skończyły się mu wszystkie słowa.

Zadrżał, a łom wypadł mu z ręki. Miał wrażenie, że się dusi.

Ze strugą krwi wylewającą się z nosa u jego stóp leżał nastolatek w kurtce Szajby. Chłopak w bluzie z czarno-białą myszką z disneyowskich produkcji.

Ten, na którego wszyscy wołali Miki.

Julia

Wrzesień 2019

Benio usiadł na środku kanapy przy stoliku kawowym, w dłoniach ściskając papierowy samolocik. Jego drobne ciało zapadło się w miękkie poduchy, przez co wydawał się jeszcze mniejszy. Terapeuta uśmiechnął się do niego ciepło, wyjął z szuflady w komodzie kołonośnik oraz długopis i zajął miejsce na fotelu tuż obok.

– Podobno zamieszkaliście z mamą w okolicy. Jak ci się tu podoba? – zaczął.

Odpowiedziało mu niedbałe wzruszenie ramion.

– Wiesz, dlaczego tu przyjechaliście?

– Bo mój tata umarł.

– Bardzo mi przykro.

– To przez mamę – odparł sześciolatek, zapraszając krawędzie samolotu.

Feliks z zaciekawionym nachylił się do przodu i oparł brodę na dłoni.

– Przez mamę? Dlaczego?

– Mój przyjaciel tak mówi.

– Przyjaciel, powiadasz? Opowiesz mi o nim?

Chłopiec pokręcił przecząco głową.

– On nie chce, żeby pan ze mną rozmawiał – wyjaśnił.

Terapeuta w zdziwieniu ściągnął brwi.

– Nie lubi mnie?

– Mówi, że zepsuje pan naszą zabawę.

– A co to za zabawa?

Sześciolatek, naśladowując odgłos pracującego silnika, zatoczył koło papierowym samolotem trzymany w dłoni, a później wyrzucił go w górę. Samolocik przeleciał nad ławą, zakręcił się w powietrzu i upadając, wylądował pod drugim fotelem. Chłopiec zeskoczył z kanapy i schylił się, by go poszukać, a kiedy odnalazł zgubę, zadowolony wrócił na sofę.

– Beniu, na czym polega ta zabawa? – powtórzył Falk, gdy odzyskał uwagę dziecka.

– Na tym, że ludzie umierają.

Mężczyzna w zadumie obracał w palcach długopis.

– Boisz się, że innych może spotkać to, co twojego tatę?

Malec spuścił głowę, posmutniał i potwierdził skinieniem. Terapeuta rozłożył na ławie obrazki, które przyniosła Julia.

– Kim jest ta postać na twoich rysunkach? – Wskazał palcem osobnika o czarnych oczodołach.

– To mój przyjaciel.

– Narysowałeś go w środku waszego domu. Jak się tam dostaje?

– Ja go wpuszczam.

– Ktoś poza tobą go widział? Albo z nim rozmawiał?

Chłopiec pokręcił głową.

– Ukrywa się. Nie chce, by inni go zobaczyli.

– Nawet twoja mama? Na pewno chciałyby go poznać.

– On jej nie lubi. Jest na nią zły. Mówi, że to wszystko jej wina.

– Ty też tak uważasz?

Chłopiec zamilkł. Przewracał w palcach papierowy samolot, naśladowując odgłosy pracującego silnika.

– Słyszałem, jak sama tak do siebie mówiła. Po pogrzebie taty. Schowała się w łazience i płakała.

– Wiesz, ludzie czasem obwiniają się o śmierć bliskich. Wydaje im się, że mogli jej jakoś zapobiec, ale to, co spotkało twoją rodzinę, było po prostu nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności.

– On powiedział, że bym panu nie wierzył. – Malec wbił w terapeutę chłodny wzrok.

– Dlaczego?

– Bo kłamie pan tak samo jak mama. Wszyscy kłamię. – Ostatnie zdanie wypowiedział obcym, nieco chrapliwym głosem. Jego twarz poczerwieniała, a dłonie zacisnęły się w pięści.

Przez chwilę ten drobny chłopczyk sprawiał wrażenie odpychającego. Jego lodowate spojrzenie sprawiło, że po plecach Falka przebiegł dreszcz.

To tylko dziecko, napomniał się w myślach. Sześciolatek, który stracił ojca i jest wściekły na cały świat. Czuje złość i niesprawiedliwość, dlatego szuka winnych, by obarczyć ich odpowiedzialnością za to, co się stało.

Feliks zauważył, że kartka, z której został złożony samolocik, była z jednej strony zarysowana ołówkiem.

– Czy to twój obrazek? Mogę zobaczyć?

Benio podał mu kartkę. Mężczyzna rozłożył ją powoli, szeleszcząc papierem. Kiedy odsłonił niepokojący szkic, spojrzał z troską na dziecko. Strona niemal w całości została zamazana ołówkiem. Na ciemnej, grafitowej połaci odznaczała się tylko postać o czarnych oczodołach i ciemnej plamie zamiast ust, która przypominała bezdenne otwory.

Nieprzyjemne uczucie znów ogarnęło terapeutę. Wzdrygnął się i przesunął dłonią po karku pokrytym gęsią skórą.

– Beniu, czy ty się go boisz?

– Nie. On nie chce mnie skrzywdzić. Jest dla mnie dobry.

– Po co w takim razie cię nachodzi? I czego tak naprawdę chce?

– Chronić mnie.

– Przed kim?

– Przed złymi ludźmi.

Chłopiec wstał niespodziewanie z kanapy i wyrwał terapeutce rysunek z dłoni. Z rozczarowaniem przyjrzał się pogiętej, lekko naderwanej kartce papieru, która wcześniej była samolotem.

– Zepsuł go pan! – rzucił ze złością, choć rozdarcie pogłębiło się tak naprawdę w chwili, gdy wyszarpnął obrazek Feliksowi.

Psycholog postanowił jednak przymknąć na to oko i wziąć na siebie winę.

– Tak, przepraszam. Zrobię ci inny.

– Nie chcę innego, chcę tamten.

– Obawiam się, że nawet jeśli uda mi się go złożyć w ten sam sposób, to z powodu przedarcia nie będzie latał jak wcześniej.

– Niech pan go naprawi – zażądał malec, wyciągając rękę z kartką w stronę mężczyzny, ale Falk tylko smętnie pokręcił głową.

– Nie mogę. Nie wszystko w życiu da się naprawić, Beniu – powiedział łagodnie, kładąc dłoń na ramieniu chłopca.

Sześciolatek gwałtownie stracił jego rękę, po czym zgniótł papier w kulkę, rzucił ją ze złością na podłogę, a później uciekł z salonu.

Feliks Falk siedział jeszcze przez chwilę nieruchomo, próbując zrozumieć to, co między nimi zaszło. W końcu dopisał kilka słów do swoich notatek i wstał z fotela. Kiedy wyszedł na korytarz, zobaczył chłopca wtulonego w matkę, która kucając, obejmowała drgające od płaczu ciało.

– Coś się stało? – zapytała Julia z zagubionym wyrazem twarzy.

– Nie potrafiłem naprawić tego, co się zepsuło.

– Chyba nie rozumiem.

– Powiniennem mieć na górze książkę, która w tym pani pomoże. Proszę poczekać, zaraz ją przyniosę.

Zaczął się wspinać po drewnianych schodach wyłożonych miękkim kremowym dywanem, myśląc o tym, jak różnie ludzka psychika reaguje na stratę. Był przekonany, że książka Williama Wordena, którą sam czytał, gdy odeszli jego rodzice, pozwoli Julii Haner inaczej spojrzeć na to, co działo się z jej synem. Jednak kiedy skręcił do pokoju, który pełnił funkcję zarówno jego sypialni, jak i gabinetu, wszystkie myśli uleciały mu z głowy. Zatrzymał się w progu, szeroko otwierając usta, a potem wszedł do środka i obrzucił wzrokiem pomieszczenie.

– Pani Julio! – zawołał.

Kobieta wbiegła na górę, a jej krokom towarzyszył tupot dziecięcych stóp podążającego za nią Benia. Podobnie jak wcześniej Falk, Julia przystanęła w drzwiach, a jej źrenice rozszerzyły się ze zdziwienia. Wszystkie szuflady komody były otwarte. Książki stojące wcześniej w równych rzędkach na półkach teraz

leżały w nieładzie na podłodze obok czasopism branżowych i notatek wyrzuconych z czarnych pudełek oznaczonych etykietami. Na dywanie poniewierały się wycinki z gazet dotyczące pożaru w jednym z grodziskich domów oraz skserowane artykuły naukowe. Pokój wyglądał jak po przejściu huraganu. Pościel ściągnięta na podłogę, dokumenty wyrzucone z segregatora i ubrania skotłowane na dywanie.

Terapeuta wymienił z Julią spojrzenia, po czym powiódł wzrokiem po wyższych półkach, na których wszystko stało nietknięte. Jakby ktoś, kto zrobił ten kipisz, w pewnym momencie się znudził. Albo jakby tam nie sięgał, pomyślał Feliks, dostrzegając na biurku ołówek, który wcześniej dał Beniowi. Miał złamaną końcówkę, jak gdyby ktoś celowo ją zniszczył, a w blacie tuż obok widniały trzy świeże wgniecenia. Psycholog przesunął palcem po wgłębieniach.

– Beniu, wchodziłeś do tego pokoju? – zwrócił się do chłopca, pokazując mu ołówek.

Malec przywarł do uda matki.

– Tak, szukałem temperówki – odparł z przestraczem. – Ale to nie ja, przysięgam.

Mężczyzna pokiwał głową, w zamyśleniu pocierając podbródek.

– W porządku. Nie mówię, że to ty. Może to twój przyjaciel, jak sądzisz?

– Może.

Julia przykucnęła, gotowa porozmawiać z synem. Jej twarz była napięta, wargi drżały. Chłopiec, najwyraźniej wyczuwając złość matki, cofnął się o krok. Zanim jednak kobieta zdołała zadać pytania, które wszystkim cisnęły się na usta, Falk powstrzymał ją, kręcąc głową i dając jej sygnał, by nie drążyła.

– Na dzisiaj już chyba wystarczy – powiedział życzliwie, po czym wyciągnął do Beniamina dłoń, którą chłopiec obrzucił obojętnym spojrzeniem i po chwili wybiegł z pokoju.

Julia zdezorientowana ruszyła za dzieckiem, ale w progu zatrzymała się jeszcze na chwilę.

– Przepraszam za to wszystko. – Ogarnęła wzrokiem wnętrze sypialni. – Pokryję koszty, jeśli coś zostało zniszczone.

Feliks machnął ręką.

– Proszę się tym nie martwić. Niech pani za nim biegnie. Zadzwoń, gdy przemyślę to, co usłyszałem.

– Mam się obawiać?

– Nie, nie sądzę. – Rozciągnął usta w pokrzepiającym uśmiechu, a kiedy został sam, westchnął ciężko i zaczął zbierać z podłogi rozsypane przedmioty.

Dopiero wtedy zauważył, że nie dostrzega w akwarium Goldie, złotej rybki. Welonka o ognistopomarańczowym ubarwieniu, która zwykle pływała radośnie po całym swoim królestwie, gdzie się schowała. Falk obejrzał dokładnie ulubione kryjówki Goldie, a gdy jej nie znalazł, wrzucił do wody nieco pokarmu, mając nadzieję, że wtedy rybka wypłynie. Tym razem jednak i to nie zadziałało. Różowe płatki dryfowały w akwarium, lecz po welonce nie było ani śladu. Feliks zapukał jeszcze w szybkę, a następnie zaniepokojony zaczął przeczesywać palcami akwariowe rośliny. Kiedy skończył, zyskał pewność, że Goldie zniknęła.

Maj 1996

Trener kluczył ciasnymi uliczkami blokowiska, nie mogąc zlokalizować Cicheckiego. Nie zastał nikogo w jego mieszkaniu przy Sienkiewicza, dlatego postanowił poszukać na osiedlu, gdzie zwykle kręcił się też Szajbiński. Z nerwów zaczął gryźć wewnętrzną stronę ust, a jego spojrzenie co jakiś czas zahaczało o wyświetlacz z zegarem. Przejechał wzdłuż muru z graffiti nieopodal starej kotłowni i obok długiego bloku z wielkiej płyty. Nigdzie nie dostrzegł jednak ani Sebastiana, ani Szajby. Miał nadzieję, że zdoła zaczepić kogoś z kręcących się po Manhattanie młokosów i wyciągnąć od nich więcej informacji, ale jak na złość tej nocy wszyscy pochowali się już w domach.

Z nieba spadały drobne krople majowego deszczu, znacząc chodniki ciemnoszarymi cętkami, gdy Jakub Czaja znalazł się w zaułku naprzeciwko łukowatej bramy. To tutaj kilka godzin wcześniej chciał przejechać Szajbińskiego. Deszcz wstrząsnął jego ciałem. Przetarł zmęczoną twarz, a po chwili zauważył dwie żywo dyskutujące emerytki z włosami po trwałe. Stały przy śmietniku. Jedna z opróżnionym kubłem w dłoni, druga z siatką pełną słoików. Ta drobniejsza z przejęciem pokazywała coś koleżance, zerkając w stronę placu, po którym wałęsały się bezpańskie psy. Wyższa kobieta kręciła z niedowierzaniem głową, a jej palce szarpały zawieszkę na łańcuszku.

Nauczyciel podążył spojrzeniem w tym samym kierunku co emerytki i poczuł, jak tężeją mu mięśnie. Wydawało mu się, że na betonowym bruku widnieje bordowa plama. Taka, jaką zostawia zaschnięta krew. Czy to nie tu potrafił tamtego kundla? Wstyd rozpałił mu policzki. Przecież ten pies mógł do kogoś należeć. Powinien był się zatrzymać, pomóc zwierzęciu albo przynajmniej zabrać je z drogi. Dlaczego tego nie zrobił? Bo myślał jedynie o zemście? A wszystko inne nie miało znaczenia? Pochylił głowę, nie mogąc uwierzyć, jak bezduszny się stał.

Poczucie winy wypchnęło go na ulicę. Złapał w garść zmięte ulotki, zalegające na dywaniku samochodowym po stronie pasażera, i ruszył w kierunku śmietnika. Kobiety natychmiast obdarzyły go ciekawskimi spojrzeniami, a ich rozmowa ucichła.

– Dobry wieczór – przywitał się, mijając starsze panie.

Emerytki odpowiedziały uprzejmym skinieniem, wnikliwie lustrując nieznanego. Jakub wyrzucił śmieci do kontenera, a wracając, niby przypadkiem przystanął obok ciemnej plamy na betonie i przyglądał się jej z ciekawością badacza. Czuł, że się poci. Schował ręce do kieszeni, by nie zdradziły jego zdenerwowania.

– To krew – powiedziała niższa z kobiet.

Obrócił głowę w jej stronę.

– Naprawdę? – Uniósł brwi, chcąc wyglądać na zszokowanego. – A co się stało? Ktoś kogoś pobił?

– Żeby to – fuknęła obruszona. – Dziewczynkę potracili.

Nauczyciel poczuł, jakby ziemia zadrżała. Kobieta nie przestawała mówić, ale przez pisk w uszach nie był w stanie jej usłyszeć. Widział tylko poruszające się usta oraz tę szkarłatną plamę na ulicy, która zdawała się pełznąć ku niemu.

– ...zostawili ją tu jak psa jakiegoś. Gdyby nie to, że szłam akurat do sąsiadki, to wykrwawiłaby się na śmierć. Ludzie takich rzeczy nie robią, mówię panu, to bydlęta jakieś były, i tyle. – Pokręciła głową z przyganą. – Żeby tak dzieciaka małego? Toż to w głowie się nie mieści.

– To pewnie te bandziory, co tu nocami jeżdżą jak wariaci. – Wyższa kobieta włączyła się do rozmowy. – Przecież tego Graczyka z dwa tygodnie temu. Mówię pani, ci chuligani to już na nikogo nie patrzą. Tylko ta muzyka i jakieś dzikie wrzaski. Niedługo strach będzie na ulice wychodzić.

– Ktoś widział, jak do tego doszło? – chciał wiedzieć Jakub.

Emerytka z siatką słoików wrzuciła ramionami, a zawartość torby lekko zadzwoniła.

– Ciężko powiedzieć. Wie pan, jak jest, każdy zajęty swoimi sprawami, ale to już policja będzie sprawdzała. Mnie wypyтали od razu, bo to ja ją znalazłam. Do tej pory cała chodzę, niech pan zobaczy. – Wyciągnęła przed siebie ręce, by mu pokazać, że nadal się trzęsą. – Nie na moje lata takie nerwy. Przecież ta mała to mi się będzie teraz po nocach śniła.

– A Cichecki był już u ciebie? – Dopytywała właścicielka kubła na śmieci.

Na dźwięk znajomego nazwiska wuefista cały zamienił się w słuch.

– Jeszcze nie. Zresztą on i tak teraz nie ma do tego głowy. Do szpitala z żoną pojechali, żeby być przy córce. Taka miła, ładna dziewczynka, ech, szkoda, no naprawdę szkoda – cmoknęła. – Widzi pani, jaki ten los

niesprawiedliwy, chłopaka przecież też mają, co to „dzień dobry” nawet nie powie, tylko coś tam burczy pod nosem. Z oczu to mu dobrze nie patrzy, a i w poprawczaku podobno siedział, ale na takiego to nie padło, tylko na tę małą. Co ona komu zawiniła, to ja nie wiem. – Rozłożyła ręce w geście bezradności.

Słowa kobiety były jak cios w brzuch. Jakub zachwiał się, czując, że nie może złapać tchu. To był tylko pies. To musiał być pies, powtarzał w myślach. Dłonie w kieszeniach zaczęły się pocić, świat zawirował. Odtwarzał w pamięci tamten podnoszący się z ziemi kształt widziany we wstecznym lusterku, a on coraz bardziej upodabniał się do długowłosej dziewczynki.

Nad podwórkiem przeleciała czarna wrona. Przysiadła na ziemi obok zaschniętej plamy krwi i zakrakała, ale nauczyciel zamiast skrzeku usłyszał słowo. *Winny*. Dźgało go w czaszkę, ostre jak dziób ptaszyska. *Winny*. Wpychało się do uszu i owijało wokół głowy. *Winny*. Przesiąknięty tym słowem do szpiku, czuł, jakby z niego samego już prawie nic nie zostało, tylko ta wina. Gorzka i gęsta jak smoła.

– Proszę pana! – Poczul szarpnięcie.

Ocknął się nagle, rejestrując, że nadal stoi na betonowym bruku, z rękami w kieszeniach i spoconym karkiem, a dwie emerytki wpatrują się w niego z niepokojem. Przełknął ślinę, po czym niezdarnie potarł skroń.

– Przepraszam – bąknął. – Późno już. Muszę wracać do córki.

Do samochodu szedł niepewnym krokiem, odprowadzany przez szept kobiet, które dyskutowały o tym, czy przypadkiem nie jest pijany. Wsiadł, zapiął pasy, a kiedy spojrzął w lusterko, zobaczył w nim dziewczynkę z twarzą przesiąkniętą zalem. Odniósł wrażenie, że ktoś wyssał z forda cały zapas powietrza. Zaczął rzucać się jak ryba wyrzucona na brzeg, pewien, że zaraz się udusi. Bliski hysterii, panicznie szarpał korbkę do opuszczania szyby, i dopiero gdy tlen wpełzł do wnętrza przez uchylone okno, Jakub opadł z ulgą na fotel.

Z drogi do domu pamiętał niewiele. Białe pasy na jezdni, oślepiające światła nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów i ryk klaksonów. Przez całą podróż ani razu nie spojrzął we wsteczne lusterko. Wbijał paznokcie we wnętrza dłoni, by skupić się na bólu i pamiętać o tym, że pod żadnym pozorem nie wolno mu podnosić wzroku.

Kiedy wytoczył się z auta pod blokiem w Milanówku, miał mokre czoło. Oddech mu się rwał, ręce dygotały. Schował głowę w ramiona, wbił wzrok w chodnik i biegł w nadziei, że zdoła schronić się przed tym, przed czym nie było ucieczki.

Z trudem szarpnął drzwi i zapalił światło. A gdy jasność zalała klatkę schodową, z gardła Jakuba wyrwał się zduszony okrzyk.

Na kamiennych stopniach siedział Cichy. Miał ręce we krwi, a jego twarz i ubranie znaczyły czerwone plamy.

– Chyba go zabiłem – powiedział.

Julia

Wrzesień 2019

W drodze do domu Benio nucił coś po cichu, chuchał na szybę w samochodzie i rysował palcem po mglistej plamie z pary wodnej. Julia obserwowała go w lusterku wstecznym, próbując poukładać w sobie to wszystko, co zaszło od rana.

Nadal czuła się roztrzęsiona po artykule na temat Falka, który przeczytała jeszcze u niego w domu. Rodzice piętnastolatki, rzekomo uwiedzionej i wykorzystanej przez psychologa, grozili mu sądem oraz pozbawieniem uprawnień do wykonywania zawodu. I choć o oskarżeniach wspominał na razie tylko jeden nieduży portal, zainspirowany przez ojca dziewczyny, to Falka przedstawiano w nim jako Feliksa F., znanego psychoterapeutę, co było równoznaczne z zamieszczeniem w sieci jego zdjęć z podpisem „winny”.

W tym momencie była to sprawa z gatunku „słowo przeciwko słowu”. Poza zarzutami nastolatki nie istniały żadne dowody, które mogłyby obciążyć Feliksa. Ziarno niepewności zostało jednak zasiane i nawet jeśli mężczyzna był niewinny, takie pomówienie mogło nadszarpnąć, a może nawet zrujnować jego karierę. Julia domyślała się, że to dlatego Falk zaszył się na przedmieściach i topił stresi w alkoholu. Najwyraźniej wiedział, co nadchodzi, i uciekł ze stolicy, zanim rozpętała się medialna burza.

Czy naprawdę mógł wykorzystać swoją pozycję, by uwieść nieletnią? Wizerunek kobieciarza z pewnością nie pomógł w tej sytuacji. Z drugiej strony, dlaczego nastoletnia dziewczyna miałaby kłamać w tak poważnej sprawie? Przecież pisząc o tym w mediach społecznościowych, narażała się na oceny w stylu „na pewno sama go prowokowałaś”.

Odnalezienie wspomnianego w artykule instagramowego konta dziewczyny nie zajęło Julii dużo czasu. Okazało się jednak, że miało status prywatnego i można było je obserwować dopiero po zatwierdzeniu prośby przez właścicielkę profilu. Julia kliknęła przycisk „obserwuj” i już po kilku minutach została zaproszona do świata Madeleine, a ściślej mówiąc Magdaleny, którą śledziło prawie dwa tysiące osób. Teraz wraz z nimi Julia mogła oglądać zdjęcia w kolorowych stylizacjach, sportowych topach do pępka i spodniach noszonych nisko na krągłych biodrach. Tylko na ostatniej fotografii, zrobionej z bardzo bliska, dziewczyna się nie uśmiechała, a na jej policzkach widniały ślady łez.

Wpis był dość enigmatyczny. Mówił o zawiedzionym zaufaniu, poczuciu krzywdy i ostrzegał przed ekspertami, którzy wykorzystują swój autorytet, by dostać to, czego chcą. W tekście nie padało nazwisko Feliksa, ale pod postem pojawił się hashtag z inicjałami Falka oraz drugi ze słowem „terapeuta”. To z kolei sprawiło, że większość komentarzy poza współczuciem zawierała także pytanie o namiary na „tego skurwiela” i zachęty, by podpalić mu gabinet albo dopaść go w ciemnej uliczce.

Wśród setek nienawistnych głosów Julia znalazła tylko dwa o odmiennym charakterze. Jeden był wypowiedzią innej nastolatki, która broniła terapeuty, twierdząc, że nie wierzy, aby był zdolny do czegoś takiego. Spadła na nią za to fala hejtu i obrzydliwych tekstów o tym, że zapewne kręca ją „starzy zbroceńcy”. Drugi komentarz, zamieszczony zaledwie kilka minut wcześniej, sugerował, jakoby Madeleine „znów się w to bawi”. Nie było pod nim jeszcze żadnych odpowiedzi ani serduszek, co mogłoby wskazywać na to, że dotychczas nie został przez nikogo odczytany.

Julia nie wiedziała, co o tym sądzić, ale teraz najważniejszy był dla niej Benjamin. Odpędziła myśli o Falku, towarzyszące jej w samochodzie, i spoglądając na syna w lusterku wstecznym, zapytała:

– Jak ci się podobało u pana Feliksa?

– Nie lubię go. Zniszczył mój samolot.

Usta chłopca zacisnęły się w kreskę.

– Na pewno nie zrobił tego specjalnie – próbowała tłumaczyć mężczyznę, ale jej syn nie odpowiedział.

Rozważała, czy drażnić jeszcze, co tak naprawdę robił Benio w sypialni terapeuty, ale postanowiła z tym poczekać i wrócić do tematu dopiero po rozmowie z Falkiem.

– Możemy jechać na lody? – zaproponował niespodziewanie sześciolatek.

W tej samej chwili na komórcie Julii wyświetliła się wiadomość od Anny Molendy z Małych Odkrywców. Przedszkolanka pytała, jak poszło im u terapeuty, i zapraszała na świeżo upieczone ciasto marchewkowe. Na samą myśl o jedzeniu żołądek Julii odezwał się głośnym burczeniem.

– Chyba mam lepszy pomysł – oznajmiła zadowolona. – Kupimy pudełko lodów i pojedziemy na twoje

ulubione ciasto. Co ty na to?

– Tak! Tak!

Chłopiec wymachiwał radośnie nogami i podskakiwał w foteliku, a ona poczuła przyjemne ciepło w piersi, doceniając tę chwilę, w której ponury grymas zniknął z jego twarzy. Niestety, gdy zaparkowali obok murowanego domu przy fabryce mebli Molenda, kwaśna mina Benia wróciła.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał, nieufnie przyglądając się obcemu budynkowi.

– To dom pani Anny z przedszkola. Zaprosiła nas na ciasto.

– Nie chcę tam iść.

Julia nabrała powietrza w płuca.

– Dlaczego?

– Ona mi nie wierzy. Myśli, że to ja podpaliłem serduszka.

– Nie martw się tym, synku. Wyjaśniłyśmy już tę sprawę. Pani Ania wszystko rozumie. – Musnęła kciukiem policzek dziecka. – Jestem pewna, że ucieszy się na twój widok. Specjalnie dla ciebie upiekła placek marchewkowy. – Zdziwiła się, że nagięcie prawdy przyszło jej z taką lekkością, choć zważywszy na to, ile razy w ostatnich miesiącach uciekała się do kłamstwa, nie powinno jej to zdumiewać. – To co, spróbujemy?

– No dobrze – stęknął od niechcenia, a później noga za nogą, jakby szedł tam za karę, powłókł się za matką.

Pocieszył go dopiero widok rozstawionej w ogrodzie trampoliny, huśtawki na sznurkach i piaskownicy, w której bawił się chłopiec w podobnym wieku, najpewniej Leon, syn Anny.

– Mogę tu zostać? – Benio puścił rękę matki i nie czekając na jej zgodę, pobiegł na trampolinę.

– Jasne, leć! – zawołała za nim, ale on już podskakiwał przy wtórze trzeszczących sprężyn i nie zwracał na nią uwagi.

Julia zapukała więc do drzwi, a gdy te się otworzyły, otoczył ją przyjemny zapach korzennych przypraw. Na ciele poczuła chłodny powiew przeciągu.

– W samą porę. Właśnie zaparzyłyśmy świeżej kawy. Chodź. – Anna gestem zaprosiła ją do środka.

Matka Benia zmarszczyła brwi, zastanawiając się, kogo jeszcze miała na myśli kobieta, ale jej uwagę odciągnęła apaszka, która przesunęła się na szyi przedszkolanki. To, co odsłoniła, wywołało u Julii skurcz żołądka. Mijały właśnie piękną komodę z przeszkleniami, nad którą wisiało lustro w ramie z drewna, gdy Anna, poprawiając nerwowo chustę, powiedziała:

– Wszystkie meble, które widzisz, zrobił mój mąż. Maciek chyba się ze mną rozwiódł, gdybym kupiła coś, co nie pochodzi z jego fabryki. Już za samo wypowiedzenie nazwy „Ikea” w tym domu grozi ekskomunika. – Kobieta rozciągnęła usta w uśmiechu, ale Julia nie potrafiła się na to zdobyć.

Przed oczami cały czas miała wyraźne siniaki na skórze Anny.

W kuchni Emilia Wagner nalewała właśnie kawy do porcelanowych filiżanek. Jej rude włosy mieniły się w promieniach słońca wpadających przez okno, a lewa dłoń ukradkiem wsuwała coś pod tacę stojącą na blacie. Kiedy spojrzenia kobiet się spotkały, Julię dosięgło ukłucie niepokoju na wspomnienie tego, co wydarzyło się podczas grilla w ogrodzie Wagnerów. Nadal dręczyły ją wyrzuty sumienia z powodu zachowania Benia i zaczęła się obawiać, że być może Emilia żywi do niej urazę. Ta jednak uśmiechnęła się ciepło, po czym serdecznie przywitała nową sąsiadkę.

– Cieszę się, że do nas dołączyłaś. Jak pierwsze dni w przedszkolu?

Julia w popłochu omiotła wzrokiem Annę. Boże, czy wszyscy już wiedzą? – huczało jej w głowie.

– Nic nie mówiłam – pospieszyła z wyjaśnieniem przedszkolanka.

Nagle Julia poczuła, że nie da rady dłużej tego w sobie trzymać. Opadła na krzesło i uwalniając zbyt długo wstrzymywane łzy, opowiedziała o Beniu i jego niewidzialnym przyjacielu. O swoim strachu i wstydzie, a także o wizycie u Feliksa Falka. Skrętnie pominęła jedynie informację o pobjawisku, jakie zastali w jego sypialni.

Ku jej zdziwieniu nowe koleżanki zamiast oceniać i dawać dobre rady, otoczyły ją zrozumieniem, co sprawiło, że jeszcze bardziej się rozkleiła.

– Falk to ceniony psychoterapeuta – stwierdziła Emilia, nakładając ciasto na talerzyk. – Myślę, że będzie w stanie wam pomóc.

– Martwię się tylko, czy na pewno można mu ufać. Po internecie krążą plotki o rzekomym molestowaniu piętnastoletniej pacjentki. Podobno ją uwiódł i wykorzystał.

Anna, słysząc te słowa, zakrztusiła się kawą i dopiero gdy Julia mocno poklepała ją po plecach, odzyskała oddech.

– To wierutna bzdura. Feliks nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

– Czy ja wiem? Ma opinię flirciarza. Znacie się? – dopytywała matka Benia.

– Teraz już nie utrzymujemy kontaktów, ale w czasach liceum nasi mężowie razem z Falkiem i Witkiem Lazarem tworzyli całkiem zgraną ekipę. Naprawdę nie sędzę, by Feliks tak głupio narażał swoją karierę.

Emilia przytaknęła.

– A co właściwie się stało z naszymi mężami? – drażyła Julia, pijąc kawę. – Dlaczego ich przyjaźń nie przetrwała?

– Z tego, co słyszałam, to się rozeszło jakoś po maturze – wyjaśniła żona Roberta. – Chyba po prostu każdy poszedł swoją drogą. Adam wyjechał na studia do Anglii, Witek i Feliks trafili do Warszawy, a Maciek zaczął pracować w fabryce ojca, którą kilka lat później przejął.

– Dziwne. Pokłócili się o coś?

Anna wzruszyła ramionami i uciekła wzrokiem.

– Odniosłam wrażenie, że Maćkowi było wtedy wstyd przed chłopakami, bo jako jedyny z paczki nie zdał matury i nie dostał się na AWF, o którym marzył. Do tego mieli jakiś konflikt z Feliksem. Falk się na niego obraził i od tamtej pory raczej ze sobą nie rozmawiają.

– Niezupełnie – wymknęło się Julii, zanim zdążyła ugryźć się w język. Z zakłopotaniem podrapała policzek. – Przepraszam, nie zamierzałam o tym wspominać, ale twój mąż był dziś u Feliksa.

Ręka przedszkolanki zawisała w powietrzu z ciastem nabitym na widelczyk.

– Maciek? Co on tam robił?

– Wydawał się zdenerwowany sprawą tej piętnastolatki, ale nie chciałam podsłuchiwać. Z ich tonów wywnioskowałam tylko, że się kłócili.

– Ciekawe. – Anna mruknęła w zamyśleniu, po czym odłożyła widelec i jakby coś jej się przypomniało, gwałtownie wstała od stołu, by sięgnąć do szafki, z której wyjęła słoik miodu. – Ktoś sobie życzy? – zaproponowała, słodząc swoją kawę, a kiedy jej koleżanki odmówiły, na powrót usiadła.

Julii to zachowanie wydało się nieco dziwne, ale uznała, że może jest przewrażliwiona, i następne pytanie skierowała do Emilii.

– A Robert? Spotyka się czasem z Witkiem albo Maćkiem?

– Nie. Od czasów matury minęło ponad dwadzieścia lat i dziś każdy z nich jest już innym człowiekiem. Zresztą z tego, co mówił, dawniej tę paczkę spajał Adam, a kiedy go zabrakło, wszystko się rozpadło. Twój mąż był zawsze niedoścignionym wzorem dla Roberta – dodała z rozrzewnieniem. – Witek onieśmiała go swoim intelektem, z Maćkiem nie mieli wiele wspólnego, a Feliksa bardziej interesowały dziewczyny niż starzy przyjaciele. I tak to się skończyło. Życie. – Wzruszyła ramionami. – Znamy się z Anną tylko dlatego, że nasza starsza córka, Mia, podobnie jak Benio, dołączyła teraz do przedszkola.

– W takim razie za nas. – Julia uniosła filiżankę z kawą i wszystkie trzy stuknęły się naczyniami.

Na twarzach kobiet widniały uśmiechy, choć sprawiały wrażenie wymuszonych i sztucznych jak miód, który Anna proponowała do kawy.

– Benio znalazł na strychu stare przeźrocza z dzieciństwa Adama – wspomniała Julia. – Są tam zdjęcia z zamierzchłych czasów, ale też cała masa bajek. Żałuję, że nie mam jak ich obejrzeć – jęknęła z zawodem.

– Trafiaś pod właściwy adres – odparła Anna, wstając z krzesła. – Zaczekaj chwilę, zaraz przyniosę ci przedpotopowy projektor. Jest stary jak świat, ale śmiga jak nówka sztuka. Maciek naprawił go jakiś rok temu dla Leona.

Oczy Julii zabłysły z ekscytacji.

– A ja zmykam do toalety, a później wracam do Roberta. Dziewczynki pewnie dają mu już nieźle popalić – oznajmiła Emilia i po chwili również wyszła z kuchni.

Kiedy Julia została sama, podniosła się, by wyrzucić przez okno, za którym Benio niestrudzenie skakał na trampolinie, a syn Anny nadal kopał w piaskownicy. Każdy z chłopców miał swój odrębny świat i choć Leon zerkał ukradkiem na Beniamina, to z jakiegoś powodu nie decydował się do niego podejść i dołączyć do zabawy. Jakby kolega fascynował go równie mocno, co przerażał.

Zmartwiona spuściła wzrok, natrafiając na tacę, pod którą wcześniej Emilia coś wsunęła. Julia uniosła

naczynie, a jej oczom ukazała się najzwyczajniejsza biała koperta nadana pocztą, z nadrukowanym adresem oraz imieniem męża Anny. Palce ją zaswędziały. Nie powinna tego robić, ale ciekawość była silniejsza. Musiała się upewnić, co tak pośpiesznie ukrywała żona Wagnera. Zerknęła kontrolnie za siebie, po czym wyjęła z koperty białą kartkę złożoną na czworo. Jej serce zatrzepotało w piersi jak ptak w klatce. Wewnątrz ktoś wydrukował tylko jedno zdanie: „Wiem, co zrobiłeś w maju dziewięćdziesiątego szóstego”.

– Co pani wyprawia? – usłyszała nagle za plecami, a wtedy list wypadł jej z dłoni.

Gdy się odwróciła, w progu kuchni dostrzegła ściągniętą gniewem twarz Macieja Molendy.

Maj 1996

Jakub zbladł. Poczul, jakby ziemia osunęła mu się spod nóg, i musiał przytrzymać się ściany, by nie upaść.

– Boże, coś ty narobił – wychrypiął z trudem. – Mówiłem, żebyś to zostawił. O nic nie prosiłem. Dlaczego mnie nie posłuchałeś?

– Chciałem mu odplacić za Helę i za moją siostrę. Zrobić cokolwiek, by wiedział, że nie ujdzie mu to płazem.

Wnętrze nauczyciela skuł gruby lód. Nie potrafił zdobyć się na nic więcej niż bezradne kręcenie głową.

– Hela się pomyliła, usiłowałem ci to powiedzieć przez telefon. To nie on. Nie on ją zgwałcił. – Zauważył, że chłopak drgnął zaskoczony, a na jego twarzy malowało się niedowierzanie. – Jezu, co teraz będzie? Przecież cię znajdą i znowu trafisz za kratki. Pomyślałeś o tym? I co w ogóle ma z tym wspólnego twoja siostra?

– Ten łajdak Szajbiński ją przejechał. Ciągnął ją pod kołami samochodu przez całe podwórko, a później zostawił tam na pewną śmierć.

Trener miał wrażenie, że ktoś wbił mu w pierś nóż i z premedytacją nim obracał. Nadludzkim wysiłkiem wydobył z siebie głos:

– Idź stąd, Sebastian.

– Szukałem go, wie pan? Chciałem, żeby go bolało tak jak Helę i Wikę. Dlatego rzuciłem się na niego z łomem i tłukłem to ścierwo, aż przestało się ruszać. Tylko że...

– Dość! – Wuefista przerwał mu, wyciągając przed siebie dłoń. – Nie chcę tego więcej słuchać. Zejdź mi z oczu. – Ominął Cichego i napędzany lękiem, zaczął wspinać się po schodach.

Miał nadzieję, że chłopak odpuści i nie zauważy, jak bardzo był roztrzęsiony. Mozolnie parł pod górę, dusząc w sobie lży cisnące się do oczu. Gula w gardle rosła, a ołowiane nogi z trudem pokonywały kolejne stopnie. Zza drzwi mijanych mieszkań atakowały go odgłosy telewizorów oraz krzyki dzieci, gdy niespodziewanie na klatce zgasło światło.

Przez ułamek sekundy cieszył się kojącym mrokiem, a później włącznik pstryknął i znów nastąpiła jasność, a wraz z nią tuż obok pojawił się Cichecki. Brudny, skulony i przerażony jak bezpański pies.

– Muszę coś panu powiedzieć. Proszę. Wejdę tylko na chwilę.

– Odejdź – fuknął Jakub, czując, że zaraz pęknie i wyleje się z niego to smoliste poczucie winy. – Nie mogę cię wpuścić, Hela jest w środku, przestraszy się. – Nerwowo obracał kluczem w zamku i szarpał za klamkę, bezskutecznie próbując otworzyć drzwi do mieszkania, które jak na złość stawiały opór.

– Błagam pana. Nie mam dokąd pójść. – Chłopak uczepił się rękawa nauczyciela.

– Zmykaj do domu, Sebastian – nakazał Czaja, odganiając się od nastolatka jak od natrętnego żebraka. – Nic tu po tobie. Twoi rodzice na pewno się martwią.

Cichy parsknął.

– Jasne. Zwłaszcza stary – rzucił cierpko. – Zresztą są teraz w szpitalu z Wiktoria.

– To i ty do nich dołącz.

– Nie mogę, bo zabiłem Mikiego! – warknął przez zęby, uderzając pięścią o ścianę.

Drzwi, które wreszcie ustąpiły, z hukiem uderzyły o szafę. Klucze w zamku zadzwoniły, ale Jakub stał w miejscu, nie mogąc się ruszyć. Błądził wzrokiem po twarzy chłopaka, który z opuszczonymi smętnie ramionami bezgłośnie płakał. Z mieszkania za ich plecami dobiegł szmer. Czaja zerknął badawczo za siebie, pewien, że sąsiadka przygląda się im przez wizjer, po czym złapał nastolatka za ubranie, wepchnął go do domu i zatrzasnął drzwi.

– Co ty opowiadasz, Sebastian?

Nachylał się nad Cichym, zaciskając palce na jego bluzie. W przerażonej twarzy błyskały białka oczu.

– Jakiego Mikiego? Wszystko ci się pomieszało. Pobijeś Szajbę, tak? Powiedz, że to był Szajba, do jasnej cholery.

Chłopak potrząsnął głową, siąknął nosem i otarł go rękawem. Próbował coś tłumaczyć, ale z jego ust wydobyło się jedynie żalostne:

– Ja nie chciałem. Nie chciałem tego, przysięgam.

To zawrodozenie i nitki śliny ciągnące się między wargami Cicheckiego drażniły Jakuba. Nie potrafił

ujarzmień chaosu, który w nim zapanował po tym, co usłyszał. Nagle, niespodziewanie nawet dla samego siebie, wymierzył chłopakowi gwałtowny policzek. Odgłos uderzenia rozniósł się po ciemnym korytarzu.

– Opamiętaj się! – syknął.

Lament nastolatka umilkł. Chłopak podniósł dłoń i przyłożył ją do piekącej skóry, patrząc na trenera z wyrzutem.

– On miał jego kurtkę. Nawet szedł jak Szajba i palił jak on. Nie mogłem wiedzieć. To była pomyłka, rozumie pan? Zwyczajna pomyłka.

Czaja oddychał z trudem, miał wrażenie, że pierś przygniótł mu betonowy blok.

– Jesteś pewien, że nie żyje? – zapytał.

– Chyba tak. Nie ruszał się, gdy odchodziłem. – Zwilżył językiem usta. – Tam było tyle krwi – dodał wpatrzony w odległy punkt przed sobą.

– Jezu.

Trener zaczął dreptać po korytarzu w tę i we w tę, pocierając dłońmi twarz, jakby chciał zetrzeć z niej niewidzialny brud. Ledwie słyszalny podszept w jego wnętrzu złośliwie powtarzał: „to przez ciebie, to wszystko przez ciebie”. Po cholerę tamtej nocy poszedł za Szajbą? I dlaczego wciągnął w swój dramat Cicheckiego? Chłopak nie był mu niczego winien. Czaja nie miał prawa go w to mieszać.

Przystanął, omiatając spojrzeniem zakrwawione ubranie Sebastiana.

– Gdzie to się stało?

– Niedaleko starych magazynów na tyłach osiedla, przy stacji transformatorowej.

– Ktoś cię widział?

– Chyba nie, nie wiem. – Nastolatek wzruszył ramionami. – Dlaczego pan...

– A łom, co z nim? – Jakub wszedł mu w słowo, w namyśle trąc czoło.

– Wyrzuciłem w krzaki kawałek dalej. Wcześniej wytarłem w bluzę, żeby nie było na nim moich odcisków.

Czaja przygryzł wargę.

– Umyj się – nakazał Cicheckiemu. – Łazienka jest na końcu korytarza po lewej. Ręczniki znajdziesz w szufladzie pod umywalką. Ja w tym czasie zawiadomię policję o tym, co się stało. Tylko pod żadnym pozorem nie pokazuj się Heli.

– Co? Jaką policję? Oszalał pan?

– Niczego nie rozumiesz. Być może ten chłopak jeszcze żyje. Nie można go tam tak zostawić. Zadzwoń z budki, anonimowo. Powiem, że widziałem zmasakrowanego dzieciaka w tamtej okolicy, i poproszę, żeby wysłali po niego karetkę – tłumaczył jak w transie.

Sebastian w panice pokręcił głową.

– To zbyt ryzykowne. Zaczną pana wypytywać o szczegóły i wszystko się wyda.

– Nie, jeśli skieruję podejrzenia na prawdopodobnego sprawcę. Kogoś, komu mogłoby się nie spodobać, że obcy dzieciak chodzi w jego kurtce, i jest na tyle nieobliczalny, by mógł w ten sposób wymierzyć sprawiedliwość.

Julia

Wrzesień 2019

Po opuszczeniu domu Molendów Julia poczuła ulgę. Było jej niezręcznie, że została przyłapana na szperaniu w prywatnej korespondencji męża Anny. Jadąc samochodem, wspominała wymówki, których użyła, by usprawiedliwić swoje wścibstwo, i na nowo oblewała się rumieńcem. W jej uszach wciąż pobrzmiwało żalodne kłamstwo, że niechcący wylała na list wodę i chciała tylko sprawdzić, czy nie zniszczyła jakiegoś ważnego dokumentu. Maciej Molenda patrzył na nią wtedy nieufnie, a ona powtarzała „przepraszam” i robiła skruszoną minę do czasu, gdy Anna wróciła z projektorem.

Odchyliła głowę i zamknęła oczy, głośno wydychając powietrze. W ciszy słyszała pomruk silnika oraz klikanie kierunkowskazu.

– Mamy zieloną strzałkę – poinformował ją Benio z tylnego fotelika.

Julia ocknęła się gwałtownie i pospiesznie wrzuciła bieg. Niebo zasnuły szare chmury i matka chłopca zaczęła się martwić, czy zdążą wrócić, zanim rozpęta się porządna burza. Za oknami volvo wiatr targał korony drzew. Zrobiło się ciemno i chłodno, a pierwsze krople deszczu roztrzaskiwały się o szyby samochodu.

– Co to jest? – Sześciolatek wskazał na projektor leżący na fotelu obok kierowcy.

– To taki dawny rzutnik. Ciocia Ania mi pożyczyła. Dzięki niemu będziemy mogli obejrzeć zdjęcia taty z dzieciństwa i bajki, które znalazłeś na strychu.

– Jak w kinie?

– Mniej więcej, choć raczej jak w starym kinie, ale na pewno ci się spodoba, zobaczysz.

Kiedy dojechali pod dom, lało już porządnie. Julia wybiegła z auta, by otworzyć bramę, a potem przemoczona, z wodą chlupoczącą w trampkach i rozmazanym tuszem na policzkach zaparkowała volvo w garażu.

– Wezmę tylko szybki prysznic, przebiorę się w coś suchego i możemy zasiadać do oglądania – oznajmiła, otwierając boczne drzwi, prowadzące z garażu do domu. – Chyba że wolałbyś najpierw coś zjeść? W lodówce mamy tę pyszną lasagne od babci Anity, rano wyjęłam ją z zamrażalnika. Mogę ją szybko podgrzać, jeśli chcesz. No i dostałam kawałek ciasta marchewkowego specjalnie dla ciebie. – Z triumfującym uśmiechem zapukała w wieczko plastikowego pudełka.

Benio mlasnął i pogłaskał się po brzuchu. Był tak głodny, że nie minął nawet kwadrans, a zapiekanka zniknęła z jego talerza. Niemal natychmiast sięgnął po widelczyk i otworzył pojemnik z ciastem, mrużąc z zadowoleniem.

– Powoli, bo się udławisz – upomniała go Julia, gdy łączywie zaczął połykać spore kawałki.

Chłopiec odpowiedział coś niewyraźnie z pełnymi ustami, a ona, kręcąc głową, schowała naczynia do zmywarki i ruszyła na górę wziąć prysznic.

Gorąca woda przyjemnie ogrzewała jej skórę. Para osiadała na szkle, przez co wszystko wokół stało się zamglone. Julia wylała szampon na dłoń i zaczęła go wmasowywać w mokre włosy, pozwalając, by otoczyły ją kojący szum prysznica oraz zapach kokosa. Nagle jednak odniosła wrażenie, że po drugiej stronie szklanego parawanu przemknął jakiś cień. Zastygła w oczekiwaniu i gdy coś w łazience znów się poruszyło, zakręciła wodę.

– Beniu, to ty?

Nikt nie odpowiedział, ale niespodziewanie skrzypnęły drzwi wejściowe. Zrobiło się jej zimno. Oddech zamarł w płucach. Dlaczego powiesiłam ten cholerny ręcznik tak daleko? – wyrzucała sobie, nie mogąc go dosięgnąć. Z piersiami zasłoniętymi ręką i sercem bijącym jak bęben, wyjrzała za parawan. Jednak gdy powiodła wzrokiem po pomieszczeniu, zrozumiała, że poza nią w łazience nie ma nikogo. Odetchnęła uspokojona, a wtedy usłyszała dochodzący z korytarza tupot, jakby ktoś tamtędy biegł. W wąskiej szczelinie między drzwiami a futryną mignęła niewyraźna sylwetka.

– Beniamin, przestań się wygłupiać! – krzyknęła, po czym odkręciła wodę, w pośpiechu zmyła z włosów szampon, ubrała się i wyszła na korytarz.

Jej bose stopy owionął chłodny powiew. Ulewa na zewnątrz przybierała na sile i co jakiś czas za oknami rozlegał się złowrogi pomruk grzmotów, od którego przechodziły ją ciarki. Julia potarła odsłonięte ramiona, dostrzegając, że wejście na stryż jest otwarte. W zamku po zewnętrznej stronie tkwił ciężki

mosiężny klucz. Pewna, że to jej syn wybrał się tam po więcej bajek, pociągnęła drzwi i zawołała:

– Kochanie, chodź już, robi się późno, a przecież obiecałam ci wspólny seans.

Wetknęła głowę do pachnącego stęchlizną, zagraconego pomieszczenia, mając nadzieję, że ujrzy chłopca, ale w wątlym świetle wpadającym przez przybrudzone okienko niewiele mogła zobaczyć. Pstryknęła włącznik światła, a gdy żarówka u sufitu ze zgrzytem rozbłysła, Julia z niechęcią przekroczyła próg strychu. Czowała, jak do jej bosych stóp przyklejają się drobne kawałki styropianu. W kącie, na starej wykładzinie, która wyściełała podłogę, zauważyła różowe granulki trutki na szczury i zatrzaśniętą, ale pustą pułapkę na myszy.

– Beniu, wyjdź już – poprosiła zrezygnowana, przyglądając się stercie starych mebli upchniętych pod ścianą i przykrytych grubą folią.

Były tam lampa z nadpalonym abażurem, niemodna kanapa i stół, pod którym, mogłaby przysiąc, coś się poruszyło. Deszcz ponuro bębnił w blaszany dach, ale mimo stukotu Julia zdołała usłyszeć cichutki chichot.

Mam cię, pomyślała i zaczęła się skradać w kierunku stołu.

– Pałka, zapalka, dwa kije, kto się nie schowa, ten kryje – ostrzegła.

Wyciągnęła rękę, by złapać róg mlecznej folii, ale wtedy coś skrzypnęło po jej prawej stronie. Odwróciła się gwałtownie, czując uderzenie gorąca, i dostrzegła, że spod uchylonych drzwi starej szafy wystaje fragment skarpetki jej syna.

– Och, chyba będę musiała pooglądać te bajki sama – jęknęła, mając nadzieję, że wtedy Benio wyskoczy z kryjówek.

On jednak uparcie milczał. Julia zbliżyła ucho do szafy, wychwytyjąc cichutki szmer oddechu chłopca, a potem delikatnie ujęła krawędź drzwi i raptownie je otworzyła, krzyząc:

– Trafiony, zatopiony!

Skulony na stercie ubrań sześciolatek cofnął się w głąb szafy, a jego dziecięcą twarz wykrzywił grymas przestachu. Wydawał się roztrzęsiony. Miał rozszerzone źrenice i mocno przyciskał do piersi swoją maskotkę. Przyłożył do ust drżący palec i syknął, nakazując matce, by zachowywała się cicho.

– Ale dlaczego? – szepnęła.

– Żeby nie mógł cię znaleźć.

Julia rozejrzała się niepewnie po pomieszczeniu. Gęstą szarość za oknem przeszyła błyskawica.

– Kto?

– On. – Sześciolatek wskazał stół przykryty folią, która jak na zawołanie zaszeleściła, a pod nią zamajaczył cień.

Werble ulewy uderzającej o dach zagłuszył głośny trzask grzmotu i dokładnie w tej samej chwili zgasło światło.

– Co jest? – Matka chłopca poczuła, że jej mięśnie sztywnieją.

Ciemność strychu rozjaśniały już tylko rozbłyski piorunów, od których na ścianach rysowały się niepokojące kształty. Julia wyjęła z tylnej kieszeni dzinsów telefon i uruchomiła latarkę.

– Chodź do mnie, synku. – Chwyciła dłoń malca i pomogła mu się wydostać z szafy.

Benio przylgnął do matki, a ona nawet przez ubranie czuła, że cały dygocze.

– Już dobrze, nie ma się czego bać – pocieszała go, głaszcząc jasne włosy.

Wolnymi krokami szła w stronę stołu. W jej serce wbijały się lodowate igielki niepokoju. Próbowała wmówić sobie, że niczego tam nie ma, jednak przy każdym uderzeniu błyskawicy jej mózg wyraźnie rejestrował zarys czyjejs poruszającej się pod blatem sylwetki.

Sześciolatek przystanął, nie chcąc iść dalej. Ciągnął matkę w kierunku wyjścia, ale Julia nie potrafiła zawrócić. Rozluźniła uchwyt i przykucając obok stołu, z rozszalałym pulsem złapała fragment folii. Podniosła ją gwałtownie, odsłaniając przegowanego kocura, który pochylony nad pułapką na myszy, zjadał kolację.

Maj 1996

Wiktor Szajbiński wrócił do mieszkania w blokowisku tuż przed północą. Od progu w nozdrza uderzyły go zapach papierosów, smażonej cebuli i odór potu. Wygiął usta w obrzydzeniu, a potem sięgnął po niedopitą, zalegającą na stole w kuchni resztkę żytniej i wlał ją sobie w gardło. Ciepło spłynęło przełykiem aż do żołądka. Cmoknął z zadowoleniem, po czym zaczął wkładać do zlewu brudne naczynia porozstawiane na blacie.

Wszędzie zalegały pozostałości po wieczornej libacji. Butelki po wódce, wysuszone kromki chleba, pusty słoik po ogórkach kiszonych i otwarty smalec domowej roboty. Szajba zsunął to wszystko do boku, położył nogi na oczyszczonym kawałku stołu i zapalniczką ojca przypalił papierosa, którego znalazł pod jednym z talerzy. Z satysfakcją wypuścił dym w stronę sufitu, a wtedy zza kwiecistej firanki zawieszanej w rogu kuchni dobiegło go donośne chrapanie.

Podniósł się, delikatnie odchylił materiał w słoneczniki i zobaczył ojca. Stary Szajbiński zwiślał głową z podniszczonego tapczanu, na którym zwykle lądowali jego koledzy, zbyt pijani, by o własnych siłach wrócić do domu. Wiktor nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego jego matka się na to godziła, ale w miejscu, w którym dorastał, nic nie miało sensu i lepiej było nie zadawać zbędnych pytań.

Tym razem także nie zamierzał się zastanawiać, z jakiego powodu ojciec został wygnany z sypialni. Wcześniej zdarzyło się to tylko dwa razy, zawsze po tym, jak uderzył żonę. Szajba nawet nie próbował drążyć, bo mógłby się dowiedzieć, że tych razów było więcej. A życie i bez tego miało cierpki smak. Poza tym niedawno skończył dwadzieścia lat, jego interesy na mieście szły coraz lepiej i liczył na to, że za jakiś czas wyrwie się z tej nory i pójdzie na swoje.

Ostatnio coraz mniej lubił tam wracać. Na dzielnicy był kimś, budził respekt, a kiedy przekraczał próg tego cholernego mieszkania o splekanych ścianach, przeobrażał się we wszystko to, czym gardził. Wychodziła z niego jakaś odrażająca miękkość, której się wstydził i obawiał.

Zgasił klubowego w przepełnionej popielnicze, skorzystał z toalety, a później zamknął się w sypialni, którą dzielił z niewidomym starcem.

– Wiktor, to ty? – zapytał zaspany głos.

Po drugiej stronie pokoju w pościeli zamajaczyła mała, wysuszona głowa o wielkich oczach.

– Tak, śpij, dziadek. Jest środek nocy.

Widział, jak mężczyzna przekręca się na bok i nakrywa ciało kołdrą aż pod samą szyję. Po chwili pomieszczenie wypełnił rytmiczny szmer oddechu. Szajba rozebrał się do majtek, wszedł pod pierzynę i usiłował znaleźć wygodną pozycję do spania, ale cały czas uwierało go to, że jakiś gówniarz zakosił jego najlepszą kurtkę, na którą naprasował sobie nazwy ulubionych zespołów.

Początkowo myślał, że zostawił ją w samochodzie, ale jeden z chłopaków przypomniał mu, że miał kurtkę w kebabie u Turka. To dlatego godzinę temu wpadł tam jak burza, szukając swojej własności. Ustalili niewiele, tylko tyle, że podobno zabrał ją ten sam dzieciak, który przez cały wieczór się na niego gapił. Nikt jednak nie potrafił powiedzieć, gdzie dokładnie mieszka, i Szajba musiał odłożyć polowanie do następnego dnia.

Już ja mu pokażę, pomyślał, po czym wyciągnął spod materaca stary, pomięty numer „Playboya”. Okładkę zdobiła twarz Anny Nicole Smith, amerykańskiej modelki nazywanej przez wielu nową Marilyn Monroe, której towarzystwo zawsze wprawiało go w dobry nastrój.

Przewertował czasopismo i otworzył je na zdjęciu, od którego natychmiast zrobiło mu się gorąco. Kontrolnie rzucił okiem na dziadka, a następnie wsunął dłoń pod bieliznę i gdy już miał oddać się błogiej przyjemności, dobiegł go łomot do drzwi i donośne wołanie:

– Otwierać, policja!

– Kurwa – syknął, po czym pospiesznie upchnął magazyn w skrytce.

Gdy się ubierał, usłyszał najpierw kroki, później brzęk tłuczonego szkła i stek przekleństw, a wreszcie odgłos zasuw w drzwiach, po którym zabrzmiał niewyraźny bełkot jego ojca.

– A so to ma snaczyć? Grzeczny jestem przecież.

Chłopak przytknął ucho do drzwi, by usłyszeć, co dzieje się w kuchni.

– Chcemy porozmawiać z pańskim synem. Wiktoorem Szajbińskim. Zastaliśmy go w domu?

Nim mężczyzna zdążył odpowiedzieć, w sąsiednim pokoju rozległ się niemowlecy płacz, skrzypnęła

podłoga i po chwili do rozmowy dołączył pełen pretensji kobiecy głos:

- Nie macie kiedy ludzi nachodzić? Wiecie, która jest godzina? Kto mi teraz dziecko uśpi, co? Malec nie przestawał zawodzić, a z ust kobiety wydobywało się jednostajne „szszsz szszsz”.
- Proszę wybaczyć, ale musimy przesłuchać państwa syna. Sprawa jest poważna.

Serce Szajby zaczęło bić szybciej. Pospiesznie naciągnął spodnie. W nerwach przygryzał paznokcie kciuka i panicznie rozglądał się po pokoju, szukając drogi ucieczki. W końcu jego wzrok padł na okno nad łóżkiem dziadka. Zawahał się, a wtedy z korytarza dobiegły go odgłos zbliżających się kroków i słowa matki:

- Mówię panu, że go nie ma w domu.
- Rozumiem, ale i tak musimy to sprawdzić.
- Nie wolno wam!

Kiedy jego matka krzyknęła, Wiktor wskoczył na łóżko dziadka, szarpnięciem odsunął firankę, a później odepchnął na bok doniczkę z kaktusem i otworzył okno. Owionął go zapach nocnego powietrza. W dole rozpościerał się ogródek pełen różowych piwonii oraz gipsowych figurek krasnali. Szajba spojrzął za siebie, trafiając na surowe oblicze funkcjonariusza, który stanął w progu.

- Stój! – zawołał tamten i ruszył za nim, ale chłopak był szybszy.

Zeskoczył na parter, pokonał jednym susem niski drewniany płotek i rzucił się do ucieczki. Policjanci biegli tuż za nim. Ich oddechy wzbijały się w bezgwiezdną, ciepłą noc. Wiktor, który w labiryncie bloków czuł się jak ryba w wodzie, meandrował, skręcając w kolejne bramy. Przedzierał się przez szczeliny w murach i wspinał się po siatkach ogrodzeń, aż wreszcie znalazł się sam w pustej uliczce, pewien, że zdołał umknąć ścigającym go funkcjonariuszom.

Oparł ręce o pomazaną wyzwiskami ścianę i dyszał, próbując uśmierzyć pieczenie w piersi. Sekundę później dwaj mundurowi nadbiegli od przodu. Przeklął i wyrwał w przeciwnym kierunku, gdy nagle z bocznej bramy wyjechał radiowóz. Kierowca, który mknął prosto na chłopaka, zahamował gwałtownie. Samochodem zarzuciło, a Szajba runął do tyłu, uderzając plecami o beton.

Nim zdążył się podnieść, na jego klatce piersiowej wylądował ciężki policyjny but.

- Nie radziłbym znowu uciekać – powiedział funkcjonariusz, gdy chłopak próbował się wyswobodzić.

Wiktor uniósł dłonie w geście poddania, uśmiechnął się niewinnie, a gdy mundurowy zabrał nogę, chuligan wstał z ziemi.

– Czym zasłużyłem sobie na tę przyjemność? – zapytał, oglądając ranę na łokciu, którym uderzył o beton.

– Skoro uciekałeś, to chyba wiesz.

– Widzę, że pan policjant lubi zagadki, ale ja niekoniecznie. O co chodzi?

– Dowiesz się na komendzie. Idziemy. – Funkcjonariusz położył rękę na jego ramieniu i delikatnie pchnął Szajbińskiego w stronę radiowozu.

– Chwila, chwila. – Wiktor odsunął się, jakby dotyk mundurowego go brzydził. – Nigdzie nie pojedę, dopóki nie dowiem się, co jest grane. W co tym razem chcecie mnie wmanewrować?

Policjanci wymienili ze sobą spojrzenia, po czym ten barczysty nachylił się nad uchem Szajby i wyszeptał:

– Może nawet w zabójstwo.

– Co? Niby czyje?

– Ty nam powiedz. – Usta funkcjonariusza wykrzywił cyniczny uśmieszek.

*

Posadzili go na taborecie przy lakierowanym biurku. Po drugiej stronie miejsce zajął rudowłosy policjant z wyraźnymi zakolami i ponurym wyrazem twarzy. Funkcjonariusz poprawił papier w maszynie do pisania, wypytał o dane do protokołu, które następnie z zaangażowaniem wystukał.

– Powiecie mi w końcu, dlaczego tu jestem? – chciał wiedzieć Wiktor.

Mężczyzna jednak zignorował pytanie i nie raczył nawet zaszczycić rozmówcy spojrzeniem. Zamiast tego sięgnął po słuchawkę telefonu, mruknął coś do osoby po drugiej stronie, po czym się rozłączył. Nie minęły nawet dwie minuty, gdy do pokoju o betonowych ścianach wszedł inny mundurowy z tekturową teczką przewiazaną sznurkiem pod pachą oraz papierosem wetkniętym w usta.

– Wiktor Szajbiński, no proszę, znowu się spotykamy. – Zmrużył oczy, zaciągnął się i wypuścił chmurę

dymu prosto w twarz przesłuchiwanego.

Szajba usztywnił mięśnie. Miał już wcześniej wątpliwą przyjemność obcowania z komisarzem Kulą. Nadal doskonale pamiętał ból, jaki przeszył jego czaszkę, gdy rodowy srebrny sygnet z podkową i jastrzębiem, zdobiący palec funkcjonariusza, trafił go w kość policzkową. Instynktownie podniósł dłoń i dotknął tego miejsca na twarzy, a policjant rozciągnął wargi w cynicznym uśmiechu.

– Jak myślisz, Szajbiński, z jakiego powodu cię tu dzisiaj ściągnęliśmy? – zapytał, krążąc wokół przesłuchiwanego jak rekin osaczający ofiarę.

Chłopak, który siedział pochylony do przodu, z łokciami opartymi o kolana, wzruszył ramionami.

– Nie mam zielonego pojęcia. Może z nudów? Bo przecież nie z tęsknoty.

Komisarz strzepnął popiół do kryształowej popielnicy stojącej na biurku. W tle dudniły odgłosy naciskanych klawiszy maszyny do pisania, a u sufitu brzęczała jarzeniówka.

– Peugeot sześćset pięć to dobry samochód? Polecasz? – zapytał Kula.

Wiktor zamrugał zdezorientowany. Pewien, że funkcjonariusz żartuje, spojrzał na niego spod ściągniętych brwi, ale tamten gestem dał znać, by mówił.

– Raczej tak, śmiga jak ta lala – zaczął niepewnie – choć to cholernie drogie i awaryjne cacko. Najczęściej sypie się sprzęgło. Ojciec sprowadził powypadkowy egzemplarz z Niemiec, wyremontował go w warsztacie i czasem daje mi pojeździć. Ma niezłe przyspieszenie, duży bagażnik, no i sporo miejsca w środku.

Komisarz pokiwał głową z uznaniem.

– Pamiętasz, kiedy ostatnio byłeś na przejażdżce?

– Naprawdę będziemy rozmawiać o takich pierdołach? Może lepiej przynieście mi coś do ubrania. Zimno tu. – Wzdrygnął się.

Kula omiółł spojrzeniem nagi tors chłopaka, a później zaciągnął się papierosem i podszedł z nim do Szajby, przysuwając żarzący się koniec do skóry przesłuchiwanego na tyle blisko, że ten instynktownie się cofnął. Twarz policjanta przeciął szkaradny uśmieszek.

– Ubierzesz się, jak ci pozwolę, Wiktor, a teraz grzecznie odpowiedz na pytanie, bo wiesz, że nie lubię się powtarzać. Kiedy ostatnio jeździłeś swoim peugeotem?

– Dzisiaj wieczorem – odparł zrezygnowany, mając w pamięci poprzednie, wyjątkowo niemile przesłuchanie. – Zgarnąłem paru kumpli z osiedla i skoczyliśmy na kebab do Turka.

– A potem?

– Pobujaliśmy się to tu, to tam.

Komisarz zgasił niedopałek w popielniczce, po czym przysiadł na rogu biurka.

– To znaczy gdzie? – Świdrował chłopaka wzrokiem.

Szajbiński nie rozumiał, do czego zmiierzają te pytania, ale czuł, jakby na jego szyi powoli zaciskała się niewidzialna pętla. Poprawił się na krześle i nerwowo potarł płatek ucha.

– Jeździliśmy po Manhattanie. Najpierw wzdłuż muru z graffiti, blisko starej kotłowni, potem w okolicy stacji transformatorowej, no w sumie wszędzie w tamtej okolicy.

Kula podniósł się i zajął przez ramię protokolantowi, by upewnić się, że mężczyzna zarejestrował każde słowo, a później stanął naprzeciwko Szajby i zaczął obracać sygnet na swoim serdecznym palcu.

– Miałeś ostatnio jakieś wypadki, Wiktor?

Chłopak, zaskoczony tym pytaniem, wyprostował się gwałtownie. Przeklęty Graczyk musiał poskarżyć się psom, pomyślał. Zresztą gdyby stary dozorca nie łąził w środku nocy pijany po ulicy, do niczego by nie doszło. Szajbiński postanowił iść w zaparte. Nikt nie mógł udowodnić mu winy.

Najwyżej będzie moje słowo przeciwko słowu tego zrzędlivego pijaczyny, uznał i pewnym głosem odparł:

– Nie przypominam sobie.

Komisarz cmoknął, zatoczył krąg wokół chłopaka i niespodziewanie kopnął w nogę stołka, tak że taboret gruchnął o posadzkę, a przesłuchiwany spadł na ziemię. Oszołomiony Szajbiński uniósł spojrzenie na policjanta za biurkiem w nadziei, że mężczyzna zareaguje na to, co się wydarzyło, ale on oparł brodę na dłoni i beznamiętnie patrzył, jakby oglądał spektakl w teatrze.

Tymczasem Kula podwinął mankiety koszuli, a potem, wbijając wzrok w sygnet, zacisnął dłoń w pięść i na powrót ją rozluźnił. Z miną chytrego lisa podszedł do Wiktora, po czym nachylił się nad jego twarzą, by

wyszeptać:

– Ja myślę, że ty dobrze wiesz, czemu tu jesteś. Wystarczy, że sam to powiesz.

– Nie mam pojęcia, o co panu chodzi. Niczego nie zrobiłem – bronił się.

Policjant pokręcił głową z przyganą.

– Cichecki. Mówi ci coś to nazwisko?

Szajba, który właśnie wstawał z podłogi, zmarszczył brwi.

– No jest taki jeden frajer w sąsiednich blokach, a co? – Przesunął wzrokiem po funkcjonariuszach, szukając w ich twarzach odpowiedzi, po czym dodał: – Byliśmy razem w poprawczaku. Nie lubię gnojka, ma się za lepszego od innych.

– A jak bardzo go nie lubisz?

– Nie rozumiem.

Kula uśmiechną się tajemniczo, wyprostował ręce i strzelił kostkami.

– Po prostu zastanawiam się, czy potrafiłeś jego siostrę przypadkiem, tak jak Stanisława Graczyka, czy może wjechałeś w nią specjalnie, by dopiec chłopakowi, którego nie znosisz. Powiesz mi, jak było?

Wiktor zastygł z taboret w rękach.

– Co?! Nikogo nie potrafiłem. To jakaś bzdura. Nie przykleicie tego do mnie.

– Sąsiedzi widzieli cię w okolicy w czasie, gdy doszło do wypadku. Według nich – otworzył teczkę i uniósł do oczu kartkę – grzałeś przez osiedle jak wariat z muzyką puszczoną na cały regulator.

– To, że lubię sobie posłuchać głośno radia, to jeszcze nie zbrodnia.

– Może i tak, ale spowodowanie śmierci to już poważna sprawa.

Stolek wysunął się Szajbie z dłoni i z trzaskiem uderzył o posadzkę.

– O czym pan, do cholery, mówi?

– Kwadrans temu dzwonili ze szpitala. Mimo szybkiej interwencji lekarzy dziewczynka zmarła na skutek odniesionych obrażeń.

W mgnieniu oka do Wiktora wróciła ostatnia rozmowa z Cicheckim, a kiedy zdał sobie sprawę, co wtedy powiedział, panika wbiła w niego swoje ostre kły. Z trudem panując nad brzmieniem głosu, zapewnił:

– Przysięgam, że to nie ja. Nie mam z tym nic wspólnego. Moi koledzy to potwierdzą.

– Twoi kumple powiedzą wszystko, o co ich poprosisz. Ich zeznania nie mają dla mnie żadnej wartości.

Szajba odniósł wrażenie, że traci oddech. W histerycznym odruchu dotknął rękoma szyi, chcąc zerwać z niej to, co go dławilo, ale niczego tam nie znalazł. Wydawało mu się, że komisarz idzie w jego kierunku, rozmasowując dłoń z sygnetem, dlatego cofnął się o krok i przyłgnął plecami do ściany.

W chwili, w której poczuł na twarzy nikotynowy oddech Kuli, ktoś załomotał do drzwi. Protokolant siedzący za biurkiem podskoczył na krześle, a sekundę później, nie czekając na zaproszenie, do środka głowę wetknął łysy policjant w okularach.

– Komisarzu, muszę prosić na słówko – rzucił, z niepokojem spoglądając na Szajbińskiego.

Wiktor nie rozumiał dlaczego, ale ta nerwowość w zachowaniu funkcjonariusza wzbudziła w nim obawy. Kula wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami, a gdy po kilku minutach wrócił, miał minę kogoś, kto właśnie zsiadł z rollercoastera.

– Szajbiński, co robiłeś, zanim zgarnęła cię policja? – zapytał.

– Podrzuciłem chłopaków na osiedle, a później wróciłem do kebaba u Turka, żeby poszukać swojej kurtki. Dlaczego pan pyta?

– I co, była tam? Ta kurtka?

– Nie, bo zajeł mi ją jakiś pieprzony lamus.

Komisarz stanął naprzeciwko chłopaka, oparł dłonie o ścianę tak, że Wiktor znalazł się pomiędzy nimi, i powiedział:

– Ten lamus właśnie trafił do szpitala po tym, jak ktoś zakatował go prawie na śmierć.

Szajbiński czuł, że to wszystko zmierza w bardzo złym kierunku. Zrobiło mu się gorąco. Z trudem przełknął ślinę, po czym wyrzucił z siebie buńczuczne „I?”, które zabrzmiało znacznie gorzej, niż planował.

– Anonimowy świadek twierdzi, że widział sprawcę. – Zamilkł i popatrzył Wiktorowi w oczy, by napawać się narastającym lękiem chłopaka. – Według niego to byłeś ty. Wpadłeś w furję z powodu kurtki, którą ofiara miała na plecach. Twojej kurtki.

Szajba pobladł, przypominając sobie, jak w kebabie u Turka odgrażał się, że zajebie tego, kto wzię

jego własność.

– Nie, to nieprawda! – zaprzeczył, choć miał świadomość, że bardzo trudno będzie mu się z tego wypłatać. O ile w ogóle się uda.

Julia

Wrzesień 2019

– Zygmun, do licha! Przez ciebie prawie umarliśmy ze strachu. – Julia wzięła zwierzaka na ręce, a duży, pręgowany kot miauknął i oblizał sobie pyszczek. – Chodź, Beniu, musimy zadzwonić do Wagnerów, pewnie się o niego martwią.

Ruszyła w kierunku wyjścia, ale jej syn został w tym samym miejscu, z lękiem wpatrując się w czarną przestrzeń pod stołem.

– Kochanie! – zawołała, będąc już przy drzwiach. – Nikogo tam nie ma, to był tylko kot. Chodźmy już.

Po chwili wahania chłopiec dołączył do matki, ale zanim zamknęli drzwi strychu, raz jeszcze z niepokojem spojrzął za siebie. Julia postawiła Zygmunta na podłodze, po czym, przyświecając sobie latarką, przekręciła mosiężny klucz w zamku i schowała go do kieszeni. Na korytarzu i na schodach pstryknęła kontrolnie włącznikiem światła, ale wszystko wskazywało na to, że prądu nie było w całym domu.

– Pewnie przez tę burzę doszło do jakiegoś zwarcia – stwierdziła. – Obawiam się, że z naszych planów nici. Bez prądu nie uruchomimy projektora.

– To nie fair. Dlaczego oni mają światło, a my nie? – Benio wskazał palcem jasne okna domu Wagnerów, widocznego przez szybę w sypialni Julii.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Ciekawe, zadzwonimy do wujka Roberta. Na pewno będzie wiedział, o co chodzi – odparła, przykładając telefon do ucha, a gdy Wagner odebrał, przedstawiła sprawę. – Masz jakiś pomysł, co mogło się stać?

– To raczej nie z powodu burzy, bo wtedy odciełliby całą ulicę, a u nas wszystko jest w porządku. Zakładam, że po prostu wysadziło wam bezpieczniki. Pewnie mieliście podłączonych za dużo urządzeń elektrycznych i przeciążyliście sieć.

– Nie wydaje mi się. Oboje z Beniem byliśmy na strychu. Żadne z nas niczego nie uruchamiało.

– Jest jeszcze opcja, że trafił w was piorun, wtedy mogłoby dojść do spalenia instalacji elektrycznej, ale może zanim zaczniemy panikować, sprawdźcie skrzynkę z bezpiecznikami. Jest na dole, na prawo od drzwi. To takie niewielkie białe pudełko.

Julia kiwnęła na Benia, który głośko gaskał Zygmunta, i dała mu znać, że będą schodzili na dół. Zaintrygowało ją, że Robert znał takie detale dotyczące domu, w którym zamieszkała.

– Skąd wiesz, gdzie są bezpieczniki?

– Moi rodzice opiekowali się tym budynkiem przez ostatnie dwadzieścia lat, odkąd Hanerowie wyjechali do Kanady. Sam wiele razy wpuszczałem faceta od liczników. Zresztą nadal mam komplet kluczy do was. – Zamilkł, jakby coś go zastanowiło. – Czy ja słyszałem miauknięcie?

– Ach, no tak. – Roześmiała się. – Nie zgadniesz, kogo znaleźliśmy na strychu. Waszego kota.

– Zygmunta? Jakim cudem się tam dostał? Szukamy go od dwóch dni.

– Nie mam pojęcia, ale wydawał się zadowolony. Zjadł nam jedną mysz, więc właściwie może przychodzić częściej – zażartowała, po czym uniosła przezroczystą klapkę, pod którą kryły się bezpieczniki. – Dobra, jestem już przy tej skrzynce, co robić?

– Powinnaś mieć tam takie naklejki. Jeśli widzisz kolor czerwony, to znaczy, że są wyłączone. Musisz je przesunąć do pozycji „on”.

– Okej – powiedziała i jeden po drugim przełączyła każdy z bezpieczników. Światło wróciło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a ona z zadowoleniem rzuciła: – Hurra, jesteście uratowani.

– Świetnie, cieszę się, że mogłem pomóc. Choć to dziwne, że wszystko wysiadło naraz. Benio na pewno nie majstrował przy włącznikach?

– Nie – zapewniła. – Mówiłam ci przecież, że byliśmy wtedy razem.

– Rzeczywiście, wybacz. Słuchaj, czy Zygmun mógłby zostać u was do jutra? Strasznie leje i wolałbym nie wychodzić teraz z domu.

Julia rzuciła okiem na syna przytulającego kota, który z zadowolenia głośno mrucał.

– Nie ma sprawy. Pozdrów Emilię.

Kiedy się pożegnali, wykapła Benia, a później w jego pokoju z wielką misą popcornu zasiedli do

oglądania bajek z rzutnika. Kot drzemał smacznie, zwinięty w kłębek na materacu, a ona obejmowała syna ramieniem, drugą ręką przekręcając pokrętło w projektorze. Naśladowali postaci ze starych baśni, a sześciolatek uśmiechał się bez troski jak dawniej. Pokój spowijała całkowita ciemność i tylko kolorowy prostokąt na białej ścianie rzucał poświatę na ich twarze. Julia z nostalgią wróciła do historii, które pamiętała z dzieciństwa. Oglądając *Latający statek*, *Trzy świnki* oraz *Przygody Tomcia Palucha*, poczuła się jak wtedy, gdy była jeszcze małą dziewczynką, i zrobiło się jej przykro, że nic w jej obecnym życiu nie wygląda już jak dawniej.

Zmęczony wyczerpującym dniem Benio w końcu zasnął, wcześniej wyszeptawszy matce do ucha, że kocha ją do księżyca i z powrotem. Julia przykryła malca delikatnie kołdrą, po czym z projektorem przeszła do swojego pokoju. Na zostawionej na łóżku komórcie dostrzegła nieodebrane połączenie od Feliksa Falka. Oddzwoniła od razu, przyciskając telefon ramieniem do ucha i jednocześnie zdejmując z posłania narzutę.

– Przepraszam, dopiero zobaczyłam, że pan dzwonił.

– Lepiej późno niż później, jak to mówią. – Jego głos brzmiał chropowato, jak wtedy, gdy rozmawiali po raz pierwszy, a on pił alkohol. – Pani syn to naprawdę intrygujący przypadek. Według mnie istnieje kilka potencjalnych wyjaśnień tego, co się z nim dzieje.

Julia przysiadła na łóżku, nerwowo pstrykając paznokciami.

– Proszę mówić.

– Pierwsze i najbardziej prawdopodobne jest to, że w ten sposób przeżywa żalobę. To by tłumaczyło jego złość na panią, agresywne zachowania, szukanie winnych i fascynację tematem śmierci. W tym scenariuszu Benio wie, że jego przyjaciel nie istnieje, ale używa go jako postaci, na którą może zrzucić odpowiedzialność za swoje wybryki. Na przykład bałagan w moim gabinecie.

– A te inne opcje?

– Zastanawiałem się, czy nie mamy do czynienia z jakimś rodzajem zaburzenia. Część objawów mogłaby sugerować schizofrenię, ale wśród dzieci w tym wieku bardzo trudno ją zdiagnozować. Dlatego zalecałbym konsultację z psychiatrą, a później również z neurologiem, by wykluczyć ewentualne zmiany w mózgu.

Julia, przytłoczona słowami terapeuty, opuściła rękę z telefonem, oparła czoło na dłoni i zaczęła cicho płakać. Smutek przelewał się przez nią falami. Jej plecy drżały, a z nosa kapały łzy.

– Pani Julio, jest pani tam? – dobiegło ją z komórki.

Otarła oczy i odchrząkując, przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Tak, jestem. Przepraszam. To wszystko mnie po prostu przerasta. Najpierw Adam, teraz to. – Pociągnęła nosem.

– Rozumiem, ale sugerowałbym nie martwić się na zapas. Szczególnie że mam jeszcze jedną, nieco szaloną myśl. Zaciekało mnie to, co powiedział, gdy zapytałem o to, jak jego przyjaciel wchodzi do waszego domu. Benio wyjaśnił wtedy, że go wpuszcza. Interesujące jest też to, że nigdy nie rozmawia z nim przy pani ani w obecności innych osób. Tylko kiedy są we dwóch.

Julia w zadumie przygryzła wargę.

– Nie rozumiem, co chce pan przez to powiedzieć?

– Że może jego przyjaciel nie jest wytworem wyobraźni, ale człowiekiem z krwi i kości. Myślę, że powinniście zainstalować kamery i porządny alarm, najlepiej jak najszybciej.

Zaśmiała się nerwowo, przywołując w pamięci wyłączone bezpieczniki i otwarte drzwi do domu minionego dnia.

– To jakiś obłąd – wyrwało się jej.

– Odłóż w końcu ten cholerny telefon, musimy porozmawiać – usłyszała poirytowany głos dobiegający gdzieś zza pleców Falka.

– Słucham?

– To nie do pani, przepraszam. Mam niecierpliwych gości – wydukał zawstydzony. – Wracając do pomysłu z kamerami... myślę, że dzięki monitoringowi poczujecie się bezpieczniej. A, i przy okazji mam jeszcze jeden, dość delikatny temat – krygował się. – Po waszej wizycie z mojego akwarium zginęła rybka, pomarańczowa welonka o imieniu Goldie. Przyznaję, że jestem trochę zagubiony i nie potrafię wyjaśnić jej zniknięcia, ale może pani wie coś więcej na ten temat?

Julia poczuła, że robi się jej gorąco.

– Chyba nie sugeruje pan, że Benio byłby zdolny do czegoś tak potwornego?

– Nie, proszę wybaczyć, nie chciałem nikogo oskarżać. Po prostu staram się zrozumieć, gdzie się podziała moja welonka.

Julia odtworzyła w pamięci to, co zaszło w domu terapeuty, a jej plecy oblał zimny pot. Zacisnęła dłoń na pościeli. Oczyma wyobraźni ujrzała chłopca wycierającego mokre ręce o bluzę. Wtedy uderzyła ją zatrważająca myśl. I choć od razu się jej zawstydziała, to w głębi ducha chciała, by Feliks doszedł do podobnych wniosków. Dlatego, że wtedy przypadek Benia zaintrygowałby go na tyle, by nie zaprzestał terapii, dopóki nie znajdzie odpowiedzi na dręczące go pytania. Zależało jej na tym do tego stopnia, że była gotowa podsunąć mu rozwiązanie.

– Być może jednak powinien pan zapytać o to mojego syna – powiedziała, czując, że zdradza własne dziecko.

Maj 1996

Sebastian Cichecki zdjął bluzę, zmoczył ręce, a później mydłem w kostce szorował skórę od dłoni aż po łokcie. Działał niczym w transie, splukiwał pianę i znów powtarzał mycie, jakby chciał zedrzeć naskórek. Kiedy skończył, wcisnął głowę pod kran, pozwalając, by woda zalała mu twarz i włosy. Stał pochylony nad umywalką i z zaciśniętymi powiekami tarł policzki, czoło, szyję oraz uszy. Wszędzie czuł mydło. Oczy zaczęły szczypać, w ustach rozlał się gorzki smak. Splunął i przepłukał twarz czystą wodą.

Kiedy wycierał skórę ręcznikiem, usłyszał donośny płacz dochodzący gdzieś zza ściany. Znieruchomiał, nie wiedząc, co zrobić. Trener zabronił mu rozmawiać z jego córką, zdławił więc w sobie odruch pomocy, odwrócił bluzę na lewą stronę i ubrał się w nią, mając nadzieję, że dzięki temu plamy krwi nie będą aż tak rzucały się w oczy.

Jednak kiedy zerknął w lustro, by ocenić efekt swoich wysiłków, doznał wstrząsu. Na jego twarzy, włosach i ubraniu nadal widniały czerwone ślady. Sięgnął po mydło, a wtedy zobaczył, że ręce, które tak dokładnie wyszorował, również spływają krwią. Wpatrywał się w nie z przerażeniem, gdy na prawą dłoń spadła karmazynowa kropla. Chwilę później podobna wylądowała na umywalce i na jego policzku. Chłopak dotknął palcem lepkiej cieczy i zaczął dygotać. Powoli uniósł twarz w stronę sufitu, na którym rozciągała się krwista kałuża.

– To się nie dzieje naprawę – wyszeptał do siebie, ściskając głowę rękoma.

Skulił się na podłodze niczym przerażone dziecko, a gdy plamy zaczęły pojawiać się także na łazienkowym dywaniku, odrzucił go z wściekłością. Spod spodu wytoczył się metalowy guzik z wytłoczoną marką Wrangler. Sebastian zamknął go w palcach i oddychał głęboko, próbując się uspokoić. Wtedy jego uszu dobiegł plusk. Podniósł spojrzenie i zobaczył, że powierzchnia kałuży faluje, jakby coś usiłowało się z niej wydostać. Nie chciał na to patrzeć, a jednocześnie nie potrafił oderwać wzroku. Z dłonią kurczowo zaciśniętą na guziku, obserwował wylaniające się z krwistego bajora palce, później ręce i wreszcie głowę. Gdy z sufitu wynurzył się Miki, Cichy gwałtownie wciągnął powietrze. Twarz chłopaka pokrywały sińce, a z jego ust i nosa płynęły czerwone strugi. Sebastian, bliski omdlenia, gapił się w osłupieniu na Mikięgo, a ten wyciągał w jego stronę zakrwawioną rękę. Z palców nastolatka skapywały czerwone krople, które roztrzaskiwały się na skórze Cicheckiego.

– To tylko stres, nic więcej – wymamrotał pod nosem Sebastian, podniósł się z trudem i odkręcił kurek, by spryskać twarz zimną wodą, ale ku jego zaskoczeniu z kranu pociekła gęsta krew. – Nie! – wrzasnął, po czym wybiegł z łazienki, odprowadzany przez upiorny śmiech.

Roztrzęsiony wpadł do kuchni, pozapalał wszystkie światła i wypił duszkiem zostawioną na stole zimną herbatę. Jego tętno nadal galopowało, ale gdy spojrzał na swoje ręce, z wytchnieniem ulgi stwierdził, że są czyste. W lewej wciąż trzymał guzik. Obejmował go palcami tak mocno, że przedmiot boleśnie wbijał się w skórę. Ból pomagał Sebastianowi oddzielić to, co rzeczywiste, od dręczących go omamów. Chłopak opadł na krzesło przy stole i obgryzając skórki przy paznokciach, wypatrywał za oknem trenera. Siłą woli powstrzymywał się, by nie zerkać w stronę łazienki, bo kiedy tylko zwracał w tamtą stronę wzrok, odnosił wrażenie, że spod drzwi na korytarz sączy się posoka.

Pomyślał o siostrze i o jej słowach. „Śniło mi się, że umierałaś, a ja nie mogłam ci pomóc”. Chłód objął jego ciało, a umysł zalał niepokój. Czy tak to się skończy? Jego śmiercią? Zerwał się z miejsca i zaczął chodzić po kuchni, desperacko uderzając pięściami w głowę. Wtedy po raz drugi usłyszał szloch. Tym razem zignorował prośbę Jakuba Czai i podążył za odgłosami płaczu. Stał pod drzwiami pokoju dziewczyny, zawałał się, a później nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności, na łóżku dostrzegł szczupłe, zwinięte w kłębek ciało. Hela miała zamknięte oczy. Ręce skrzyżowała na piersi, a kolana podciągnęła pod brodę. Drżała jak listek na wietrze. Sebastian uznał, że płacze przez sen. Podniósł kołdrę, która spadła na podłogę, i delikatnie przykrył nią nastolatkę, a później wbrew zdrowemu rozsądkowi schylił się, by otrzeć łzę z jej policzka. Córka Jakuba gwałtownie uniosła powieki, po czym wbiła w Cicheckiego przerażone spojrzenie. Drgnął, a z jego zaciśniętej ręki wypadł przedmiot znaleziony w łazience.

– Spokojnie, niczego ci nie zrobię – zapewnił, obserwując, jak dziewczyna podnosi guzik i przesuwając opuszką palca po tłoczniu.

Nagle zaczęła szybciej oddychać. Zerknęła na chłopaka lękliwie, po czym ze wstrętem rzuciła

okrągłym przedmiotem o ścianę, odsuwając się na skraj łóżka.

– To tylko guzik, zobacz. – Podniósł go i zbliżył do Heli, która odepchnęła jego rękę.

– Nie! Przystań! Zabierz to! – krzyczała, kuląc się w pościeli.

Cichy uniósł ręce.

– Już dobrze, nie krzycz. Jestem znajomym twojego taty. Płakałaś i pomyślałem...

Nie dokończył, bo drzwi do mieszkania zamknęły się z trzaskiem. Pospieszenie odskoczył do nastolatki, upuszczając metalowy przedmiot. Z korytarza dobiegały odgłosy krzątania, skrzypienie otwieranej szafy, a później ciche nawoływanie:

– Sebastian?

Fala gorąca przetoczyła się przez jego ciało. Nie powinno go tam być, wiedział o tym doskonale, ale teraz nie miał już dokąd uciec. Przywarł plecami do ściany, jakby chciał się z nią stopić. Dziewczyna ścisnęła w rozdygotanych dłoniach kołdrę, z niepokojem przyglądając się intruzowi.

– Nie bój się – szepnął, a wtedy do pokoju wpadł Jakub Czaja.

Jego wzrok prawie natychmiast wyłowił z mroku chłopaka.

– Co ty tu, do cholery, robisz?! – Złapał Cicheckiego za ubranie, wyciągnął go siłą na korytarz i przydusił do szafy. – Mówiłem, żebyś pod żadnym pozorem nie wchodził do Heli.

– Przepraszam... ja...

– Co ty? Nie widzisz, co się z nią dzieje? Zejdź mi z oczu.

Popchnął Sebastiana w stronę drzwi, tak że chłopak zatoczył się i uderzył plecami o klamkę. Wuefista niemal natychmiast zawstydził się swojej napastliwości i łagodniej dodał:

– Przekazałem policji to, co uzgodniliśmy. Pewnie jeszcze tej nocy przyjdą po Szajbę.

Nastolatek z ulgą wypuścił powietrze zatrzymane w płucach, ale zaraz jego rysy na nowo wypełnił strach.

– Jeśli się dowie, że mam z tym coś wspólnego, rozszarpie mnie na kawałki.

Nauczyciel smętnie pokiwał głową, zrobił kilka kroków w głąb mieszkania, po czym zatrzymał się i przez ramię przeciągle spojrzął na chłopaka. Sprawiał wrażenie smutnego. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, zwilżył językiem wargi, ale ostatecznie odwrócił zaszklony wzrok, rzucając za siebie ciche:

– Nie on cię rozszarpie, tylko to, co zrobiłeś. Zagryzie jak wściekłe psy.

Grdyka Sebastiana nerwowo podskoczyła. Spod drzwi łazienki znów zaczęła sączyć się krew.

– Dziękuję, trenerze – powiedział, z trudem uciekając spojrzeniem od płynącej w jego stronę czerwonej rzeki. – Ja wiem, że ja... że zrobiłem coś strasznego i że pan pewnie się mną teraz brzydzi, ale postaram się wyjaśnić to wszystko, żeby...

– Żeby co? – wszedł mu w słowo Czaja. – Żeby jego bliskich bolało mniej? Żeby nie cierpieli i nie czuli do ciebie nienawiści? Na to już za późno, Sebastian. Żadne „przepraszam” tego nie wymaże. Sam powiedz, potrafiłbyś wybaczyć temu, który który potrafił twoją siostrę?

Ciałem Cichego wstrząsnął dreszcz, a jego dłonie zwinęły się w pięści.

– Nigdy.

– Tak myślałem – odparł nauczyciel. – Idź do domu, nic tu po tobie.

Nastolatek kiwnął głową, a później wyszedł. Przedzierał się przez noc jak zbieg. Przestraszony, czujny, ze spuszczoną głową. Teraz ulice nie należały już do niego, stały się obce i wrogie. Tonął w szarzyźnie miasta, czując się niechciany. Ostre powietrze kłuło jego płuca, odgłosy syren wozów policyjnych i karetok pogotowia atakowały uszy. Przyklejony do szyby autobusu kursującego między Milanówkiem a Grodziskiem, skulił się, jakby chciał zniknąć. Wszystko wokół zdawało się kanciaste i chropowate. Odpychające.

Dopiero gdy dotarł do swojej klatki schodowej na grodziskim Manhattanie, napięcie nieco zelżało. Z duszą na ramieniu wdrapał się po schodach, nacisnął klamkę i wszedł do pogrążonego w ciszy mieszkania. Zaniepokojony zajrzał do salonu, a jego oczom ukazał się niecodzienny widok. Ojciec, zamiast zalegać na fotelu z butelką piwa w dłoni, pochłonięty idiotycznymi teleturniejami, siedział sztywno na wersalce. Jedną ręką szarpał frędzle narzuty, drugą obejmował żonę. Kobieta opierała głowę na jego kolanach, a w palcach miętosiła zużytą, mokną chusteczkę.

– Jak się czuje Wiktoria? – zapytał chłopak, wsuwając ręce w kieszenie spodni.

Twarz matki nabiegła czerwienią, jej wargi zadrżały. Podniosła się ostrożnie, jakby zbyt gwałtowny ruch mógł sprawić, że się rozpadnie.

– Twoja siostra nie żyje – powiedziała.

Cichy przecząco potrząsnął głową. Na miękkich nogach zaczął odsuwać się w stronę korytarza. Chciał cofnąć czas, przewinąć taśmę życia i nigdy nie dotrzeć do momentu, w którym dogoniła go ta potworna świadomość, że Wiktorii już nie ma. Że już nigdy nie usłyszy jej śmiechu, nie zakręci nią w powietrzu i nie przytuli głowy siostry pachnącej rumiankowym szamponem.

Myśli o niej przerwało uczucie bólu. Wielka, niedźwiedzia łapa nie wiadomo skąd spadła mu na ramię, ścisnęła je i wbiła pazury pod obojczyk. Sebastian jęknął i się skulił.

– Zabieraj się stąd – wycharczał ojciec, otwierając drzwi i wypychając syna na zewnątrz. – Nie chcę cię tu więcej widzieć.

– Tato, nie! – Cichy próbował się z nim siłować. – Przecież to nie ja...

– Ty, ty. Dla ciebie tam poszła. To wszystko twoja wina. Gdybyś był w domu na czas, nic by się nie stało.

Ernest pchnął syna i pospieszenie zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Nastolatek usłyszał chrobot klucza w zamku, a smutek wypełnił go całego.

– Mamo! – zawołał, dobijając się do domu. – Mamo, zrób coś! – Bezskutecznie szarpał za klamkę, ale nikt nie reagował.

Chyba nigdy wcześniej nie czuł się tak bardzo samotny. Zaciskając zęby w bezsilnej złości, z twarzą mokrą od łez zszedł do piwnicy i kopniakami zniszczył domek z patyczków od lodów, który od tygodni budował dla Wiktorii. A kiedy zabrakło mu gniewu i łez, ruszył przed siebie. Nie wiedział, dokąd pójść ani co zrobić, ale jednego był pewien: jego życie właśnie się skończyło.

Julia

Wrzesień 2019

Kiedy odłożyła telefon, podeszła do okna. Ciemność za szybą przecinały strugi ulewy, a deszcz bębnił o dachy i parapety. W odbiciu widziała własną przestraszoną twarz. „Być może jego przyjaciel nie jest wytworem wyobraźni, ale człowiekiem z krwi i kości” – wróciły do niej słowa Falka. Nagle z mocą gradobicia uderzyła ją świadomość, że gdzieś tam, w mroku, może czaić się ktoś, kto cały czas ich obserwuje. Wzdrygnęła się na myśl o lepkiem wzroku na swojej skórze, a potem zaczęła nerwowo zaciągać zasłony.

Feliks miał do nich wpaść następnego dnia. Julia przeczuwała, że jej syn nie zgodzi się na kolejną wizytę u terapeuty, stąd spotkanie u Falka nie wchodziło w grę. Sześciolatek nadal złościł się z powodu zepsutego samolotu z papieru i konsekwentnie unikał odpowiedzi na pytania o niewidzialnego przyjaciela. Dlatego zaproponowała, by to psycholog odwiedził chłopca w jego środowisku, mając nadzieję, że dzięki temu Benio zdoła się bardziej otworzyć.

Dreńczona niepokojem odnalazła w sieci firmę Safe Home, zajmującą się instalacją systemów alarmowych i monitoringu. Skrupulatnie wypełniła długi formularz, dokładnie określając swoje potrzeby, a im dłużej czytała o bezpieczeństwie, dozorze i kontroli, tym bardziej ją to przytłaczało. Wciąż nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na pytanie, przed kim miałyby się tak chronić. I choć chciała ją poznać, to równie mocno się jej obawiała.

Odkąd dopuściła do siebie myśl, że ktoś obcy mógł przebywać w domu, nie potrafiła uwolnić się od poczucia lęku. Kiedy szcزتkowała zęby w łazience, gnębiła ją irracjonalna obawa, że gdy uniesie wzrok i spojrzy w lustro nad umywalką, w odbiciu zobaczy nie tylko siebie, ale również człowieka o pustych oczodołach z obrazków Benia, stojącego za jej plecami. Dlatego pospiesznie rozczesała włosy, umyła twarz i wklepała w skórę krem, a później, w drodze do sypialni, z nerwów zapomniawszy o tym, która jest godzina, zadzwoniła do hydraulika. Chciała mu powiedzieć, że w baterii pod prysznicem, którą instalował niedawno, rozregulował się termostat, i poprosić, by przyszedł to poprawić, ale mężczyzna nie odebrał.

Zmęczona rozmyślaniami położyła się do łóżka. Sen nie chciał jednak nadejść. Julia długo przewracała się z boku na bok, nasłuchując ponurych dźwięków, skrzypnięć i szumu deszczu, aż w końcu wyczerpana zapaliła lampkę. Na komodzie pod ścianą dostrzegła projektor. Podłączyła go, a później z kartonem pełnym negatywów usiadła na łóżku.

Nie wszystkie klisze były oznaczone datami, dlatego pierwszą z nich wybrała losowo. Trafiła na zdjęcia Adama z jakiegoś wyjazdu nad jezioro. Jej mąż miał wtedy pięć, może sześć lat. Ubrany w majtki i wysokie kalosze, brodził wśród wysokich traw i kapał się w dmuchanym baseniku. Julię zaintrygowało to, że prawie na każdej fotografii był tylko on. Dopiero dwa ostatnie ujęcia przedstawiały całą rodzinę Hanerów. Siedzieli razem na tle drewnianego domku. Ojciec Adama miał tę samą posępną minę, którą znała od lat, a matka roześmiana przytulała do piersi kilkulatek, który próbował wyrwać się jej pocałunkom.

Drugi film, który wybrała, pochodził z dziewięćdziesiątego szóstego roku. Zdjęcia zostały zrobione w kwietniu, czyli krótko przed maturą i rozpadem paczki Adama. Na fotografiach ktoś uwiecznił tort ze świeczkami oraz pięciu roześmianych nastolatków trzymających w dłoniach rozwijane trąbki i puszki coca-coli. Bez trudu rozpoznała w tych chłopakach swojego męża, prężącego mięśnie Maćka Molendę, poważnego Witka Lazara oraz Feliksa, który obchodził właśnie dziewiętnaste urodziny. Nie dostrzegła tylko Roberta, dlatego założyła, że to on trzymał aparat.

Później impreza przeniosła się do lasu i nabrała mniej formalnego charakteru, bo na ujęciach uchwyconych po zmroku pojawiło się piwo w puszkach i nikotynowe opary. Feliks stał oparty o maskę srebrnego fiata bravy, w jednej ręce trzymał papierosa, drugą z dumą prezentował kluczyki do samochodu. Tym razem zdjęcia musiał robić Witek Lazar, bo tylko jego nie było na fotografiach. Maciek Molenda, pałac, dyskutował o czymś z Adamem, który unosił do ust piwo, a Robert Wagner siedział z tyłu w samochodzie i wychylając się przez okno, wystawiał do obiektywu język.

Julia z uśmiechem przyglądała się stylizacjom nastolatków. Feliks, Adam i Robert byli ubrani w dżinsowe kurtki, Maciek w ortalionowe dresy. Wszyscy nosili sportowe buty i rozwichrzone włosy. Wyglądali, jakby młodość miała trwać wiecznie, a zło nie mogło ich osiągnąć. Choć nie Adama, pomyślała gorzko. Uderzający kontrast między pełnym życia licealistą a mężczyzną, który dwa miesiące temu umierał na

jej rękach, sprawił, że zaczęła osuwać się w głąb siebie. Nie mogła tam wracać. Nie wolno jej było odtwarzać w pamięci tamtej nocy.

Zdenerwowana zgasiła projektor, a później wysłała wiadomość do Witka Lazara, pytając, czy udało mu się znaleźć jakieś zdjęcia z liceum. Ku jej zdziwieniu nauczyciel oddzwonił.

– Halo? – Odebrała niepewnie.

– Cześć, wyobraź sobie, że tak. Na strychu u rodziców odgrzebałem kilka starych albumów z czasów szkolnych. Chciałabyś, żebym ci je jutro podrzucił?

Julia skrzywiła się, zaniepokojona tym, że Feliks z Witkiem mogliby na siebie wpaść. Nie miała ochoty tłumaczyć kolejnej osobie tego, co działo się z jej synem.

– Może po prostu umówmy się w jakiejś kawiarni? Najchętniej w ciągu dnia, gdy Benio będzie w przedszkolu, choć pewnie masz wtedy lekcje.

– Myślę, że dałbym radę wyrwać się w okienku, koło dwunastej czterdzieści. Znasz restaurację Piknik na Bartniaka, przy parku Skarbków?

– Nie, ale znajdę ją – odparła, a kiedy się rozłączyli, zauważyła, że ma nieodebrane połączenie od hydraulika.

Zerknęła kontrolnie na zegarek, który wskazywał parę minut po dziesiątej, i już miała skapitulować, gdy telefon zadzwieczał w jej dłoni, a na ekranie wyświetliło się nazwisko hydraulika.

– Dziękuję, że pan oddzwania, panie Romku. – Odebrała.

– Proszę, tylko nie mam pojęcia, kto mówi – burknął mężczyzna. – Ktoś do mnie dzwonił z tego numeru.

– Tak, to ja, Julia Haner. Widzieliśmy się kilka dni temu. Instalował pan u nas baterie i podłączał sprzęt agd. Dom przy Zajęczej, niedaleko parku Ordon. Kojarzy pan?

Hydraulik chrząknął.

– Chyba coś pani pomyliła. Byliśmy umówieni, to fakt, ale dzień przed montażem odwołała pani wizytę.

Julia odniosła wrażenie, że łóżko, na którym siedzi, przeobraża się w grząskie piaski, a ona zaczyna się w nich zapadać.

– Jak to? Niczego nie odwoływałam. Przecież był pan u mnie w sobotę. Rozmawialiśmy i...

– Proszę pani – przerwał jej obcesowo. – Powtarzam, że nigdy się z panią nie spotkałem. Zadzwoniła pani w piątek wieczorem i powiedziała, że już nie potrzebuje mojej usługi.

– Ale... – Chciała zapytać o coś jeszcze, gdy ciszę rozdarł przeraźliwy dziecięcy krzyk. Natychmiast zerwała się z łóżka, rzucając do słuchawki: – Przepraszam, muszę kończyć.

Cisnęła telefon w pościel, zdążywszy jeszcze usłyszeć kąśliwe „wariatka”, które padło z ust mężczyzny. Kiedy dobiegła do sypialni Benia, chłopiec leżał na materacu i wierzgając nogami, krzyczał przez sen. Z jego ust wydobywały się niezrozumiałe słowa, z których dopiero po chwili Julia wychwytiła:

– Nienawidzę cię! Nienawidzę!

Łzy napłynęły jej do oczu. Położyła się obok syna, otarła mokre od potu czoło dziecka i chwyciła za uderzające na oślep rączki.

– Kochanie, to ja, twoja mama. Uspokój się, to tylko sen.

Beniamin nagle znieruchomiał. Uniósł powieki i zdezorientowany rozglądał się po sypialni, jakby nie rozpoznawał tego miejsca. W końcu otulił matkę ramionami i na powrót zasnął. Julia wdychała zapach dziecięcych włosów, przepraszając chłopca za wszystko, czemu nie potrafiła zapobiec. Miała nadzieję, że wkrótce i ona zapadnie w sen, ale myśli w jej głowie rozszalały się jak sztorm. Skoro to nie pan Roman był u nich w domu, to kto?

Maj 1996

Komisarz Kula, rozmasowując dłoń, rzucił leżącemu na podłodze chłopakowi pogardliwe spojrzenie, a później nakazał, by zabrano go do aresztu.

– Niczego nie zrobiłem – powtarzał Szajba.

Szarpał się, próbując stawiać opór, ale muskularny funkcjonariusz o kamiennym wyrazie twarzy przycisnął go do ściany, wykręcił mu rękę do tyłu i spał przeguby dwudziestolatka kajdankami. Wiktor pisnął, gdy metal wbił się w skórę. Z trudem utrzymywał równowagę, nogi miał słabe po tym, jak przesłuchujący wielokrotnie uderzał w nie policyjną pałką. Każdy dźwięk docierał do niego zwielokrotniony echem. W głowie nadal mu huczało od pięści, które spadły na jego czaszkę i trafiały w uszy. Obraz przed oczami pływał, jakby częstowano go wódką, a nie solidnymi ciosami w brzuch.

– Słyszycie?! To nie ja – zarzekał się, prowadzony przez barczystego policjanta. – Wypuście mnie. Znajdę wam tych, którzy za to odpowiadają. Przecież to jasne, że ktoś chce mnie zrobić.

Kula niewzruszony założył pałkę za pasek, a potem strzepnął z koszuli niewidzialne pyłki.

– Zejdźcie mi z oczu – mruknął do kolegi, który ciągnął za sobą chłopaka.

Kiedy drzwi zatrzasnęły się za nimi, komisarz włożył do ust papierosa i jednym zgrabnym ruchem wyczarował z zapalniczki pomarańczowy płomień. Chciwie zaciągnął się dymem, po czym z westchnieniem rozkoszy wydmuchał szary obłok.

– No i co ty o tym wszystkim myślisz, Stefan? To on? – Podniósł z ziemi przewrócony taboret, postawił go i oparł na nim wypastowany na błysk but, z którego palcem startł drobną czerwoną plamkę.

Policjant, który dotychczas wystukiwał na maszynie protokół przesłuchania, podrapał się po brodzie, kiwając głową na boki.

– Trudno powiedzieć. Szajbiński bywa porywczy, może nawet nieobliczalny, ale coś mi się tu nie składa. – Zabębnił palcami o blat. – Zobacz, jak go wymaglowaliśmy, przyznał się do stuknięcia Graczyka i do wjechania w kiosk na Sienkiewicza, ale potrącenia tej dziewczynki zawzięcie się wypierał.

– Nic dziwnego, na jego miejscu zrobiłbym to samo.

– Tak, ale to coś innego. Kiedy go o nią zapytałeś, odniosłem wrażenie, że naprawdę nie wie, o czym mówisz. Poza tym sąsiedzi nie widzieli momentu wypadku, więc na dobrą sprawę gównu mamy. To, że kilku emerytów zauważyło w okolicy samochód Szajbińskiego, nic nam nie daje, bo koleś tam mieszka i może sobie jeździć po dzielnicy, ile chce.

Kula poczęstował płuca porcją nikotyny, a popiół z jego papierosa upadł na podłogę. Stefan założył ręce za głowę i wyciągnął nogi przed siebie.

– A nie dziwi cię, że ten świadek pobicia dzwonił z budki i się nie przedstawił? Dla mnie to śmierdzi jakąś lipą. A co, jeśli to był sam sprawca?

– Albo ktoś, kto chciał zaszkodzić Szajbie – głośno myślał komisarz. – Jest jeszcze jedna rzecz. No bo jeśli tak mu zależało na tej kurtce, to czemu nie kazał gówniarzowi jej sobie oddać, zanim stłukł go na kwaśne jabłko? Z tego, co mi wiadomo, ofiara została znaleziona w tej kurtce. Chłopaki z patrolu ją rozpoznali, bo w pierwszej chwili pomyśleli, że ktoś sprzedał Szajbie kosę.

Policjant siedzący za biurkiem przeczesał palcami włosy.

– To co proponujesz?

– Wypuśćmy go i zobaczymy, czego się dowie. Możemy mu powiedzieć, że jak będzie współpracował, przymkniemy oko na temat Graczyka, ten stary menel i tak nikogo specjalnie nie obchodzi. – Kula zgniótł papierosa w popielniczkę. – Jeśli Szajbiński rzeczywiście tego nie zrobił, będzie miał ciśnienie, żeby oczyścić się z zarzutów.

Stefan kiwnął głową na znak zgody.

– Powiesz mu czy ja mam to zrobić? – Podniósł się, szurając krzesłem o posadzkę, ale komisarz Kula położył dłoń na jego ramieniu.

– Usiądź sobie. Po co się tak spieszyć? Jak zostawimy go na dołku do jutra, to motywacja mu wzrośnie.

– Poklepał kolegę po plecach i zaśmiał się złośliwie.

*

Wiktor Szajbiński, kipiąc gniewem, szedł w stronę blokowisk. Po nocy spędzonej na drewnianej ławie

w areszcie czuł się połamany i obolały. W oczach miał ogień, na twarzy wypisaną nienawiść. Rozmasowywał otarte kajdankami nadgarstki i krzywił się za każdym razem, gdy poturbowane żebra dawały o sobie znać. W jego czaszce wciąż huczał stukot kół nadjeżdżającego pociągu. Chłopak zatrzymał się przy poczcie, oparł dłoń o słup i splunął krwistą śliną na chodnik. Jakaś kobieta posłała mu zniesmaczone spojrzenie, a gdy go minęła, rzuciła ciszej „świnia”.

– Wypchaj się! – zawołał za nieznajomą i pokazał jej środkowy palec.

Spieszący do pracy ludzie zerkali na niego ze wstrętem, ale on nic sobie z tego nie robił. W tym momencie miał tylko jeden cel. Znaleźć człowieka, który w nocy wykonał anonimowy telefon na komendę i wskazał go jako sprawcę pobicia Mikiego. Wbrew temu, czego oczekiwał komisarz Kula, Szajba nie planował oddać tego gnoja policji. Zamierzał ukarać go najdotkliwiej, jak potrafił. Tak, że piekło przy tym, co chciał mu zrobić, okaże się jedynie dziecinną igraszką.

Podciągnął rękawy bluzy i wszedł do piekarni na rogu kamienicy z czerwonej cegły. W twarz buchnął mu zapach świeżego pieczywa, od którego zaburczało w brzuchu.

– Zastałem Łysego? – rzucił do stojącej za ladą tęgiej sprzedawczynie, która przeliczała właśnie banknoty.

Przepasana fartuchem kobieta spojrzała zza okularów.

– Jest przy piecu, robotę ma. Lepiej będzie, jak pan później przyjdzie.

– Gdybym chciał z nim rozmawiać później, nie przychodziłbym teraz. – Uśmiechnął się nieprzyjemnie, a potem wszedł za ladę i trącając ramieniem przestraszoną sprzedawczynię, ruszył na zaplecze. – Znam drogę, nie musi mnie pani odprowadzać.

Pchnął z impetem drewniane drzwi i po chwili znalazł się w pomieszczeniu wyłożonym płytkami. Dwóch pracowników w białych T-shirtach, spodniach i czapkach, napowietrzających ciasto przy olbrzymiej stolnicy pod ścianą, z ciekawością odwróciło głowy. Szajba puścił do nich oko i wskazał na wytatuowanego dryblasza o płaskim boksterskim nosie, który akurat wyciągał z pieca bochenki na szerokiej, drewnianej łopacie o długim drążku. Masywny chłopak w klapkach i białych skarpetkach wyłożył chleby na drucianą półkę, po czym ziewnął przeciągle.

– Widzę, Łysy, że ty też dzisiaj kiepsko spałeś! – zawołał Szajbiński, a wtedy piekarz obejrzał się za siebie i rozciągnął usta w zaskoczonym uśmiechu.

– Siema, stary. – Ściągnął z dłoni rękawicę, by przywitać się z kolegą, po czym zawołał do współpracowników: – Przejmie ktoś robotę na chwilę? Skoczę tylko na fajkę i zaraz wracam.

Młody chłopak w okularach wziął od niego szuflę, a Łysy klepnął Wiktora w ramię, dając mu znać, by podążał za nim do tylnego wyjścia. Tam obaj usiedli na betonowym murku. Piekarz, szeleszcząc folią, otworzył nową paczkę czerwonych marsów i poczęstował kumpla jednym. Odpalili je w ciszy, a szare wstążki dymu wzbiły się w powietrze.

– Podobno pały zawinęły cię w nocy – powiedział Łysy z papierosem w kąciku ust. – To prawda?

Szajbiński potwierdził skinieniem, a później opowiedział o tym, jak po wspólnym wieczorze szukał kurtki w kebabie u Turka, o swoim powrocie do domu, ucieczce przed policją i przesłuchaniu na komendzie. Ominął tylko te fragmenty, w których leżał na podłodze, osłaniając rękoma głowę, i prosił, by komisarz Kula przestał go bić.

– Czekaj, czekaj. Mówisz, że tego dzieciaka, który zapłacił za nasze żarcie u Turka, zaciukali łomem?

– Tak, a co?

– Ciekawe. Pamiętasz to nowe bmw sędzi Małeckiej?

Wiktor kiwnął głową.

– Wczoraj wieczorem jakiś koleś w bluzie z kapturem wybił jej łomem okno w tym cacku, a potem wrzucił do środka pudło z psim gównem i petardą. Rozniosło się podobno po całej tapicerce.

Obaj zachichotali.

– Stara Piekutowska widziała tego kolesia przez okno, ale była na tyle daleko, że nie potrafiłaby rozpoznać twarzy. Opowiadała o wszystkim naszej pani Zosi, a ta przyniosła ploteczki do pracy.

– Myślisz, że to mógł być ten sam typ, który napadł małolata z kebaba?

– Pewnie tak. No bo ilu znasz ludzi, którzy zapierniczają z łomem po mieście jednego wieczoru? Zresztą ja się nawet domyślam, kto to mógł być.

Szajba zastygł z dłonią trzymającą papierosa w powietrzu.

– Mów.

– Stawiałbym na Cicheckiego. Sam widziałem, jak łąził za blokami i zbierał gówna z trawników.

Wiktor skrzywił się z niedowierzaniem.

– Cichecki? Po jaką cholere miałby robić coś takiego? Przecież to cykor, nie narażałby się Małeckiej i na pewno nie chciałby wrócić do poprawczaka. Zresztą to numer bardziej w moim stylu niż jego. – Uśmiechnął się zarozumiale, a gdy dotarł do niego sens tych słów, radosny grymas spłynął mu z twarzy. – Chyba że skubaniec od początku chciał mnie w to wmanewrować – rzucił zamyślony. – Ale dlaczego miałby tłuc jakiegoś niewinnego dzieciaka? To do niego niepodobne. Cichy to mięczak, nikomu nie chce robić krzywdy. Prędeż się podłoży, niż podniesie na kogoś rękę. Poza tym jedyną osobą, do której mógłby coś mieć, jestem ja.

Łysy wzruszył wytatuowanymi ramionami. Grube litery składające się na napis „Tylko Bóg mnie osądzi” zafalowały na jego bicepsie.

– Czy ja wiem, a może myślał, że leje ciebie? Po mieście chodzą słuchy, że tamten miał twoją kurtkę, a to by pasowało, no nie?

Szajbiński spojrzął na kumpla, po czym podniósł się gwałtownie i zaczął krążyć po rampie, zachłannie zaciągając się dymem.

– Ożeż kurwa, masz rację – stwierdził pomiędzy sztachnięciami. – Ludzie w blokach gadali przecież, że to ja potrafiłem jego siostrę. Do tego sam go niedawno straszylem, że jak nie będzie pilnował młodej, to różne rzeczy mogą się jej przydarzyć. Ja pierdolę! – Walnął pięścią w beton. – Cichecki musiał się zagotować, wziął łom i poszedł mnie szukać. Pewnie dowiedział się o wypadku i połączył kropki. A potem, jak się kapnął, co nawyprawiał, poszczuł na mnie psy. Skurwiel jeden.

– To co, trzeba go odwiedzić, nie? – Piekarz zgasił papierosa o murek, wstał i otrzepał o siebie wielkie dłonie.

– Robotę masz.

– Robota nie zając. – Prychnął. – Wiem, gdzie on mieszka. Zaprowadzę cię. Przy okazji poćwiczę trochę przed następnym sparingiem. – Zamarkował w powietrzu kilka ciosów.

Szajba z wdzięcznością poklepał Łysego po ramieniu.

– Tylko się nie oszczędzaj, stary. Pamiętaj, że na treningach trzeba dawać z siebie wszystko.

Julia

Wrzesień 2019

Po burzliwej nocy nastał słoneczny, choć nieco chłodny poranek. Julia zawiozła Benia do przedszkola, mając nadzieję, że nowy dzień nie przyniesie żadnych niespodzianek, ale już spotkanie z Anną odebrało jej te złudzenia. Przedszkolanka wyraźnie trzymała się na dystans, a jej wcześniejsza serdeczność zamieniła się w oziębłą uprzejmość. Do Julii szybko dotarło, że Maciej musiał podzielić się z żoną informacją o tym, jak nowa sąsiadka myszkowała po ich kuchni. Zawstydzona tym wspomnieniem Julia pożegnała się z koleżanką, a kiedy uruchomiła silnik i wolno zaczęła się toczyć w kierunku centrum, jej uwagę przykuł szyld warsztatu samochodowego.

Z mapy, którą oglądała wcześniej w internecie, wynikało, że teren posesji zakładu sąsiaduje z przedszkolnym ogrodem. Dokładnie od strony rzędu tui oraz drewnianego domku, na którym płonęła girlanda z papierowych serduszek. Wiedzioną irracjonalnym przeczuciem, skręciła gwałtownie w prawo, by po chwili znaleźć się na rozległym placu autoserwisu. Jej wzrok wychwycił dwie kamery, jedną ustawioną na bramę wjazdową, drugą na parking. Patrzyła na nie, tłumacząc sobie, że to, o czym myśli, jest skrajnie niedorzeczne, gdy nagle ktoś zapukał w szybę volvo, a ona krzyknęła z przerażenia.

Za oknem znajdował się mężczyzna w niebieskim roboczym kombinezonie. Miał krzaczaste brwi, mocno pomarszczoną skórę i ślady smaru na twarzy. Julia powoli opuściła szybę, starając się wyglądać na mniej roztrzęsioną, niż była.

– Niech zgadnę – rzucił mechanik, lustrując samochód. – Mamy to zrobić szybko i tak, by mąż się nie zorientował, że w ogóle była jakaś stłuczka. Dobrze kombinuję?

– Co? Nie – zaprotestowała gwałtownie, ale gdy przypomniało jej się, że ma uszkodzony zderzak, dostrzegła w tym szansę. – No dobrze, rozgryź mnie pan. Narozrabiałam, a za trzy dni mąż wraca z delegacji. Jest dla mnie jakaś nadzieja?

– No pewnie, a co ma nie być. Niech pani zaparkuje, a ja podzwonię i powiem, na kiedy mogą być części.

Odprowadziła mężczyznę wzrokiem, a później wysiadła z volvo i podeszła do tej części ogrodzenia, za którą rozciągał się ogród przedszkola. Wprawdzie siatkę porastał tam gęsty bluszcz, ale bez trudu mogła precyzyjnie ręką przez oczko i dotknąć drewnianego domku. A skoro dla niej nie stanowiło to wyzwania, to dla kogoś innego również musiało być dziecinnie proste.

Zamyślona weszła do warsztatu. W powietrzu wisiał zapach spalin, z radia płynęła solówka gitarowa z *Hotelu California* The Eagles, a na zdjęciach przyklejonych do ścian przeżyły się dziewczyny w skąpej bieliźnie. Mechanik, z gumą do żucia w ustach, nadal rozmawiał przez telefon. Machnął na Julię ręką, wskazując krzesło, ale ona tego nie dostrzegła. Jej uwagę przyciągnął otyły mężczyzna, który zajmował stołek w rogu pomieszczenia. Wyglądał na niewiele ponad sześćdziesiąt lat, miał przymknięte powieki i z wirtuozerią wygrywał melodię na niewidzialnej gitarze.

– Skubaniec nadal pamięta każdy akord – rzucił mechanik, wyrastając niespodziewanie obok Julii. – Dawno temu graliśmy razem w kapeli rockowej. Erni na basie, ja na klawiszach. Byliśmy wtedy piękni i młodzi, a świat, jak to się mówi, stał przed nami otworem – dodał z rozrzewnieniem.

– I co się stało?

– Życie się stało. Zespół się rozpadł, a my poszliśmy do prawdziwej roboty. – Zatoczył ręką po zakładzie, cmoknął i utkwiał spojrzenie w przyjaciela. – Przychodzi do mnie prawie codziennie. Wygaduje różne dziwne rzeczy. Czasami nie wie, który jest rok, i wydaje mu się, że znów mamy po dwadzieścia lat. – Pokręcił głową ze współczuciem. – No, ale do rzeczy. Jutro kurier powinien przywieźć pani nowy zderzak. Wystarczy, jak mi pani podrzuci autko z rana, to na następny dzień będzie gotowe.

– Świetnie. – Uśmiechnęła się, a potem dodała nieśmiało: – Mam jeszcze jedną, dość nietypową prośbę. Mechanik wyszczerzył zęby, jakby spodziewał się zaproszenia na randkę.

– Proszę mówić, zobaczę, co da się zrobić.

Wyczekująco oparł dłoń na biodrach, gdy tymczasem Julia zatrzymała spojrzenie na ekranie, który pokazywał podgląd z kamer.

– Widziałam, że prowadzi pan monitoring. – Wskazała komputer. – Chciałabym zobaczyć nagrania

z poniedziałku.

Mężczyzna prychnął.

– Chyba pani oszalała. Nie robię takich rzeczy.

Julia sięgnęła po portfel i wyjęła stamtąd stułotowy banknot. Ręce się jej trzęsły. Czowała się jak frajerka, która obejrzała o jeden film sensacyjny za dużo, ale w tej chwili pieniądze były najlepszym argumentem, na jaki było ją stać.

– Interesują mnie dwie godziny. Między dziewiątą a jedenastą. – Wyciągnęła dłoń w stronę mechanika, ale on tylko skrzyżował ramiona na piersi.

– Nie czuję się przekonany.

Dołożyła do łapówki kolejny banknot.

– To moje ostatnie słowo – oznajmiła, proponując mężczyźnie dwieście złotych. – Istnieje podejrzenie, że ktoś ze strony pana posesji nagabywał dzieci z tutejszego przedszkola. Jak pan sądzi, co pomyślą sąsiedzi, gdy rozejdzie się plotka, że po warsztacie kręcił się pedofil? – Starła się, by jej głos brzmiał pewnie i chłodno, choć ta zawołowana groźba wypadła raczej żałośnie.

Pięknie, Julio, najpierw przekupstwo, teraz szantaż, pogratulowała sobie w myślach, w napięciu wbijając paznokcie we wnętrza dłoni. Twarz mechanika wypełnił gniew.

– Niech pani nawet nie wymawia przy mnie tego słowa. Gołymi rękami bym udusił takiego skurwiela.

– Splunął ostentacyjnie na ziemię, po czym wyjął banknoty z jej ręki. – Chodźmy, pokażę pani te nagrania.

Opadł z niechęcią na krzesło, odsunął na bok stertę papierów i burknięciem zaprosił Julię, by zajęła miejsce obok niego. Po chwili razem obserwowali klientów, którzy odwiedzili warsztat dwa dni wcześniej. Nie było ich wielu. Mechanik potrafił rozpoznać każdego, a nawet przytoczyć jakąś anegdotę na jego temat. Wiedział, z czym przyszli, i pamiętał, kto się wyklócał, że jest za drogo, choć ostatecznie i tak zapłacił, bo nigdzie w okolicy nie dostałby równie fachowej pomocy.

– A ten? – Julia wskazała postać w bluzie z kapturem nasuniętym na głowę, wyraźną na ujęciu z bramy.

– Ten... – Mechanik zerknął na swojego przyjaciela w rogu pomieszczenia, który ożywił się, gdy z głośników zaczęły płynąć dźwięki *Stairway to heaven*. – ...to jakiś przypadkowy facet. Nie pamiętam dokładnie. Pytał o najbliższą stację benzynową.

Tętno Julii podskoczyło.

– Jak długo tu był?

– Nie wiem, chwilę pewnie.

– To nie była chwila. Niech pan spojrzy. – Wskazała na kadr z parkingu, na którym po wyjściu z zakładu nieznajomy odbija w prawo, znika poza zasięgiem kamer, i dopiero kilka minut później znów się pojawia, z papierosem w dłoni, swobodnie wychodząc przez bramę. – Przedstawił się jakoś? Powiedział coś więcej? – dociekała, z emocji podnosząc się na krzesło, ale mechanik zaprzeczył.

W tle tęgi mężczyzna przestał nucić przebój Led Zeppelinów i zamiast tego zaczął jak w amoku powtarzać: „To nie jego wina, to nie była jego wina”. Właściciel autoserwisu podszedł do przyjaciela i podał mu szklankę z wodą.

– Spokojnie, Erni, wszystko jest w porządku. – Poklepał go po obwisłym policzku.

Julia tymczasem w myślach błagała nieznajomego z nagrań, by podniósł głowę i pokazał swoją twarz do kamery. Ten jednak pozostał nieugięty. Jakby doskonale wiedział, że ktoś kiedyś obejrzy zapis z monitoringu.

– Niech cię szlag! – Uderzyła dłonią o blat, strącając z biurka dwie czekoladki w szeleszczącym złotym opakowaniu. – O co chodzi z tymi pralinami? – zapytała, podnosząc je z podłogi. – Delfina to jakiś wasz lokalny specjał?

Mechanik spojrział na nią dziwnie.

– Można tak powiedzieć. Rarytas nawet – zarechotał.

Julia wróciła do samochodu, nie mogąc uwolnić się od poczucia, że coś jest nie w porządku. Tajemniczy mężczyzna z monitoringu nie przechadzał się już tylko na cyfrowym nagraniu, ale także w jej wyobraźni. Myślała o nim, raz po raz odtwarzając w pamięci ten swobodny chód, gdy rozdzwoniła się jej komórka.

– Tak? – Z bijącym sercem odebrała połączenie z nieznanego numeru.

– Dzień dobry, dzwonię z firmy Safe Home – odezwał się miły dziewczęcy głos. – Pisała pani do nas

w kwestii instalacji monitoringu domowego. Z tego, co widzę, w kwestionariuszu jasno określiła pani swoje oczekiwania, więc jeśli to możliwe, nasi fachowcy pojawią się pod wskazanym adresem dziś o trzynastej.

– Dzisiaj? Tak szybko?

– Mogę zaproponować inny termin, ale najbliższy będzie dostępny dopiero... – w słuchawce zabrzmiało uderzenie w klawiaturę – ...za tydzień. A dziś jeden z naszych klientów niespodziewanie przełożył montaż i dzięki temu mam wolną ekipę, którą mogłabym wysłać do pani.

Julia zabębniła paznokciami o tapicerkę, nie wiedząc, co zrobić. Musiała jeszcze pojechać do szpitala, by porozmawiać z neurologiem o Beniu, a później miała umówione spotkanie z Witkiem Lazarem. Jęknęła, masując palcami skronie.

– Halo? Jest pani tam? – Zaniepokoiła się dziewczyna. – Jeśli nie może być pani na miejscu podczas montażu, to żaden problem. Wystarczy, że ktoś przekaże ekipie klucze – dodała, czytając w jej myślach. – Poradzimy sobie ze wszystkim.

I wtedy nagle do Julii przyszło rozwiązanie. Skoro Robert miał klucze do jej domu, równie dobrze to on mógł wpuścić monterów. Raz jeszcze omówiły szczegóły z pracownicą Safe Home, po czym Julia odłożyła słuchawkę.

Powinna na nią spłynąć fala spokoju, w końcu niebawem czujne oczy kamer miały chronić jej bezpieczeństwo, ale gdy rozmowa dobiegła końca, dopadło ją dławiące w gardle uczucie strachu. Bo jeśli rzeczywiście istniał ktoś, przed kim musiała się strzec, to kim właściwie był? I czego od niej chciał?

Maj 1996

Wszystko wydawało mu się zbędne. Codzienne, prozaiczne czynności ciążyły. Jakub zmuszał się do tego, by wstać, założyć ubranie i zjeść, choć każdy posiłek smakował jak tektura. Powtarzał sobie, że musi żyć dla Heli, lecz w głębi duszy wiedział, że dla niej to nie ma żadnego znaczenia. Zapadła się tak głęboko w siebie, że nie mógł już wydobyć jej na powierzchnię.

Krojąc chałkę i smarując ją dżemem truskawkowym, rozważał spotkanie ze szkolną pedagog, ale szybko ten pomysł odrzucił. Nie chciał, by o jego córce plotkowało całe miasto, a był pewien, że gdy tylko wyjdą za drzwi gabinetu, sensacyjne pogłoski obiegą okolicę.

Mogliby jeszcze udać się do szpitala i porozmawiać z psychiatrą, ale wizyta u niego naznaczyłaby Helę łąką wariatki. Bo przecież zdrowi ludzie nie chodzą do lekarzy od czubków. I co by im to dało? Tylko wstyd i podejrzenia. Że może sama się o to prosiła, prowokowała. Ludzie zaczęliby ją traktować jak trędowatą. Pojawiłyby się kpiny albo napisy na drzwiach, jak u tej dziewczyny sprzed kilku lat, której ktoś na domu wymalował farbą słowo „dziwka”. Nie, nie mógł zrobić tego swojej córce.

Chwycił w jedną rękę kubek ze słodką czarną herbatą, a w drugą talerz z kanapkami. Kiedy wszedł do pokoju Heli, dziewczyna miała otwarte oczy.

– Dzień dobry – rzucił i natychmiast się zmieszał, bo te słowa zabrzmiały jak drwina.

Postawił jedzenie na nocnej szafce, a później usiadł obok córki i z zakłopotaniem potarł uda. Chciał coś powiedzieć, ale każde zdanie, które układał w myślach, wydawało się niewłaściwe. Dlatego zamiast mówić, delikatnie pogłaskał jej plecy. Nastolatka wzdrygnęła się, jak za każdym razem od tamtej nocy, gdy ktoś jej dotykał. Znow dopadło go poczucie niezręczności. Opuścił wzrok na kwiecisty dywan.

– Zjedz, córeczko. – Podsunął dziewczynie talerz pod nos. – Po śniadaniu zmienię ci opatrunki.

Hela spojrzała na chałkę, ale nie tknęła posiłku. Jakub nie wiedział, co powinien teraz zrobić. Siedzieć przy córce czy zostawić ją w spokoju. Odzywać się czy milczeć.

Można znać się na tyłu rzeczach, a czuć się zupełnie zagubionym, gdy świat spada ci na głowę, pomyślał.

Trwali tak osobni w ciszy i zaduchu sypialni. On palcami gładziła złoty pierścionek od matki. On starał się nie poruszać. Oparł łokcie na udach, zgarbił plecy i śledził ażurowe cienie na ścianie, które rzucały zagładające przez firankę promienie słoneczne. Otaczały ich przytłumione dźwięki z sąsiadujących mieszkań i podwórka. Każda minuta ciągnęła się jak godziny i może dlatego, gdy rozległ się odgłos pukania, ojciec dziewczyny z ulgą poszedł otworzyć drzwi.

W rybitim oku wizjera zobaczył Cicheckiego. Chłopak gryzł paznokcie i nerwowo zerkał w stronę schodów. Miał na sobie wczorajsze ubranie, a w spojrzeniu panikę. Podniósł rękę i raz jeszcze niecierpliwie zabębnił kostkami w drzwi. Jakub wziął głęboki wdech, a później otworzył.

– Co jest? Prosiłem, żebyś nas nie nachodził.

– Moja siostra nie żyje.

Wiadomość przeszła nauczyciela jak strzała. Musiał przytrzymać się klamki, by nie upaść. Zszokowany z trudem wypłuł z ust:

– Wejdz.

Puścił chłopaka przodem, a sam, opierając się rękami o ściany, szedł za nim. Miał wrażenie, że nie znajduje się już w swoim korytarzu, ale w spadającej windzie. Z trudem utrzymywał równowagę. Żołądek podszedł mu do gardła, w uszach piszczało.

– Zaczekaj w kuchni – mruknął i zamknął się w łazience.

Tam podniósł klapę sedesu, a potem zwymiotował wszystko, co zdołał przełknąć tego ranka. Kiedy wyczerpany osunął się na zimne kafelki, w myślach wibrowało zapętlone: „o mój Boże, o mój Boże”.

Otarł papierem toaletowym mokre czoło i usta, po czym, przytrzymując się umywalki, dźwignął ciało do pionu. Zrobiło mu się słabo, świat zafalował i wtedy torsje wstrząsnęły nim po raz drugi. Przelyk palił, a w ustach zagościł gorzki smak. Jakub wisiał nad muszlą, czując strużki potu spływające w dół pleców, i powtarzał sobie w duchu, że na to zasłużył. Nie wiedział, jak zdoła teraz spojrzeć w oczy Cichego. Złapał ręcznik leżący na pralce, zacisnął na nim zęby i zawył bezgłośnie.

Obmywając twarz wodą, uznał, że musi się przyznać, najlepiej od razu, zanim strach zaknebluje mu usta. Zdecydowanym krokiem wyszedł z łazienki i skręcił do kuchni, czując, jak ciśnienie rozsadza mu

czaszkę. Cichy, oparty łokciami o parapet, z nosem przyklejonym do szyby w napięciu lustrował parking przed blokiem. Pograżony w myślach nie zauważył, że nauczyciel stanął tuż za nim, blady jak człowiek, który nigdy nie widział słońca.

Z kranu na ustawione w chybotliwą wieżę naczynia spadały ciężkie krople. Ciche „kap”, „kap” zaczęło wyznaczać rytm serca Jakuba. Jeszcze trzy stuknięcia i wtedy to zrobię, ustalił ze sobą. Jedno. Jego oddech się skrócił. Drugie. Otarł o spodnie wilgotne dłonie. Trzecie. Przełknął ślinę, by nawilżyć wyschnięte gardło, a potem otworzył usta, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Sebastian odkleił się od okna z lękiem wyrytym na twarzy.

– Ja pierdolę, znaleźli mnie. – Dopadł do trenera i wpił się paznokciami w jego koszulkę. – Błagam, niech im pan nie mówi, że się tu ukrywam.

Nauczyciel zmarszczył brwi, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Kurwa mać, wchodzą do klatki – jęknął chłopak, który ponownie zerknął za okno. W popłochu, jak zwierzę zapędzone w kozi róg, zaczął rozglądać się po kuchni. – Oni po mnie idą, rozumie pan? Zaraz tu będą.

Czaja próbował wyrzeć przez szybę, ale wtedy od strony klatki schodowej dobiegł odgłos uderzania w drzwi i pełen wściekłości krzyk:

– Cichy! Wyłaż, tchórze! Wiem, że tam jesteś, twój stary cię wydał.

Nastolatek, wpatrując się prosząco w oczy Jakuba, niemo pokręcił głową, po czym przyłożył palec do ust. Intruz nie przestawał łomotać. Huk wzmagał się, jakby napastnik próbował wyważyć drzwi kopniakami. Futryna drżała, zamek trzeszczał.

– Wiesz, jak wypędza się szczury?! – zawołał nieproszony gość. – Trzeba je potraktować ogniem. Boją się go jak cholera. Co ty na to? Sprawdźmy?

Nauczyciel ruszył do drzwi, ale Sebastian złapał go za ramię. Chłopak miał rozbiegany wzrok, a jego twarz przepełniał strach.

– Co pan robi? Przecież on mnie zabije.

Jakub odepchnął ręce chłopaka.

– Nie mam innego wyjścia.

Julia

Wrzesień 2019

Zostawiając samochód obok restauracji, Julia dostrzegła na parkingu Annę i Maćka. Molendowie wysiadali właśnie z firmowego dostawczaka, żywo o czymś dyskutując. Ich twarze były napięte, a gesty gwałtowne. Matkę Benia zaintrygowało, dlaczego przedszkolanka wyszła w ciągu dnia z pracy. Zamierzała się przywitać, ale gdy dosięgły ją odgłosy sprzeczki, skapitulowała. Skryta w cieniu drzew, z ciekawości nadstawiła uszu.

– Obiecałeś mi, że to się więcej nie powtórzy. Okłamałeś mnie – wyrzucała mężowi bliska płaczu Anna.

– Ja... nie chciałem, to było silniejsze ode mnie.

– Nie wiem, czy dam radę tak żyć, Maciek.

Molenda ujął żonę za ręce i łagodnie powiedział:

– Po prostu zrozum, że nie jest łatwo nad tym zapanować.

Anna wyrwała dłonie.

– Nie poznaję cię. Nie wiem już, kim jesteś. Nie tak miało wyglądać nasze życie.

– Przestań! – syknął Maciej, rozglądając się wokół w obawie, że ktoś mógłby ich usłyszeć. – Myślisz, że chciałem cię skrzywdzić? To się po prostu stało. To był ostatni raz, przysięgam.

Julia ze złości ścisnęła w dłoni kluczyki do samochodu. Kusiło ją, by włączyć się do dyskusji Molendów, ale w chwili, gdy rozważała konsekwencje tej decyzji, napisał Witek i zdała sobie sprawę, że jest już spóźniona na spotkanie.

Ruszyła ulicą Bartniaka i zatrzymała się przed wejściem do restauracji Piknik, gdzie we wrześnieowym słońcu mieniła się dekoracja z dyń oraz jesiennych liści. Oszklony, pomalowany zieloną farbą budynek sprawiał wrażenie przytulnego. Kiedy weszła do środka, niemal od razu dostrzegła Lazara przy drewnianym stole pod ścianą. Pochylny nad filiżanką czarnej kawy, oglądał stary album ze zdjęciami, rozciągając usta w uśmiechu.

– Cześć – przywitała się, wcześniej poprosiwszy chłopaka za ladą o cappuccino.

Nauczyciel uniósł wzrok, a jego twarz jeszcze bardziej się rozpromieniła. Wstał, by odsunąć jej krzesło.

– Fajnie, że jesteś. Zamówić ci coś?

– Już to zrobiłam, dziękuję – odparła, po czym wskazała albumy leżące na blacie stolika. – To te zdjęcia, o których mówiłeś?

– Tak, wszystkie wycieczki i imprezy klasowe z liceum. Śmiało. – Przesunął stos w jej stronę. – Poukładałem je chronologicznie, od pierwszej do ostatniej klasy.

Wystarczyło, że Julia otworzyła album, a już po chwili znalazła się w latach dziewięćdziesiątych. Przekładała fotografie ze szkolnych dyskotek, przedstawień i wycieczek. Te robione w autokarach, w salach kinowych, na zimowiskach i zielonych szkołach. Momenty zamknięte w kapsule czasu. Ze zdjęć wyzierały emocje. Radość na otwarciu pierwszego McDonald'sa w Polsce, ekscytacja po wjechaniu windą na szczyt Pałacu Kultury oraz zachwyty podczas spotkania z aktorami musicalu *Metro*.

– Ogrom wspomnień, prawda? – skomentowała, popijając kawę z gęstą mleczną pianką, która niepostrzeżenie pojawiła się na stole.

– Zabawne jest to, jak te zdjęcia uchwyciły prawdę o nas. Zobacz – Witek wskazał na Falka – wieczny don Juan, zawsze ktoś go przytula, trzyma za rękę albo z nim flirtuje.

Julia nachyliła się nad fotografią.

– Maciek z kolei wygląda, jakby mu się to nie podobało. Napięte mięśnie, poważna mina i ta wysunięta do przodu warga. – Dotknęła palcem zdjęcia. – Zauważyłeś, jak na niego patrzy? Jakby mu piekielnie zazdrościł.

– Moja droga, w tamtym czasie każdy z nas mu zazdrościł. Zapewniam cię, że wszyscy chcieliśmy być wtedy jak Feliks albo chociaż jak pół Feliksa, bez względu na to, która miałaby to być połowa.

Oboje się roześmiali.

– No i twój Adam. – Odwrócił w jej stronę zdjęcie zrobione na scenie w teatrze Buffo. – To dzięki niemu weszliśmy za kulisy. Nasz złotowłosy chłopak. Charyzmatyczny jak diabli. Potrafił przekonać

wszystkich do swoich racji, a my byliśmy gotowi pójść za nim w ogień.

– A ty? Jaki wtedy byłeś?

Witek uniósł do ust filiżankę, a potem odstawił ją z brzękiem.

– Miałem się za filozofa, ubierałem na czarno, słuchałem smutnej muzyki i obsesyjnie czytałem Nietzschego. To zresztą połączyło nas z twoim mężem, filozoficzne dysputy aż do świtu.

Julia rozciągnęła usta w bladym uśmiechu, choć czuła, jakby w jej wnętrzu otwierała się czarna, zasysająca ją dziura. Nagle zamiast kawy zapagnęła napić się whisky. Zgniotła w palcach paragon i zmieniła temat:

– Słyszałam pogłoski o nastolatce, która oskarżyła Feliksa o wykorzystanie. Myślisz, że mógłby coś takiego zrobić?

Lazar otarł usta papierową serwetką.

– Podobno w każdej plotce jest ziarno prawdy – stwierdził. – Jakoś pod koniec liceum Maciek zarzucił mu, że odurza dziewczyny, by zaciągać je do łóżka. Strasznie się wtedy pokłócili. Feliks wyszedł obrażony, a my stawaliśmy na głowach, żeby załagodzić sprawę, ale coś między nimi popsuło się na dobre.

– Kiedy dokładnie to było?

Witek wzruszył ramionami.

– Na pewno już po maturach. Później coraz częściej na siebie krzyczeli, a jedynym, który wiedział, o co tam naprawdę poszło, był Adam, ale postanowił to zachować dla siebie. Zaczęli mieć sekrety przed resztą ekipy i kto wie, czy to nie był początek końca naszej przyjaźni.

– No ale gdyby Falk rzeczywiście odurzał dziewczyny, to chyba prędzej czy później by to wyszło?

– Niekoniecznie. Jego rodzice byli obrzydliwie bogaci. Nie zdziwiłbym się, gdyby zapłacili komu trzeba za milczenie. Zresztą ta nastolatka, która oskarżyła go o molestowanie, też już usunęła swój post. Jedna z uczennic w mojej szkole ją zna, słyszałem, jak rozmawiały o tym z koleżankami.

Julia ściągnęła brwi i od razu sprawdziła profil Madeleine na Instagramie. Wpis rzeczywiście zniknął. Podobnie jak artykuł na portalu.

– Poza tym – kontynuował Lazar, rozparty na krześle – wtedy stało się to z Mikim i nikt już nie drażył sprawy Feliksa.

– Z Mikim?

– No z Robertem. Mam na myśli wypadek, po którym trafił na wózek. Nie wiedziałaś, że tak na niego wołałiśmy?

– Nie. – Zamrugała, próbując nadażyć za słowami Witka.

– To przez ciuchy z Myszką Miki, które dostawał od ciotki ze Stanów. Wiecznie w nich chodził. Swoją drogą ta jego ciotka to miała gest. Kiedyś Robert poprosił ją o bluzy džinsowe dla Feliksa, Adama i siebie i wyobraź sobie, że wszystkim je wysłała. Wyglądali jak jakiś boysband, zobacz. – Zapukał palcem w zdjęcie z albumu.

Julia przyjrzała się fotografii, na której jej mąż i Falk pozowali do aparatu w identycznych kurtkach z džinsu. Nie mogła się jednak skupić na zdjęciu, bo coś nie dawało jej spokoju. W zamyśleniu zaczęła przesuwac zawieszka na łańcuszku.

– Ale chwila, Robert mówił, że jeździ na wózku od siedemnastego roku życia, więc do tego napadu nie mogło dojść, gdy byliście po maturze.

– Dlaczego tak myślisz? Wagner był młodszy od nas wszystkich o dwa lata. Dołączył do paczki, bo znał Adama. Widział w nim swojego idola. Często kupował takie same ubrania, podobnie ścinał włosy, nawet śmiał się jak twój mąż. Nabijaliśmy się z tego, ale w sumie Robert był zawsze miłym gościem. Być może najlepszym z nas.

W głowie Julii huczało.

– Chwila, ale co ze zdjęciem z matur? Przecież Wagner był na nim razem z wami. Co tam robił, skoro jeszcze nie zdawał egzaminu?

Witek się roześmiał.

– Wariat powiedział, że się z nami solidaryzuje. Przyszedł pod szkołę w białej koszuli i każdemu z nas sprzedał kopniaka na szczęście.

– A ja mylnie założyłam, że byliście w tym samym wieku i na etapie matur Robert już od dwóch lat jeździł na wózku. Byłam pewna, że posadziliście go na ławce do pamiątkowej fotografii. – Pokręciła głową

z niedowierzaniem.

Nagle zrozumiała, dlaczego na żadnym ze szkolnych zdjęć nie dostrzegła Wagnera. Jej pomyłka całkowicie zmieniała perspektywę na to, co zaplanowała. Pogrążona w myślach, ocknęła się dopiero, gdy Lazar odsunął ze zgrzytem krzesło.

– Na mnie już pora, mam zaraz lekcje – oznajmił, patrząc na zegarek.

– Mogę cię jeszcze o coś zapytać? – zatrzymała go. – Pamiętasz, kto z waszej paczki jeździł samochodem w ostatniej klasie?

Lazar posłał jej zaskoczone spojrzenie.

– Najczęściej Feliks, miał nawet nowe auto, które dostał na dziewiętnaste urodziny. Adam czasami brał samochód od rodziców, ale nie lubił tego robić, bo jego ojciec był pedantem i marudził z powodu każdego ziarenka piasku znalezionego na dywanikach. No i niekiedy też Maciek, ale rzadko, bo jego stary pożyczał mu mercedesa tylko wtedy, gdy był w wyjątkowo dobrym humorze, a że zwykle był w złym, to sama rozumiesz.

– Uśmiechnął się. – Dlaczego o to pytasz?

– Z ciekawości. – Puściła do niego oko, a kiedy jej pomachał i ruszył w stronę parkingu, wyczerpana opadła na stolik.

Nie była pewna, jak długo jeszcze zdoła wszystkich okłamywać.

Maj 1996

– Do siebie też tak wchodzicie? Czego chcecie? – zapytał nauczyciel, otwierając drzwi.

Szajba na widok mężczyzny opuścił nogę, którą wcześniej uniósł, by kopnąć w drzwi. Jakub starał się, by jego głos brzmiał pewnie. Stał pośrodku wejścia na szeroko rozstawionych nogach, z dłońmi na biodrach i groźnie wysuniętym podbródkiem. Wiedział, że jeśli dojdzie do starcia, nie będzie miał z nimi żadnych szans. Nadal bolała go ręka, a ostatnio bił się jakieś dwadzieścia lat temu, i to po pijaku. Przesunął spojrzeniem po wielkim, łysym chłopaku z tatuażami Polski Walczącej i poczuł, jak w ustach zaczyna mu się gromadzić ślina. Z nerwów oddychał niespokojnie, jego skronie zrosił pot.

– Gdzie on jest? – warknął Wiktor.

– Kto?

Ledwie ojciec Heli wypowiedział to pytanie, masywna ręka łysego dryblasza spadła mu na tchawicę i przycisnęła go do drzwi. Próbował się wyswobodzić, ale dłoń, która pozbawiała go tchu, była jak z betonu. Policzki Czai przybrały kolor gotowanego homara, jego oczy zaczęły wychodzić z orbit.

– Nie pogrywaj ze mną, tylko mów, gdzie jest Cichy – powtórzył Szajbiński.

Wyjął z kieszeni nóż sprężynowy i zbliżył ostrze do koszulki trenera. Jakub natychmiast przestał się szarpać. Nieruchomy, ze żrenicami rozszerzonymi lękiem, spojrzał na błyszczącą stal przy brzuchu. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała niespokojnie. Chłopak kiwnął na swojego kompana, by puścił młodszą, a wtedy Czaja opadł na ziemię i chciwie zaczerpnął powietrza.

– Nie ma go tu – wychrypiał, masując obolałą szyję.

Szajba bez ostrzeżenia sprzedał mu kopniaka pod żebro, przez co nauczyciel z jękiem wylądował na czworakach. Zrobiło mu się niedobrze, odkaszlnął, po czym z trudem wydusił z siebie:

– Mówię prawdę, nie wiem, gdzie jest.

Wiktor kucnął obok niego, wodząc nożem po zdrowej dłoni trenera.

– Przejdę się teraz po twoim mieszkaniu – zapowiedział. – Jeżeli okaże się, że go tu naprawdę nie ma, ja i mój kolega zostawimy cię w spokoju, ale jeśli go znajdzie, wrócę tu i połamię ci drugą rękę, jasne?

Jakub kiwnął głową, ukradkiem zerkając w stronę sypialni Heli. Lęk zalał go jak tsunami. Tymczasem Szajbiński wszedł do dużego pokoju z telewizorem i meblówką. Poruszał się zwinnie i cicho. Nauczyciela dosięgły skrzypnięcie drzwi szafy, odgłos sprężyn otwieranej wersalki oraz szum szarpanych zasłon. Ze strachu wbijał paznokcie we wzorzysty chodnik, modląc się, by Cichy zdołał znaleźć wystarczająco dobrą kryjówkę.

Wiktor, bawiąc się nożem, przeszedł przez korytarz i przystanął obok wnękowej szafy na ubrania. Otworzył ją gwałtownie, a później rozsuwał wieszaki z grubymi zimowymi kurtkami i płaszczami. W głębi mebla znalazł jednak tylko stare, zwietrzałe kulki na mole. Po szafie przyszła kolej na łazienkę, następnie kuchnię, a gdy tam skończył, zatrzymał się pod drzwiami do pokoju Heli i z kpiącym uśmiechem spojrzał na trenera.

– Naprawdę tak bardzo nie lubisz swojej ręki? – zadrwił. – Przecież wiem, że go kryjesz.

Nauczyciel nie odpowiedział, tylko wstrzymał oddech i w napięciu czekał. Kiedy Szajba nacisnął klamkę, Jakub ledwie słyszalnie jęknął. Sekundę później drzwi ustąpiły, a zamknięta w sypialni dziewczyna, najwyraźniej przerażona widokiem obcego mężczyzny z nożem, zaczęła wrzeszczeć wniebogłosy.

– Tato! Tato!

Muskularny kompan Wiktora pchnął Czają na ziemię.

– Co to ma, kurwa, być? Każ jej się zamknąć. I to już! – złapał młodszą za koszulkę, dźwignął go do góry i popędził kuksańcem w plecy.

Trener zatoczył się, ale tym razem nie upadł. Serce tłukło mu się w piersi. Pobiegł do pokoju córki, objął ją ramionami i przytulił mocno do siebie, szepcząc do ucha „już dobrze, jesteś bezpieczna”. Hela była rozedrgana. Czoło miała gorące jak w chorobie, a jej wzrok śledził Szajbińskiego, który otwierał kolejne szafki i zaglądał za zasłony.

– Mogłeś mnie uprzedzić, że trzymasz tu tę dzikuskę. Prawie mi bębenki popękały – rzucił Wiktor, dotykając uszu, po czym schylił się, by sprawdzić, co jest pod biurkiem i za łóżkiem. – Zejdźcie z tapczanu – zażądał, pokazując im ruchem ręki, by się pospieszyli.

Jakub ścisnął dłoń córki.

– Daj spokój, widzisz, w jakim ona jest stanie. Cicheckiego tu nie ma, przysięgam. Wystarczy tego szukania – postawił się.

Oparty o framugę krzepki chłopak natychmiast znalazł się obok nich, chwycił nauczyciela za kark i zamknął go w imadle swoich silnych palców.

– Złaż z łóżka – wysyczał mężczyźnie do ucha.

Czaja, pewien, że to koniec, zaczął bładzić wzrokiem po sypialni w poszukiwaniu przedmiotu, którym mógłby odeprzeć nadchodzący atak. Jedynym, co wydawało się użyteczne, był ceramiczny kubek zostawiony na blacie biurka. Dlatego gdy z Helą wstali z posłania, spoconą ręką sięgnął po naczynie i udawał, że z niego pije, choć na dnie zostało jedynie kilka kropeł.

– Otwieraj – zarządził Wiktor, zerkając na swojego kompana.

Jakub z nerwów czknął. Wielka dłoń łysego wyrostka złapała za uchwyt z materiału. Czas zwolnił, jak gdyby chciał, by nauczyciel mógł w pełni doświadczyć tej tortury. Niemo, poruszając jedynie wargami, mężczyzna nakazał Heli, by uciekała, ale ona z niezrozumiałym uporem wgapiła się w zasłonięte żaluzjami okno, nie zważając na błagalne spojrzenia ojca. Wytatuowany chłopak sprawnym ruchem podniósł stelaż z materacem, a Czaja prawie zemdlał. Jego palce ciasniej objęły ucho kubka. Był gotów się bronić.

Tyle że nie musiał, ponieważ w środku pojemnika na pościel było pusto.

Szajba z kumplem spojrzeli po sobie. Na ich twarzach wściekłość walczyła o miejsce z zaskoczeniem.

– Tym razem ci się upiekło, staruszku – stwierdził Wiktor, klepiąc trenera w policzek. – Kiedy Cichy tu przyjdzie, przekaż mu, że już nie żyje. Znajdę go, a później postaram się, by długo i dotkliwie cierpiał. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, po czym skinął na swojego towarzysza i obaj opuścili mieszkanie.

Dopiero gdy drzwi zatrzasnęły się za nimi, kubek wypadł z dłoni Jakuba i głucho uderzył o dywan.

– Boże, gdzie on jest? Wyszedł? – zapytał córkę.

Hela ponownie spojrzała na szybę, a wtedy jej ojciec wskoczył na łóżko i pospiesznie podniósł żaluzję. Na parapecie, przytrzymując się rynny biegnącej obok okna, stał roztrzęsiony Sebastian Cichecki. Blady jak śmierć, która dyszała mu w kark.

Julia

Wrzesień 2019

Kiedy razem z Beniem wrócili do domu, ekipa instalująca kamery nadal pracowała. Julia była pewna, że jej syn będzie chciał się przypatrywać działaniom monterów, ale on poczerwieniał na twarzy, tupnął nogą, a potem ze złością krzyknął:

– Co robicie?! Przestańcie!

Mężczyźni spojrzeli na dziecko z zaskoczeniem, a Julia obląła się rumieńcem.

– Bardzo panów przepraszam – bąknęła, ciągnąc Benia za rękę do kuchni. – Co to miało znaczyć? – zapytała, gdy zatrzasnęły się za nimi drzwi.

Naburmuszony sześciolatek skrzyżował ramiona na piersi i odwrócił wzrok.

– Synu, mówię do ciebie. Dlaczego nakrzyczałeś na tych panów?

– Nie chcę ich tutaj. Proszę, każ im sobie pójść – powiedział błagalnie, podnosząc na nią zażawione oczy.

Julia wzięła głęboki wdech i kładąc rękę na ramieniu dziecka, łagodnie powiedziała:

– Beniu, ci panowie instalują kamery, żebyśmy mogli czuć się w naszym domu bezpieczniej. Zamontują je i zaraz stąd wyjdą.

– Ale ja nie chcę żadnych kamer. On też ich nie chce.

– Kto?

– Mój przyjaciel. Przez nie więcej do mnie nie przyjdzie.

Ciarki przebiegły po plecach Julii.

– Kochanie, posłuchaj – delikatnie ujęła policzki syna – kiedy wczoraj znalazłam cię na strychu, cały dygotałeś ze strachu. Dzięki tym kamerom nie będziesz musiał się więcej bać.

– On mówi, że chcesz przeszkodzić w naszej grze.

– Jakiej grze? Do licha, Beniamin, o czym ty znów opowiadasz?!

Chłopiec na dźwięk jej podniesionego głosu cofnął się o krok i posłał matce gniewne spojrzenie.

– Też, w której ty znikasz – odparł.

– Nie rozumiem.

– I nikt nie może cię znaleźć – dokończył chłodnym, wyzutym z emocji głosem.

– Dość tego! – Julia uderzyła dłonią w blat, podrzucając rozsypane kryształki cukru. – Nie będzie więcej żadnych zabaw. Ani w chowanego, ani w noża, ani w nic innego. To koniec! – krzyczała, dźgając palcem powietrze. – Powiedz swojemu przyjacielowi, że ma się wynieść. To nasz dom i nie chcę go tu więcej widzieć.

Sześciolatek pokręcił bezradnie głową, po czym przypadł do matki, chwytając ją za rękę.

– Mamusiu, nie. Nie zabieraj mi go – szepnął drżącymi ustami.

– On cię okłamuje, rozumiesz? Wykorzystuje cię, żeby mnie straszyć, i namawia do złych rzeczy. W ogóle mu na tobie nie zależy.

– To nieprawda. On mnie lubi. – Chłopiec zatkał dłońmi uszy.

W Julii zawrzało. Wściekłość, gorąca jak lava, porwała ją swoim nurtem. Gwałtownie i siłowo odciągnęła rękę dziecka od uszu. Benio próbował się wyrwać, ale ona mocno trzymała jego nadgarstki.

– On tylko udaje. Słyszysz? Ty go nie obchodzisz. Manipuluje tobą, żeby zdobyć to, czego chce.

– Kłamiesz! – krzyknął bliski płaczu sześciolatek, po czym wyszarpnął się matce, złapał szklany wazon stojący na szafce i cisnął nim o ścianę tuż obok głowy Julii.

Flakon eksplodował z hukiem, a po kuchni rozsypały się dziesiątki maleńkich niebieskich szkiełek. Julia w ostatniej chwili zasłoniła ramieniem twarz i poczuła tylko, jakby coś użądliło ją w okolicy karku. Instynktownie sięgnęła do tego miejsca dłonią. Niewielki odłamek, który odbił się od ściany, tkwił teraz w jej szyi. Wyjęła go ostrożnie, a po jej palcach pociekła krew.

Miała ochotę potrząsnąć Beniem, ale on z rękoma w kieszeniach siedział skulony pod szafką, zerkał na nią z lękiem i zalewał się łzami.

– Przepraszam, mamusiu. Ja nie chciałem.

Złość walczyła w niej o miejsce z miłością. Oddech palił w tchawicy, a czerwone plamy na twarzy

i rana na szyi piekły. Przesuwając wzrokiem po blacie, zauważyła, że ostre japońskie noże, które dostali z Adamem w prezencie ślubnym, zniknęły ze stojaka. Zamierzała spytać o to syna, gdy ktoś zapukał do kuchni, a po chwili drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i stanęła w nich Emilia Wagner.

– Możemy porozmawiać? Widziałam twój samochód na podjeździe i pomyślałam... – Obrzuciła spojrzeniem pomieszczenie, ściągając brwi na widok szkła. – Chyba że to nie najlepszy moment? – zawahała się.

– Nie, wejdź, proszę. – Julia gestem zaprosiła sąsiadkę, po czym sprzątając odłamki na szufelkę, zwróciła się do chłopca: – A ty idź do swojego pokoju i zaczekaj tam na mnie. Przyjdę, jak tylko porozmawiam z ciocią.

Rozżalony malec wybiegł z kuchni. Emilia obdarzyła jego matkę wspierającym uśmiechem.

– Trudny dzień? – zapytała.

Julia kiwnęła głową, a następnie postawiła na kamiennym blacie dwie niskie szklanki i wyjęła z lodówki napoczętą butelkę jacka danielsa.

– Ja nie mogę, karmię – zaprotestowała sąsiadka, zasłaniając dłonią naczynie.

– A ja muszę, bo inaczej zacznę wrzeszczeć – rzuciła matka Benia i wychyliła duszkiem bursztynowy napój.

– Jest aż tak źle?

Julia westchnęła ciężko.

– Mój syn mnie przeraża. Te jego opowieści o niewidzialnym przyjacielu, wybuchy agresji... Coraz trudniej jest mi zachować cierpliwość. Zupełnie nie wiem, co robić. – Oparła czoło na dłoniach. – Falk wysłał nas na konsultację do psychiatry i neurologa. Dziś wieczorem mamy zrobić EEG i rezonans magnetyczny, ale obawiam się, że Benio w ogóle nie zechce tam pójść.

Emilia pokrzepiająco poklepała jej rękę.

– Bądź dobrej myśli, a gdybyś czuła, że cię to przerasta, dzwoń.

– Dzięki.

Julia wstała, by schować alkohol, tymczasem jej sąsiadka poprawiła się na wysokim stołku i przesunęła wilgotnymi palcami po białej kopercie, którą trzymała na kolanach.

– Posłuchaj – zaczęła niepewnie. – Spotkałam dziś na ulicy listonosza. Nie wiedział, co zrobić z dziwnie zaadresowaną przesyłką, i poprosił mnie o pomoc.

– Dziwnie zaadresowaną? To znaczy?

Emilia położyła na blacie list, a gdy wzrok jej koleżanki padł na imię i nazwisko odbiorcy, Julia zastygła, z całych sił próbując udawać, że to, na co patrzy, jej nie znokautowało.

– Co to jest? – zapytała niefrasobliwie, choć dłonie, które ukryła pod blatem, drżały.

– Ty mi powiedz. Na kopercie widnieje twój adres. W środku jest twoje zdjęcie... – Wagner je wysunęła – ...i tylko imię i nazwisko adresata się nie zgadza.

– Otworzyłaś czyjaś korespondencję?

– Nie musiałam. Koperta nie była zaklejona.

Julia przyjrzała się fotografii, na której ktoś uchwycił ją spacerującą po własnym ogrodzie. Już samo to budziło dreszcze, ale prawdziwe ciarki przebiegły po jej karku dopiero, gdy dostrzegła napisane odręcznie zdanie na odwrocie. „Nie trzeba było wracać”.

Poczuła, że nie może oddychać. Zdjęcie wymknęło się z jej palców i upadło na blat, a ona walczyła tylko o to, by dostarczyć płucom tlen. W końcu nadludzkiem wysiłkiem podniosła fotografię, ściskając ją tak mocno, że ta aż się zgięła.

– Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś to do mnie wysłał.

Wagner zajrzała jej głęboko w oczy.

– A ja myślę, że masz. Powiedz mi: kim jest Helena Czaja?

– Nie wiem, przysięgam.

Gęstą atmosferę w kuchni przecięło dobiegające z holu wołanie montera.

– Pani Haner, skończyliśmy, możemy prosić?

Julia poderwała się, gotowa biec do ekipy od alarmów, ale Emilia chwyciła ją za rękę.

– Od twojego przyjazdu dzieją się tu dziwne rzeczy. Najpierw wózek mojej córki łąduje na obwodnicy, wywołując karambol, później twój syn rzekomo podpala przedszkole, a teraz ty instalujesz system alarmowy,

którego nie powstydziliby się Pentagon, i dostajesz dziwny list. Mam prawo żądać wyjaśnień. Kim jest Helena Czaja?

Matka Benia wyszarpnęła się z uścisku.

– Puść mnie. Mówiłam już, że nie wiem.

– Pani Haner, jest pani tam? – zawołał ponownie mężczyzna.

Po narastającym odgłosie jego kroków można było wnioskować, że się zbliża.

– Już idę! – odchrząknęła, po czym ruszyła w kierunku wyjścia, ale Emilia zastąpiła jej drogę.

– Jestem po twojej stronie. Muszę po prostu wiedzieć, czy moje dzieci są tu bezpieczne. Zapytam ostatni raz i oczekuję, że powiesz mi prawdę. Kim, do cholery, jest ta kobieta? – Uderzyła palcem w adres na kopercie.

Julia zwilżyła językiem spierzchnięte wargi. W jej źrenicach zatańczył strach.

– Mną – wyszeptała.

Maj 1996

Maciek Molenda z furią kopnął metalowy kosz. Śmietnik ze zgrzytem uderzył o betonowy krawężnik, a odpadki rozsypały się na parkingu przy parku.

– Kto mógł go tak urządzić? – dopytywał, krążąc wokół ławki, na której oparciu siedzieli Feliks i Witek.

Jego koledzy wzruszyli ramionami. W posępnym milczeniu, z rękami w kieszeniach i wzrokiem wbitym w chodnik usiłowali zrozumieć to, co spotkało ich przyjaciela. I choć żaden nie powiedział tego głośno, to wszyscy w głębi ducha uważali, że Miki był uosobieniem dobra i nie zasługiwał na taki los.

Unikał konfliktów, nigdy nie miał do nikogo pretensji, a gdy czegoś potrzebowali, zawsze przychodził z pomocą. Miał w sobie łagodność, potrafił słuchać i naprawdę przejmował się ich problemami. Może dlatego to jemu zwierzały się ze swoich tajemnic. Jako jedyny wiedział, że Molenda nie zda matury, znał szczegóły chorej relacji Adama z matką, rozumiał, dlaczego Feliks zaliczał kolejne dziewczyny, i miał świadomość, jak bardzo zakompleksiony na tym tle był Witek, choć intelektem przewyższał wszystkich nauczycieli z liceum.

Tylko Miki znał prawdę o nich, a teraz miał ją zabrać ze sobą do grobu, bo lekarze twierdzili, że nie przeżyje kolejnej doby. W ich głowach tliła się myśl, że jeśli zabraknie Miki, to po nich też już nic nie zostanie.

– Musimy coś zrobić – rzucił Feliks. – Nie wiem, przejść się po mieście, pogadać z ludźmi. Przecież ktoś na pewno coś widział.

– Mam wyrzuty sumienia, że zostawiliśmy go samego w tym kebabie – dodał Witek, nerwowo obgryzając skórki przy paznokciach. – Gdybym wyszedł z nim, może nic by się nie stało.

– Przestań – zaprotestował Molenda. – Skąd mogłeś wiedzieć? Zresztą to ja zacząłem tę głupią kłótnię z Feliksem, po której każdy poszedł w swoją stronę. Jeśli ktoś tu ma się obwiniać, to na pewno nie ty.

Nastolatkwowie obojętnie patrzyli, jak wróble skubią nadgryzioną kajzerkę, która wypadła z kosza. Słońce świeciło z intensywnością, od której licealiści musieli mrużyć oczy. Gdy tak tonęli w poczuciu winy, od strony centrum nadszedł Adam. Spocony, z ciężkim oddechem i koszulką przyklejoną do pleców. Nie tracił czasu na powitania, tylko wypluł z siebie zdyszane:

– Chyba wiem, kto to zrobił.

Wszystkie spojrzenia wbiły się w jego twarz z pełnym napięciem wyczekiwaniem.

– To Wiktor Szajbiński.

– Ten świr? Nie, to niemożliwe. – Maciek kręcił głową. – Co on mógłby mieć do Miki? Nie wiem, czy kiedykolwiek w ogóle ze sobą gadali.

Witek i Feliks, znając Adama na tyle, by wiedzieć, że nie rzucałby takich słów na wiatr, gdyby nie miał ku temu podstaw, niemal w tym samym momencie zażądali:

– Mów, co wiesz.

– Wczoraj u Turka Miki gapił się na Szajbę jak zahipnotyzowany. Kazałem mu się ogarnąć, jeśli nie chce wylądować na intensywnej terapii, a on zaczął mi wciskać, że tak tylko spojrział. – Adam popukał się palcem w czoło. – Rano, jak dowiedziałem się o całej sprawie, poszedłem do właściciela kebabu. Facet najpierw nie chciał ze mną gadać, krzychał, że wisimy mu kasę i jakieś inne bzdury, których nie dało się zrozumieć. Ale jak już w końcu przestał się zapierać, że nie ma o niczym pojęcia, to okazało się, że wie, i to całkiem sporo. Według niego po waszym wyjściu doszło do pyskówki między Mikim a Szajbą. Wiktor kazał mu zapłacić za jego rachunek...

– A on oczywiście posłuchał, bo jest miłym gościem i słowo „nie” nie przechodzi mu przez gardło – wtrącił Feliks.

– Wiadomo, ale to jeszcze nie było takie głupie – kontynuował Haner. – Został w knajpie sam, tamtych było sześciu, więc po co miał się narażać. Problemem okazało się to, co zrobił później. Według Turka, gdy ekipa Szajby już wyszła, znalazł pod ławką kurtkę Wiktora, ubrał się w nią i ruszył w miasto.

Wszyscy zamilkli, spoglądając po sobie z przerażeniem. W końcu Witek Lazar zeskoczył z ławki, schował okulary do kieszeni i podwijając rękawy, rzucił:

– Nie mam pojęcia, jak się bić, i trzęsę się jak cholera, ale wiem, że Miki zrobiłby to dla nas bez zastanowienia. Kto idzie ze mną? – Powiódł wzrokiem po kolegach.

– Głupie pytanie – oburzył się Molenda. – Wiadomo, że wszyscy. Ty, Feliks, też. – Dźgnął palcem

przestraszonego kolegę. – Nic się nie martw, będziemy cię kochać równie mocno, kiedy obją tę twoją piękną buźkę.

– Zjeżdżaj – syknął Feliks, po czym zmieszany dodał: – A nie myślicie, że to idiotyzm jechać tam tak po prostu bez żadnego planu? Wiecie, ilu ma kumpli? Wystarczy, że zagwiżdże, a zlecą się jak psy.

– On ma rację – stwierdził Adam, który schylił się, by zawiązać sznurówkę. – Poza tym musimy działać dyskretnie, tak żeby nikt się do nas nie przyczepił.

– Ale co właściwie chcecie mu zrobić? – wtrącił zdeorientowany Feliks, rozglądając się po napiętych twarzach przyjaciół.

Adam z Molendą uśmiechnęli się do siebie, a Witek głośno przełknął ślinę.

– Może po prostu zabierzemy go na przejażdżkę – oznajmił Maciek. – Niedawno na jednym filmie widziałem, jak podczepili kołesia za linę do samochodu, a później ciągnęli go po lesie. Wrzeszczał jak opętany.

Koledzy spojrzeli po sobie z konsternacją. Znow zapadła pomiędzy nimi cisza, w której każdy trawił słowa Molendy.

– O Boże, zapomniałem, sorry – rzucił Maciek, gdy dotarło do niego, że nie tak dawno w ten sposób jacyś zwyrodnialcy potraktowali córkę trenera Czai. – Po prostu mu dopierdolmy i tyle, dobra? Co wy na to?

Pierwszy wyciągnął rękę Witek.

– Jeden za wszystkich... – powiedział.

– ...wszyscy za jednego – dokończył Adam, kładąc dłoń na rękę przyjaciela.

Następny do chłopaków dołączył Maciek, a po chwili wahania również Feliks.

– Za Mikię – szepnął.

Julia

Wrzesień 2019

– Tu pani jest! – rzucił monter, który wszedł do kuchni.

Jednak gdy tylko zauważył poważne miny i napięte mięśnie stojących naprzeciwko siebie kobiet, uśmiech spłynął mu z twarzy. Nerwowo zastukał kostkami w podkładkę, do której przypięte były dokumenty.

– Chciałem tylko pokazać, jak uzbroić alarm, i powiedzieć, że ten znajomy pani syna wszedł już na górę.

Julia obrzuciła mężczyznę pełnym niedowierzania spojrzeniem.

– Co takiego? – Odepchnęła montera i nie zważając na jego wyjaśnienia, pobiegła w górę schodów, a w ślad za nią ruszyła Emilia.

– Mówił, że się znają i że to pani go zaprosiła! – wołał za Haner pracownik Safe Home, nie zdając sobie sprawy, że kobieta, do której próbował dotrzeć, słyszała już tylko szum własnej, buzującej w żyłach krwi.

Kiedy Julia znalazła się na piętrze, w jej myślach, jak w bębnie pralki, obracało się jedno zdanie. „Dopadnę cię, bydlaku”. Niczym huragan przecięła korytarz i ze złością szarpnęła drzwi do pokoju syna. Mężczyzna, który przysiadł na materacu Benia, zerwał się gwałtownie, upuszczając telefon, ale chłopiec, pochylony nad niskim ikeowskim stolikiem, nawet na moment nie przestał bawić się po kartce.

– Co tu się wyprawia?! – zapytała Julia.

– Feliks? – dołączył do niej zaskoczony głos Emilii Wagner.

Psychoterapeuta kurtuazyjnie skinął kobietom głową. Wydawał się bardziej zmęczony niż ostatnio. Pod oczami rysowały się głębokie fioletowe cienie, a jedną z gałek pokrywała czerwona siateczka żył.

– Rozmawialiśmy o tym, że wpadnę, pamięta pani? – Wskazał na Beniamina. – Zobaczyłem, jak wściekły pędził na górę, i pomyślałem, że posiedzę z nim do czasu, aż pani przyjdzie.

– Ach, no tak... rozumiem... – odparła Julia, zawstydzona swoim wcześniejszym wzburzeniem.

Emilia przysłuchiwała się wymianie tej dwójki z rosnącą ciekawością. Tymczasem Julia podniosła komórkę, która upadła Falkowi, i zauważyła, że na pękniętym ekranie nadal widnieje wiadomość od Macieja Molendy. „To ona, mówię ci. Adam musiał jej pow...” zdążyła przeczytać, zanim mężczyzna wyjął jej smartfona z dłoni.

– Chyba się zepsuł – skomentowała, próbując ukryć zdenerwowanie.

– Tak, ekran już od jakiegoś czasu coraz gorzej reaguje na dotyk. Muszę go wymienić na nowy. – Schował telefon do wewnętrznej kieszeni marynarki i spojrzął na sześciolatka, który czarną świecową kredką zamazywał kolejny arkusz papieru. – Co rysujesz, Beniu?

– Złość – odpowiedział, pochłonięty pracą tak, jakby nie liczyło się nic innego.

– To twoja złość? – ciągnął Feliks.

– Nie, mojego przyjaciela.

Wszyscy troje obserwowali dziecko, które w szale zaczęło rysować po stoliku, a później po ścianie, raz za razem stawiając równe kreski, które zamieniały się w coraz większą czarną połąkę.

– Beniu – odezwał się psycholog, próbując wyrwać sześciolatka z amoku, ale tamten nie zareagował.

Zaniepokojona zachowaniem syna Julia położyła dłoń na drobnej ręce.

– Kochanie, wystarczy – poprosiła, lecz chłopiec natychmiast strząsnął jej palce.

Twarz przedszkolaka stała się purpurowa, na jego czole lśnił pot. Malec stękał, jakby to wszystko wymagało olbrzymiego wysiłku, a jednocześnie, wiedziony jakąś niewidzialną siłą, nawet nie próbował się zatrzymać. Dopiero gdy kredka pękła z trzaskiem, a jej odłamki potoczyły się po panelach, ocknął się, jakby ustało rzucone na niego zaklęcie. Rozejrzał się wokół, po czym skoczył matce na szyję i zaczął płakać.

– Dlaczego mi go zabrałaś? – pytał przez łzy, ale Julia nie odpowiadała, tylko głaskała jego plecy, powtarzając, że wszystko będzie dobrze.

Emilia objęła się jedną ręką w pasie, drugą w emocjach przytknęła do ust. Falk natomiast dziwnie zmarszczył brwi, jakby coś mu się w tym wszystkim nie podobało.

– Wybaczcie, ale to chyba jednak nie jest najlepszy moment na rozmowy – wymamrotała skrzepowana Julia, po czym zwróciła się do Feliksa: – Potwornie mi głupio, że ściągnęłam tu pana na próżno. Przepraszam,

że tak wyszło.

– W porządku. Rozumiem. Myślę, że dobrze mu zrobi, gdy pobędziecie teraz chwilę sami.

Uśmiechnęła się blado i podziękowała terapeutce.

Kiedy goście wyszli, Benio przytulał się do niej jeszcze przez jakiś czas, a później wyczerpany zasnął. Julia jęknęła, przypominając sobie, że mieli jechać do szpitala na badania, a teraz, gdy jej syn zapadł w sen, wszystko trzeba było przełożyć na inny termin.

Zeszła na dół z myślą, że skoro tego dnia już nie zamierza prowadzić, to równie dobrze może pozwolić sobie na drugą szklaneczkę whisky. Rozmasowywała zeszywniały kark, gdy w salonie dostrzegła Feliksa Falka. W ciszy przystanęła u stóp schodów, obserwując mężczyznę, który szperał w jej książkach. Przesuwał palcem po grzbietach tomów ustawionych na półce obok kominka, po czym wyjmował poszczególne egzemplarze i przerzucał w nich kartki, jakby czegoś szukał.

– Nadal pan tu jest? – zapytała zniecierpliwiona, a wtedy *Makbet* wypadł mu z rąk i z łupnięciem wylądował na podłodze.

Terapeuta, niezrażony tym, że został przyłapany na gorącym uczynku, powoli podniósł książkę i otworzył ją na zaznaczonej tasiemką stronie, a następnie przeczytał:

– „Wyglądaj jako kwiat niewinny, ale niechaj pod kwiatem tym wąż się ukrywa”[1]. – Rozciągnęła wargi w uśmiechu. – Uwielbiam *Makbeta*, w liceum przerzucaliśmy się cytatami. A to wydanie jest wyjątkowo piękne. – Musnęła opuszkami skórzaną oprawę.

Na karku Julii zjeżyły się włoski. On wie, pomyślała, robi to specjalnie. Wyjęła mężczyźnie egzemplarz z dłoni, a gdy ich palce na moment się zetknęły, poczuła prąd przepływający przez ciało i pospiesznie odstawiła wolumen na półkę.

– Chce mi pan powiedzieć, że został tu, żeby czytać książki?

– Nie. – Znów ten uwodzicielski uśmiech, jakby chciał uspić jej czujność. – Czekałem na panią, bo ten miły człowiek od kamer musiał już iść do innego klienta i dał mi to. – Wręczył jej plik kartek z rysunkami panelu sterowania alarmem oraz ogromem zawiłych instrukcji napisanych drobnym drukiem.

Julia uniosła brwi.

– Świetnie – stwierdziła, przerzucając strony. – Jeśli rozszyfruję to do Gwiazdki, będę wnioskować o Nobla.

– To prostsze, niż się pani wydaje. Na razie jako czterocyfrowy kod, który służy zarówno do rozbrajania, jak i uzbrajania alarmu, wpisałem rok urodzenia Beniamina. Musi sobie pani oczywiście zmienić ten kod na mniej oczywisty, ale najlepiej będzie poprosić, by ktoś z Safe Home jeszcze raz do pani podjechał i wszystko wytłumaczył.

– Na pewno go zmienię, bo w przeciwnym razie będzie pan do mnie przychodził i bezkarnie przeglądał moje książki – zażartowała, gdy nagle coś ją tknęło. – A jak wygląda ta sprawa z nastolatką, która oskarżyła pana o molestowanie? Widziałam, że z sieci zniknął artykuł na ten temat.

– Sama się rozwiązała. Dziewczyna wycofała wszystkie zarzuty.

– Tak po prostu?

Feliks rozłożył ręce.

– Najwyraźniej ktoś musiał jej przemówić do rozsądku albo uwaga, którą dostała dzięki tej aferce, wystarczająco zaspokoila jej próżność.

W uszach Julii zadzwoniły słowa Lazara o tym, że pieniądze potrafią skutecznie zamykać ludziom usta. Przypomniała sobie również niedawny SMS od Molendy: „To ona, mówię ci”, i spostrzeżenie Witka na temat tajemnicy, którą Maciek i Feliks mieli z Adamem. Wszystko pasowało. Elementy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zaczęły wskakiwać na właściwe miejsca i wtedy Julię olśniło. To musieli być oni.

– W takim razie może zechciałby pan uczcić oddalenie zarzutów szklaneczką dobrej whisky? I tak zamierzałam się napić, a dzięki panu nie będę tego robić w samotności.

Terapeuta spojrzął na zegarek.

– W porządku, ale zostanę tylko na jednego drinka. Mam dziś jeszcze ważne spotkanie.

Kiedy weszli do kuchni, Feliks usiadł na hokerze, a Julia wypełniła naczynia alkoholem. Lód przyjemnie zabrzączał o szkło.

– Za niewinność – wzniosła toast.

– Za niewinność – powtórzył.

Ich spojrzenia się spotkały, co sprawiło, że Julia poczuła wpełzającą na policzki czerwień i gwałtownie wstała, by mężczyzna nie zdążył zauważyć jej zdenerwowania.

– Mam świetną szarlotkę z restauracji Piknik – oznajmiła, otwierając tekturowe pudełko. – Ukroję nam po kawałku.

– Chętnie. Wszystko od nich smakuje obłędnie.

Julia stała tyłem do Falka, trzęsącymi się rękoma wykładając ciasto na talerzyki, gdy terapeuta zapytał:

– Co dokładnie Adam opowiadał pani o naszej przyjaźni?

Mosiężna łyżeczka do ciasta zadrżała w jej dłoni i zadzwoniła o talerz. Julia schyliła się, by zebrać z podłogi okruchy, które wysypały się z pudełka.

– Właściwie to niewiele – odparła, wrzucając śmieci do kosza. – Kiedy go poznałam, był już sporo po trzydziestce i raczej nie wspominał czasów liceum. Żył terażniejszością, miał dużo pracy, sporo wyjazdów.

– A jednak wiedziała pani o naszej paczce. Skąd? – drążył Feliks.

– Ze zdjęć. Po pogrzebie Adama oglądałyśmy z teściową dawne albumy i tam natknęłam się na waszą fotografię zrobioną pod szkołą w dniu matur. Matka Adama dużo mi o was opowiadała. Chyba było jej przykro, że ta przyjaźń skończyła się tak nagle.

Julia postawiła na blacie dwa talerzyki z szarlotką, mając nadzieję, że deser powstrzyma jej gościa przed zadawaniem kolejnych pytań.

Przecież to ja powinnam go wypytywać, nie on mnie, myślała, czując, jak ze stresu zaciska się jej gardło. Falk chwycił widelczyk, ale nie wbił go w ciasto, tylko zastukał sztućcem w porcelanę.

– Słyszałem, że Adam umierał na pani rękach. To musiało być straszne przeżycie.

– Potworne – wydukała, obskubując palcami mocno zapieczony brzeg ciasta.

– Mielicie chociaż czas, żeby się pożegnać? Powiedzieć sobie jakieś ostatnie słowa?

Terapeuta przyszpilał ją wzrokiem tak, że nie była w stanie przełknąć tego, co włożyła do ust. A gdy wreszcie jakimś cudem jej się to udało, pokręciła głową i odparła:

– Kiedy odchodził, cały czas powtarzał tylko moje imię. Nic więcej.

Feliks westchnął.

– Naprawdę mi przykro.

Julia podziękowała mu skinieniem i podniosła się, by sięgnąć do torebki po chusteczkę. Mężczyzna w tym czasie wziął pierwszy kęs szarlotki i mruknął z zadowoleniem. Wycierając oczy, matka Benia obserwowała, jak ciasto znika z talerza terapeuty, aż do momentu, gdy Feliks znieruchomiał, a kuchnię wypełnił dziwny chrzęst. Mężczyzna upuścił widelec na blat, jego twarz zbladła, a oczy niemal wyskoczyły z orbit.

– Wszystko w porządku?

– Nie – wyrzeźił z trudem, łapiąc się za gardło.

Julia w panice naląła mu do szklanki wody, ale Falk nawet po nią nie sięgnął. Włożył za to palce do ust i po chwili wyciągnął stamtąd zakrwawiony odłamek szkła.

– Mój Boże! – Położyła rękę na klatce piersiowej, a potem, wiedziona impulsem, rozdziobała na części swój kawałek ciasta, w którym także znajdowały się kolorowe szkiełka. – Jezu, to jakieś szaleństwo, trzeba to zgłosić do restauracji.

Feliks tylko pokręcił głową.

– To nie oni, to Benio – wychrypiał, a z jego warg pociekła struga bordowej krwi, która pociekła na kamienny blat.

Żołądek Julii wykonał salto. I zanim zdążyła wezwać karetkę, zwymiotowała do zlewu cały alkohol, który tego wieczoru wypila.

[1] Przeł. Józef Paszkowski.

Maj 1996

Łysy i Szajba, upewniwszy się, że Sebastian Cichecki nie wrócił do mieszkania rodziców, wyszli z klatki chłopaka na nieznośny upał. Maj w końcu wyglądał tak, jak powinien. Żar lał się z nieba, topił asfalt i zamieniał trawniki w suche, pożółkłe prostokąty. Tylko lekkie powiewy wiatru przynosiły ulgę błakającym się po osiedlu psom, choć jeden od dłuższego czasu leżał nieruchomo pod śmietnikiem, jakby osłabł, a może i zdechł.

Starsi ludzie zostali w domach, menele kryli się w zacienionych miejscach między garażami, a grupka dzieciaków z trójki piszcząca z radości, chlapiąc się wodą z odkręconego hydrantu. To mógłby być naprawdę przyjemny dzień. Taki, w którym je się lody albo wlewa w gardła zimne piwo, niespiesznie obserwując przejeżdżające samochody.

Mógłby, gdyby nie wisząca w dusznym powietrzu zapowiedź potężnej nawałnicy.

Wiktor dołem koszulki wytarł spocone czoło, po czym pociągnął długi łyk słodkiej jak landrynka oranżady Ptyś. Przysiedli z Łysym w cieniu pod rozłożystym kasztanowcem obok spożywczaka. Jeden palił papierosa, drugi pił lepki napój, okazując coraz większe zniecierpliwienie.

– Gdzie on się, do cholery, podziewa? – myślał głośno Szajbiński.

– Ja tam bym wrócił jeszcze raz do tego pedzia z rozwrzeszczaną córeczką. Coś mi mówi, że koleś wie więcej, niż nam powiedział.

– Wrócimy, stary, ale dopiero po zmroku. Wtedy, gdy będą nas najmniej oczekiwać. – Wiktor cisnął butelkę w krzaki i wyjął z kieszeni pęk brzęczących kluczy, który podrzucił w dłoni. – Tym razem nie będziemy musieli nawet pukać.

Obaj zarechotali. Łysy poszedł za drzewo się odlać, a Szajba zamknął oczy, pozwalając, by prześwitujące przez liście promienie słońca ogrzewały jego twarz. I właśnie wtedy, w tej krótkiej chwili triumfu, gdy każdy z nich wyobrażał sobie zaskoczenie Jakuba Czai, od strony sklepu nadjechał srebrny fiat brava. Gwałtownie zahamował obok kasztanowca, wzbijając w powietrze chmurę pyłu, a z jego wnętrza wyskoczyło trzech nabuzowanych dzieciaków.

Dwóch z nich bez ostrzeżenia ruszyło na Szajbę i zaczęło go okładać potężnymi drągami. Trzeci znieruchomiał, jakby ktoś rzucił na niego zaklęcie, i z przestachem gapił się na wytatuowanego mięśniaka, który wyłonił się z zarośli. Choć być może nie patrzył wcale na mężczyznę, ale na butelkę w jego wielkiej dłoni. Tę, którą tamten najpierw uderzył o drzewo, a później z ostro zakończonym kawałkiem szkła prął w stronę chłopaka.

– Lazar, uciekaj! – wrzasnął dzieciak siedzący za kierownicą.

Jego okrzyk na ułamek sekundy zdekoncentrował oszalałych napastników z kijami. Nastolatki pozwolili sobie jedynie spojrzeć w stronę kolegi, ale to dało Szajbińskiemu czas potrzebny, by zerwać się na nogi i wyciągnąć zza paska nóż.

– Teraz możemy rozmawiać – rzucił z przebiegłym uśmiechem, po czym zamachnął się nożem i trafił ostrzem w ramię jednego z dzieciaków.

Na skórze nastolatka pojawiła się długa pręga, która natychmiast wypełniła się czerwienią. Krew zaczęła kapać na ziemię i zostawiać na niej plamy, a oszołomiony tym widokiem chłopak pobladł i zachwiał się, jakby miał zaraz zemdleć. Wtedy w sukurs ruszył jego przyjaciel. Rozwścieczony uniósł kij, a następnie z rykiem rzucił się na Szajbę, ale ledwie zdołał go uderzyć, a muskularny gość o czasie tak błyszczącej, że można by się w niej przejrzeć, podciął mu nogi i dzieciak runął na plecy.

Dryblas doskoczył do niego z tulipanem w ręce i zapewne byłby gotów zanurzyć zaostriżony fragment szkła w szyi nastolatka, gdyby nie młodzik, który dotychczas sparaliżowany strachem, biernie przyglądał się całej sytuacji.

– Dość, kurwa!! – wrzasnął i podniósł obie ręce. – Poddajemy się.

Łysy i Szajba spojrzeli po sobie, a później obaj wybuchli śmiechem.

– Kim wy, do chuja, jesteście? – zapytał Wiktor. – Urwaliście się z harcerstwa czy co?

Leżący na ziemi dzieciak posłał mu nienawistne spojrzenie.

– Odpowiesz za to, co zrobiłeś Mikiemu. Zobaczysz. – Nieznajomy splunął w stronę Szajby.

Osiłek ze stłuczoną butelką chrząknął znacząco, przypominając o sobie, a tatuaż ze znakiem Polski Walczącej poruszył się wraz z jego muskularnym ramieniem.

– Idioci. Nie tknąłem tego dzieciaka.

– Daj spokój, wszyscy wiedzą, że Miki wyszedł wczoraj od Turka w twojej kurtce – odezwał się chłopak, który wcześniej siedział za kierownicą fiata, a teraz opierał się plecami o drzwi brawy.

Szajbiński podszedł do niego, chuchając landrynkowym oddechem prosto w twarz nastolatka.

– Słuchaj no, Buźka, nie żal ci tej twarzyczki? – Przesunął ostrzem po gładkim policzku przystojniaka, a ten zadrżał. – Może usiądziesz sobie w samochodzie i będziesz grzecznie patrzył, jak rozmawiam z twoimi kolegami, co? Źle ci tam było?

Nastolatek objął wzrokiem przyjaciół, z których jeden nieudolnie próbował tamować krew płynącą z ramienia, drugi leżał na ziemi, pilnowany przez masywnego gladiatora, a trzeci niemo kręcił głową, błagając go, by nie szarżował.

– Masz rację – odparł po przedłużającej się chwili namysłu. – Chyba rzeczywiście wrócę do samochodu.

– Grzeczny chłopczyk. – Szajba poklepał go po głowie tak, jak klepie się psy, gdy dobrze wykonają sztukę, po czym dodał: – Gdyby twój kumpel był równie rozsądny co ty, nie tknąłby cudzej własności i nie zostałby za to ukarany.

Chłopak, który wyciągnął rękę, by otworzyć drzwi samochodu, przystanął. Jego dłoń opadła, a on, oglądając się przez ramię, rzucił pełne nienawiści:

– Skurwiel.

Nie zdążył nawet nabrać tchu, by napełnić płuca powietrzem, a na żebrach poczuł żelazną pięść Szajbińskiego. Zgiął się wpół. W oczach mu pociemniało, a ból rozlał się po całym ciele. Jeden z jego przyjaciół syknął, drugi drgnął, by pomóc koledze, ale Wiktor pogroził mu palcem i cmoknął, wymownie wymachując nożem.

– Wyciągasz złe wnioski, Buźka. – Zaczął krążyć wokół nastolatka. – Nie mam z tym nic wspólnego. Wasz Miki zarobił, bo komuś się wydawało, że jest mną. Gdyby nie zwędził kurtki, nadal bujałby się z wami po ulicach i to ja leżałbym na OIOM-ie z rurką wepchniętą do gardła.

– Akurat. I mamy ci tak po prostu uwierzyć? Zresztą jeśli nie ty, to kto? – spytał pilnowany przez Łysego chłopak.

– Jeden taki palant, który ubzdurał sobie, że potrafiłem jego siostrę i chciał mnie za to posłać do piachu. Tamtej nocy był widziany z łomem, więc to na bank on. Ukrywa się, kretyń, ale ja i tak go znajdę.

– Kto to jest? – powtórzył pytanie młokos. – Podaj nazwisko, a my się nim zajmiemy.

Szajba wybuchł śmiechem, ale po chwili spoważniał i zaczął się wnikliwie przyglądać nastolatkom.

– Właściwie to moglibyście się przydać. Pomożecie mi znaleźć skureczysyna, a ja w zamian pozwolę wam go trochę obić. Oczywiście zanim sam wezmę tę gnidę w obroty. – Zaklaskał, ucieszony swoim pomysłem. – Szukamy Sebastiana Cicheckiego.

Licealiści wymienili zdziwione spojrzenia.

– Żartujesz? Przecież Cichy jest napastnikiem w naszej drużynie piłkarskiej – wtrącił ranny chłopak. – Trenujemy razem u Jakuba Czai.

– To nawet jeszcze lepiej. W takim razie wybierzecie się w odwiedziny do swojego trenera i wydusicie z niego, gdzie zaszył się ten gnojek.

– A co potem?

– Potem urządzimy mu piekło na ziemi.

Julia

Wrzesień 2019

Miniona noc zapisała się w jej pamięci w postaci szeregu migających jak w kalejdoskopie kadrów. Falka plującego krwią, niebieskich świateł karetki i szkiełek wysypujących się z kieszeni dresów Benia. Z nerwów długo nie mogła zasnąć, a gdy w końcu odpłynęła, śniła o własnym ślubie.

W sennym majaku na salę wjechał wielki biały tort. Adam z uśmiechem wręczył żonie nóż, by odkroiła pierwszy kawałek. Jednak kiedy Julia wbiła ostrze w masę, z ciasta wypłynęła gęsta, czerwona krew. Przeraziło ją to, ale nikt inny zdawał się nie zauważać problemu. Goście, wśród których rozpoznała Feliksa, Maćka z Anną, Witka i Roberta z Emilią, wirowali roześmiani w obłąkanym tańcu. I tylko ona patrzyła, jak krew z tortu spływa na podłogę, a potem rozlewa się po sali burgundową rzeką, w której wszyscy brodzą.

Zerwała się spocona. Zegarek na komórcie wskazywał kwadrans do piątej. W jej uszach wciąż pobrzmiwał chłopot krwi, w której tańczyli goście ze snu, i chrzęst szkła gryzionego przez Falka. Podniosła się, pewna, że już i tak nie zdoła zasnąć.

Wzięła orzeźwiający prysznic, a później przygotowała śniadanie i poszła obudzić syna. Kiedy jednak znalazła się na górze, a jej wzrok musnął drzwi strychu, postanowiła wcześniej rozprawić się ze swoimi lękami.

Z nocnej szafki wzięła klucz, po czym ze zgrzytem przekręciła go w zamku. Za dnia i przy świetle to miejsce traciło swój upiorny charakter. Stawało się jedynie duszną, pełną kurzu graciarnią. Julia podniosła z wykładziny kłębowisko starych krawatów, które wypadły z kryjówki Benia, gdy się stamtąd wydostawał. Otworzyła szafę, by wrzucić do niej splątane paski materiałów, a potem zaciekawiona zaczęła przesuwając wieszaki z nadgryzionymi przez mole paltami, niemodnymi już koszulami oraz garsonkami.

Wśród ubrań dostrzegła również dżinsową kurtkę Wranglera. Znała ją ze zdjęć. Takie same poza Adamem nosili jeszcze Robert i Feliks. Z guzikami identycznymi z tym, który dawno temu pewien chłopak zostawił w jej pokoju i który od lat trzymała w szkatułce.

Julia postanowiła, że spróbuje ją włożyć. Zdjęła okrycie z wieszaka, a wtedy zauważyła błysk na dnie szafy. Zaintrygowana odsunęła ubrania i gwałtownie wciągnęła powietrze. Pod stertą wypłowiałych koszulek leżały zaginione noże z kuchennego stojaka. Co tam robiły? Czy Benio tak bardzo bał się czegoś na strychu, że zabrał je ze sobą dla obrony? Nie wiedziała, ale nagle ciemne kąty pomieszczenia znów zaczęły ją przerażać. Zatrzasnęła drzwi i porządnie je zaryglowała, wcześniej zabrawszy noże.

– Mamo! – dobiegł ją zaspany, piskliwy głosik.

Pospiesznie schowała noże do szuflady komody w swojej sypialni i pobiegła do syna. Benio, siedząc na materacu, przecierał oczy, a kiedy ją zobaczył, niczym najśłodsze dziecko na świecie zawołał:

– Mamusia!

Objął ramionami jej szyję. Julia nie wiedziała, kiedy i od czego zacząć serię pytań, które musiały paść, ale postanowiła wstrzymać się z tym do śniadania. Dopiero gdy zjedli naleśniki z serkiem homogenizowanym, odłożyła sztucce i oznajmiła:

– Znalazłam na dnie szafy na strychu noże z kuchni. Wiesz, co tam robiły?

Chłopiec pokręcił głową. Nad jego górną wargą rysowały się wąsy z mleka, przez co wyglądał komicznie.

– To może wyjaśnisz mi, skąd się wzięło tłuczone szkło w kieszeni twoich spodni?

– Zabrałem kilka szkiełek z kuchni, żeby się nimi pobawić.

Kiwnęła głową. Tak łatwo było osądzić dziecko, pomyślała, a przecież Benjamin nie schodził na parter po tym, jak wysłała go na górę. Nie mógł umieścić szkielek w cieście. To, że wziął garść odłamków, nie czyniło z niego potwora, nawet jeśli Feliks Falk i inni chcieli go w nim widzieć.

Julia ucałowała rumiany policzek syna i podniosła się, mówiąc:

– Pora na nas.

W drodze do przedszkola volvo wypełniały popowe piosenki i głosy spikerów radiowych, ale matka chłopca ich nie słyszała. Jej myśli krążyły wokół mężczyzny, który podał się za hydraulika, oraz niewidzialnego przyjaciela Benia. Sama nie potrafiła już zdecydować, czy wolałaby, żeby ten ostatni okazał się prawdziwym człowiekiem, czy jednak wymysłem jej syna. I jedno, i drugie napawało ją przerażeniem.

Zaparkowała przy furtce, przez którą akurat wchodziła Anna, i radośnie na nią zatrąbiła.

Przedszkolanka jednak, zamiast się ucieszyć, podskoczyła przestraszona. Jej włosy były rozczochrane, cera miała ziemisty odcień, a dłonie niespokojnie ścisnęły torebkę.

– Wybacz, byłam pewna, że nas widziałas – przeprosiła Julia, gdy tylko wysiadła z samochodu. – Dobrze się czujesz? Wyglądasz na chorą.

Anna otarła wilgotne czoło.

– Tak, wszystko w porządku. Nic mi nie dolega, po prostu słabo spałam – zapewniła, rozciągając usta w wymuszonym uśmiechu, a później zamierzała odprowadzić Benia, ale Julia chwyciła ją za rękę.

– Zaczekaj, muszę z tobą porozmawiać.

Kobieta wyswobodziła się z uścisku i zachęciła chłopca, by sam pobiegł do budynku. Dopiero gdy zniknął za drewnianymi drzwiami, przedszkolanka spojrzała na Julię.

– O co chodzi?

– Aniu, ja wiem.

– Słucham? Co wiesz?

Julia uniosła dłoń i dotknęła apaszki na szyi znajomej.

– O tym, co on ci zrobił.

Anna speszona rozejrzała się wokół.

– Nie rozumiem, o czym mówisz. To Leon uderzył mnie niechcący w zabawie.

– Widziałam siniaki, kiedy cię odwiedziłam. Wtedy, gdy otworzyłaś drzwi i przeciąg szarpnął twoją chustę. Takie ślady zostają po duszeniu, nie po zabawie z dzieckiem.

Przedszkolanka przełknęła ślinę. Cały czas nerwowo spoglądała na przejeżdżające samochody, jakby w obawie, że lada chwila nadjadą inni rodzice.

– To nie tak, jak myślisz, Julio.

– Proszę, przestań zaprzeczać. Słyszałam wczoraj waszą kłótnię. Byłam wtedy w Pikniku.

Anna zdrętwiała, po czym wbiła nowej sąsiadce paznokcie w przedramię.

– Błagam, nie mów o tym nikomu. Nikt nie może się dowiedzieć, rozumiesz?

– Posłuchaj, wiem, że się go boisz, ale to trzeba zgłosić.

– Nie! – Kobieta aż pisnęła. – Nie mogę. On mnie zniszczy. Nie masz pojęcia, do czego jest zdolny. Odbierze mi wszystko.

– Zniszczy cię tylko, jeśli mu na to pozwolisz. Musisz walczyć. Pomogę ci.

Przedszkolanka prychnęła.

– Niby jak? Nie możesz nic dla mnie zrobić. Już za późno, zabrnęłam w ślepy zaułek i teraz będę płacić za swoją naiwność.

– Nie, nie jest za późno – przekonywała ją Haner. – Musisz się przed nim chronić, to nie jest dobry człowiek. Zaufaj mi, wiem, że nie jesteś pierwszą kobietą, którą skrzywdził. On jest nieobliczalny.

– Skąd możesz o tym wiedzieć? Przecież nawet go nie znasz.

Julia wbiła spojrzenie w szumiące na wietrze liście brzozy, po czym znów przeniosła załzawiony wzrok na koleżankę.

– Bo mnie też skrzywdził – wyznała.

Anna pokręciła z niedowierzaniem głową, jakby chciała zaprzeczyć słowom Julii. Wepchnąć je jej z powrotem do ust i powiedzieć, że to nieprawda, ale zanim jej umysł zdążył wypowiedzieć właściwe zdania, obok furtki zatrzymał się czarny SUV, z którego wysiadło małżeństwo z małą dziewczynką w różowej sukience.

– Przepraszamy za spóźnienie, pani Aniu, Basia miała dziś nie najlepszy poranek, ale już jesteśmy.

Przedszkolanka zamrugała zaskoczona, a po chwili przykleiła do twarzy radosny grymas.

– Nic się nie stało. Zapraszam do środka. – Otworzyła szeroko bramkę i tylko na odchodne raz jeszcze rzuciła okiem na Julię, która niemo poruszając wargami, przekazała jej prośbę: „ratuj siebie”.

Maj 1996

Feliks Falk zatrzymał brawę pod blokiem trenera. Z drugiej części parkingu czarny peugeot, zatopiony w nocy, zamrugał do niego światłami. W środku siedzieli Szajba i jego czterech kompanów o twarzach ludzi, z którymi lepiej nie zadzierać i których zdjęcia z powodzeniem mogłyby ilustrować w encyklopedii hasło „oprych”. Falk przesunął wzrokiem po fasadzie budynku, próbując namierzyć mieszkanie nauczyciela.

– Na pewno chcecie to zrobić? – zapytał swoich kolegów. – Nie będzie odwrotu.

– Już go nie ma – stwierdził Maciek, którego ramię, choć przewiązane kawałkiem szmaty znalezionym w bagażniku fiata, nadal krwawiło. – Jeśli teraz się wycofamy, ten psychol nas dopadnie. Lepiej zrobić, co mówi, a potem się zwinąć.

Witek Lazar pocierał niespokojnie dłonie i zerkał w czerń za oknem, jakby szukał tam ratunku.

– W końcu tego chcieliśmy, prawda? – powiedział bez przekonania. – Zależało nam na tym, by zemścić się za Mikiego.

– Tak, ale nie w ten sposób. Poza tym on nie planował skrzywdzić Mikiego, tylko Wiktora – protestował Feliks głosem przechodzącym w pisk. – Mieliśmy go pobić, a nie zabić, do jasnej cholery. Co wtedy z naszą przyszłością? Ze studiami?

Gdy tylko to powiedział, poczuł na ramionach silne ręce Adama, które zaczęły masować jego zeszywniałe mięśnie.

– Wyluzuj, Feli. Wszystko będzie dobrze. Mam tam tylko wejść, sprawdzić, czy trener Czaja go u siebie ukrywa, i przekazać tę informację Szajbińskiemu.

Witek jęknął i wściekle spojrział na Hanera.

– Błagam cię, Adam, nie zgrywaj naiwnego. Wszyscy doskonale wiemy, że Szajba nie zabierze go na miły spacer przy świetle księżyca. Poza tym koleś nie pozwoli nam tak po prostu odjechać. Wciągnie nas w to gówno, żebyśmy na niego nie donieśli, zobaczysz.

– No to nie doniesiemy – zamknął mu usta Haner. – Przestańcie się trząść jak szczeniaki i pomyślcie o Mikim. Co powiecie jego rodzicom, jeśli umrze? Mieliśmy jego zabójcę na wyciągnięcie ręki, ale zrobiło nam się go szkoda? Co z was, kurwa, za przyjaciele?

Feliks i Witek w ciszy spuścili głowy, a Molenda dotknął materiału, przez który przesączała się krew.

– Zróbmy to, co trzeba, a później wrócimy do domu, umyjemy ręce i położymy się spać, jakby nic się nie stało – kontynuował Adam. – Śmieci trzeba sprzątać, nie sądzicie? – dodał głosem tak chłodnym, że jego kolegów przeszły dreszcze.

Nim zdążyli mu odpowiedzieć, otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. W jego dłoni pobrzękiwały klucze do mieszkania Czai, które wcześniej ukradł Wiktor Szajbiński. Noc otuliła go przyjemnym ciepłem i zapachem kwitnącego jaśminu. Złudzeniem, że świat może być pięknym miejscem.

Haner, odprowadzany spojrzeniami kolegów, przemknął przez parking, po czym wszedł do klatki i wspiał się po schodach. Jego puls szalał, dłonie stały się wilgotne, a w trzewiach buzowało podniecenie. Zapukał, ale nikt mu nie odpowiedział. Dlatego nachylił się, nasłuchując, a wtedy dosięgły go odgłosy rozmowy.

Jakub Czaja dyskutował z jakimś chłopakiem. Adam mocniej przytknął ucho do drzwi i rozpoznał w młodym mężczyźnie Cichego.

Uśmiech rozlał się po twarzy Hanera. Zbiegł na dół, a gdy wyskoczył z klatki, ruszył prosto do samochodu Szajby. Szyba po stronie pasażera opuściła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i Wiktor gestem nakazał nastolatkowi, by się zbliżył.

– Jest tam – zrelacjonował Adam. – Co robimy?

Szajbiński klepnął go w policzek jak grzecznego chłopczyka, a później wyjął zza paska swój nóż.

– Wołaj kumpli, idziemy na imprezę.

*

Za oknami rozlała się czarna noc. Trener Czaja odłożył słuchawkę i zastygł w bezruchu z wiszącymi bezwładnie ramionami, jak zabawka, z której ktoś wyciągnął baterie. Wpatrzony w ścianę, wsłuchiwał się w pogardliwy głos w swojej głowie, który brzmiał jak jego zmarły ojciec. „To wszystko twoja wina. Ty to zacząłeś”, syczał mu do ucha. Wyrzuty sumienia pęczniały w nim, wypełniając go od stóp po opuszki palców.

Czuł, że jeśli czegoś nie zrobi, to pęknie jak zbyt mocno nadmuchany balon.

– I co powiedzieli? – Sebastian Cichecki podszedł zniechęcony do Jakuba, a ten podskoczył przestraszony.

– Jezu, nie skradaj się tak.

– Przepraszam, chciałem tylko spytać, co z Mikim.

Trener odwrócił wzrok, splótł ramiona na piersi i zaczął nerwowo pociągać nosem.

– Ma uszkodzony rdzeń kręgowy. Lekarze nie dają mu wielkich szans, ale jeśli jakimś cudem z tego wyjdzie, to do końca życia będzie przykuty do łóżka.

Cichy zacisnął zęby na dłoni zwiniętej w pięść.

– To koniec – powiedział po namyśle. – Muszę iść do jego rodziców i się przyznać. Zanim policja przekaże im, że napadłem Mikiego i pobiłem go z zimną krwią. Ci ludzie zasługują na prawdę. – Ruszył w stronę kuchni, a Jakub podążył za nim.

Nauczyciel śledził, jak chłopak zapina suwak w plecaku i zarzuca go na ramię, ale gdy nastolatek chciał wyjść, Czaja stanął mu na drodze.

– Nie rób tego, Sebastian. Ich syn walczy o życie w szpitalu, są wściekli i rozgoryczeni.

– To był wypadek, chcę, żeby o tym wiedzieli. Muszą zrozumieć, że nie zamierzałem go skrzywdzić, że nie jestem taki.

– I co, oczekujesz, że cię rozgrzeszą? Że ci wybaczą, bo przyszedłeś powiedzieć „przepraszam”? Myśl logicznie. – Popukał chłopaka w skroń. – W tej chwili jego rodzice czują tylko nienawiść. Nie obchodzi ich, czy to była pomyłka. Chcą dorwać tego, kto to zrobił, i sprawić, by cierpiał tak, jak nikomu na świecie się jeszcze nie śniło. Czy nie tego chcesz dla człowieka, który potrafił twoją siostrę?

– Tak, ale ja wiem, że Szajba zrobił to z premedytacją. Należy mu się kara. Nie ma dla niego żadnego usprawiedliwienia.

Trener prychnął.

– O czym ty mówisz? Obudź się wreszcie! Jakiego usprawiedliwienia? Zakatowałeś tego dzieciaka, rozumiesz? Nie będą mieli dla ciebie żadnej litości. Tak jak i ty nie będziesz jej miał dla zabójcy Wiktorii. – Ręce mu się trzęsły, dlatego sięgnął po szklankę z wodą stojącą na blacie i wlał płyn do gardła. – A co, jeśli to nie on? Wziąłeś to pod uwagę?

– Nie znam innego skurwiela, który po potrąceniu dziecka zostawiłby je na ulicy, by się wykrwawiło na śmierć. Nikt normalny nie zrobiłby czegoś takiego.

Naczynie wysunęło się z dłoni Jakuba i roztrzaskało o podłogę. Mężczyzna przeklął, po czym zaczął zbierać odłamki do otwartej dłoni.

– A nie dziwi cię, że go wypuścili? – zapytał, pochylony nad panelami. – Przecież gdyby byli pewni, nie biegaliby teraz wolny po mieście. Co, jeśli miał alibi?

– Żartuje pan? Coś im nakłamał albo obiecał. Ten koleś siedzi po uszy w dilerce, więc jeśli dobrze go przycisnęli, to pewnie sprzedał im parę nazwisk i go zwolnili. – Cichy znów próbował przemknąć się między futryną a trenerem, ale Czaja konsekwentnie tarasował mu przejście. – Niech się pan odsunie. Chcę pogadać ze starymi Mikiego, a potem pójdę do Szajby.

Nauczyciel położył dłoń na piersi Sebastiana. W jego głowie znów odezwał się cyniczny głos ojca. „No dalej, przyznaj się. Taki z ciebie bohater? Na co czekasz?” Z wściekłości Jakub aż zacisnął zęby, po czym drżącym głosem powiedział:

– Proszę cię, nie rób tego. To nie skończy się dobrze.

– Może i tak, ale doszedłem do wniosku, że muszę wiedzieć „dlaczego”. Czym mu zawiniła? Miała pieprzone pięć lat i całe życie przed sobą. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Wie pan, że kiedy się uśmiechała, to mogłoby nie być słońca? Tak jasno robiło się wokół. Kochała te wszystkie bezpańskie psy i koty, a na urodziny najbardziej na świecie chciała dostać domek dla lalek, który w sekrecie jej budowałem. A on mi to wszystko zabrał – warknął.

Chłopak odepchnął nauczyciela, ale gdy przekroczył próg kuchni, usłyszał:

– To nie on.

Pewność w głosie Jakuba zatrzymała Cichego. Plecak zsunął się z jego ramienia i upadł na podłogę, a czoło zmarszczyło się w szoku. Czaja wbił spojrzenie w swoje stopy. Tykanie zegara dźwięczało uszy. Szum lodówki drażnił bębenki.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – zapytał chłopak w tej samej chwili, w której rozległo się ciche pukanie.

Trener ruszył w kierunku drzwi, ale Sebastian złapał go za nadgarstek i mocno pociągnął ku sobie.

– Nie otworzy pan tych cholernych drzwi, dopóki mi pan nie odpowie. Jeśli to nie Szajba potrafił Wiktorię, to kto?

– To boli – jęknął Czaja, spoglądając na ściskany nadgarstek.

W jego myślach rozbrzmiewało prześmiewcze „tchórz, tchórz”. Jedno z tych słów, które jak się do człowieka przyklei, to nie można go już odczepić. Nie da się go zmyć, wyszorować, bo stapia się ze skórą. Dlatego gdy tylko Cichy zwolnił uchwyt, Jakub wyrwał dłoń i rzucił zduszonym głosem:

– To był wypadek, Sebastian. Cholerny wypadek.

– Co?!

Nogi chłopaka się ugięły. Opadł dłońmi na blat szafki. Oddychał zachłannie, jak topielec, który walczy o życie i wynurza się, by złapać w płuca haust powietrza.

– Ja naprawdę nie chciałem. Nie wiedziałem... – wydukał nauczyciel.

Cios przyszedł zupełnie niespodziewanie. Cichy wyprowadził go z dołu, trafiając w podbródek trenera z oszałamiającą siłą. Po kuchni przetoczył się trzask uderzających o siebie zębów i dziwny odgłos chrupnięcia, podobny do dźwięku łamania suchej gałązki. Głowa mężczyzny odskoczyła. Jakub stracił równowagę, poleciał w tył i runął na podłogę, po drodze zawadzając o krzesło, które również się przewróciło.

– Tylko panu ufałem. Tylko panu – wycharczał z nienawiścią chłopak.

Na jego twarz wypłynęły czerwone plamy. Miotał się po kuchni, a po chwili zaczął zrzucać wszystko z szafek i tłuc naczynia. Czaja skulił się pod ścianą, trzymając się za szczękę. Z jego rozciętej wargi płynęła krew.

– Dlaczego jej pan nie pomógł?! – ryknął Sebastian, rozbijając szklaną cukiernicę.

Drobne kryształki rozsypały się po podłodze.

– Byłem pewien, że potrafiłem psa. Nie myślałem jasno – próbował tłumaczyć Jakub. – Dowiedziałem się dopiero, gdy poszedłem cię szukać. Po twoim telefonie ze szpitala.

– Trzeba było się przyznać.

– A co, wtedy bolałoby mniej?

Cichy doskoczył do trenera, złapał go za koszulkę i przygwoździł do ściany. Uniósł prawą rękę z palcami zwiniętymi w pięść, ale zamiast uderzyć, dysząc, z rozczarowaniem patrzył na człowieka, którego traktował jak ojca.

– No dalej, zrób to – zachęcał nauczyciel. – Nie ma żadnego usprawiedliwienia, mówiłem ci.

Sebastian walczył ze sobą. Chciał, by Jakub cierpiał, a jednocześnie wiedział, że nawet jeśli sprawi mu największy ból, to nie przywróci życia Wiktorii. Nic się nie zmieni. Z nozdrzami rozdętymi furją, niespodziewanie wyczuł za sobą jakiś ruch. Gdy się obejrzał, zobaczył Helę. Zgarbioną, z twarzą białą jak papier i lękiem w oczach. Na widok dziewczyny jego pięść opadła, a dłoń trzymająca Czaję rozluźniła uchwyt. Mężczyzna osunął się na podłogę z cichym westchnieniem.

– Tato – szepnęła nastolatka z przestachem, obejmując swoje szczupłe ciało ramionami.

Cichy poczuł, że ogarnia go złość. Bo Hela żyła, a jego siostra nie. Bo los niesprawiedliwie rozdzielał karty. Pełen goryczy podniósł z ziemi plecak, zarzucił go na ramię i ruszył do wyjścia.

– Nie idź! – zawołał za nim trener. – On tam gdzieś jest. Zabije cię. Tylko na to czeka.

– To już nie jest pana problem – szepnął chłopak, po czym nacisnął klamkę i otworzył drzwi.

To, co za nimi zobaczył, sprawiło, że pożałował swojej decyzji.

Julia

Wrzesień 2019

Do domu wracała roztrzęsiona. Nie tylko z powodu rozmowy z Anną, ale także dlatego, że gdy zostawiła samochód u mechanika, zadzwonił do niej Maciej Molenda. W pierwszej chwili nogi się pod nią ugięły. Pewna, że mężczyzna musiał się dowiedzieć, do czego namawiała jego żonę, nerwowo przygryzła wargę. Okazało się jednak, że chodziło o łóżko dla Benia. Drewniany skandynawski domek był wreszcie gotowy i Maciej chciał go dostarczyć jeszcze tego samego dnia.

Kiedy po szybkich zakupach taksówką wróciła do domu, przy jej posesji parkował właśnie samochód z logo Molenda Meble. Maciej i jego pomocnik wyszli z dostawczaka i zaczęli wyciągać z bagażnika skrzynki narzędziowe oraz wiertarki w neserach.

– Dzień dobry. – Mąż Anny skinął jej na powitanie. – Proszę pokazać, gdzie będzie stało łóżko, a my sobie tam wszystko pozanosimy.

– Długo to potrwa? – Obrzuciła spojrzeniem pełen bagażnik samochodu.

– To zależy, ile czasu zajmie pani otwarcie drzwi.

Julia poczuła się zawstydzona przytykiem Molendy, ale postanowiła go zignorować. Przekręciła klucz w zamku, a później, osłaniając ręką panel od alarmu, wpisała czterocyfrowy kod rozbrajający.

– Trzyma tu pani jakieś diamenty, że tyle tych kamer i zabezpieczeń? – zażartował pomocnik Macieja, wnosząc na silnym, żylastym ramieniu kilka paczek z deskami.

– Tylko mojego syna. Ale jest dla mnie cenniejszy od diamentów.

Mężczyzna z włosami zebranymi pod bejsbolówką uśmiechnął się, a potem ruszył w stronę schodów i przystanął u ich stóp.

– Pokój chłopaka będzie na górze, prawda? – Upewnił się, ciekawsko lustrując wnętrze.

– Tak, ostatni po prawej.

Pracownik podziękował uprzejmym kiwnięciem głowy, a po chwili zniknął na piętrze. Tuż za nim, dźwigając narzędzia, do domu wszedł Maciej. Jemu również wskazała drogę, a gdy wspinał się po schodach, doleciało ją pogwizdywanie znajomej melodii. *Gilrs just want to have fun* Cyndii Lauper. Poczula nagły przypływ mdłości, a dawne wspomnienia wróciły i zaczęły ją szarpać jak piranie swoje ofiary. Odkręciła w kuchni kran, a potem spryskała twarz lodowatą wodą.

Musisz wytrzymać, napomniała się w myślach, po to tu przyjechałaś.

Siedząc na dole, nasłuchiwała odgłosów wiercenia oraz uderzeń młotków. I choć z zewnątrz mogła sprawiać wrażenie opanowanej, w środku niej szalała dzika wichura, a w głowie krystalizował się plan, który przerażał nawet ją samą. W końcu, upewniwszy się, że mężczyźni mają jeszcze sporo pracy, wyjęła z komody jeden z ostrych japońskich noży i wybiegła przed dom. Rozglądając się kontrolnie, położyła się przy nadkolu dostawczaka, namacała dłońią przewód z płynem hamulcowym, a później nacięła go nożem.

Do kuchni wróciła zdyszana i mokra. Ledwie zdążyła wypić szklankę wody, a pomocnik Molendy zszedł na dół i zastukał w futrynę, niemal przyprawiając ją o zawał.

– Spokojnie, to tylko ja. Szef panią prosi do pokoju małego – powiedział, po czym niezręcznie się uklonił. – Ja już się pożegnam. Muszę lecieć do ojca.

Julia pobladła.

– Zamierza pan jechać firmowym samochodem? – wykrztusiła z trudem.

– Nie, szef ma jeszcze jednego klienta do odwiedzenia, więc się przejdę. To zresztą niedaleko.

A dlaczego pani pyta?

Kobieta chwyciła mocniej krawędź blatu, przekonana, że jeśli ją puści, to z pewnością upadnie.

– Chciałam zaproponować panu podwiezienie – rzuciła w popłochu.

– To miłe, ale przecież zostawiła pani samochód u mechanika. Wspominała pani, gdy dzwonił się umówić się na montaż.

– No tak, mam sklerozę. – Uderzyła ręką w czoło. – Pójdę lepiej sprawdzić, czego potrzebuje ode mnie pana szef, zanim i o tym zapomnę.

Ruszyła na górę, rejestrując rzucone przez mężczyznę „do widzenia”, ale z nerwów nie zdołała mu odpowiedzieć. Pokonywała kolejne stopnie, słysząc, jak łomocze jej serce. Wnętrza dłoni miała mokre od potu, szczęki zaciśnięte jak imadło.

– I jak się pani podoba? – zapytał Molenda, gdy stanęła w progu pokoju.

Sypialnia pachniała drewnem, a łóżko zachwycało precyzją wykonania. Julia podeszła bliżej i przesunęła dłońmi po oszlifowanych sosnowych deskach.

– Jest idealne – powiedziała i natychmiast przystąpiła do ataku. – W przeciwieństwie do pana małżeństwa z Anną.

– Słucham? – Mężczyzna przestał zwijać przedłużacz, który trzymał w dłoniach, i wbił pytający wzrok w matkę Benia.

– Wiem, kim pan jest. Anna mi o wszystkim powiedziała.

Molenda wpatrywał się w nią usilnie, a jego nozdrza pulsowały wściekłością.

– Nie powinna. To nasza prywatna sprawa.

Julia prychnęła z odrazą. Próbowwała grać odważną, choć z emocji drżał jej głos. Dla dodania sobie otuchy oparła dłonie na biodrach.

– Brzydzą się takimi jak pan.

– To pani problem – fuknął, coraz szybciej zbierając narzędzia do skrzynki.

– Mój, Anny, Heleny...

– Kogo?

Cisnął obcęgami i spojrzał na nią czerwony ze złości.

– Doskonale wie pan kogo. Proszę sobie przypomnieć czasy liceum. Ostatnia klasa, maj tuż po maturach.

Maciej nagle zamrugał i wyprostował się, jakby poraził go prąd.

– To Adam, prawda? To on się wygadał?

Julia kiwnęła głową, a mężczyzna powoli zaczął iść w jej stronę. Mięśnie jego twarzy się napięły, oddech przyspieszył.

– Te listy z pogrózkami, które dostaliśmy z Feliksem, to pani sprawka?

– Chciałam, żebyście wiedzieli, że ktoś zna waszą tajemnicę.

Molenda nie przestawał na nią nacierać. Znajdował się coraz bliżej, dlatego Julia zaczęła wycofywać się z pokoju.

– Byliśmy wtedy młodzi i głupi. Nie planowaliśmy tego – tłumaczył. – Wszystko wymknęło się spod kontroli.

– Ale żaden z was nic z tym nie zrobił – wyrzuciła z goryczą, docierając plecami do balustrady. – Udawaliście, że nic się nie stało.

Maciej oparł dłonie na poręczach, zamykając Julię pomiędzy swoimi masywnymi ramionami.

– Nie mogliśmy powiedzieć prawdy, to by nas zniszczyło. W tamtych czasach nikt by nie zrozumiał.

– W żadnych czasach nikt nie powinien tego rozumieć. To chore! – wykrzyczała, dygocząc ze strachu, że lada chwila te silne ręce zepchną ją ze schodów i wylądują na dole ze skrzywionym karkiem. – Zniszczyliście jej życie – dodała szeptem, a po jej policzkach popłynęły łzy.

Od zapachu potu mężczyzny robiło się jej niedobrze. Z bliska widziała, jak żyły na skroniach Molendy pulsowały, i zaczęła żałować, że w ogóle przyjechała do Grodziska. Planując zemstę, stała się tak samo odrażająca jak oni. Brzydziła się sobą. Zresztą co właściwie chciała osiągnąć? To, co wydarzyło się dwadzieścia trzy lata wcześniej, zostawiło w niej nieusuwalny ślad. Ani zadanie bólu Feliksowi, ani skrzywdzenie Maćka nie mogło przynieść ulgi.

Julia zerknęła za siebie, z lękiem patrząc w czeluść za barierką. Nagle pomyślała, że właśnie tak przyjdzie jej umrzeć. We wciąż jeszcze obcym domu, z dala od ukochanego dziecka. Drewniana poręcz wbijała się jej w plecy i trzeszczała niepokojąco. Serce dudniło.

Nagle Molenda puścił balustradę i łamiącym się głosem powiedział:

– I każdego dnia płacimy za to swoją cenę. Za wszystko, co wtedy zrobiliśmy, i za to, na co nie potrafiliśmy się zdobyć.

Julia, z trudem łapiąc oddech, patrzyła, jak mężczyzna podnosi skrzynki z narzędziami i odchodzi. Nie zatrzymała go. Nie wyjawiała, kim naprawdę jest i że lata temu zmieniła imię. Nie zdradziła, że zanim adoptowała ją ciotka, nosiła inne nazwisko. Osunęła się tylko na podłogę, pozwalając, by Maciej odjechał samochodem z przeciętym przewodem hamulcowym i wreszcie poniósł karę za to, co jej zrobił.

Co zrobił Helenie Czai.

Maj 1996

Na widok otwierających się drzwi do mieszkania wuefisty Wiktor Szajbiński rozciągał usta w krzywym uśmiechu.

– Cóż to za zwierzyna, co sama pcha się w ręce myśliwych? – zażartował, dostrzegając Sebastiana.

Cichy, zaskoczony tym nagłym spotkaniem, cofnął się w głąb korytarza. Z mięśniami sparaliżowanymi strachem, siłą oderwał wzrok od błyszczącego ostrza w rękach Szajby i zaczął liczyć jego kompanów, próbując ocenić swoje szanse. Kiedy zauważył kolegów z drużyny piłkarskiej, Hanera, Molendę i Falka, oraz towarzyszącego im chłopaka w okularach, przeraził się jeszcze bardziej. Wszyscy byli przyjaciółmi Mikiego. Z ich oczu wyczytał żądze zemsty i pogardę, od której powietrze w korytarzu gęstniało.

Przyszli po niego, to nie ulegało wątpliwości. Być może nawet potrafiłby się z tym pogodzić. Poddać losowi i przyjąć to, na co zasłużył. Gdyby nie fakt, że zobaczył w rękach jednego z zakapiorów kij bejsbolowy, a w dłoniach drugiego gruby sznur i zrozumiał, że zrobią z niego ludzką piniatę. Wtedy strach wygrał z odwagą. Pokora wobec losu i gotowość do odebrania kary zniknęły. Czuł tylko dziką, niedającą się uciszyć wolę życia. Pierwotny instynkt przetrwania, który nakazał mu się ratować.

Sebastian pchnął szafkę z butami, przewracając ją z hukiem na ziemię, i rzucił się do ucieczki. Wiedział, że przeszkoda spowolni pościg co najwyżej o ułamki sekund, ale i to stanowiło pocieszenie. Biegając, myślał tylko o oknie w pokoju Heli. Jeśli zdąży je otworzyć i wyskoczyć, zanim go dopadną, być może uda mu się wyrwać z potrzasku.

Odepchnął zlanego potem Jakuba Czaję, a później jego córkę stojącą w progu sypialni. Nie zważając na jej krzyki ani na odgłosy wrzawy dochodzące z korytarza, wpadł do pokoju, szarpnął firanę i złapał za klamkę w ramie okiennej.

– Jeśli to zrobisz, ona zginie – usłyszał za sobą.

Wszystko zwolniło. Nawet odstępy między kolejnymi uderzeniami jego serca zdawały się wydłużać. Powinien zignorować Wiktora. Ratować się, póki jeszcze miał cień szansy, ale na moment stracił czujność i to go zgubiło.

Gdy się odwrócił, zobaczył Szajbę trzymającego rozedrganą Helę w ciasnym uścisku, z nożem przytkniętym do gardła, a obok niej trenera Czaję ze łzami w oczach i z ręką wykręconą do tyłu przez łysego osiłka.

Nadal mógł ich zlekceważyć. Wystarczyło otworzyć okno i skoczyć. Krew szumiała mu w skroniach. Musiał tylko odwrócić wzrok i nie myśleć o innych. Biec jak najdalej. Pieprzyć Czaję i jego córkę. Może właśnie to byłaby sprawiedliwość. Oko za oko, ząb za ząb. Za Wiktoria. Za to, że umierała tam na betonie, przerażona i sama.

Chrzanieć się wszyscy, pomyślał. Pociągnął klamkę i szarpnął okno z takim impetem, że uderzyło o ścianę. Szkło posypało się z brzękiem, a upał wlał się do pokoju. Ale dokładnie w tej samej chwili, w której wolność rysowała się już na horyzoncie, w powietrze wzbil się wrzask. Skowyt pochodził z gardła wytatuowanego mięśniaka, któremu Jakub kopniakiem zmiażdżył stopę.

Sebastian zdążył jedynie wyciągnąć ramiona do przodu, gdy czyjeś ręce chwyciły go za nogi i gwałtownym ruchem ściągnęły na ziemię. Jego szczeka gruchnęła o podłogę, w ustach rozlał się smak krwi.

– Weźcie go sobie – usłyszał zdyszany głos trenera Czai.

Kolano jednego z osiłków natychmiast wylądowało Cichemu na plecach. Chłopak krzyknął. Próbował się wyrwać, ale muskularny mężczyzna przygwoździł go swoim ciężarem. Sznur, którym wiązali mu nogi i ręce, wrzynał się w skórę, odcinając krążenie. Kątem oka Sebastian dostrzegł w tyle kolegów z drużyny piłkarskiej.

– Pomocy! Pomóżcie mi! – zawołał, ale nikt nie zareagował.

Wielka, śmierzcząca potem łapa spadła mu na twarz.

– Zamknij się – wysyczał łysy mięśniak.

Cichy jednak nie przestawał walczyć. Wierzał nogami i szarpał ciałem, za co dostawał kopniaki w żebra. Zrobiło mu się niedobrze. Ktoś rzucił go na plecy jak worek ziemniaków, a wtedy ujrzał wiszące nad nim twarze. Wiktora, jego kumpli i przyjaciół Mikiego.

– Bądź grzeczny, wtedy wszystko szybciej się skończy – rzucił Szajba, gdy go kneblowali.

Cichy nie zaszczycił go nawet spojrzeniem. Jego uwaga skupiała się na Czai, który skulony pod ścianą

obejmował płaczącą córkę. Ich oczy na moment się spotkały. Te Sebastiana, błagające o pomoc, oraz te Jakuba, tchórzliwe i puste.

Kiedy trener odwrócił wzrok, w Cichym coś pękło. Ostatnia cienka ściana, która oddzielała w nim człowieka od zwierzęcia, runęła. A on poczuł, że cały zapełnia się nienawiścią. „Tylko panu ufałem”, powtórzył w myślach, gdy ciągnęli go po podłodze. Z jego oczu pociekły łzy. Nie dlatego, że zaraz miał umrzeć, ale ponieważ nie widział już powodów, by żyć.

Wleczony przez mieszkanie, omiatał spojrzeniem tych, którzy planowali odebrać mu życie. Chciał, by go zapamiętali. By wspomnienie jego twarzy wracało do nich w snach. I by nigdy nie zdołali się już od niego uwolnić.

Myślał o Wiktorii, o tym, jak kręcił nią w powietrzu, a ona śmiała się tak, że łaskotało go w brzuchu. Już prawie przymknął powieki, chcąc zabrać ze sobą obraz siostry, gdy nagle zauważył chłopaka w kurtce dżinsowej z brakującym guzikiem. Dokładnie takim, jaki znalazł pod dywanikiem w łazience Czai. Tknięty irracjonalnym przeczuciem, odszukał twarz Heli i dostrzegł, że ona również wpatrywała się w nastolatka w dżinsie. Na jej twarzy malowało się przerażenie, a z gardła dolatywały ledwie słyszalne słowa. „To on, to on”.

Julia

Wrzesień 2019

Całe popołudnie odchodziła od zmysłów. Raz po raz chwytiała za telefon, by powiadomić Annę albo jej męża, ale w decydującym momencie zawsze tchórzyła. Przecież na to zasługiwał. Nie powinny jej dręczyć wyrzuty sumienia. A jednak, gdy tylko zaczynała myśleć o Feliksie odzyskującym siły po zabiegu oraz o Macieju, który w każdej chwili mógł się roztrzaskać, zabijając nie tylko siebie, ale też niewinnych ludzi, coś w niej pękało.

W końcu zacisnęła zęby i wybrała numer Molendy. *Abonent prowadzi w tej chwili rozmowę*, usłyszała. Przekląła, a później zadzwoniła do Anny, ale ona również nie była dostępna. Julia przemierzała nerwowo salon, uderzając komórką o dłoń, i wreszcie chwyciła się ostatniej deski ratunku. Miły głos, który odebrał telefon, zaszczebiotał:

– Przedszkole Mali Odkrywcy, słucham?

– Dzień dobry, tu mama Benia Hanera.

– Czy coś się zmieniło w kwestii odbioru? Mam tu panią zapisaną na siedemnastą.

– Nie, nie, wszystko zostaje tak, jak ustaliłyśmy, ale nie mogę się dodzwonić do pani Anny, a mam do niej pilną sprawę. Czy jest szansa, by podeszła do telefonu? – Przyciskała komórkę tak mocno, że aż bolało ją ucho.

– Niestety, pani Anna musiała wyjść dziś wcześniej, ale mogę przekazać jej wiadomość.

Julia podziękowała dziewczynie i rozłączyła się, czując, że jeśli czegoś nie zrobi, to za moment eksploduje. Jak mogłam być tak głupia? – ganiła się w myślach. Zdenerwowana wystukała rozpaczliwą wiadomość do każdego z Molendów, informując, że widziała, jak jakiś nieznajomy grzebał przy nadkolu służbowego samochodu Macieja, i prosząc, by jak najszybciej to sprawdzili. Gdyby nie fakt, że mechanik postanowił zatrzymać jej volvo do następnego dnia, jeździłaby teraz po mieście w poszukiwaniu charakterystycznego dostawczaka, a tak była skazana na tortury.

Nie radząc sobie z napięciem, wyszła przed dom i zaczęła przekopywać zdziczałą część ogrodu, gdzie rządziły wybujałe rośliny. Musiała przetrwać godzinę, potem mogła już pojechać taksówką po Benia i zająć myśli czymś innym.

– A co cię tak nagle wzięło na prace ogrodowe? – zapytał niespodziewanie Robert, który przejeżdżał ulicą na wózku. – Nie szykujesz się na wieczór z Ryanem Goslingiem i ploteczki aż do świtu?

– Co takiego?

Wagner przygryzł wargę.

– Ups, wybacz. Byłem przekonany, że dziewczyny cię zaprosiły. – Uśmiechnął się przeproszająco. – Raz na miesiąc organizują tematyczny wieczorek filmowy i nocują u siebie. Dziś Emilia pojechała do Anny – wyjaśnił. – Dobrze się czujesz? Wyglądasz na skonaną.

– Bo szczerze mówiąc, jestem wykończona. – Oparła dłonie na trzonku łopaty i westchnęła. – To był naprawdę ciężki tydzień.

– Odpocznij.

– Taki mam plan. Odbiorę tylko Benia z przedszkola, zjemy coś i od razu wskakujemy do łóżka.

– Zazdroszczę. Mnie czeka jeszcze parę dobrych godzin przed komputerem. Muszę oddać projekty okładek dla wydawnictwa, z którym współpracuję.

– W takim razie trzymam kciuki. – Uniosła skrzyżowane palce.

– Ja za ciebie też. Wiesz, jak jest, ludzie, którzy bardzo chcą iść spać, najpierw muszą położyć do łóżek tych, którzy spać nie chcą. Mam nadzieję, że Benio ułatwi ci to zadanie. – Pomachał jej i ruszył w kierunku domu.

Julia obserwowała go jeszcze przez moment. Jego silne ręce popychające koła wózka oraz to, jak sprawnie manewrował pojazdem. Niezlomność Wagnera jej imponowała. Po tym, czego doświadczył w młodości, mógł popaść w zgorzknienie, obrazić się na los, a on wydawał się z nim pogodzony. Ujmował ją tym, jak dbał o żonę i opiekował się swoimi dwiema córeczkami. Miał w sobie coś, co sprawiało, że czuła się przy nim bezpiecznie.

Może dlatego Witek Lazar twierdził, że przy Robercie mogli być sobą. Może wszyscy tak się przy nim

czuli, pomyślała, zmierzając do domu.

Myjąc ręce, co chwilę nerwowo spoglądała na ekran komórki, ale ani Anna, ani jej mąż nie odpisali, a ich telefony wciąż nie odpowiadały. Dopiero kiedy razem z Beniem wrócili z przedszkola, a chłopiec z radości na widok nowego łóżka zaczął dziko skakać po pokoju, na jej telefon przyszła wiadomość od Maćka Molendy. Była równie krótka, co tajemnicza. „Dziękuję”. Julia przeczytała to słowo kilka razy, nie wiedząc, co o nim myśleć. Ostatecznie uznała jednak, że to dobry znak.

Tego wieczoru zasypiała spokojniejsza. Benio chrapał smacznie w swojej sypialni, alarm był włączony, a domu strzegły czujne oczy kamer. Nie mogła wiedzieć, że to, czego powinna się obawiać, nie miało przyjść z zewnątrz.

To coś już tam było i skryte w mroku czekało, aż Julia zapadnie w głęboki sen.

Maj 1996

W drodze do lasu wszyscy milczeli. Nikt nie włączył radia ani nie komentował tego, co się stało. Feliks prowadził nierówno. Dodawał gazu, by po chwili gwałtownie hamować. Samochodem szarpało, a on ciskał wyzwiskami w innych kierowców. Jakby musiał odreagować to, na co wcześniej biernie patrzył. Przed oczami nadal miał podskakującą głowę Sebastiana Cicheckiego, która uderzała o stopnie na klatce schodowej, gdy Szajba wlekł go za linę do bagażnika.

Adam z Mackiem zajęli miejsca z tyłu. Pierwszy z nich trzymał dłonie złączone na kształt piramidy, w skupieniu uderzając o siebie opuszkami palców. Drugi w którymś momencie zaczął cicho nucić przebój Alanis Morissette, *Ironic*.

– Możesz przestać? – rzucił z pretensją Witek, siedzący z przodu obok Falka.

– Sorry, to z nerwów. – Odchrząknął. – Ktoś mi w końcu wytłumaczy, po jaką cholere tam jedziemy? Zrobiliśmy swoje.

Kiedy tylko to powiedział, objęło go silne ramię Adama, który przyciągnął kolegę do siebie.

– Bo tak trzeba, Maciuś. Bo gdyby to spotkało ciebie, to też byśmy nie odpuścili. Tak robią przyjaciele, pamiętasz?

Molenda zgodnie pokiwał głową i wyprostował ręce, strzelając palcami. Jego mokre włosy przykleiły się do czoła, a w fiacie znów zapadła cisza, którą przerwał szept, brzmiący niemal jak zakłęcie.

– Jutro o tym zapomnimy, jutro zapomnimy – powtórzył cicho Feliks.

Witek przygryzł wargę i pokręcił głową. Wiedział, że takich rzeczy nie da się wymazać z pamięci i że ta noc zostanie w nich na zawsze. Będzie się z nią kojarzył zapach ich potu, który wypełniał wnętrze brawy. Przypomni ją chrzęst igliwia oraz trzask szyszek miazdżonych przez koła samochodu. Taki sam jak ten, który zabrzmiał w ich uszach, gdy wjechali na polanę oświetloną reflektorami peugeotów Szajbińskiego.

Falk zaparkował tuż za czarną sześćsetpiątką, ale nie zgasił silnika. Patrzył, jak kilku osiłeków wyciąga z bagażnika Cichego i przerzuca przez gałąź dębu gruby sznur. Noga Feliksa zaczęła niespokojnie podrygiwać, a w głowie rozwył się alarm.

– Co jest, kurwa? – rzucił Witek, spoglądając po kolegach z przerażeniem wypisanym na twarzy.

– A czego się spodziewałeś? Nie przywieźli go tu przecież na biwak pod namiotami – warknął Maciek, który ze zdenerwowania szarpał niewielkie rozdarcie w spodniach.

– Wyluzujcie wszyscy. Nie powieszą go przecież – zawyrokował Adam. – To by była zbyt szybka i zbyt łagodna śmierć. Szajbiński nie miałby wystarczająco dużo czasu, by się napawać.

Ledwie to powiedział, a o maskę zadudniła ciężka pięść i za oknem Feliksa pojawiła się twarz Wiktora. Falk wilgotną ze strachu dłońią opuszczył szybę.

– Nieładnie tak się spóźniać na imprezę, na którą was zaprosiłem. – Szajba cmoknął i pogroził palcem, a później roześmiał się szatańsko. – Chodźcie, panowie, czas się zabawić.

Pierwszy z samochodu wysiadł Adam, za nim Maciek, później Witek i dopiero jako ostatni Feliks. Szli w stronę drzewa, oglądając się na siebie z niepokojem. Dwóch mięśniaków trzymało wierzgającego Sebastiana, trzeci przywiązywał do jego rąk linę przewieszoną przez gałąź. Kiedy skończył, dał kumplom znać, by pomogli mu go podciągnąć. Wszystko to wyglądało jak upiorny nocny spektakl w świetle jupiterów.

– Piniata – szepnęła Molenda, kiedy zobaczył Cichego podwieszono z rękoma nad głową.

Sebastian miał w oczach nienawiść. Krzyczał coś przez brudną szmatę, którą zakneblowano mu usta, ale spomiędzy jego warg wydobywał się jedynie niezrozumiały jęk. Mimo swojego położenia nadal szarpał się desperacko, jak wyłowiona z jeziora ryba na żyłce.

Wiktor Szajbiński, wymachując kijem bejsbolowym, podszedł do przyjaciół Mokiego.

– Panie przodem – powiedział, wręczając kij Adamowi. – Daj kolegom dobry przykład, wiem, że na to czekasz – szepnęła mu do ucha.

Haner rzucił Szajbie pogardliwe spojrzenie, a potem przełknął ślinę i bez ostrzeżenia wymierzył cios w biodro chłopaka. Cichy zawył, a huk uderzenia poniósł się po lesie. Adam ciężko dyszał. Wszyscy myśleli, że odda teraz kij Molendzie, ale on obszedł Sebastiana i niespodziewanie zdzielił go w piszczel. Trzask łamanej kości sprawił, że zebrani na polanie odruchowo syknęli. Dopiero wtedy Maciek dostał kij do ręki. Oddychał niespokojnie. Rozejrzał się po otaczających go twarzach i ścisnął bejsbola mokrą od potu dłońią.

– No dalej, byczku, pokaż nam, jaki z ciebie mężczyzna – dopingował go Szajba, który oparty plecami

o drzewo z cynicznym uśmiechem przyglądał się temu przedstawieniu. – Chyba że nie jesteś facetem, tylko zwykłą ciotą.

Mięśnie na karku Molendy się napięły. Omiótł Cichego przepraszającym spojrzeniem i z wrzaskiem smagnął jego prawe udo. Ciało Sebastiana zahuściło się na linie, a wytatuowani osiłkowie zarechotali.

– Twoja kolej, Witek. – Maciek wepchnął kij w ręce kolegi, nie patrząc mu nawet w oczy.

Lazar uderzył nieporadnie. Musiał źle chwycić bejsbola, bo ten po oddaniu ciosu wypadł mu z dłoni. Po polanie przetoczył się szydery śmiech. Kiedy nastąpiła kolej Feliksa, chłopak oblizał pot zbierający się nad górną wargą. Coś w nim wołało, że przecież Cichy wcale nie chciał, że to była pomyłka. Ale jednocześnie czuł na barkach ciężar spojrzeń swoich przyjaciół i oprychów z bandy Wiktora. A że na niczym nie zależało mu w życiu tak, jak na akceptacji, uniósł ręce i się zamachnął. Chciał to mieć jak najszybciej za sobą. Trafił w okolice łędźwi. Sebastian zakwilił, a knebel rozluźnił się i przesunął, odsłaniając usta.

– Ja wiem – wyrzęził słabym głosem. – Wiem, co zrobiliście córce trenera.

Witek podążył za spojrzeniem Cichego i zauważył, że patrzy prosto w twarz Feliksa, który wydawał się tym zaskoczony. Lazar zamierzał spytać Sebastiana, o co mu chodziło, ale w tym samym momencie jego mózg zarejestrował jeszcze jeden obrazek. Otóż muskularny łysy mężczyzna z tatuażami na ramionach nadchodził od strony peugeota z palnikiem cukierniczym w ręce.

Witek dźgnął Feliksa w bok, szepcząc do niego:

– Spieprzajmy stąd.

Zanim jednak Falk zdołał odpowiedzieć, za ich plecami wyrósł Szajbiński z rzeźnickim tasakiem w dłoni. Stał załśniła w świetle samochodowych reflektorów.

– No co wy, panowie? Chyba nie opuścicie atrakcji wieczoru?

– Nie pisaliśmy się na coś takiego – postawił się Molenda, groźnie wypinając pierś.

– Jakiego? Przecież nic złego się nie dzieje, prawda? – Szajba zerknął na swoich towarzyszy, którzy zgodnie pokiwali głowami. – Bawimy się tylko, Maciuś, a ty przecież lubisz się zabawić, co nie? Mam powiedzieć wszystkim, jak się bawiłeś niedawno w tym lesie?

Pierś Molendy opadła jak przebity balon. Chłopak zeszywniał, a krew odpłynęła z jego twarzy. Niemo pokręcił głową, gdy nagle głos zabrał Feliks:

– Czego od nas chcesz?

– Żebyście pomścili przyjaciela, nic więcej. – Wiktor włożył w rękę Falka palnik cukierniczy, który przekazał mu łysy dryblas, a sam podszedł do Sebastiana i tasakiem rozciął mu nogawki spodni. – Pokażemy chłoptasiowi, co go spotka tam, gdzie się wybiera. W piekle.

– Będę tam na ciebie czekał, Szajba – syknął przez zęby Sebastian.

Feliks zważył w dłoni ten niewielki przedmiot. Dreszcz wstrząsnął jego ciałem.

– Nie musisz tego robić! – zawołał Molenda, ale jego słowa najwyraźniej nie dosięgły uszu Falka, który z nieobecny wzrokiem szedł w stronę Cicheckiego.

– Jutro o tym zapomnimy – powtórzył pod nosem swoją mantrę Feliks, a wtedy Adam wyrósł obok niego, wyrwał mu palnik i odepchnął kolegę.

– Zjeżdżaj stąd, ja to zrobię.

Szajba, ubawiony tym bohaterskim gestem, aż klasnął.

– Brawo, Haner, brawo. W końcu nie bez przyczyny nazywają cię złotym chłopakiem.

Adam słyszał to określenie wiele razy, ale w ustach Wiktora zabrzmiało jak coś, czego powinien się wstydzić. Poczł mrowienie w opuszkach palców i złość napływającą do mięśni. Stał w plamie światła, podnosząc oczy na Sebastiana. Z ucha chłopaka ciekła krew. Nie było w nim już nienawiści, tylko strach. Bezgraniczne przerażenie. Takie, od którego ludzie siwieją w jedną noc, które odbiera mowę i sprawia, że zatrzymują się serca.

Cichy ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. Jego klatka piersiowa poruszała się niespokojnie w rytm przyspieszonego oddechu. Wszyscy wokół w napięciu czekali na to, co zrobi Haner. Nawet sowy pohukujące w lesie zamilkły. Można było odnieść wrażenie, że od tej jednej decyzji zależało wszystko. Przyszłość każdego z nich.

– Rozgrzej to – powiedział Szajbiński, wyciągając w stronę Adama rękę z tasakiem.

Haner zdecydowanym gestem wykrzesał z dyszy niebieski płomień, po czym zbliżył go do odbijającej chłodny blask stali. Feliks z Molendą wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Tymczasem smagana ogniem

stał powoli zaczynała zmieniać kolor. Od brązowoczerwonego przez wiśniowy aż do żarzącej się jasnej czerwieni. Ogień tańczył w źrenicach Szajby, a na jego twarzy malowało się podniecenie.

– A teraz weź ode mnie tasak i przyłóż go do nogi Cicheckiego – zażądał Wiktor.

Adam przesunął po nim kpiącym wzrokiem.

– Ty to zrób. Nie chcesz chyba, by twoi kompani uznali cię za tchórza, który wysługuje się innymi? – dodał teatralnym szeptem, który bez trudu usłyszeli napakowani osiłkowie.

Żaden mięsień w twarzy Szajby nawet nie drgnął. Podszedł do Hanera z rozpalonym do czerwoności tasakiem i zatoczył wokół niego koło, ostentacyjnie wachając nastolatka.

– Śmierdzisz jak cykor, wiesz? – syknął mu do ucha, po czym kopniakiem podciął Adamowi nogi i podniósł palnik, który upadł na ziemię. – Patrz i się ucz.

Płomień buchnął z dyszy. Szajba demonstracyjnie przesunął nim raz jeszcze po stali, a później nakazał swoim pomagierom, by przytrzymali Cichego, i przytknął rozgrzane ostrze do jego uda. Noc wypełnił zwierzęcy wrzask, do którego niespodziewanie dołączyło odległe wycie syren policyjnych.

Szajbiński warknął rozdrażniony, rozglądając się wokół, a potem raz jeszcze przypalił skórę Sebastiana rozpalonym żelazem. Zapewne z chęcią by to powtórzył, gdyby nie poblask świateł radiowozów, który zaczął przebijać się przez drzewa. Na ich widok Wiktor machnął na swoich kompanów i razem pobiegli do peugeota.

– Zmywamy się – krzyknął Adam do kolegów.

Feliks i Molenda zareagowali od razu, ale Witek niczym zaczarowany patrzył w twarz Sebastiana, wykrzywioną cierpieniem. Chłopak rzucał się, wzywając pomocy, i gdy wydawało się, że ta nigdy nie nadejdzie, Maciek wrócił z gaśnicą samochodową. Biały, mglisty obłok otulił ciało Cichego jak kokon.

– Wsiadajcie! – zdierał sobie gardło Haner, wychylając głowę przez okno fiata, którego silnik rządził niecierpliwie.

Koledzy spojrzeli na Adama z wahaniem, rozdarci między chęcią pomocy Cicheckiemu a potrzebą ratowania siebie. Dopiero widok radiowozu wjeżdżającego na polanę sprawił, że w ułamku sekundy podjęli decyzję. Zdyszani wskoczyli do bravy, kątem oka rejestrując ruszającego peugeota Szajby.

– Jedź! – krzyknął Molenda, gdy wszyscy przyjaciele znaleźli się w aucie.

Silnik bravy zawył, koła zakreśliły się na igliwiu, wystrzelając spod opon kilka szyszek, a później złapały podłoże i samochód wyrwał przed siebie, niknąc w gęstwinie. Autem zarzucało na leśnej drodze, a nieprzyjęci pasami nastolatkomie obijali się o ściany i siebie jak kule bilardowe. Gdzieś za nimi rozbrzmiewały syreny, a chaszczce przecinały wiązki świateł.

– Skręć tutaj – nakazał Adam Feliksowi.

– Gdzie? Tam nie ma żadnej drogi – panikował Falk, a wtedy Haner szarpnął za kierownicę. Fiat wpadł w wąską przecinkę między drzewami i zatrzymał się milimetry przed grubym pniem.

– Teraz wyłącz silnik i zgaś światła – wysapał Adam, oglądając się za siebie.

– To głupota, znajdą nas – niepokoił się Witek.

Wszyscy zamilkli. W ciszy słyhać było jedynie szmer ich oddechów i dochodzący zza drzew warkot silników, do którego po chwili dołączyły okrzyki i odgłosy strzałów.

– Mają ich – szepnął Molenda.

– Skąd wiesz? – spytał Lazar.

– Bo kiedy gapiliście się na przedstawienie Adama, przedziurawiłem tym fiutom opony. – Zaśmiał się z satysfakcją.

Na moment w samochodzie zapanowało odprężenie. Rysy nastolatków złagodniały, ktoś nawet zażartował, a później znów wszystko ucichło i przyszła świadomość, że nawet gdy ta noc się skończy, to, na co patrzyli, na zawsze w nich zostanie.

Julia

Wrzesień 2019

Obudziło ją przeczucie graniczące z pewnością, że ktoś na nią patrzy. Otworzyła gwałtownie oczy, ale w zaciemnionej sypialni trudno było odróżnić od siebie ledwie dostrzegalne w mroku kształty. Po omacku przemierzała dłonią nocną szafkę, ale po jej komórce nie było ani śladu. Sięgnęła więc do włącznika lampki, lecz kiedy go nacisnęła, nic się nie zmieniło. W pokoju nadal panowała ciemność.

– Co jest? – zdenerwowała się.

Nagle gdzieś z drugiego końca pomieszczenia odezwał się mężczyzna:

– Zabrałem twój telefon i wykręciłem żarówkę.

Julia ze strachu tak mocno przywarła do zagłówek łóżka, że prawie zlewała się z nim w jedno.

– Kim jesteś? – zapytała, z trudem wydobywając z siebie głos.

– Przyjacielem.

To słowo odbijało się od ścian jej umysłu jak piłeczka od band flippera. W ostatnich dniach tylko jeden przyjaciel usiłował zrujnować im życie. Niewidzialny przyjaciel Benia.

– Jak się tu dostałeś?

– Nigdy stąd nie wyszedłem. – Zaśmiał się, a ona odniosła wrażenie, że skądś zna ten tembr głosu.

Zachowaj spokój, powtarzała sobie, choć była pewna, że lada chwila jej serce zatrzyma się z przerażenia. Ścisnęła w rękach kołdrę. Musiała grać na zwłokę. Sądząc po kierunku, z którego dobiegał głos, oszacowała, że to ona z nich dwojga znajduje się bliżej drzwi. Gdyby zdołała dopaść ich pierwsza, być może udałoby się jej wybiec na zewnątrz i wezwać pomoc. Ale był jeszcze Benio. Niczego nieświadomy spał w swojej sypialni. Próba obudzenia go znacząco by ją spowolniła i najpewniej odebrała im szansę na ucieczkę. Wiedziała jednak, że nigdy nie zostawiłaby dziecka. Dlatego postanowiła zrobić to, co w tej chwili wydawało się najrozsądniejsze.

– Pomocy! – wrzasnęła, lecz zanim zdążyła zawołać po raz kolejny, pięść twarda jak kamień z impetem trafiła w jej szczękę.

– Zamknij się – syknął mężczyzna.

Julia masowała obolałą kość, upewniając się, czy nie jest złamana, gdy dobiegło ją skrzypnięcie drzwi, a później tupot dziecięcych stóp.

Beniu, nie wchodź tu, błagała w myślach, słysząc zbliżające się kroki, ale było już za późno i po chwili na progu stanął jej syn. Jego drobna sylwetka odznaczała się w ciemności przez poświatę wpadającą z okna w korytarzu.

– Cześć, Beniamin – przywitał go nieznajomy.

Julia była pewna, że chłopiec zacznie krzyczeć, ale on, ku jej zaskoczeniu, z radością rzucił:

– Wróciłeś.

– No jasne, obiecałem ci przecież, że wrócę.

– Odczep się od mojego syna! – warknęła, po czym zwróciła się do Benia. – Kochanie, nie zbliżaj się, to nie jest dobry człowiek.

Wciąż nie widziała wyraźnie twarzy nieznajomego, ale dzięki smudze szarości wpadającej przez otwarte drzwi mogła stwierdzić, że był dobrze zbudowany, a to zapewne oznaczało, że również silny.

– Benio nie musi się mnie obawiać. Może spokojnie podejść. Przyjaźnimy się, prawda, kolego?

– Tak – odparł malec, robiąc krok naprzód.

– Nie! – zawołała Julia.

Chłopiec zatrzymał się, jakby nie potrafił zdecydować, kogo powinien teraz słuchać. Matki czy mężczyzny, którego uważał za swojego przyjaciela. Julia pragnęła dotknąć Benia, przytulić go do siebie, ale intruz stał dokładnie między nimi i jakakolwiek próba dotarcia do dziecka spotkałaby się zapewne z ponownym użyciem siły.

– Synku, musisz uciekać. Przypomnij sobie, co ci mówiłam w kuchni – rzuciła, spodziewając się kolejnego ciosu, ale ten nie nadszedł.

Nieznajomy zdawał się czekać na reakcję chłopca.

– Nie mogę, mamę – pisnął sześcioletek, bliski płaczu. – To mój przyjaciel.

– Możesz, kochanie. On tobą manipuluje, żeby zrobić nam krzywdę. Biegnij i sprowadź wujka Roberta.

– Chyba jej nie wierzysz, Beniu? – Mężczyzna położył ciężką dłoń na ramieniu malca i zaczął go ciągnąć ku sobie.

Wtedy chłopiec zupełnie niespodziewanie ugryzł go w rękę i przy akompaniamencie wrzasku zaskoczonego napastnika pognał w dół schodów.

– Ty suko. – Nieznajomy złapał Julię za włosy i wcisnął jej głowę w poduszkę. – Kiedy przyprowadzi tu tego kalekę, z uśmiechem otworzysz mu drzwi, a później powiesz, że dzieciak miał zły sen i wszystko jest w porządku, rozumiesz?

– Nie! Nie zamierzam cię słuchać.

Znów wcisnął jej twarz w pościel, tak że nie mogła zaczerpnąć tchu. Jej dłonie młóciły powietrze, a przed oczami zaczynały tańczyć kolorowe kształty. Wtedy ją puścił.

– Zrobisz to, co mówię – syknął.

– Niby dlaczego?

– Bo widziałem, jak zabiłaś swojego męża, i mam na to dowody – oznajmił, wyciągając zza paska nóż.

Julia, której dotychczas wydawało się, że przeżywa najgorszy koszmar swojego życia, właśnie zrozumiała, że była w błędzie.

Najgorsze miało się dopiero zacząć.

Maj 1996

Gdy go zabierali, Czaja nienawidził się za to, jak postąpił. Krzyk Cichego rozdzierał mu trzewia, jego wzrok palił. A jednocześnie mężczyzna nie potrafił zachować się inaczej. Za wszelką cenę musiał bronić Heli. Ratować tę resztkę życia, która jeszcze tliła się w jego córce.

Kiedy zostali w mieszkaniu już tylko we dwoje, okrył ją kocem, a później doskoczył do telefonu i wybrał numer policji. Ze strzępków rozmów wyłowił, że chcieli go wywieźć do lasu. Nie wiedział dokładnie dokąd, ale miał nadzieję, że to wystarczy i że Cichemu do tego czasu nie stanie się krzywda.

Funkcjonariusz, który przyjmował zgłoszenie, został zasypany lawiną słów. „Szajbiński”, „wtargnięcie”, „Cichy”, „zemsta”, „brutalni”, „peugeot” i „las”. Dyżurny zapytał o nazwiska uczestników najścia, a wtedy trener się zawahał. Przywołał w pamięci twarze chłopaków z drużyny piłkarskiej, którą prowadził, i nagle stwierdził, że choć znał ich od lat, to tak naprawdę niewiele o nich wiedział. Haner odnosił sukcesy we wszystkim, czego się tknął, Molenda był bez wątpienia najlepszym napastnikiem, jakiego trenował w swojej karierze, a Falk, choć grą nie dorównywał kolegom, to swoim urokiem przyciągał na mecze publiczność, zwłaszcza tę płci żeńskiej.

Jakub miał ich za porządne dzieciaki z dobrych domów. Zawsze w towarzystwie Mikiiego i nastolatka w okularach, o którym nauczyciele szeptali, że daleko zajdzie. Czy miał ich ukarać za to, że chcieli spojrzeć w oczy temu, który skrzywdził ich przyjaciela? Skreślić ich za ten jeden błąd? Nie mógł tego zrobić. Dlatego gdy policjant powtórzył pytanie, Czaja opowiedział mu tylko o Szajbie i jego kompanach.

Później odwiesił słuchawkę i wrócił do córki. Usiadł obok, a następnie otoczył jej ciało ramionami. Dziewczyna trzęsa się jak tamtego wieczoru, gdy znalazł ją w wannie. Znow miała nieobecny wzrok, a jej usta szeptały:

– To on, to on.

Jakub głaskał jasne włosy Heli, wdychał ich zapach i powoli docierało do niego, że świat, który rozpaczliwie próbował posklejać, rozpadł się na kawałki i już nigdy nie wróci do dawnej postaci.

Musiał przyznać się do potrącenia dziewczynki. Wypuścić to z siebie, zanim poczucie winy rozsądzi go od środka. Pragnął tego i obawiał się jednocześnie. Nie wiedział, co będzie z Helą. Czy udźwignie fakt, że jej ojciec zabił dziecko? Czy miał prawo jej to fundować, skoro nawet on nie dał rady w sobie tego pomieścić?

Z bezradności zaczął nucić córce dziecięcą kołysankę:

– „Był sobie król, był sobie paź i była też królowna. Żyli wśród róż, nie znali burz, rzecz najzupełniej pewna”.

Tak trzeba, przekonywał siebie. Po drodze podjął tyle złych decyzji i wreszcie miał szansę postąpić słusznie. Udowodnić, że nie jest tylko tchórzem, ale potrafi jeszcze być odważny. Wbił zęby w wargę, gryząc ją do krwi. Byle nie płakać, nie rozklejać się. Być silnym dla Heli. Tulił ją mocno do siebie, bo wiedział, że burza, którą rozpętał w ich życiu, niebawem zamieni się w nawałnicę. A on straci wszystko, co próbował ocalić.

Otarł wilgoć z kącików oczu, a gdy z oddali dosięgły go odgłosy syren policyjnych, pomyślał o Cichym. Miał nadzieję, że chłopak zdoła mu wybaczyć. Że kiedyś zrozumie.

Nie mógł wiedzieć, że Sebastian nigdy nie czuł się bardziej oszukany i zraniony. Nie dostrzegał tej czarnej otchłani, którą otworzyło w Cichym zawiedzione zaufanie.

Julia

Wrzesień 2019

Nie było już myśli. Ich miejsce zajął pisk. Taki, od którego pękają bębenki. Podobny do odgłosu kół hamującego pociągu. Ten wizg wypełnił ją całą, jak w noc, gdy zabiła męża. Nie było sensu dłużej uciekać przed tą prawdą.

– Dlaczego tak nagle ucichłaś? – ironizował nieznajomy, nachylając się nad Julią. – Pewnie myślałaś, że zabierzesz swoją tajemnicę do grobu, co? Nie spodziewałaś się, że w tamtym ciemnym zaułku mógł być ktoś jeszcze. A tu taka niespodzianka. – Zarechotał. – Nie bez powodu powtarzałem Beniowi, że wszyscy kłamią, ale ty kłamiesz najbardziej.

– Zamknij się! – Kopnęła na oślep i natychmiast poczuła żelazny uścisk na nodze i ostrze przy gardle. Zarys jego sylwetki oraz silnych ramion cały czas majaczył gdzieś w mirażu wspomnień.

Gdzie go widziałam? To pytanie nie dawało jej spokoju, ale ciemność uniemożliwiała znalezienie odpowiedzi.

– Bądź grzeczna, bo w przeciwnym razie do mediów trafi mail ze zdjęciami z tamtej nocy.

– Błefujesz. Gdybyś miał takie zdjęcia, już dawno wysłałbyś je policji.

– W innej sytuacji tak, ale ja szukałem cię od niemal dwudziestu lat i przez cały ten czas wyobrażałem sobie, jak będę cię krzywdził, gdy w końcu cię znajdę. – Mówił jej to prosto w twarz, tak że czuła wyraźnie jego kwaśny oddech. – Nie mogłem cię tak po prostu oddać policji.

Mężczyzna przysiadł na łóżku obok niej. Próbowwała się odsunąć, ale żelazne palce ścisnęły ją za kark.

– Tamtej nocy włóczyłem się bez celu wściekły i zmęczony, gdy niespodziewanie zauważyłem Hanera. Szliście pod rękę jak jakaś pieprzona para zakochanych. Prawie od razu rozpoznałem tego fiuta. Nigdy go nie lubiłem, wiesz? Zawsze uważał się za lepszego od innych, a kiedyś z premedytacją złamał mi nogę. Pomyślałem, że mógłbym się na nim wyżyć, i poszedłem za wami. Ja pierdołę, jak wszystko mi sprzyjało. – Zaśmiał się. – Nad miastem szalała burza, wokół żywej duszy, a wy leżliście prosto do zaułka bez wyjścia.

– Nie chcę tego słuchać. – Szarpnęła się, lecz dłoń na jej karku wzmocniła uścisk, a ostrze musnęło skórę.

– Ale będziesz, bo gdy tamtej nocy obserwowałem, jak Adam z gościem, który chciał was okraść, okładają się pięściami, wydarzyło się coś niezwykłego. Rzuciłaś się na nich i zamiast ratować męża, dźgnęłaś go nożem. Raz i drugi. Z dziką wściekłością. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego kochająca żona zamieniła się nagle w pierdoloną morderczynię. Stałem tam osłupiały, gdy on powtarzał w kółko „Julia, Julia”, a wtedy ty powiedziałaś...

– „Hela, mam na imię Hela” – weszła mu w słowo. – To powiedziałam, bo tamtej nocy dotarło do mnie, że mężczyzna, którego poślubiłam, i ten, który mnie zgwałcił, gdy miałam czternaście lat, był tą samą osobą.

Znów znalazła się tam, w ciemnej uliczce, z kroplami deszczu na nagich ramionach i strachem zatykającym gardło. Jej mąż siedział na napastniku i tłukł go odłamkiem kostki brukowej, krzycząc przy tym: „Jesteś śmieciem! Nikim. Skończonym zerem!”

Te słowa były jak fala uderzeniowa. Cisnęły Julią o mur wspomnień i sprawiły, że coś w niej pękło. I nagle wszystko stało się jasne. Znała je doskonale. Nie podobne, ale dokładnie te same słowa, wykrzyczane z identycznym nienawistnym sykiem. W przeblysku wspomnień zobaczyła siebie w lesie, na ziemi, a na sobie chłopaka, który uderzał pięściami w jej twarz zakrytą foliowym workiem. Gwałcił ją i wciąż powtarzał, że jest śmieciem.

I choć wtedy nie mogła i nie potrafiła, to dwadzieścia trzy lata później zdołała się obronić. Uratować dawną siebie, zabijając własnego męża.

To był impuls.

Niekontrolowany przez umysł akt, który zdawał się dziać poza nią. Jakby to nie jej ręce, ale dłonie tamtej czternastoletniej dziewczynki wymierzyły sprawiedliwość. Nastolatki, która pragnęła odwetu za swoją krzywdę i wierzyła, że tylko w ten sposób przestanie czuć się ofiarą. To Hela pozbawiła Adama życia, ale to Julia musiała radzić sobie z konsekwencjami jego śmierci i nauczyć się żyć bez ukochanego mężczyzny.

Drgawki wstrząsnęły jej ciałem. Siedziała obok tego obcego człowieka, który podawał się za przyjaciela Benia, i nie mogła przestać się trząść, gdy z dołu dobiegło wołanie Roberta.

– Julio?! Wszystko w porządku?

Zastygła, a w jej sercu obudziła się nadzieja. Nieznajomy przycisnął ręką jej usta.

– Teraz grzecznie odegrasz swoją rolę – oznajmił, ściągając ją z łóżka. – Zejdiesz tam i powiesz, że Beniamina we śnie odwiedził jego przyjaciel. Że to nic poważnego i że może wracać do łóżka. Zrozumiano?

– Chciałbyś. – Wierzgnęła, próbując wyswobodzić się z uścisku.

– Nie zapominaj, że mam to. – Pokazał jej zdjęcia w telefonie.

W kadrze widniała ona z twarzą bez wyrazu i nożem w ręku, wisząca nad Adamem. Poczuła, jak czeluść w niej się otwiera.

– Julio?! Jesteś tam? – krzyknął ponownie Wagner.

– Idź! – Nieznajomy wypchnął ją na korytarz, po czym zapalił światło na schodach.

Wtedy z ciemności wyłoniła się twarz mężczyzny, który pomagał składać łóżko Maciejowi Molendzie.

Julia wzięła gwałtowny wdech.

– Boże, to ty! Kim, do cholery, jesteś?

– Twoim koszmarem – powiedział, szczerząc poźółkłe zęby.

Maj 1996

Pierwszą myślą, która przysłała mu do głowy, gdy otworzył oczy i zobaczył biały sufit, była ta, że to koniec. Że być może nie żyje i znajduje się po tej drugiej stronie. Dopiero widok innych pacjentów na łózkach oraz stukot butów przebiegających korytarzem pielęgniarek uprzytomnił mu, gdzie przebywa. Tuż przed przyjazdem policji z bólu stracił świadomość, przez co teraz nie potrafił zrekonstruować sekwencji zdarzeń. Nie wiedział, kto go odciął i od jak dawna leży w szpitalu, a gdy się nad tym zastanawiał, próbując ułożyć chaotyczne elementy w spójny obraz, do sali wszedł lekarz.

– Dzień dobry, jak pan się czuje? – zapytał, zaglądając w kartę wiszącą na łóżku.

– Głowa mnie boli – wychrypiął Cichy, pocierając skronie. W ustach czuł suchość.

– Ma pan złamane dwa żebra, kość piszczelową i poważne oparzenia na lewym udzie, ale powinien się pan z tego wykaraskać. Właściwie to w całej tej tragedii miał pan sporo szczęścia, jakiś mądry człowiek schłodził pana rany, dzięki czemu...

– Doktorze! – Do pokoju wbiegła zarumieniona pielęgniarka. – Muszę pana pilnie prosić na trójkę.

Mężczyzna pożegnał się zdawkowo, a kiedy wyszedł, Sebastian przypomniał sobie koszmary, które go prześladowały, gdy jego umysł spowijała mgła. W snach Jakub Czaja rzucał go na pożarcie wilkom i raz za razem, jak ze zdartej płyty, powtarzał przy tym „weźcie go sobie”. Jakby Sebastian był nic niewartym kawałkiem mięsa, którego można się pozbyć w ten sposób.

Cichy nie miał pojęcia, co stało się z Szajbińskim, jego kompanami i przyjaciółmi Mikięgo. Pamiętał, że kiedy wrzeszczał z bólu, któryś z nich przybiegł z gaśnicą i cały świat zasnuła chmura białego dymu. Resztę tej nocy widział w następujących po sobie, niewyraźnych kadrach, które nie zachowywały logicznej chronologii. Na taśmie przymglonych wspomnień zapisały się: trzask kości, gdy Haner zdzielił go w piszczel, przepraszające spojrzenie Maćka Molendy, niezdarność tego kujona w okularach, Lazara, wahanie Falka, zanim go uderzył, i rozżarzony tasak w ręce Szajby.

Sebastian chciał, by to Wiktor poniósł karę za jego tortury. Wiedział, że jeśli w rozmowie z policją wymieni wszystkich uczestników znęcania, odpowiedzialność się rozmyje, a on będzie miał przeciwko sobie armię prawników, którym zapłacą bogaci starzy chłopaków z drużyny. Co więcej, zakładał, że licealiści również zechcą zepchnąć winę na Szajbińskiego. Dlatego uzgodnił ze sobą, że kiedy w szpitalu zjawią się funkcjonariusze, by wypytać o to, co zaszło w lesie, będzie mówił tylko o Szajbie.

I choć wydawałoby się, że to do Wiktora powinien czuć najgłębszą nienawiść, to nie jego Cichy obarczył winą za swoje poczucie krzywdy. Ten ciężar zrzucił na barki trenera Czai. To on go zdradził i porzucił. Podnosząc się ze szpitalnego łóżka, pod którym trzeszczały sprężyny, poprzysiągł sobie zemstę na Jakubie i na wszystkim, co było mu drogie. Z tą myślą, znosząc przyćmiony lekami ból, wyszedł na korytarz. Sunął przy ścianie, kuśtykając ostrożnie, tak by nie stanąć całym ciężarem ciała na zagipsowanej nodze. Dopiero przechodząca obok pielęgniarka na widok chłopaka zareagowała oburzeniem.

– A co tu się wyprawia? Czyś ty, dzieciaku, zwariował? – Usiłowała wziąć go pod ramię, ale się jej wyrwał. – Do łóżka, i to już. A jak trzeba do toalety, to trzeba mówić. Przyniosę kulę albo basen czy kaczkę i będzie po sprawie. Nie ma się co wstydzic.

– Wolałbym sam. Dam radę – bronił się, próbując umknąć kobiecie.

– Krzywdę sobie zrobisz! – krzyknęła. – Stój tu i się nie ruszaj – nakazała, po czym przyniosła mu kulę.

– Teraz możesz iść. Zaczekam, żeby później odprowadzić cię na salę.

Westchnął ciężko, w myślach nadając tej postawnej kobiecie przydomek cerbera, ale wziął od niej kulę. Przekraczał już próg łazienki, gdy coś go zastanowiło.

– Czy moi rodzice wiedzą, że tu jestem?

– Tak – odparła pielęgniarka, polerując spojrzeniem linoleum. – Twój ojciec rozmawiał rano z lekarzem, podpisał dokumenty i odjechał.

– Nie odwiedził mnie na sali, prawda?

Kobieta pokręciła smutno głową, a on poczuł gorycz napływającą do ust i odszedł, by jak najszybciej zamknąć się w toalecie.

Zatrzasnął za sobą drzwi i podtrzymując się ścian, z jękiem opadł na zamkniętą klapę sedesową. Miał ochotę wrzeszczeć, ale jednocześnie wiedział, że aby wyrwać się ze szpitalnych murów, musi sprawiać wrażenie wystarczająco silnego. W głowie miał mętlik. Czuł się rozdarty między złością na rodziców, tęsknotą

za siostrą i pogardą dla trenera. Targały nim nienawiść i strach, a on stał się jeńcem tych uczuć.

Podrygiwał niespokojnie prawą nogą, rozważając, czy nadal chce się przyznać do napaści na Mikięgo. I bardzo szybko stwierdził, że nie. Po tym, czego doświadczył w mieszkaniu Jakuba Czai, a później na polanie w lesie, jego serce zhardziało. Nie miał w sobie więcej miejsca na współczucie. W trzewiach Sebastiana płonął już tylko gniew. Bo skoro świat traktował go niesprawiedliwie, to on postanowił odpłacić światu tym samym.

Uchylił lekko drzwi od toalety, by wyjrzeć na korytarz i zobaczyć, czy kobieta w kitlu nadal tam stoi. Pielęgniarka rozmawiała z jakimś mężczyzną w wieku jego ojca. Nieznajomy miał na sobie wymięte ubranie, sińce pod oczami i cerę szarą jak popiół. Tłumaczył coś, ocierając łzy chusteczką, a gdy z ust pracownicy szpitala padło słowo „łom”, Cichy zastygł i nadstawił ucha.

– Tak, znaleźli go w krzakach niedaleko tego miejsca, gdzie leżał mój syn – potwierdził mężczyzna. – Podobno są na nim jakieś odciski palców. Policja już to sprawdza.

Sebastian prawie zemdlał. A kiedy zauważył, że ojciec Mikięgo zmierza do łazienki, zaczął spazmatycznie oddychać. Pospiesznie zamknął się w kabinie, a po chwili usłyszał, że ktoś wchodzi do sąsiedniej toalety. Dolatywały go odgłosy oddawania moczu, a później mycia rąk i żalosnego płaczu. Nie mogąc tego dłużej znieść, dźwignął się z wysiłkiem i wytoczył z toalety.

– Przepraszam – powiedział mężczyzna przyłapany na łkaniu, jakby to było coś wstydliwego.

– W porządku – pocieszył go Cichy, wkładając ręce pod wodę.

Jego ruchy były nerwowe i chaotyczne. Miał nadzieję, że mężczyzna nie dostrzeże drżenia jego dłoni i nie zechce kontynuować rozmowy, ale on, jak na złość, miał inne plany. Spojrzał na chłopaka wzrokiem zasnutym mgłą i zapytał:

– Myślisz, że w życiu wszystko można wybaczyć?

Tętno Sebastiana podskoczyło. Pewien, że ojciec Mikięgo widzi żyły pulsujące na jego skroniach, wyszarpnął z podajnika zwitek ręczników papierowych i beładnie ocierał nimi dłonie. Coś w jego wnętrzu krzyczało, że musi mu powiedzieć. Że to, co zrobił, choć wcale nie chciał, było niewybaczalne, lecz nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

– Przepraszam – powtórzył mężczyzna, a później ciężkim krokiem wyszedł z łazienki.

Cichy przymknął powieki, opierając ręce na umywalce, gdy z szumu huczącego w jego głowie wyłonił się stanowczy głos dochodzący gdzieś zza pleców.

– Sebastian Cichecki?

Nastolatek otworzył oczy i zauważył w lustrze odbicia dwóch funkcjonariuszy. Na ich widok gwałtownie wciągnął powietrze i poczuł, jak żołądek zamienia mu się w kamień.

– To ja – wyszeptał.

– Musimy porozmawiać.

Julia

Wrzesień 2019

Stopnie schodów trzeszczały pod jej stopami. Przez otwarte drzwi do domu wpadało chłodne nocne powietrze, a myśli w głowie Julii wiły się i syczały jak żmije w kłębowisku. Co robić? Do licha ciężkiego, co robić?! Uciekać, krzyczał głos w jej umyśle. Rzucić się przed siebie i gnać ile sił w płucach. Ale wtedy ten zamek z piasku, który od dwóch miesięcy pieczołowicie budowała, rozsypałby się jak za podmuchem silniejszego wiatru. Nie mogła na to pozwolić.

Nie obchodziło jej, że wszyscy poznają prawdę. Przerazające było tylko to, że pozna ją Benio. Bo choć poniżona dziewczynka w niej uśmierciła człowieka, który dopuścił się potwornego czynu, to w oczach syna zabiła jego ukochanego tatę. Była pewna, że chłopiec znienawidzi ją za to równie mocno, jak ona siebie. Dlatego musiała zrobić wszystko, by nigdy się o tym nie dowiedział.

Przykleiła do twarzy uśmiech, poprawiła włosy i stanęła w progu, z zaskoczeniem spoglądając to na Benia, to na Roberta.

– Co tu się dzieje? – grała zagubioną. – Synku, wszędzie cię szukałam. Gdzie byłeś? Jest środek nocy. Chłopiec w piżamie otworzył szeroko usta i gapił się na matkę oniemiały.

– Wybacz to najście, ale Benio przybiegł do mnie, mówiąc, że wrócił jego przyjaciel i chce wam zrobić krzywdę. – Wagner wychylił się na wózek, by zajrzeć w głąb domu. – Zaniepokoiłem się.

Julia przygryzła wargę i westchnęła ciężko, a potem kucnęła obok malca, biorąc jego maleńkie dłonie w swoje.

– Kochanie, to był tylko sen. To się nie wydarzyło naprawdę. On już sobie poszedł.

Gardziła sobą za każde kłamstwo, które przechodziło przez jej usta. Patrzyła w zdeorientowaną twarz syna, głaszcząc opuszkami jego szczupłe palce, a chłopiec uparcie kręcił głową.

– Nie, mamo, on tam nadal jest. – Zerkał z przerażeniem w ciemne okna na piętrze.

– Beniu, błagam cię, rozmawialiśmy o tym tysiące razy. Naprawdę musisz to robić teraz? Twój przyjaciel nie istnieje, wyobraziłeś go sobie – powiedziała zmęczonym głosem, przeciągle ziewając. – Pożegnaj się z wujkiem i wracajmy już do łóżka.

Sześciolatek zrobił obrażoną minę, a następnie wtulił się szczupłym ciałkiem w Roberta, który pogłaskał włosy chłopca.

– Mógłbym dziś u ciebie spać, wujku? – zapytał malec.

Wagner zaskoczony ściągnął brwi.

– Eee, właściwie to czemu nie? – Spojrzał kontrolnie na Julię, która ścisnęła w palcach rękawy piżamy i na migi usiłowała dać mu do zrozumienia, że to fatalny pomysł. – Jutro planowałem usmażyć na śniadanie omlety. Lubisz? – zwrócił się do przedszkolaka.

– No pewnie!

– Kochanie, przykro mi, ale nie możemy robić wujkowi kłopotu – wtrąciła Julia, czując, jak z nerwów spinają się jej wszystkie mięśnie.

– Daj spokój, to żaden kłopot. – Robert machnął ręką. – Sama mówiłaś, że jesteś skonana, a dzięki temu masz szansę porządnie się wyspać. Zmykaj i nie dyskutuj – zarządził, puszczając oko do sześciolatka. – Chodź, smyku, damy twojej mamie trochę odpocząć.

Wagner zawrócił wózkami, a jej syn biegł już w stronę otwartej furtki po drugiej stronie ulicy.

– Robert, zaczekaj! – zawołała za nim, ale on tylko uniósł rękę i pomachał do niej.

– Uciekaj, zanim się rozmyślisz!

Cholera jasna, przekłęta w myślach. Zdawała sobie sprawę, że w ten sposób ochroni Benia, i właściwie była wdzięczna Wagnerowi, ale przerażeniem napawała ją gniew mężczyzny, który czekał w domu. Wchodząc po schodach, nerwowo przełknęła ślinę, a gdy tylko przekroczyła próg, nieznajomy rzucił się na nią jak drapieżnik. Chwycił ją za gardło i przygwoździł do ściany z takim impetem, że wisząca tam ramka ze zdjęciem spadła na podłogę, a szybka w niej pękła. Julia zaczęła się dusić.

– Ty głupia dziwko! Miałaś wrócić z dzieckiem.

Czerwona na twarzy wymachiwała ramionami, próbując odepchnąć napastnika. Krzyczała, ale z jej ust dobywało się jedynie niezrozumiałe rżenie. Przed oczami zaczęło się jej robić ciemno. Szum w głowie

narastał.

I w końcu się poddała. Jej ramiona opadły bezwładnie, opór zelżał. Wtedy nieznajomy ją puścił.

– Choć w sumie może tak będzie lepiej – stwierdził, drapiąc ostrzem zarost. – Przecież chodzi mi o ciebie, nie o niego.

– Co ja ci takiego zrobiłam? – wychrypiała, leżąc półprzytomna na podłodze.

– Ty nic, ale twój ojciec zabrał mi kiedyś kogoś, kogo kochałem, i teraz ja zrobię mu to samo.

Złapał Julię za ubranie i zaczął ją ciągnąć do salonu. Była zbyt słaba, by się bronić. W jej głowie wciąż huczało, w płucach palił ogień. Dlatego pozwoliła, by mężczyzna szarpał ją jak bezwolną kukłę.

Pchnął Julię na krzesło, a później wyjął z kieszeni bojówek srebrną taśmę.

– Okłamał mnie, wiesz? – mówił, krępując jej ręce za oparciem krzesła. – Potracił moją pięcioletnią siostrę, a później zostawił ją na ulicy, żeby umarła.

– Mój ojciec nigdy... – szepnęła, ale jej przerwał.

– Twój ojciec patrzył mi w oczy i zapewniał, że jestem dla niego jak syn, gdy w tym samym czasie Wiktoria wykrwawiała się na śmierć! – wrzeszczał, a drobinki jego śliny spadały na twarz Julii.

– Nie, to niemożliwe. Wiedziałabym. On wyjechał za granicę.

– Bzdura! Trafił do pierdła za to, co zrobił – oznajmił, a dostrzegając szok na jej twarzy, uśmiechnął się. – Co? Kochany tatuś się nie przyznał? No proszę, czyli ciebie też okłamywał. Wiesz, że wciągnął mnie w to gówno, żebym pomógł mu znaleźć twoich gwałcicieli? A kiedy zrobiłem wszystko, czego chciał, rzucił mnie lwom na pożarcie, jakbym był nic niewartym śmieciem. Tym był twój ojciec, bezdusznym sukinsynem – syknął.

Skupiony na swoim gniewie napastnik nie zauważył tego, co dostrzegła Julia. Korytarzem toczył się w ich stronę Robert. Uniósł palec do ust i spojrzeniem wskazał stojący na kominku świecznik.

Co on wyprawia, do cholery? W głowie Julii rozwyły się syreny alarmowe. Wstrzymała oddech. A wtedy Wagner najechał kołem na deskę, która skrzyknęła pod ciężarem wózka. Nieznajomy przerwał krępowanie nóg Julii i odwrócił się raptownie.

– Oto i on, bohater we własnej osobie. – Rozłożył ramiona, zmierzając w kierunku Roberta jak ktoś, kto wita przyjaciela niewidzianego od lat.

– Żebyś wiedział – odparł Wagner, a później spod koca leżącego na jego kolanach wyjął przedmiot, który przypominał niewielki pistolet, i wycelował nim w napastnika. – Za dawne czasy, Cichy – rzucił, po czym nacisnął spust.

Urządzenie wystrzeliło dwie elektrody, a te haczykami wbiły się w koszulkę zdezorientowanego mężczyzny. Jego ciało raził prąd. Cichecki poleciał do tyłu i upadł na podłogę. Leżał tam oszołomiony, ale po chwili powoli zaczął odzyskiwać jasność. Wyrwał przewody z brzucha, potrząsnął głową, a następnie dźwignął się i na chwiejnych nogach ruszył na Julię. Ta, uwolniwszy nogi, desperacko tarła rękoma o ostrą kamienną krawędź kominka, w nadziei, że zdoła rozedrzeć taśmę.

– Nigdy mnie nie przeprosiłeś, Sebastian! – zawołał Robert, przyciągając uwagę mężczyzny. – Więc może to wcale nie była pomyłka. Może od początku chciałeś dopaść mnie, nie Szajbińskiego.

– Gówno wiesz! – syknął Cichy, uderzając się dla otrzeźwienia dłońmi w policzki, a potem zacisnął silne ręce na szyi Wagnera.

Dyszał jak zwierzę, które nie ma w sobie już nic z człowieka. Z dzikim spojrzeniem i żyłami nabrzmiętymi na skroniach miażdżył tchawicę Roberta, gotów zabić. Wtedy na jego głowę spadł pięcioramienny mosiężny świecznik. Metal zadzwonił o czaszkę, a mężczyzna runął na ziemię i uderzył szczęką o podłogę.

– Niewiele brakowało – wychrypiał Wagner, masując szyję. – Zwijamy się stąd.

– A co z nim? – Julia omiotła wzrokiem leżącego nieruchomo napastnika, z którego głowy sączyła się krew.

– Skrępuj mu ręce i nogi. – Robert wskazał leżącą na ziemi taśmę.

– Nie powinniśmy kogoś zawiadomić? – spytała po chwili, unieruchamiając napastnika.

– Zrobiłem to wcześniej. Policja na pewno jest już w drodze. Chodź. – Pociągnął ją za rękę. – Kazałem Emilii zabrać Benia. Zaczekają na nas w bezpiecznym miejscu, zawiozę cię tam.

Julia czuła się skołowana. Świat wirował przed jej oczyma, tracił kontury i kształty. Nim wyszła, przystanąła w progu i ostatni raz spójrzała na Cichego. Przypominała go sobie. To on był tym wystraszonym

dzieciakiem, który przyszedł do jej pokoju, dawno temu. W nocy, gdy krzyczała. Z zakamarków umysłu wróciły do niej słowa. Ledwie słyszalne, jakby dochodzące z bardzo daleka. „Spokojnie, niczego ci nie zrobię”. Pokręciła ze smutkiem głową, a później wyszła w noc i wsiadła do samochodu Wagnera.

Maj 1996

– Potrzebuję twojej pomocy – oznajmił Jakub, gdy kobieta w długiej spódnicy ostrożnie uchyliła drzwi mieszkania na warszawskim Grochowie.

Było niewiele po szóstej. Ulicami ze zgrzytem przemykały ospałe tramwaje. Na klatce panował niezmacony jeszcze spokój. Windy leniwie kursowały po piętrach, a właściciele psów, ziewając, wyprowadzali swoich pupili na przybłokowe trawniki. Lokatorka spod dwudziestki przesunęła nieufnym spojrzeniem po wypchanej walizce stojącej obok mężczyzny i nastolatce, którą kurczowo ścisnął za rękę.

– Wejdźcie – powiedziała, otwierając szerzej drzwi.

Kiedy znaleźli się w korytarzu wyłożonym boazerią i ozdobionym wiszącymi na ścianach obrazami, kobieta objęła dziewczynę, szepcząc z przejęciem:

– Moje dziecko.

Nastolatka nie odwzajemniła gestu. Stała nieruchomo jak sklepowy manekin. Sztywna i nieobecna. Z zamglonym wzrokiem i siniakami na twarzy. Zdezorientowana kobieta spojrzała na Jakuba, szukając w nim odpowiedzi, ale on tylko się skrzywił, jakby dostał cios w brzuch, i skrępowany podrapał chrząszczący zarost.

– Jest zmęczona. Połóż ją na kanapie w salonie i wtedy porozmawiamy.

Gdy przykrywał córkę kocem, słyszał szum odkręcanej wody oraz odgłosy kuchennej krzątaniny. Obawiał się, jak siostra przyjmie jego prośbę. Od kilku lat była wdową, pracowała w liceum plastycznym jako nauczycielka malarstwa i rysunku, a wszystkie wolne chwile spędzała na tworzeniu własnych obrazów. W jej życiu nie było przestrzeni na to, czym chciał ją obarczyć. Wiedział, że nie powinien jej o to prosić, a jednocześnie czuł, że nie ma innego wyjścia.

Założył kosmyk jasnych włosów Heli za ucho, pocałował córkę w skroń i wyszedł z pokoju, walcząc z uwierającym przeczuciem, że więcej jej nie zobaczy.

– Mów – zażądała kobieta, gdy tylko zjawił się w progu kuchni.

Jakub zajął miejsce przy stole, bokiem do siostry, bojąc się patrzeć jej w oczy. Zwilżył językiem wargi i zaczął zdrapywać z blatu zaschniętą plamę po keczupie.

– Potrafiłem dziewczynkę. Ona... – Zawahał się. – Ta mała zmarła w szpitalu dwa dni temu. Chcę się oddać w ręce policji.

Kobieta po drugiej stronie stołu milczała, jakby jego wyznanie odebrało jej zdolność mówienia.

– Hela o niczym nie wie i nigdy nie może się dowiedzieć. Nie chcę, by widziała we mnie mordercę. Zabiłem pięcioletnie dziecko. Popełniłem błąd i muszę teraz za niego zapłacić, ale nie mogę pozwolić, by przeze mnie cierpiała Hela – wykrztusił, obejmując drżącymi palcami szklankę.

Herbaciane fusy powoli opadały na dno naczynia, gdy jego siostra zapytała:

– Jak do tego doszło?

– To był wypadek – zaczął, a potem z jego ust wysypało się to wszystko, o czym nikomu jeszcze nie opowiadał.

O tym, jak znalazł Helę w wannie, o obrzydliwych pytaniach policjantów na komendzie, gdy składali zeznania, i o ciężącym w dłoni kluczu francuskim, którym był gotów rozłupać czaszkę Szajbińskiemu. O swoim zagubieniu, wściekłości i alkoholu. A wreszcie także o ostatniej nocy, gdy ratując córkę, wydał wyrok na chłopaka, którego niegdyś ocalił.

Kiedy skończył, kobieta szepnęła:

– Mój Boże. Dlaczego nie zadzwoniłeś? Przyjechałabym, starałabym się jakoś pomóc.

– Teraz możesz to zrobić. Chcę, żeby Hela została z tobą. Musisz ją adoptować, wtedy będziesz mogła decydować o wszystkim, co jej dotyczy, a ona nie będzie nosiła nazwiska zabójcy.

– Co ty wygadujesz? To obłąd, Kuba.

– Nie, tylko tak zdołam ją przed tym ochronić. Żadnych odwiedzin w więzieniu, żadnych listów. Powiedz jej, że musiałem wyjechać, że bardzo ją kocham i wrócę, jak tylko będę mógł.

Jego siostra z niedowierzaniem kręciła głową.

– Oszalałeś? Ona musi wiedzieć, co się dzieje. Ta dziewczyna straciła już matkę, nie możesz tak po prostu zniknąć na lata!

– Nie mam innego wyjścia. Błagam, nie mów nic Heli. – Desperacko złapał siostrę za rękę. – Ona nigdy mi tego nie wybaczy.

– A ty? Ty sobie wybaczysz? To, że ją zostawiłeś z ciotką, nie siląc się nawet na wyjaśnienie?

Mężczyzna podniósł się z krzesła i zaczął nerwowo chodzić po kuchni, przesuując dłońmi po włosach, a następnie przykucnął obok nóg kobiety.

– Zrozum, Anita, ona została zgwałcona. Przeżyła traumę i nie potrzebuje kolejnej, bo to ją zabije – mówił ze łzami w oczach. – Wyciągnij ją z tego stuporu. Pilnuj, żeby nie oglądała telewizji i nie czytała gazet. Zadbaj o to, żeby była szczęśliwa, bo ja jej tego nie zapewnię.

– Prosisz mnie o zbyt wiele.

– Nie proszę dla siebie, tylko dla niej. Ja nie chcę niczego. Będę do was dzwonił.

– I co jej powiesz? Że gdzie jesteś?

– Za granicą albo w pracy, nie wiem. Coś wymyślę. O nic się nie martw. Zostawię ci pieniądze...

– Tu nie chodzi o pieniądze! – przerwała mu gwałtownie. – Co mam odpowiadać Heli, gdy zaczniesz zadawać pytania? Nie dam rady jej okłamywać. Nie potrafię.

Jej dłonie się trzęsły, dlatego Jakub położył na nich swoje silne ręce.

– Poradzisz sobie. Kiedy nasi rodzice zmarli, byłeś dla mnie jak mama. Teraz bądź nią dla Heli. A kiedy zapłacę za swoje grzechy, wrócę do was i wszystko będzie jak dawniej.

Kobieta przymknęła powieki i wypuściła powietrze z płuc.

– Nic już nie będzie jak dawniej, Kuba, wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– Wiem – odparł, a później położył głowę na kolanach swojej starszej siostry i przez chwilę poczuł się jak wtedy, gdy świat nie wyciągał po niego swoich zakrzywionych pazurów.

*

– Co zrobiliście?! – ryknął Grzegorz Haner, zrywając się z kanapy.

Adam drgnął. Siedział zgarbiony na fotelu obok. Łokcie oparł na kolanach, spojrzenie wbił w dywan, a w palcach ścisnął kamień, z którym wrócił do domu. Nic nie mówił, tylko pocierał dłonie w nerwowym oczekiwaniu.

– Przecież teraz, zamiast na studia, wszyscy traficie do więzienia – kontynuował swoją tyradę ojciec chłopaka. – Co z twoją przyszłością? Co z naszą reputacją? Wszystkim już powiedziałem, że wybierasz się do Londynu! – wykrzykiwał, przechadzając się po salonie. – Jak mogłeś być tak głupi?

– Przestań, Grzesiek – wtrąciła matka Adama, która siedząc na kanapie, sączyła wiśniową nalewkę.

– Co: przestań? Zmarnował tyle lat naszej ciężkiej pracy. Nie po to opłacałem szkoły językowe, korepetycje, zajęcia piłki nożnej i trenera pływania, żeby się teraz za niego wstydzić!

Licealista podniósł gniewny wzrok na ojca, ale zanim zdążył mu odparować, jego matka zadzwoniła paznokciem o szkło i odstawiła kieliszek na ławę.

– Nikt nie będzie się musiał za nikogo wstydzić – powiedziała, patrząc na męża z chłodną stanowczością. – Sprowadzę najlepszego prawnika, jakiego znam. Zapłacimy tamtym chuliganom za milczenie i zrobimy wszystko, by wyciągnąć Adasia z tego gówna.

Grzegorz Haner, który oparł łokieć o obudowę kominka, przeklął siarczyście i z wściekłością wyrzucił w górę ręce, strącając niechcący ramkę z ich rodzinnym zdjęciem. Szkło pękło dokładnie na środku, oddzielając mężczyznę o poważnym wyrazie twarzy od kobiety obejmującej nastoletniego syna.

– No tak, Adaś, twój ukochany synek, sens twojego życia – rzucił ironicznie.

– Mówisz, jakbyś był o niego zazdrosny – stwierdziła Danuta, unosząc do ust kieliszek, ale mąż wyrwał go jej i cisnął szkłem o podłogę.

Czerwona wiśniówka rozlała się po klepkach parkietu.

Małżonkowie w ciszy patrzyli sobie w oczy. Nikt się nie poruszał. W powietrzu zawisło coś strasznego, jakby zapowiedź nadchodzącej burzy. Chłopak spięty przyglądał się rodzicom, a jego płuca z trudem pompowały powietrze.

– Zawsze kochałaś go bardziej niż mnie – drżącym głosem wyznał Grzegorz. – Czasem może nawet bardziej, niż powinnaś.

Ledwie to powiedział, a dłoń Danuty z głośnym plaśnięciem wylądowała na jego policzku.

– Nigdy więcej nie waż się w ten sposób do mnie mówić.

Mężczyzna złapał się za twarz, a później wyszedł z domu, zatraskując za sobą drzwi. Adam, niezdolny do tego, by cokolwiek powiedzieć, siedział sztywno, wpatrzony w nieistniejący punkt przed sobą, a z jego oczu

płynęły łzy.

Wtedy Danuta podeszła do syna. Stanęła za jego fotelem i nachylając się, położyła dłonie na piersi chłopaka, a wargi zbliżyła do jego ucha.

– Zawsze będziesz moim małym chłopcem. Nie pozwolę, by kiedykolwiek stała ci się krzywda – wyszeptała, muskając ustami policzek Adama.

Nastolatek trwał nieruchomo jak posąg, w dłoni coraz bardziej zaciskając kamień, który ciął skórę do krwi, a w myślach wrzeszcząc tylko dwa słowa: „Nienawidzę cię”. Nie powiedział jednak nic.

Tak jak przez wszystkie minione lata.

Julia

Wrzesień 2019

Powinna czuć ulgę, ale coś nie dawało jej spokoju. Noc pożerała czarnego focusa, a Robert pruł przez miasto, z wprawą sterując gazem i hamulcem za pomocą drążka umieszczonego pod kierownicą. Julia w nerwach zdrapywała z paznokci lakier. Klimatyzacja dmuchała gorącym powietrzem, ale jej i tak było zimno. Nasunęła piżamę na dłonie i skuliła się na siedzeniu. Za oknami rozciągał się gęsty sosnowy las. Ponury i mroczny o tej porze.

Dokąd on mnie wiezie? Panika skradała się do niej jak drapieżnik.

– Robert, dokąd jedziemy?

– Już blisko – zapewnił.

Skręcił w lewo, mijając oblażący z tynku budynek z neonem „Delfina”.

– To tu? – ożywiła się.

– Litości, nie, to motel na godziny. prostytutki regularnie świadczą w nim swoje usługi. Brzydziłbym się tam czegokolwiek dotknąć.

Nagle dogoniło ją wspomnienie czekoladek w złotych papierkach, które widziała w samochodzie Witka.

– Mają coś wspólnego z tymi pralinami Delfina?

– No proszę, słyszałaś o nich. – Robert spojrział na Julię z rozbawieniem. – Podobno właściciel motelu wciska je wszystkim odwiedzającym. Żeby budować miłe skojarzenia.

Julia przywołała w pamięci dziwne słowa mechanika, gdy spytała go o czekoladki. Powiedział, że to prawdziwy rarytas. Skrzywiła się, zdając sobie sprawę, że najpewniej miał na myśli coś zgoła odmiennego niż słodczyce.

Wagner kluczył szutrową drogą, by po chwili zjechać w leśną serpentynę. Światła forda wyłuskiwały z czerni fragmenty drzew i powykrzywianych gałęzi, a Robert zaczął pogwizdywać melodię z *Kill Billa*.

Intuicja Julii dźgała ją w pierś. Pod jej powiekami przesuwaly się kadry. Robert w kurtce dzinsowej. Robert wpatrzony w Adama jak w obrazek. Gotowy zrobić wszystko, by zdobyć uznanie jej męża. A co, jeśli się pomyliła? Jeśli źle wytypowała pozostałych sprawców gwałtu?

– Genialnie radzisz sobie za kierownicą. Nauczyłeś się jeździć, zanim doszło do wypadku? – zapytała, z nerwów wbijając paznokcie w uda.

– Tak, ale wsiadałem za kółko nielegalnie już wcześniej, nie miałem wtedy jeszcze prawka – wyznał.

– Jako siedemnastolatek często podkradałem wóz ojca. Jeździliśmy z chłopakami po lesie i śpiewaliśmy na całe gardła, wychylając się przez otwarte okna. Boże, jak ja to kochałem! – Uśmiechnął się. – No, może poza obrzydliwym zapachem kadzideł. Mój ojciec miał na ich punkcie fioła. Palił je wszędzie, nawet w samochodzie, a później wszystko przechodziło tym smrodem.

Panika, która dotychczas czekała przyczajona, rzuciła się Julii do gardła. A więc to był on. Na samo wspomnienie duszącego zapachu w bagażniku, w którym ją wieźli do lasu, niemal dostała torsji. Nie mogła złapać tchu, a obrączka, którą kręciła na palcu, spadła i wturlała się pod fotel. Julia nawet nie drgnęła. Jej wzrok panicznie przykleił się do klamki w drzwiach. Tętno wzrosło.

Uciekaj! – krzyczało w niej wszystko, ale nie mogła. Jeszcze nie. Najpierw musiała poznać prawdę.

Przełknęła ślinę.

– Nie wezwałeś żadnej policji, a my wcale nie jedziemy do Emilii i Benia, mam rację?

– Długo ci to zajęło – odparł Wagner, nagle zimnym jak stal głosem.

Położyła rękę na podłokietniku, zbliżając palce do klamki.

– To byłeś ty. Ty prowadziłeś tamten samochód w dziewięćdziesiątym szóstym – stwierdziła.

– Kto by to pamiętał. To było tak dawno temu. Szkoda, że ty nie zapomniałaś. Mogłaś sobie spokojnie żyć. Nie trzeba było wracać.

Krew zawrzała jej w żyłach.

– Spokojnie?! Po tym, co mi zrobiliście? Twój idol musiał być z ciebie dumny – prychnęła. – Mały Robercik stanął na wysokości zadania. Ale wiesz co? Byłeś tylko jego marną kopią. Żalonym lizusem, który zależał od humorów Adama. Sam nie znaczyłeś nic.

– Auć!

– Kto był tam jeszcze z wami, Feliks? Maciek?

Wagner się roześmiał.

– Chciałabyś wiedzieć. Po to przyjechałaś, prawda? Heleno. – Spojrzał na nią oczami czarnymi jak noc. – Muszę przyznać, że dałem ci się nabrać. Zmyliły mnie te zielone soczewki i nowy kolor włosów. Poza tym minęło tyle lat. Naprawdę myślałem, że jesteś zdruzgotaną wdową... ale potem zaczęłaś zadawać za dużo pytań. Maciek przyłapał cię na myszkowaniu w jego kuchni, a ja widziałem, jak przecięłaś opony w samochodzie Witka i szukałaś czegoś w środku. To mnie zaintrygowało. Dlatego odwiedziłem dom pod twoją nieobecność, by znaleźć odpowiedź na pytanie, kim, do licha, jesteś.

– I wyszedłeś z niczym.

– Wręcz przeciwnie. Za koszem w kuchni leżał zgnieciony w kulkę jeden z listów z pogrózkami. Ten, który źle się wydrukował. „Wiem, co zrobiłaś w maju dziewięćdziesiątego szóstego” – zacytował. – Naprawdę tylko tyle zdołałaś wymyślić? Poza tym byłaś cholernie nieostrożna. Na półce w twoim salonie natrafiłem na książkę, nagrodę za wyniki w nauce dla Heleny Czai. Przeczyłaś to.

Julia zamarła. Patrzyła na gęstniejący las za szybą, nie czując, czy jej serce jeszcze bije, czy już stanęło. Jej palce objęły klamkę.

– Robert, wypuść mnie – podjęła ostatnią próbę.

– Wiesz, że nie mogę. Zrobiłaś za dużo zamieszania i teraz musisz zniknąć. Najpierw ty, a później Cichecki, na którego to wszystko spadnie.

Wbiła wzrok w okno. Wystarczy pociągnąć uchwyt i skoczyć. Jest inwalidą, nie dogoni mnie, powtarzała sobie.

– Co zrobiłaś z Beniemiem? – To jedno musiała jeszcze wyjaśnić.

– Nic. Śpi grzecznie w domu dobrego wujka Roberta. Ale nie martw się, nie obudzi się przed świtem. Zadbałem o to.

Wagner rozciągnął usta w cynicznym uśmiechu, a wtedy w Julii coś wybuchło.

– Do zobaczenia w piekle – powiedziała i otworzyła drzwi, a później rzuciła się w ciemność.

Jej ciało toczyło się, zahaczając o złamane gałęzie, kamienie i krzewy. Starła się osłonić twarz, ale ręce odmawiały jej posłuszeństwa, miotane na wszystkie strony. Nagle w jednej z nich coś niepokojąco chrupnęło. Julia zawyla z bólu, a potem uderzyła plecami o pień drzewa i się zatrzymała. Nie tracąc czasu, dźwignęła się na kolana. Lewa ręka paliła żywym ogniem. Wzrok w panice przeczesywał las.

I nagle światła. Ostre, kłujące. Złapały ją w swoje sidła. Podniosła się i ruszyła w gęstwinę, wierząc, że da radę, że mu umknie. A wtedy usłyszała dochodzący z bliska znajomy głos:

– Julio.

I gdy tylko przystanęła, na jej czaszkę spadło coś ciężkiego, a świat utonął w mroku.

Maj 1996

Policjant z sygnetem na palcu wpatrywał się w chłopaka wyczekująco. Niespiesznie otworzył notes i pstryknął długopisem. Tymczasem Cichy, przysiadłszy na szpitalnym łóżku, w zamyśleniu skubał krawędź gipsu, pewien, że funkcjonariusze dostrzegają pot, który wystąpił mu na czoło.

– Macie go? – zapytał, starając się brzmieć pewnie.

– Kogo?

– No, Szajbińskiego. To w jego sprawie tu przyszlście, tak?

Komisarz Kula potrząsnął głową.

– Niezupełnie. Choć skoro o to pytasz, to cała szajka Wiktora, łącznie z nim, siedzi w areszcie. Pewnie zainteresuje cię, że dziś rano na komendzie pojawił się gogusiowaty facet w drogim garniturze i lakierkach. Rzucił mi na biurko wizytówkę z logo renomowanej kancelarii prawnej i zażądał rozmowy ze swoimi klientami.

– Czyli z kim, z Szajbińskim? – Zagubiony Cichecki przesuwając spojrzeniem po funkcjonariuszach.

– Z jego przydupasami. – Komisarz puknął końcówką długopisu w notes. – Kompani Szajby od zatrzymania milczeli jak zakłeci, ale po wizycie papugi wszyscy jak jeden mąż zaczęli sypać, a co ciekawsze, każdy z nich mówił to samo. Jakby recytowali jakiś pieprzony wierszyk.

Sebastian czuł, że oddech więźnie mu w płucach. Poprawił się na łóżku, a sprężyny skrzypnęły pod nim.

– Co powiedzieli?

– Zrzućli całą winę na Szajbińskiego. Ich wersję potwierdził również Jakub Czaja, z którego mieszkania cię wywlekli. Według nich to Wiktor wszystko wymyślił i zaplanował, i to on się nad tobą znęcał, bił bejsbolem, a później przypalał rozżarzoną tasakiem. Jego kompani tylko patrzyli.

Cichy ściągnął brwi.

– Chyba nie powinien mi pan o tym mówić...

– Być może nie, ale tak się składa, że jeśli wasze zeznania się pokryją, będę mógł w końcu przymknąć Szajbińskiego i wycisnąć z niego parę ważnych dla mnie informacji. – Mężczyzna uśmiechnął się przebiegle.

– Przemyśl to sobie, zanim zaczniesz śpiewać, co tam się wydarzyło.

Rozprostował ręce, strzelając kostkami dłoni.

– Wiesz, kim jest Barbara Małecka? – zapytał znieczeka, gdy Sebastian nadal dochodził do siebie po tym, co usłyszał.

– Sędzią sądu rodzinnego – odparł z wahaniem, nie rozumiejąc, dokąd zmierza rozmowa.

– Czy to nie ona zdecydowała o umieszczeniu cię w poprawczaku?

– Tak, ale sam sobie na to zasłużyłem. Byłem głupi, napadłem z kumplami na sklep i pobiłem niewinnego człowieka.

– Całkiem porządnie pobiłeś – rzucił Kula, zaglądając w notatki. – Facet miał złamaną podstawę czaszki. Niewiele brakowało, a wylądowałby na cmentarzu.

– To był wypadek. Popchnąłem go, a on uderzył głową o krawężnik. Odsiedziałem swoje.

Niższy z funkcjonariuszy pokiwał głową i wyjął z kieszeni zapakowany w foliową torebkę klucz na kolorowej smyczy.

– Wiesz, co to jest?

Mięśnie Cichego się spięły, ale chłopak tylko wzruszył ramionami.

– Jakiś klucz.

– Poznajesz go?

Zaprzeczył ruchem głowy, a wtedy wysoki policjant z sygnetem rozciągnął usta w cynicznym uśmiechu.

– Kilkoro sąsiadów z twojego osiedla widziało, jak w piątek po południu zbierałeś do pudełka po butach psie odchody – powiedział. – Po co ci one były?

– Co takiego? – Chłopak zaśmiał się sztucznie. – Musieli mnie z kimś pomylić.

– Kobieta, która widziała, jak stłukłeś szybę w samochodzie sędzi Barbary Małeckiej, też miała zwidy? Sebastian z nerwów wyrwał z gipsu nitkę, którą szarpał palcami.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – szedł w zaparte, wiedząc, że spod czapeczki z daszkiem

i kaptura nie było widać jego twarzy i że komisarz go podpuszczał.

Funkcjonariusze wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Mówi ci coś pseudonim Miki? – kontynuował Kula.

– Tak, słyszałem, że został pobity.

– Znaliście się?

– Tylko z widzenia. Przyjaźnił się z chłopakami z drużyny piłkarskiej, do której należę. Miły, uśmiechnięty, trochę przestraszony dzieciak.

– Kto według ciebie mógł go napaść?

– Nie wiem.

Komisarz skrzywił się, jakby ta odpowiedź go zniesmaczyła. Wstał z metalowego stołka, niespiesznie podszedł do okna, przez które wyglądał przez chwilę, a później nagle odwrócił się w stronę Cichego.

– Dlaczego Wiktor Szajbiński zawłókł cię do lasu i maltretował?

– Bo mnie nie lubi?

– Naprawdę tylko na tyle cię stać? Postaraj się bardziej. O co poszło?

Sebastian westchnął.

– Wściekł się, bo oskarżyłem go o potrącenie mojej siostry. Wiktoria zmarła przedwczoraj.

– Słyszeliśmy, przykro nam – wtrącił niższy funkcjonariusz.

W sali szpitalnej zapadła krępująca cisza. Młodszy policjant kręcił palcami młynka, a Cichy ze smutkiem wpatrywał się w swoje dłonie, gdy odezwał się komisarz Kula.

– Musiałeś być na niego piorunsko zły, nie kusiło cię, by się zemścić?

Nastolatek gwałtownie podniósł spojrzenie na policjanta.

– A co by mi z tego przyszło? Szajbiński to świr, nasłałby na mnie swoją świętą i dołączyłbym do Wiktorii.

Funkcjonariusz, chodząc po szpitalnej sali, pokiwał głową ze zrozumieniem.

– To może spróbujmy inaczej. Macie w domu łom? – zapytał.

Sebastian drgnął.

– Możliwe, ojciec jest budowlańcem. Lubi majsterkować i ma mnóstwo narzędzi.

– Wiesz, gdzie je trzyma?

Cichy odniósł wrażenie, że wzrok mężczyzny wypala dziury w jego oczodołach.

– W piwnicy, skompletował tam niezły arsenał.

– Na szczęście nie na tyle duży, by nie zauważyć, że coś mu zniknęło.

Chłopak wstrzymał oddech.

– Nie rozumiem – wydukał.

– Dzwoniliśmy do niego dzisiaj rano zapytać, czy przypadkiem nie zginął mu łom, i wiesz, co się okazało? – Policjant klasnął w dłonie jakby mówił „voilà!”. – Nigdzie nie mógł go znaleźć.

– Pewnie zostawił go w skrzynce z narzędziami albo na budowie. Dlaczego w ogóle pytacie o jakiś łom?

Kula badawczo zmrużył oczy.

– Bo to łomem wybito szybę w samochodzie Barbary Małeckiej, a później tej samej nocy również łomem zakatowano Roberta Wagnera, nazywanego przez kolegów Mikim. Przypadek?

Sebastian siłą woli powstrzymał się przed przełknięciem śliny.

– Chyba nie myślicie, że mój ojciec ma z tym coś wspólnego?

– On raczej nie, ale ty być może tak.

Cichy roześmiał się nerwowo.

– To jakieś żarty?

– Bynajmniej. Według twojego ojca nosiłeś na szyi klucz od mieszkania. Na pomarańczowej smyczy z logo Hitachi. Dokładnie takiej jak ta. – Komisarz podsunął mu pod nos torebkę z kluczem znalezionym przy samochodzie Małeckiej. – Może zaczniemy więc od początku, tylko tym razem będziesz mówił prawdę. Bo tak się składa, że porównaliśmy odblaski palców z klucza i z łomu, a one okazały się identyczne.

*

Ernest Cichecki zgasił ogień pod gwizdzącym czajnikiem. Woda musiała się gotować już jakiś czas,

bo po płytkach ściekała skroplona para. Właściwie gdyby nie łomot w ścianę ze strony sąsiada, który zapewne nie mógł dłużej znieść irytującego wizgu, Ernest niczego by nie zauważył. A przecież stał obok kuchenki, ze wzrokiem utkwionym w próżni i z wyrwą w sercu.

Pospiesznie chwycił za rączkę i od razu z sykiem puścił czajnik, przypominając sobie, że trzeba go podnosić przez ścierkę. Palce mężczyzny natychmiast wylądowały pod kranem. Za drugim razem sięgnął już po szmatkę. Rozdygotaną ręką podniósł wrzątek i zaczął zalewać torebkę z herbatą ekspresową. Dłoń jednak, jak na złość, trzęsła mu się tak bardzo, że nie mógł trafić do kubka. Woda rozlewała się po blacie, a z niego spływała na podłogę.

– Cholera jasna! – warknął, wrzucając czajnik do zlewu.

Oparł ręce na szafce i oddychał z trudem. Przed sobą miał oblażącą z farby suszarkę na naczynia, sfatygowany druciany zmywak i płytki pochłapane tłuszczem. Przygnębiający obraz tego, co osiągnął. Nie takiego życia dla siebie chciał. A przecież tak dobrze mu szło. Grał na gitarze, był przystojny, dziewczyny piszczwały na jego widok. Mógł żyć jak król, jeździć po świecie, koncertować i upajać się przywilejami rockmana. Ale gdzieś po drodze popełnił błąd. I dokładnie wiedział kiedy.

Wszystko zaczęło się psuć, gdy na świecie pojawiło się dziecko. Z każdym dniem i z każdym rokiem coraz bardziej rozpychało się w jego przestrzeni, zawłaszczając ją dla siebie. Najpierw zniszczyło zespół i marzenia o sławie, potem zabrało smukłą, radosną dziewczynę, którą zastąpiła wiecznie zmęczona, tęga kobieta o ponurej minie, a w końcu zmieniło atrakcyjnego gitarzystę z błyskiem w oku w faceta z brzuchem i pretensjami do świata.

Zniknął seks, imprezy i podróże z kumplami. Na ich miejsce przyszło samotne picie przed telewizorem, wyczerpująca praca na budowie i niedzielne wizyty w kościele. A kiedy jego syn miał już dwanaście lat i Ernest zaczynał wierzyć, że jeszcze kiedyś poczuje w ciele dawne wibracje, urodziła się jego córka i wszystko umarło w nim po raz drugi.

Stary Cichecki po prostu nie był stworzony do bycia ojcem. Czuł to całym sobą, ale jednocześnie uważał tę awersję za coś wstydlwego. Dlatego krył się z nią, sumiennie odgrywając rolę, o którą nigdy nie prosił. A kiedy nikt nie patrzył, oddawał się nieskrępowanym fantazjom o wolności. O życiu bez całego tego bagażu. Bez syna i córki. I właśnie wtedy, w tych rzadkich momentach, czuł się naprawdę szczęśliwy.

Nie planował tego, co zrobił. Może to przez kiepski dzień w pracy, spotkanie z dawnym kumplem z zespołu, któremu się poszczęściło, albo przez kłótnię z żoną, zepsuty samochód lub wiecznie pusty portfel i to, że gdy uśmiechał się do młodych dziewczyn na ulicy, one nazywały go obleśnym staruchem. Może przez pogardę w oczach własnych dzieci i wstyd w spojrzeniu żony. A może po prostu był jednym z tych ludzi, którzy zbyt długo nosili w sobie tę tykającą bombę i w końcu wszystko musiało eksplodować.

Zawiedziony stwierdził, że ani śmierć Wiktorii, ani zniknięcie Sebastiana nie przyniosły tego, czego oczekiwał. Nie zwróciły mu wolności. Nadal czuł się przegrany, nawet bardziej niż wcześniej. Gdy tak stał, opierając dłonie na zlewozmywaku, dotarło do niego, że decyzja, którą podjął tamtego wieczoru, była kolosalnym błędem i że nie da rady z nią żyć. Wysunął spod stołu taboret, a potem odpiął z gniazdka przedłużacz. Przez chwilę nasłuchiwał, czy jego żona nadal śpi, a gdy dosięgło go ciche pochrapywanie, przerzucił kabel przez karnisz.

Kiedy wiązał pętlę, obudziło się w nim coś na kształt ekscytacji. Wreszcie miał szansę to wszystko skończyć. Dać sobie upragnioną wolność. Założył stryczek na szyję i skoczył.

Po chwili razem z karniszem z hukiem runął na ziemię.

Patrząc na obsypany tynk, pomyślał, że zepsuł swoją śmierć tak samo jak życie.

Julia

Wrzesień 2019

Ziemia. Wszędzie ziemia. W ustach i pod powiekami. Nogi nieruchome. I ciało odzywające się bólem przy każdej próbie ruchu. Ocknęła się. Otworzyła oczy, a gdy jej wzrok przyzwyczaił się do światła reflektorów samochodowych, zorientowała się, że leży w głębokim dole, częściowo przysypana ziemią. Próbowwała się podnieść, ale jej ręce i nogi były związane. Wtedy uniosła spojrzenie i dostrzegła dwie sylwetki na tle lasu. Jedną na wózku, drugą z łopatą w ręce.

– A już myśleliśmy, że ominie cię najlepsza część – zawołał Witek Lazar. – Miło cię znowu widzieć, Julio. A może Heleno? Powiedz mi, bo sam zaczynam się w tym gubić.

– Ty skurwielu! – syknęła, szarpiając tułowiem.

– Muszę przyznać, że sprytnie to rozegrałaś – powiedział, nabierając na łopatę ziemi. – Naprawdę myślałem, że nasza stłuczka była przypadkowa, ale niepotrzebnie dotykałaś czekoladek. Wiesz, że je liczę po każdej wizycie w Delfinie? Napawam się nimi jak trofeami. Koleżanka ci nie mówiła? – Sychnął w nią ziemią.

Wypluła to, co wpadło jej do ust.

– Jaka koleżanka? O czym ty mówisz?

– Zona Maćka. Myślałem, że ją widziałaś, wtedy na parkingu, po tym, jak przekazałem ci albumy w Pikniku. Wyobrażasz sobie, że szukała miłości? Głupia romantyczna krowa. A tak jej się podobało, gdy ją dusiłem. Aż piszczała z rozkoszy.

Julii zrobiło się niedobrze. Czy to możliwe, by ślady na szyi Anny zostawił Witek, a nie jej mąż? Przecież słyszała wtedy, tuż przed spotkaniem z Lazarem, jak się kłócili. Do tego Maciek się przyznał, i Anna też. To wszystko nie miało sensu.

– Co tak patrzysz? Jak się ma męża pedała, to trzeba szukać pocieszenia poza domem. Żebyś widziała, jakie maile od niej dostawałem. Na samą myśl robię się twardy. – Położył rękę na kroczu.

– Przestań, to obrzydliwe – warknęła, a wtedy on wrzucił do dołu kolejną porcję ziemi. Oczy ją piekły. – Pozwolisz mu na to? – zawołała do Roberta, który biernie przyglądał się, jak żona jego dawnego przyjaciela znika pod zwalami ziemi.

Wagner rozłożył dłonie w geście bezradności.

– A co ja mogę? Jestem niepełnosprawnym mężczyzną na wózku.

– Zapłacisz za to! – krzyknęła.

– Może tak, może nie. Życie nie jest sprawiedliwe. Tylko spójrz na mnie. To jedna wielka pierdolona loteria. – Zaśmiał się sucho.

Julia zdała sobie sprawę, że agresją ich nie przekona. Postanowiła spróbować innej taktyki.

– Błagam, wypuście mnie stąd – poprosiła. – Nikomu o niczym nie powiem. Chcę tylko wrócić do syna.

Robert rozciągnął usta w dziwnym grymasie.

– Oczywiście, że nikomu nie powiesz, dopilnujemy, by skutecznie zamknąć ci usta. Ja mam rodzinę, która jest dla mnie wszystkim, a Witek nieskazitelną reputację. Mielibyśmy zaryzykować utratę tego, co tak długo budowaliśmy?

– Minęły lata. Nawet gdybym bardzo chciała, nie byłabym w stanie udowodnić wam gwałtu. Nie jestem dla was żadnym zagrożeniem.

– Naprawdę myślisz, że w to uwierzę? Zdażyłem poznać cię na tyle, by wiedzieć, że nigdy nie rezygnujesz. Przy pierwszej nadarzącej się okazji pobiegniesz do Emilii, a może nawet do mediów. Opowiesz im tę swoją łzawą historię, by ochronić świat przed gwałtobójcą. Nie zamierzam wystawiać się na takie niebezpieczeństwo.

Julia bezradnie pokręciła głową, a z jej oczu pociekły łzy.

– Nie, nie zrobię tego, przysięgam – zapewniała, płacząc. – Uwolnij mnie ze względu na Benia, proszę, on nie może stracić drugiego rodzica. Ty też masz dzieci, Robert, wiem, że zrobiłbyś dla nich wszystko. Zrozum...

– Zamknij się – uciął, gwałtownie uderzając dłońmi o koła wózka, po czym odwrócił wzrok. Oddychał niespokojnie.

Witek, który dotychczas śledził tę wymianę zdań, oparł przedramiona na łopacie i posłał kobiecie oskarżycielskie spojrzenie.

– Skoro jeszcze żyjesz, to może wyjaśnisz jedną rzecz, która nie daje mi spokoju – powiedział. – Jak wpadłaś na to, że to któryś z nas? Że trzeba szukać wśród przyjaciół Adama? Założyłem, że umierając, wyznał ci prawdę. Chciał oczyścić sumienie czy inne podobne bzdury. Tak było?

– Adam nigdy do niczego się nie przyznał. Zrozumiałam, że to on mnie kiedyś zgwałcił, na krótko przed jego śmiercią, a później dowiedziałam się od Danuty Haner, że w dziewięćdziesiątym szóstym byliście nierozłączni. Założyłam, że to musiał być ktoś z waszej paczki.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, a Lazar aż zagwizdał.

– Zaskakujesz mnie, Julio – stwierdził, kiwając głową z uznaniem. – Chcesz powiedzieć, że byliście małżeństwem przez... ile lat?

– Siedem.

– I przez cały ten czas Adam nie wiedział, z kim ma do czynienia? Nie odkrył, że jesteś Helą, córką Jakuba Czai?

– Nie – odparła. – Po tamtym ojciec wywiózł mnie do ciotki. Zmieniłam nazwisko, a później też imię. Nigdy nie rozmawiałam z nikim o gwałcie. Z nikim poza moją ciotką i terapeutą. Blizny usunęłam laserem. Zostały po nich ślady, ale gdy ktoś pytał, tłumaczyłam, że to pamiątka po wypadku samochodowym. Nie wspominałam też o ojcu, ciotka kategorycznie mi zabroniła. Poza tym on wyjechał i mnie zostawił, więc dla mnie jakby umarł. – Spuściła głowę ze smutkiem. – Można powiedzieć, że i ja, i Adam wyszliśmy nie za tę osobę, którą myśleliśmy, że poślubiamy. Ja nie miałam pojęcia, że wiąże się z moim gwałcicielem, a on nie spodziewał się, że jestem Heleną.

Wagner wpatrywał się w Julię, przygryzając wargę.

– Fascynujące – stwierdził. – Pewnie mi nie uwierzysz, ale po tym, co zaszło w dziewięćdziesiątym szóstym, byłem naprawdę zdruzgotany. Dręczyły mnie koszmary i niewiele brakowało, żebym się przyznał.

Julia poirytowana tym wyznaniem parsknęła.

– Tak? I co się stało? Zabrakło ci jaj?

– Wylądowałem w szpitalu, walcząc o życie, a kiedy stamtąd wyszedłem, uznałem kalectwo za swoją pokutę.

– Wygodne – syknęła, czując, jak spada na nią nowa warstwa ziemi rzuconej przez Witka.

A więc tak umrę. Uduśzę się zakopana żywcem, chyba że wcześniej serce pęknie mi z przerażenia, myślała, rozglądając się histerycznie w nadziei, że uda się jej coś jeszcze wymyślić. Ale nie było dla niej już żadnego ratunku. Lazar z podwiniętymi rękawami zasypywał dół ziemią, a Robert patrzył na to beznamyślnie, jak na coś nieistotnego, na co ludzie gapią się dla zabicia czasu.

– Dlaczego ja?! – zawołała. – Dlaczego zrobiliście to mnie?

Witek oparł łopatę o ziemię.

– Bo byłaś nikim. Szarą, przezroczystą dziewczyną, która nic nie znaczyła. Kawałkiem nikomu niepotrzebnego mięsa i śmieciem, który ktoś musiał sprzątnąć.

Twarz Julii wygiął grymas odrazy.

– Jesteś chory.

– Może, ale to Adam fascynował się teorią nadczłowieka. Nietzsche, pamiętasz? Oczywiście rozumiał ją na swój może nieco wykoślawiony sposób, choć właściwie dowiedliśmy tego, że jesteśmy bezkarni. Że tacy jak my mogą więcej. Że nie obowiązują nas żadne ograniczenia. – Lazar uśmiechnął się z wyższością. – Nie było ważne, jak się nazywałeś. Jeździliśmy wokół Grodziska i szukaliśmy właściwej osoby. Najlepiej przypadkowej, takiej, z którą nic by nas nie łączyło. Wybraliśmy ciebie, bo instynktownie czuliśmy, że jesteś słaba.

– Bzdura! – krzyknęła, owładnięta gniewem tamtej bezradnej czternastolatki. – Wybraliście mnie, bo sami czuliście się nikim i chcieliście uderzyć w to, czego w sobie nienawidziliście. Potrzebny był wam łatwy cel, bo z kimś mocniejszym nie dalibyście sobie rady. A potem każdy z was poszedł w swoją stronę, bo bycie razem kazałoby wam pamiętać. To jest prawda o was. Byliście większymi tchórzami ode mnie – rzuciła z pogardą.

– Zamknij się! – warknął Witek i wrócił do zasypywania dołu.

– Ją możesz uciszyć, ale ze mną nie pójdzie ci tak łatwo – odezwał się tuż za nim Maciej Molenda.

Stał kilka kroków od Lazara i Wagnera, ściskając w rękach strzelbę myśliwską. Witek skrzywił się, jakby zamierzał powiedzieć koledze, by przestał się wygłupiać, ale zanim zdążył otworzyć usta, kula ze sztucera pogruchoła mu kolano. Po lesie potoczyło się echo wystrzału i wrzasku mężczyzny, który upadł na ziemię i miotł przekleństwami.

– Rozjebałeś mi nogę! – wycharczał, próbując się podnieść.

– To za moją żonę. Druga będzie za Julię. – Maciej spojrział przez lunetę celowniczą i oparł palec na języku spustowym.

Stojący obok Robert uniósł ręce w geście kapitulacji.

Julia nie widziała, co się dokładnie dzieje. Nasłuchiwała w napięciu, ledwie mogąc oddychać. Wtedy z oddali dobiegły ich odgłosy syren nadjeżdżających radiowozów.

– No dalej, zrób to! – prowokował Lazar, ale Molenda tylko machnął ręką.

– Zostawię cię policji, oni mają większą wprawę z radzeniem sobie z takimi śmieciami jak ty – powiedział.

Maj 1996

W drodze na komendę był tak rozkojarzony, że prawie wpadł pod samochód. To znak, pomyślał i obiecał sobie, że jeśli opatrność da mu choć jeszcze jeden sygnał, zawróci i spróbuje żyć tak, jakby tamto nigdy się nie wydarzyło. Spięty, na wstrzymanym oddechu i z zaciśniętym gardłem, niemrawo odpowiadał na kiwnięcia napotkanych sąsiadów. Wszystko go drażniło. Ostre słońce, uliczny hałas i nierówne chodniki. A mimo to szedł dalej, w duchu licząc na to, że coś zdoła go jeszcze powstrzymać.

Dopiero gdy stanął przed dużym, kremowym budynkiem otoczonym drzewami, zrozumiał, że nie ma już ucieczki. Bliski zawału szarpnął przeszklone drzwi grodziskiej komendy. Każdy krok zdawał mu się nadludzkim wysiłkiem. A do tego był pewien, że wszyscy patrzą tylko na niego. Dziesiątki par oczu czekających, aż ujawni swoją prawdziwą, potworną twarz.

Otarł pot z czoła, rejestrując, że gwar rozmów ucichł. Niech już będzie po wszystkim, myślał. Chciał jak najszybciej przestać czuć to dławiące poczucie winy, lecz kiedy zbliżył się do dyżurki, zobaczył, że do okienka dobija się jakiś mężczyzna.

Być może uznałby to za omen i zawrócił, ale wtedy doleciały go słowa, które sprawiły, że został.

– Pan chyba nie słyszy, co mówię – bulwersował się stojący tyłem nieznajomy. – Chcę się przyznać do potrącenia dziewczynki.

– A pan chyba nie rozumie, że nie jest w barze szybkiej obsługi. Proszę usiąść i czekać, aż ktoś do pana przyjdzie.

Funkcjonariusz z kamiennym wyrazem twarzy odebrał dzwoniący telefon. Mężczyzna w tym czasie zatoczył koło w poczekalni, lecz gdy usłyszał, że policjant śmieje się do kogoś na linii, wrócił i wściekle zabębnił pięścią w szybę.

– Przyjmij ode mnie zeznania, palancie! – ryknął.

Dyżurny natychmiast spowaźniał. Odłożył słuchawkę, omiótł interesanta pełnym odrazy spojrzeniem, a potem kiwnął na przechodzącego kolegę.

– Weź mi no tego tutaj pieniacza do aresztu. Za zakłócanie porządku i obrażanie funkcjonariusza.

Policjant ochoczo odpiął od paska kajdanki i zanim poczerwieniały ze złości mężczyzna zdążył zaprotestować, mundurowy wykręcał mu już rękę. Skuł obie dłonie za plecami i szarpał go jak bezwolną lalkę.

To właśnie wtedy Ernest Cichecki w rozsierdzonym człowieku rozpoznał Jakuba Czaję. Chciał się odwrócić, ale trener pochwyił jego spojrzenie i znieruchomiał. Przez moment można było odnieść wrażenie, że czas się zatrzymał. Nikt nawet nie drgnął. Zapadła ciężka jak ołów cisza, po której rozbrzmiało ledwie słyszalne:

– Przepraszam.

Ojciec Cichego zacisnął szczęki, a mięśnie na jego twarzy się napięły.

– To ja potrąciłem pana córkę. To mnie powinien pan obwiniać o jej śmierć, nie Sebastiana – dodał nauczyciel.

Przez hol przetoczyło się stłumione westchnienie. Niektórzy zaczęli szeptać między sobą i tylko Ernest Cichecki nie wiedział, co powinien zrobić. Czuł, jakby ktoś wsadził go do pędzącego pociągu, a później z niego wypchnął i oczekiwał, że nie straci równowagi.

To wszystko wydawało się szaleństwem. Z emocji huczało mu w głowie. Oddychał gęstym i lepkiem powietrzem, aż w końcu podszedł do Jakuba i bez ostrzeżenia wymierzył mu policzek. Najpierw jeden. Mocny i głośny. Później drugi, równie siarczysty. A potem zaczął go okładać szaleńczo i na oślep, aż do chwili, gdy został odciągnięty przez funkcjonariusza.

Kiedy zdyszany patrzył na odprowadzanego Czaję, uznał, że oto los dał mu wreszcie znak, o który prosił. Rozochocony tą zuchwałą myślą, zaczął się nawet łudzić, że być może teraz jego życie stanie się znośne. Ta iluzja nie trwała jednak długo, bo gdy tylko opuścił mury komendy, sumienie przypomniało o sobie złośliwym chichotem.

Maj 1999

Toczył się przez korytarz, kulejąc. Jego kapcie szurały o wytarte linoleum. Z rany nad spuchniętym, fioletowym okiem sączyła się krew, a każdy ruch sprawiał ból. Jakub Czaja nie wiedział, ile jeszcze wytrzyma, ale obiecał sobie, że będzie silny. Dla córki.

Rano poprosił o możliwość wykonania telefonu. Dlatego teraz towarzyszył mu oddziałowy. Funkcjonariusz wybrał numer zapisany na kartce, upewnił się, że osoba, która odebrała, była tą wskazaną we wniosku, a później przekazał więźniowi słuchawkę. Osadzony przycisnął ją do ucha trzęsącą się ręką i spoglądając nieufnie na klawisza, z trudem wykrztusił:

- Nie możemy się więcej ze sobą kontaktować.
- Ale dlaczego? Coś się stało? – Jego siostra sprawiała wrażenie zagubionej.
- Tak będzie lepiej dla was. Uwierz mi.

Zacisnął powieki, pod które wpłynęły kadry przedstawiające wykrzywione gniewem twarze. W uszach Jakuba wciąż pobrzmiwał pełen nienawiści syk: „Wiesz, że ją znajdę”, a później recytowany z pamięci numer Anity i ten potworny śmiech, od którego krew tężała w żyłach. Czaja nie miał pojęcia, skąd Cichy wiedział o istnieniu jego siostry. Podejrzewał, że musiał przekupić któregoś ze strażników. Pewne było jednak, że skoro dotarł do jej numeru, to wkrótce odkryje także, gdzie mieszka, a wtedy Hela i Anita znajdą się w niebezpieczeństwie.

- Posłuchaj mnie uważnie – rzucił do słuchawki. – Musicie się przeprowadzić. I to jak najszybciej.
- Oszalałeś? O co chodzi, Kuba?
- Chcę też, żebyś wystąpiła o zmianę imienia dla Heli – dodał ciszej, ignorując pytanie siostry. – Uzasadnijcie to tym, że wszyscy zwracają się do niej jej drugim imieniem. Hela musi zniknąć, rozumiesz? Jakby jej nigdy nie było.

– Ale dlaczego? Przecież już nosi moje nazwisko. To nie wystarczy? Co się dzieje, Kuba? Czego mi nie mówisz?

Czaja we wspomnieniu ujrzał siebie leżącego na posadzce i trzech kopiących go mężczyzn. Widział krew na płytkach, a w myślach jak z megafonu odtwarzał echa gróźb pod adresem jego córki, wypowiedzianych przez Cicheckiego.

Więzienie zmieniło Sebastiana. Nie był już zagubionym chłopakiem o dobrym sercu. Jego gniew i nienawiść do Jakuba, którymi się karmił, przemieniły go w bezduszną bestię. Wywoływał bójkę na spacerniaku, zjednał sobie kilku współosadzonych i konsekwentnie przypominał Czaję, że w końcu zabierze mu tę, którą trener kochał najbardziej. Nauczyciel myślał niekiedy, że Cichy zostawiał go przy życiu tylko po to, by pewnego dnia bezradnie patrzył na śmierć Heli, wiedząc, że nie zdołał jej zapobiec i że to wszystko stało się z jego winy.

To dlatego Jakub zdecydował się zrobić coś szalonego i nigdy więcej nie zbliżyć się do córki.

– Musisz ją ochronić – powtórzył siostrze. – Ją i siebie. Zrób to, o co proszę. Zanim znajdą was źli ludzie i będzie za późno.

– Jacy źli ludzie? O kim ty mówisz?

Czaja przełknął napływające do gardła łzy.

– Przepraszam cię, Anita. Przekaż Heli, że bardzo ją kocham.

– Nie! – ryknęła wściekła. – Nie możesz tak zniknąć. Jak ja jej to wytłumaczę?

– Najlepiej powiedz jej, że umarłem – rzucił, a później odwiesił słuchawkę, nie zważając na krzyki siostry.

Schował twarz w dłonie i się rozplakał.

Julia

Wrzesień 2019

Szła niespiesznie, ciesząc się odzyskaną wolnością. Doceniała każdy krok, promienie słońca na twarzy i śpiew ptaków w koronach drzew. Delikatny wiatr tańczył z jej włosami, a mijani ludzie zdawali się spoglądać na nią w inny sposób. I choć w głębi serca Julia czuła, że ten stan może się skończyć w każdej chwili, pozwalała sobie doceniać moment.

Robert Wagner i Witek Lazar mieli niebawem stanąć przed sądem. Wprawdzie nie mogli już być sądzeni za gwałt sprzed lat, ze względu na przedawnienie sprawy, ale pewnym było, że odpowiedzą za usiłowanie zabójstwa i groźby karalne. Przygotowywała się mentalnie na tę batalię, pewna, że dawni przyjaciele jej męża nie cofną się przed niczym, by ją zniszczyć.

Jedyną osobą, która mogłaby jej zaszkodzić, był Sebastian Cichecki. Ale ten rozpułynał się jak we mgle. Kiedy tamtej nocy poinformowała służby, że w jej domu znajduje się ranny mężczyzna, policyjny patrol wrócił z niczym. Cichy zniknął, a wraz z nim zdjęcia, które mogły ją pogrążyć. Wspomnienie jego gniewu nadal wywoływało dreszcze. Nie wiedziała, czy wróci, ale myśli o nim kładły się cieniem na każdym odzyskanym dniu.

Julia skręciła do autoserwisu, by odebrać samochód. Na jej widok mechanik upuścił klucz nasadowy i z niepokojem obejrzał się przez ramię, zerkając w kierunku tylnego wyjścia. Radio grało rockowe przeboje, a przyjaciel właściciela zakładu jak zwykle siedział na stołku i mamrotał do siebie.

– Kogo ja widzę. Przepadła pani jak kamień w wodę. Już myślałem, że przygrucham sobie fajnego volviaka – próbował żartować, choć jego nerwowa krzątanina świadczyła o tym, że jest spięty.

– Przykro mi, ale nie tym razem.

– A z tym gipsem to może pani prowadzić? – Wskazał na jej przedramię.

– Tak, bez problemu. Na szczęście to lewa ręka.

W otwartych drzwiach garażu Julia dostrzegła cień przesuwający się po kostce brukowej. Mechanik zauważył jej wzrok i chrząknął niespokojnie.

– To co, rozliczamy się i w drogę? – zapytał.

Julia skinęła mu głową, ale nie potrafiła przestać myśleć o zarysie ludzkiej sylwetki majaczącej na podjeździe i wstążce dymu wylaniającej się zza drzwi.

– Już mówię, ile to będzie. – Właściciel serwisu usiadł do biurka i przerzucając dokumenty, wklepywał na kalkulatorze odpowiednie kwoty.

Radio grało *Thunderstruck* AC/DC i starszy mężczyzna na stołku pod ścianą wyjątkowo się ożywił.

– Proszę – mechanik odwrócił kalkulator w stronę Julii – wyszło nam tyle.

Ona jednak już go nie słuchała. Wiedziona dziwnym przeczuciem ruszyła w kierunku wyjścia, a kiedy tylko przekroczyła próg, jej oczom ukazał się Sebastian Cichecki ze słuchawkami na uszach i z papierosem w dłoni.

Oboje patrzyli na siebie zaskoczeni i nieruchomi, niepewni co do tego, jak powinni się teraz zachować.

Mężczyzna ściągnął słuchawki, a Julię załaty jednocześnie strach oraz wściekłość. Walczyły w niej sprzeczne pragnienia. To, by uciekać, i to, by walczyć. Pomyślała o Beniu, o zdjęciach, które miał Cichy, i nagle z mocą huraganu dotarło do niej, co powinna zrobić.

– Chcę ci zaproponować układ – powiedziała, z trudem łapiąc oddech. Jej dłonie kurczowo ścisnęły torebkę. – Wycofam oskarżenia o napaść, włamanie i stalking. Odzyskasz wolność, a policja przestanie cię ścigać. W zamian ty zniszczysz zdjęcia. Nie dla mnie. Dla Benia, by nie musiał widzieć w swojej matce morderczyni.

Sebastian w milczeniu wypalił do końca papierosa i rzucił niedopałek na ziemię.

– Naprawdę wyszłaś za swojego gwałciciela? – zapytał.

Uniosła na niego zaskoczony wzrok.

– Nie wiedziałam, że nim był. Wyszłam za mężczyznę, którego kochałam. Adam uratował mnie, gdy tonęłam na wakacjach w Chorwacji. Tamtego dnia odpłynęłam za daleko od łódki, złapał mnie skurcz i nie byłam w stanie wrócić. Gdy zaczynałam opadać, chwyciły mnie czyjeś silne ramiona, a później, kiedy się ocknęłam, zobaczyłam uśmiech. Ciepły i serdeczny. Nie podejrzewałam, że był to również uśmiech człowieka

zdołnego do potwornych rzeczy.

Julia spojrzała w dal, a jej oczy się zaszklily.

– Posłuchaj – zaczęła. – Cokolwiek zrobił mój ojciec, to już się stało. Nawet jeśli mnie skrzywdzisz, nie cofniesz czasu, a ta wyrwa, którą masz w środku, nie zniknie. Dopóki nie odpuścisz, nienawiść będzie trzymać cię w swoich szponach i rozdzierać na strzępy.

– Nie masz pojęcia o tym, co czuję – warknął, przyciskając ją gwałtownie do ściany.

Julia jęknęła i uniosła dłonie w geście kapitulacji. Jej torebka upadła na ziemię.

– To prawda. Wiem tylko, że kiedy zabiłam Adama, nic się nie zmieniło. Myślałam, że ta zemsta mnie uwolni. Że wreszcie przestanę czuć ten cholerny ból i nienawiść do świata, a teraz żywię ją do siebie. Bo zrobiłam coś równie niewybaczalnego jak mój mąż – wyznała, pozwalając, by łzy płynęły po jej policzkach.

Cichy rozluźnił uchwyt.

– Twój ojciec nie potrafił mojej siostry – rzucił z rezygnacją, unikając jej wzroku, a później podniósł torebkę i wcisnął jej w ręce.

Julia zamrugowała z niedowierzaniem.

– Co? Przecież mówiłeś...

– Bo tak myślałem, ale byłem w błędzie.

Patrzyła, jak mężczyzna zaciska dłonie w pięści, przez co skuliła się w sobie, w obawie, że zaraz znów ją zaatakuje.

– To kto w takim razie? Kto to zrobił?

– Idź już – syknął i ruszył w stronę parkingu.

Julia pobiegła za nim i złapała go za rękę, ale Sebastian wyrwał się z uścisku.

– Czego chcesz? – warknął.

– Muszę wiedzieć, co z naszym układem.

Cichy westchnął, przesuwając dłonią po dziwnym naszyjniku, który wysunął się mu zza koszulki. Wisiorek do złudzenia przypominał patyczek od lodu, przewiercony i nanizany na cienki sznurek.

– Zniszcz te zdjęcia – zgodził się.

– I nigdy więcej nie będziesz nas nachodził. Żadnych nocnych wizyt, zabaw w zabijanie ani krzywdzenia niewinnych ludzi.

– Nikogo nie skrzywdziłem. Chodziło mi tylko o ciebie.

– W karambolu, który wywołałeś, byli ranni.

Sebastian zmarszczył brwi.

– Jakim karambolu? – Patrzył na Julię nierozumiejącym wzrokiem, a ona poczuła, że zamienia się w sopel lodu.

Nim zdążyła odpowiedzieć, z warsztatu dobiegły ich odgłosy dyskusji mechanika z przyjacielem, a później krzyki wymieszane z muzyką dudniącą z radia. „To nie była jego wina. To nigdy nie była jego wina”, powtarzał mężczyzna pogrążony w swoim świecie.

Oczy Julii i Cichego spotkały się na ułamek sekundy. Dostrzegła w nim smutek tak ciężki, że żaden człowiek nie powinien go dźwigać. Wtedy domyśliła się, co mogło się stać.

*

W hali przylotów Lotniska Chopina, które Julia z przyzwyczajenia nadal nazywała Okęciem, panował podekscytowany gwar. Oczekujący na spóźniony samolot z pasażerami z Nowego Jorku niespokojnie dreptali wzdłuż metalowych barierek. Każdy wypatrywał swoich bliskich, kilka osób trzymało w dłoniach tekturki z wypisanymi markerem nazwiskami, a dookoła biegały znużone bezczynnością dzieci. Julia wsłuchiwała się w kobiecy głos z megafonów, informujący o aktualnych odprawach i opóźnieniach, a gdy tylko rozsuwały się lustrzane drzwi, którymi wychodzili przylatujący, zastygała, mając nadzieję, że zobaczy Anitę.

Kiedy wreszcie dostrzegła ciotkę, zamiast radości poczuła ukłucie niepokoju. Kobiety rzuciły się sobie w ramiona, wymieniły buziaki, a Julia wzięła od Anity ciężką walizkę.

– O rety! Masz gips. Co się stało? – wykrzyknęła ciotka.

Jej bratanica machnęła ręką.

– To nic poważnego. Jeszcze kilka tygodni i będę mogła go zdjąć. Chodźmy. – Zaczęła iść korytarzem w stronę kawiarni Costa, biorąc pod ramię Anitę, która rozglądała się niespokojnie za swoim wnukiem.

– A gdzie Benio? Nie przyjechał z tobą? – spytała rozczarowana, szukając wzrokiem chłopca wśród biegających nieopodal dzieci.

– Został w Grodzisku, w przedszkolu. Moja przyjaciółka się nim opiekuje. Zobaczycie się niedługo. Anita zmarszczyła czoło i przystanęła.

– Co się dzieje? Zachowujesz się dziwnie. Czy z Beniem na pewno wszystko w porządku? Julia nabrała tchu.

– Wiem, że mój ojciec siedział w więzieniu za to, że śmiertelnie potrafił dziecko. Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś?

Jej ciotka poruszyła wargami, ale nie wydobyły się z nich żadne słowa. Zbladła. Spuściła wzrok.

– To nie tak, jak myślisz – wykrztusiła z trudem.

– A jak? Muszę poznać prawdę. Dość już tych kłamstw.

Starsza kobieta przymknęła powieki i niemo pokręciła głową. Po chwili jednak otworzyła zawilgotniałe oczy i zaproponowała:

– W takim razie usiądźmy, to będzie długa rozmowa.

Kiedy zajęły miejsca w Costa Coffee, żadna z nich nawet nie tknęła stojącej na blacie wody mineralnej.

– Nie wiem, od czego zacząć – powiedziała Anita, ugniatając w palcach paragon.

– Najlepiej od początku.

Julia skrzyżowała przedramiona na piersi. Nie dlatego, że była wściekła na ciotkę, kochała ją tak bardzo, że wybaczyłaby jej wszystko, ale ponieważ bała się, że słowa, które usłyszy, roztrzaskają ją na kawałki.

Wtedy Anita odkręciła wodę, pociągnęła długi łyk i zaczęła opowiadać. O swoim bracie, który pewnego majowego ranka stanął na progu jej mieszkania z córką i walizką u boku. O jego telefonach z więzienia przez pierwsze trzy lata i o ostatnim kontakcie, po którym zapadł się pod ziemię.

Julia słuchała, ocierając łzy.

– Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś? – spytała z wyrzutem.

Anita ścisnęła rękoma jej dłoni.

– Nie mogłam, zrozum. Obiecałam mu. On w ten szalony sposób chciał cię chronić. Przeraził mnie bał się tych złych ludzi. Twierdził, że będą chcieli cię dopaść.

Julia pomyślała, że mogło mu chodzić o Sebastiana Cicheckiego. Ale dlaczego używał określenia „ludzi”? – zastanawiała się. Jakby mówił o kimś jeszcze.

– Wiesz, kim byli ci ludzie?

Jej ciotka pokręciła głową.

– Wiem tylko, że jeden zmarł w więzieniu kilka lat temu, ale ten drugi najpewniej jest na wolności.

– Chwila. Skąd o tym wiesz? Mówiłaś, że zerwaliście z ojcem kontakt.

Anita drżącą ręką potarła czoło.

– Jakub pojawiał się czasem w moim życiu. Nie w domu. To by było zbyt niebezpieczne. Zresztą nie ja decydowałam o tych... – zawahała się – spotkaniach. Za każdym razem mnie zaskakiwał. Raz kiedy jechałam tramwajem do pracy, później na zatłoczonym peronie dworca i w podziemnym garażu centrum handlowego. Przychodził jak duch, bez uprzedzenia, chwilę rozmawialiśmy, a potem znikał.

– Czego chciał?

– Zawsze tego samego. Pytał o ciebie.

Julia prychnęła złośliwie.

– Mógł się pofatygować do mnie.

– Nigdy by tego nie zrobił. Za bardzo bał się o ciebie, a później też o Benia.

– Wie o Beniu?

Anita uśmiechnęła się delikatnie.

– Nawet z nim rozmawiał.

Oczy Julii stały się okrągłe jak pięciozłotówki.

– To niemożliwe, jak?

– Muszę ci się do czegoś przyznać – powiedziała kobieta, przygryzając wargę. – Pamiętasz ten wieczór, gdy umówiłaś hydraulika? – Jej bratanica mruknęła twierdząco. – Odwołałam go.

Julia zamrugała z niedowierzaniem. Puzzle w jej głowie zaczęły wskakiwać na właściwe miejsca.

– Poczekaj, chcesz powiedzieć, że mężczyzna, który był u mnie w domu... – Zamilkła, z wrażenia nie

będąc w stanie dokończyć tego pytania, a gdy Anita potwierdziła skinieniem, spytała: – Ale dlaczego? Skoro tyle lat trzymał się na dystans, to z jakiego powodu nagle teraz się do nas zbliżył?

– Zamierzał wyjechać za granicę i nigdy już nie wrócić do Polski. Chciał cię zobaczyć, ostatni raz.

Julia oparła czoło na dłoni, a jej łzy skapywały na blat stolika. Anita położyła dłoń na ramieniu bratanicy, a przechodzący obok ludzie omiatali płaczącą kobietę wzrokiem.

– Wiesz, co jest największą ironią losu? – powiedziała, podnosząc zaczerwienione oczy. – Że tak naprawdę to nie on potrafił tę dziewczynkę.

*

Mury domu Hanerów nie pamiętały, kiedy ostatnio było w nich tak gwarno, wesoło i tłocznie. Benio z Leonem ganił się wokół kuchennej wyspy. Anna przygotowywała kawę, a Julia z ręką w gipsie i na temblaku wykładała na talerz ciastka z cukierni.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że Maciek mnie tam znalazł – stwierdziła, oblizując palec z ptysiowego kremu.

– Podziękuj Leonowi, gdyby nie dostał gorączki, nie wysłałabym Maćka do apteki, a on nie zobaczyłby cię w samochodzie Roberta. Wagner podobno grzał jak wariat.

– Żebyś wiedziała. – Julia pokręciła głową, wspominając przerażające chwile. – Skąd, do licha, twój mąż wziął strzelbę?

– Pożyczył ją od właściciela Delfiny. Dawniej chadzali razem na polowania i wiedział, że mężczyzna trzyma sztucer na zapleczu. Kiedy Robert wjechał w las, Maciek wyczuł, że coś się święci, i postanowił się zabezpieczyć.

Do kuchni znów wbiegli chichoczący chłopcy.

– Berek! – krzyknął Leon, popychając Benia, a ten zatrzymał się obok wyspy, cmokając na widok eklerek, po które natychmiast wyciągnął dłoń.

– Hej! – Julia klepnęła go w rękę. – Idźcie wybrać, co oglądamy, zaraz wszyscy do was dołączymy.

Beniamin westchnął z niezadowoleniem.

– A możemy zacząć bez was? Nudzi się nam.

– Jasne, lećcie. – Zmierzwiała włosy syna.

W kuchni zapanował przyjemny nastrój odprężenia, gdy Julia zdała sobie sprawę, że musi zapytać Annę o coś jeszcze. Konspiracyjnie nachyliła się nad koleżanką, po czym ściszym głosem rzuciła:

– Nie chciałabym być niedelikatna, ale wtedy w lesie Witek powiedział coś dziwnego o was i... – Urwała, z zakłopotaniem mnąc w palcach papierowy ręcznik.

Żona Maćka trzęsącą się ręką uniosła filiżankę do ust i upiła łyk.

– Myślałam, że już wiesz... – zaczęła i poczerwieniała. – Boże, to takie trudne. – Położyła dłonie na rumianych policzkach.

– Czy ty z nim? Z Lazarem... – Julia nie była w stanie zadać tego pytania na głos.

– Nie! Nigdy w życiu. Po prostu... Och, to skomplikowane. – Anna nabrała tchu, omiatając wzrokiem obrączkę na swoim palcu. – Chyba muszę powiedzieć to wprost. Mój mąż jest gejem.

Spojrzała na koleżankę, a gdy ta wspierająco dotknęła jej ramienia, kontynuowała:

– Przeczuwał to już w liceum. Wtedy zakochał się w Feliksie i spotykał z nim potajemnie, tak by ich koledzy nie wiedzieli. Falk uchodził za kobieciarza, Maciek pozował na silnego sportowca, no a ludzie nie byli tak tolerancyjni jak dziś, więc musieli to trzymać w tajemnicy. Dwadzieścia pięć lat temu homoseksualność była traktowana niemal jak trąd. Wystarczy wspomnieć nauczycielkę z ogólniaka, która nakryła ich w szkolnej toalecie. Oburzyła się tak, że oblała Maćka na maturze z powodu jego orientacji.

– Nie mówisz poważnie.

– Niestety tak. – Pokręciła głową na to gorzkie wspomnienie. – Powiedziała, że się nim brzydzi i że go zniszczy. No i dopięła swego. Feliks miał to szczęście, że gdy ich przyłapała, nie dostrzegła jego twarzy i dzięki temu nie mogła mu zaszkodzić.

– Czyli wiedziałaś od początku?

Anna się uśmiechnęła. Tym uśmiechem, który trudno pomylić z jakimkolwiek innym. Tym, którym śmieje się cały człowiek, nie tylko jego twarz.

– Zakochałam się w nim – wyznała, promieniejąc. – W tamtym czasie odwiedzałam matkę pracującą

w fabryce mebli Molenda i za każdym razem na widok Maćka traciłam rozum. On też coś poczuł. Zaczęliśmy się spotykać, snuć plany. Dopiero wtedy mi powiedział. I mimo to zdecydowaliśmy się spróbować. Życ razem tak, jakbyśmy byli dla siebie stworzeni. Przez lata naprawdę dobrze nam szło, ale później do Grodziska przyjechał Feliks i wystarczyło jedno przypadkowe spotkanie, by dawne uczucie odżyło. – Spojrzała przez okno na podjazd, na którym jej mąż i Falk palili papierosy, zawzięcie o czymś dyskutując.

Julia usiadła obok Anny i objęła dłońmi jej ręce.

– Musiało ci być trudno.

– I tak, i nie. Maciek to dobry człowiek i mój najlepszy przyjaciel. Nigdy nie chciał odejść, nawet gdy go o to prosiłam. Kocha Leona i mnie, ale myślę, że jego jedyną prawdziwą miłością od zawsze był Feliks.

– A co z licznymi romansami Falka? Co z oskarżeniem o molestowanie?

– Te romanse to przykrywka. Nawet nie masz pojęcia, ile kobiet chce się pokazać na randce ze znanym terapeutą celebrytą, tylko po to, by zaistnieć w tym świecie i na portalu plotkarskim. On nawet z nimi nie sypia. – Zaśmiała się. – A jeśli chodzi o tę nastolatkę, to rozpuszczona gówniara, która w ten sposób mściła się na nim za to, że nie dał się jej zaciągnąć do łóżka.

Julia zrobiła długi wydech i zamrugła oszołomiona, próbując uporządkować myśli.

– Czy Maciek i Feliks rozważali kiedykolwiek bycie razem?

– Nie. To nigdy nie wchodziło w grę. Maciej twierdzi, że ja i Leon jesteśmy wszystkim, czego potrzebuje. Ale wtedy, gdy wymknęło ci się, że widziałas go u Feliksa, przestraszyłam się. Pomyślałam, że może zmienił zdanie i odejdzie. Że znów coś zaczęło się dziać między nimi, mimo obietnic, które składał. Poczułam się zazdrosna i zdradzona.

– Przepraszam, gdybym wiedziała, że tak cię to przytłoczy, nigdy bym o tym nie wspominała.

– Nie mogłaś wiedzieć. – Anna opuściła spojrzenie i zaczęła skubać rozpruty brzeg ścierki. – Od jakiegoś czasu korespondowałam z anonimowym nieznajomym w sieci. Wymienialiśmy się erotycznymi fantazjami. Maciek o tym wiedział. Rozumiał, że tego potrzebuję, i wierzył, że ta relacja pozostanie w świecie wirtualnym. Nie dopuszczał do siebie myśli, że mogłabym umówić się z tym mężczyzną. Ale tamtego dnia, gdy byłam wściekła, zaproponowałam mu spotkanie. A kiedy w Delfinie pojawił się Lazar, spanikowałam. Chciałam uciec, ale on złapał mnie za szyję i zaczął dusić. Szeptał mi do ucha obrzydliwe rzeczy, aż w końcu go odepchnęłam. – Anna płakała, ocierając łzy wierzchem dłoni. – A później straszył, że wyśle nasze wiadomości do moich koleżanek z przedszkola, rodziców i znajomych.

Julia objęła przyjaciółkę ramionami i mocno przytuliła ją do siebie.

– Hej, co to za czułości bez mojego udziału? – zawołał Maciek, wchodząc do kuchni, a potem położył ręce na biodrach i zmarszczył brwi z udawaną zazdrością.

– Zapraszam, jeśli masz ochotę – zaproponowała Julia. – Za to, co dla mnie zrobiłeś, mogę cię przytulać do końca świata i jeden dzień dłużej.

– A nie za to, że chciałaś mnie zabić? – spytał Maciek, wyjmując piwo z lodówki.

Uśmiech spelzł z twarzy Julii, a temperatura w kuchni zdawała się obniżyć o kilka stopni.

– Zachowałam się jak idiotka. Bardzo was za to przepraszam. – Przesunęła spojrzeniem po Molendach, z nerwów wyłamując sobie palce. – Nie chcę nawet myśleć o tym, co by się stało, gdybyś nie odebrał w porę mojej wiadomości – zwróciła się do Maćka.

– Tamtego popołudnia w ogóle nie zaglądałem do telefonu, ale na szczęście jakiś facet pod marketem budowlanym zwrócił uwagę na wyciekający płyn hamulcowy – odparł mężczyzna i dostrzegając udręczoną minę Julii, niezdarnie poklepał ją po ramieniu. – To już minęło, odpuść.

Julia ze wzruszeniem skinęła głową.

Wtedy do kuchni wszedł Falk, który wcześniej rozmawiał przez telefon na tarasie. Trzymał dłoń na żołądku, dokuczającym mu jeszcze po niedawnej endoskopii. Rozejrzał się po znajomych, nieco dłużej zatrzymując wzrok na Annie, a ta na jego widok drgnęła.

– Na waszym miejscu zastanowiłbym się trzy razy przed zjedzeniem tych ciastek. – Feliks wskazał kuszące bezy, eklery i ptysie wyłożone na półmisku, po czym znacząco zerknął na Julię. – Nie wiadomo, kto i czym je nafaszerował.

– Nie darujesz mi tego do końca życia, co? – odparła, rumieniąc się ze wstydu po czubki uszu. – Wiem, że nawaliłam. Naprawdę potwornie mi głupio. Byłam przekonana, że to byłeś ty, wtedy w dziewięćdziesiątym szóstym. Jakaś część mnie chciała się zemścić, zrobić cokolwiek, by i ciebie zabolalo tak, jak mnie przez te

wszystkie lata. Nie przemyślałam tego.

– Zdajesz sobie sprawę, że mogłem umrzeć?

Julia objęła swoje ciało ramionami, jej wargi się trzęsły.

– Tak – szepnęła bliska płaczu.

Anna posłała koleżance wspierający uśmiech, a Maciek znacząco chrząknął, patrząc na Falka.

Psycholog przewrócił oczami.

– No dobrze. Przestań się tak biczować. Powiedzmy, że już prawie ci wybaczyłem – rzucił terapeuta.

– No, może poza rybką. Nie musiałaś jej tego robić – stwierdził poważnie.

Julia ściągnęła brwi z konsternacją.

– Ale czego? Chyba nie myślisz... – Urwała i zaczęła wymachiwać palcem. – O! Co to, to nie. Nigdy nie zrobiłabym krzywdy zwierzęciu. Była zdechła, kiedy tam przyszedłam, przysięgam. – Położyła rękę na sercu.

– Po prostu wyjęłam ją z akwarium i zabrałam ze sobą, żeby cię bardziej zaintrygować przypadkiem Benia i ściągnąć do nas.

– Julio, zapewniam cię, że zanim przyszedliście, Goldie była żywa jak ty i ja.

Matka Benia westchnęła ciężko.

– To już nic z tego nie rozumiem. Podobnie jak tego, dlaczego zareagowaliście paniką na listy z pogrózkami, skoro to nie wy mnie skrzywdziliście. Jeśli byliście niewinni, to jakie wasze sekrety znał Adam?

Mężczyźni wymienili spojrzenia, a później Maciej wzrokiem upewnił się, że jego żona też zgadza się na ujawnienie tajemnicy.

– Pamiętasz tę nauczycielkę, która oblała Maćka na maturze? – spytała Anna.

Julia przytaknęła.

– Chcieliśmy z Feliksem w ramach odwetu wkraść się do domu pani Godlewskiej i zrobić sobie wspólne zdjęcie w sypialni nauczycielki, a potem wysłać jej tę fotkę, żeby ten obraz prześladował ją do końca życia – wyjaśnił Molenda. – Tyle że będąc u niej, niechcący zaproszyliśmy ogień. Pożar szybko się rozprzestrzenił i w efekcie budynek niemal doszczętnie spłonął, a my nigdy nie przyznaliśmy się do winy.

– To dlatego trzymałeś w pudełku artykuły sprzed lat? – Julia ożywiła się na wspomnienie wycinków leżących na dywanie w domu Falka.

Terapeuta potwierdził skinieniem głowy.

– Od dawna podrzucam jej pieniądze przez posłańców. Do pierwszej koperty z gotówką dołączyłem anonimowy list. Kilka słów o tym, że przepraszam, że to był wypadek i że postaram się jej to wynagrodzić. – Feliks pociągnął łyk piwa z butelki. – Jakies dziesięć lat temu odpisała. Posłaniec wrócił do mnie z wiadomością. W środku było tylko jedno zdanie. „Nigdy nie lubiłam tego cholernego domu”. Zresztą dostała spore odszkodowanie od ubezpieczyciela i wybudowała się gdzie indziej.

Po kuchni przetoczył się nieśmiały śmiech.

– Chodźmy do chłopaków. Widziałem, że oglądają *Króla lwa* – zaproponował Maciek.

– Ja właściwie muszę się już zbierać do Warszawy – wyjaśnił psycholog, spoglądając na zegarek.

– Zostań chociaż na chwilę – poprosiła Julia, a on się zgodził.

Anna wzięła ciastka i miskę popcornu, a Feliks tacę z kawą, po czym razem przeszli do salonu. Sześciolatkowo siedzieli obok siebie na kanapie, całkowicie pochłonięci przez bajkę.

– O nie, to ten moment, w którym Mufasa ginie – szepnęła Anna do koleżanki. – Usiądę obok Leona, bo zawsze potwornie to przeżywa.

Julia nagle zdała sobie sprawę, że lada chwila przed ich oczami rozegra się scena śmierci ojca. W odruchu paniki chciała wyłączyć albo chociaż zasłonić sobą telewizor, ale sama nie potrafiła się ruszyć. Ze stopami przyspawanymi do podłogi stała za kanapą, obserwując jednocześnie ekran i twarz swojego syna.

– O co chodzi z Cicheckim? – zapytał ją dyskretnie Falk. – Dlaczego wycofałaś oskarżenie?

– Powiedzmy, że oboje wyświadczyliśmy sobie pewne przysługi – odpowiedziała tajemniczo.

– Cicho, mamo! – syknął Benio, gdy na ekranie Mufasa walczył ze swoim bratem Skazą.

Julia z nerwów wbiła paznokcie w obicie kanapy. Patrzyła, jak podstępny lew odmawia bratu pomocy i spycha go ze skały na pewną śmierć. A kiedy Simba zaczął nawoływać ojca i prosił go, by wstał, choć Mufasa już nie żył, kompletnie się rozpadła. Z jej oczu popłynęły łzy, których nie umiała powstrzymać.

Anna obejmowała płaczącego Leona, Feliks odwrócił wzrok od ekranu, a oczy Maćka się zaszklily. Jednak gdy Julia spojrzała na Benia, dostrzegła coś, co zmroziło jej krew w żyłach. Na twarzy chłopca malował

się cyniczny uśmiech. Przerażona zerknęła na Falka, który zarejestrował to samo, z nie mniejszym niż jej niepokojem. Mężczyzna otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale powstrzymała go uniesieniem dłoni, a potem usiadła obok syna i ciasno objęła go ramionami.

Wmawiała sobie, że to nic. Choć strach w jej trzewiach, ten, który tlił się od chwili, gdy Sebastian Cichecki zaprzeczył, że zepchnął na obwodnicę wózek Wagnerów, teraz zapłonął żywym ogniem. Wdychała słodki zapach syna, wtulona twarzą w jego włosy, i usiłowała odsunąć to, co złe. Myśli o nieżyjącej rybce, o podpalonych serduszkach w przedszkolu. Od ich natłoku zrobiło jej się słabo.

Nie chciała dopuścić do siebie tego, co majaczyło na horyzoncie. Nie mogła pozwolić, by świat, o który tak zaciekle walczyła, na powrót rozsypał się w proch. Przytuliła mocniej drobne ciało sześciolatka.

Może czasem łatwiej jest widzieć ludzi i rzeczy nie takimi, jakimi one są, ale jakimi chcemy je zobaczyć. Przełknąć słodkie kłamstwo zamiast gorzkiej prawdy.

Odwrociła się, napotykając zatroskany wzrok Feliksa. Przyszło jej do głowy, że niekiedy wszyscy jesteśmy skłonni zrobić wiele, by ochronić to, co dla nas cenne. A jeśli czymś się różnimy, to jedynie tym, jak daleko w tej batalii jesteśmy gotowi się posunąć.

KONIEC

Podziękowania

Dziękuję J., niezwykle pomocnej i wspierającej mnie od lat doktor nauk prawnych oraz kryminalistyk, która z zaangażowaniem oraz pasją dzieliła się profesjonalną wiedzą i doświadczeniem przy powstawaniu tej książki.

Kłaniam się dr Ewie Wach, biegłej psycholog Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie oraz biegłej sądowej Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, za to, że opowiedziała mi o przerażających realiach przesłuchań zgwałconych kobiet w latach dziewięćdziesiątych oraz pomogła w weryfikacji profili psychologicznych sprawców.

Za konsultację wątku rozmowy psychologa z dzieckiem podziękowania ślę do psychoterapeuty Macieja Gałowicza.

Wyrazy wdzięczności przekazuję adwokatom: Panu Filipowi Niemczykowi z kancelarii KN Adwokaci, który pomógł mi ustalić kwalifikację prawną oraz oszacować możliwe wyroki dla czynów popełnionych przez bohaterów książki, oraz Pani Natalii Borysewicz z kancelarii Natalia Borysewicz, która wspierała mnie w ustaleniu terminu przedawnienia gwałtu.

Ogromny uśmiech kieruję do Weroniki, publikującej na Instagramie pod nazwą *frelka_recenzuje*, za to, że opowiedziała mi o grodziskim Manhattanie oraz o restauracjach, do których Julia, bohaterka tej książki, mogłaby zajrzeć. Z góry proszę mieszkańców Grodziska o wyrozumiałość, ponieważ korzystając z autorskiego prawa do swobody twórczej, w kilku miejscach pozwoliłam sobie na bardzo subtelne zmiany topograficzne, by zdynamizować akcję.

Dziękuję Janowi Świtale, najbardziej zaangażowanemu ratownikowi medycznemu, jakiego znam. Jeśli będziecie chcieli wiedzieć, skąd wziął się szalony pomysł na tortury w lesie, napiszcie do Janka, powie Wam, że z życia.

Za wszelkie wskazówki dziękuję również: neurolog Agacie Rauszer-Szopie, a także pracownikom naukowym Wydziału Polonistyki, dr hab. Monice Kresie oraz dr. Andrzejowi Guzkowi, strażakowi zawodowemu Adrianowi Sosze, technikowi kryminalistyki Michałowi M. i psycholog Katarzynie Kucewicz.

Chcę też podziękować niestrudzonej i anielsko cierplivej menadżerce ds. komunikacji marketingowej Marcie Kujawie, redaktor Joannie Zalewskiej i wreszcie redaktor Karolinie Borowiec-Pieniak, która niezłomnie od lat szlifuje razem ze mną te książki aż do ostatniego słowa.

Moim bliskim i przyjaciółom przekazuję ogromne uściski. Robertowi za każdy weekend, gdy przejmował wszystkie obowiązki, bym mogła pracować. Joannie Łopusińskiej, przyjaciółce po piórze, za jej ostre jak brzytwa krytyczne spojrzenie. Wspaniałej dziennikarce Marcie Paluch za dodawanie skrzydeł.

A Wam, moi Czytelnicy, kłaniam się za to, że sięgnęliście po tę historię.

Do przeczytania!

Izabela Janiszewska

Warszawa, sierpień 2023 roku